

**KATHY  
REICHS**

**kości  
mówią**



**KATHY  
REICHS**  
**kości  
mówią**

Z języka angielskiego przełożył  
Przemysław Hejmej



WYDAWNICTWO  
ROMUALD PISKALA

Tytuł oryginału:

SPEAKING IN BONES

Copyright © 2014 by Temperance Brennan, L.P.

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-8110-530-9

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

*Dla  
Coopera Eldridge'a Mixona,  
urodzonego 14 lipca 2014 roku*

## Rozdział 1

– Nie mam już więzów na rękach i nogach. Nadgarstki i kostki pieką jeszcze od taśmy. Na żebrach czuję siniaki, za uchem obecność guza. Nie pamiętam uderzenia w głowę. Leżę bardzo spokojnie, ponieważ boli mnie całe ciało. Jakbym się poturbowała. Jak wtedy, kiedy rozwaliałam swój rower. Dlaczego nikt z rodziny nie przyjdzie, żeby mnie uratować? Czy nikt za mną nie tęskni? Mam przecież tylko rodzinę. Żadnych przyjaciół. To było po prostu zbyt trudne. Jestem całkiem sama. Bardzo sama. Jak długo już tu jestem? I gdzie właściwie jestem? Świat wymyka mi się z rąk. Wszystko. Wszyscy. Śpię czy jestem przytomna? To sen czy jawa? Dzień czy noc?

Kiedy wrócą, znów będzie boleć. Dlaczego? Czemu to się dzieje? Nie słyszę najmniejszego dźwięku. Nie. To nieprawda. Słyszę własne bijące serce. Szum krwi w swoich uszach. Czuję smak czegoś gorzkiego. Pewnie resztki wymiocin utkwily mi w zębach. Wyczuwam zapach cementu. Własnego potu. Brudnych włosów. Nie cierpię, mieć nieumytych włosów. Teraz otworzę oczy. Jedno. Drugiego nie mogę, jest zaskorupiałe. Nie widzę zbyt dobrze. Wszystko jest rozmazane, jakbym spoglądała spod wody.

Nienawidzę tego czekania. Wtedy w moim mózgu pojawiają się obrazy. Nie jestem pewna, czy to wspomnienia, czy halucynacje. Widzę go. Zawsze ubranego na czarno, z twarzą wściekle czerwoną, spływającą potem. Unikam jego oczu. Wpatruję się w jego buty. Lśniące buty. Na ich skórze tańczy żółtawe odbicie płomyka świecy. Stoi nade mną, wielki i paskudny. Przyciska swoją ohydną, śmierdzącą twarz do mojej. Czuję jego wstrętny oddech na skórze. Wścieka się i szarpie mnie za włosy. Ma wzdęte żyły. Krzyczy, wydaje się, że jego słowa dochodzą z innej planety. Albo jakbym to

ja opuściła swoje ciało i słyszała wszystko z bardzo daleka. Widzę jego rękę zbliżającą się do mnie, zaciskającą się na czymś tak mocno, że aż drży. Wiem, że i ja się trzęsę, ale pozostaję w odrętwieniu. A może już jestem martwa?

– Nie! Jeszcze nie! Nie pozwól, żeby to się stało teraz!

– Moje ręce robią się całe zimne, mrowią. Nie powinnam była o nim w ogóle mówić. Nie powinnam wspominać, że jest ohydny.

– Tak. Zbliżają się.

– Dlaczego to mi się przydarza? Co ja takiego zrobiłam? Zawsze starałam się być grzeczna. Słuchać tego, co mówi mama. Nie pozwól, żeby mnie zabili! Mamo, proszę, nie pozwól, żeby mnie zabili!

– Mąci mi się w głowie. Muszę przestać mówić.

Cisza, a potem skrzypienie otwieranych drzwi. Zbliżanie się.

Kroki na posadzce, niespieszne, pewne.

– Wracaj na swoje miejsce.

– Nie!

– Będziesz grzeczna?

– Zostaw mnie w spokoju!

Gorączkowy, rytmiczny oddech.

Głuchy odgłos ciosu.

– Proszę, nie zabijaj mnie.

– Rób, co mówię.

Szloch.

Dźwięk przypominający ciągnięcie czegoś.

Jęki. Rytmiczne.

– Jesteś mi posłuszna?

– Brudna suka! – powiedziane głośniej, głębiej.

Miękki zgrzyt.

Kliknięcie metalu trafiającego w odpowiednie miejsce.

– Umrzesz tu, zdziro!

– Odpowiesz mi?

– Ty kurwo!

Bębnienie wściekłych palców. Drapanie.

– Daj mi to, czego potrzebuję!

Pfff! Dźwięk gwałtownego spluwania.

– Nie odpowiesz?

Jęk.

– To dopiero początek.

Skrzypienie. Furiackie trzaśnięcie drzwiami.

Absolutna cisza. Tylko miękki szloch.

– Proszę, nie zabijaj mnie.

– Proszę, nie zabijaj mnie.

– Proszę.

– Zabij mnie.

## Rozdział 2

Kłykcie kobiety wystawały blado spod skóry popękanej i spierzchniętej. Jednym gruzłowatym palcem wcisnęła guzik na przedmiocie znajdującym się w woreczku marki Ziploc.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

Siedziałam bez ruchu, czując, jak włosy na moim karku unoszą się w górę niczym trawa na wietrze.

Oczy kobiety wpatrywały się we mnie twardo. Były zielone, cętkowane żółtymi plamkami, kojarzyły mi się z oczami kota. Kota umiającego czekać, a potem zaatakować ze śmiertelną precyzją.

Pozwoliłam, by cisza trwała. Częściowo po to, by uspokoić własne nerwy. Ale głównie dla zachęcenia kobiety do wyjawienia mi celu swojej wizyty. Za kilka godzin miałam zarezerwowany lot. I jeszcze mnóstwo do załatwienia, zanim udam się na lotnisko. Lot do Montrealu, do Ryana. To tutaj nie było mi wcale potrzebne. Musiałam się jednak dowiedzieć, co kryje się za tymi strasznymi słowami, które przed chwilą usłyszałam.

Kobieta cały czas siedziała na krześle, pochylona do przodu. Napięta. Wyczekująca. Była wysoka, mierzyła co najmniej metr osiemdziesiąt, miała solidne buty, spodnie i dżinsową koszulę z mankietami podwiniętymi do przedramion. Włosy farbowane na kolor gliny na kortach Rolanda Garrosa spięła w wysoki kok na czubku głowy.

Moje oczy uwolniły się od kociego wejrzenia i powędrowały ku ścianie za plecami kobiety. Na oprawny certyfikat głoszący, że Temperance Brennan jest posiadaczką dyplomu Amerykańskiej Rady Antropologii Sądowej. D-ABFA. Egzamin był cholernie trudny.



Siedziałam ze swoim gościem w pomieszczeniu o powierzchni jedenastu metrów kwadratowych, przeznaczonym dla antropologa sądowego w randze konsultanta w dziale medycyny sądowej okręgu Mecklenburg. Drzwi zostawiłam otwarte. Sama nie wiem dlaczego. Zwykle je zamykam. Coś w tej kobiecie mnie jednak niepokoiło.

Z korytarza napływały znajome dźwięki, charakterystyczne dla mojego miejsca pracy. Dzwonek telefonu. Drzwi chłodziarki otwierające się ze świstem, a potem zamykane z kliknięciem. Ruchome nosze na gumowych kółkach przejeżdżające w stronę prosektorium.

– Przepraszam. – Z zadowoleniem usłyszałam, że mój głos zabrzmiał spokojnie. – Recepcjonistka przekazała mi pani nazwisko, ale gdzieś zawieruszyłam notatkę.

– Strike. Hazel Strike.

Te słowa uaktywniły delikatny brzęczyk w moim mózgu.

– Wołają na mnie Lucky<sup>1</sup>.

Milczałam.

– Ale nigdy nie polegam na samym szczęściu. Ciężko na wszystko pracuję. – Wiek Strike plasowałam gdzieś powyżej sześćdziesiątki, jednak jej głos rozbrzmiewał mocno, niczym u dwudziestoparolatki. Akcent sugerował, że mieszka niedaleko.

– A czym się pani zajmuje, panno Strike?

– Pani. Mój mąż zmarł sześć lat temu.

– Przepraszam.

– Znał ryzyko, ale wolał dalej palić. – Lekko uniosła jedno ramię. – Za to się płaci.

– Czym się pani zajmuje? – powtórzyłam, chcąc skierować jej uwagę na meritum sprawy.

- Wysłałam zmarłych do domu.
- Obawiam się, że nie rozumiem.
- Dopasowuję ciała do ludzi uznanych za zaginionych.
- To zadanie dla organów ścigania, we współpracy z koronerem i medykiem sądowym – powiedziałam.
- A wy, zawodowcy, nigdy nie zawodzicie.

Powstrzymałam się od aroganckiego komentarza. Strike miała rację. Według statystyk, które czytałam, liczba osób zaginionych w Stanach Zjednoczonych wynosi stale około dziewięćdziesięciu tysięcy, a liczba niezidentyfikowanych szczątków utrzymuje się od półwiecza na poziomie czterdziestu tysięcy. Kiedy ostatni raz sprawdzałam, w Karolinie Północnej było ich sto piętnaście.

- W czym mogę pani pomóc, pani Strike?
- Lucky.
- Lucky.

Strike położyła woreczek Ziploc obok jaskrawożółtego folderu na akta na moim biurku. W środku znajdował się szary plastikowy prostokąt, szeroki mniej więcej na dwa i pół centymetra, długi na pięć i wysoki na półtora. Metalowa obręcz przy jednej krawędzi sugerowała jego podwójne przeznaczenie: dyktafon i breloczek na klucze. Pętelka z wyblakłego dżinsu świadczyła o tym, że urządzenie to zawieszano u paska spodni.

– Imponujące małe ustrojstwo – powiedziała Strike. – Uruchamiane głosowo. Wewnętrzna pamięć typu flash o pojemności dwóch gigabajtów. Kosztuje niecałe sto dolarów.

Żółty folder wzywał mnie. Oskarżycielsko. Dwa miesiące temu na fotelu przed swoim telewizorem zmarł mężczyzna z pilotem w dłoni. W zeszłym tygodniu jego zmumifikowane zwłoki znalazł bardzo niezadowolony z tego

faktu właściciel mieszkania. Musiałam zakończyć tę rozmowę i wrócić do badań. A potem pojechać do domu, spakować się i przekazać kota sąsiadce.

Ale te głosy. Moje tętno wciąż nie mogło powrócić do normalnego rytmu. Czekałam.

– Nagranie trwa prawie dwadzieścia trzy minuty. Te pięć, których pani wysłuchiwała, wystarczy, żeby co nieco zrozumieć. – Strike nieznacznie pokręciła głową, wskutek czego jej kok przemieścił się nieco poza środek i przekrzywił. – Strach się bać, prawda?

– To nagranie rzeczywiście budzi niepokój – przyznałam, choć było to za mało powiedziane.

– Prawda?

– Powinna je pani zanieść na policję.

– Przyniosłam je do pani, pani doktor.

– Czy dobrze mi się wydaje, że słychać trzy głosy? – Ciekawość brała we mnie górę nad niechęcią, by się w to angażować. Oraz nad lękiem.

– Też tak uważam. Dwa męskie i jeden dziewczęcy.

– Co się tam dzieje?

– Nie wiem.

– Kim są osoby mówiące?

– Mam teorię dotyczącą tylko jednej.

– Jaką?

– Możemy się troszkę cofnąć?

Rzuciłam okiem na zegarek. Nie tak dyskretnie, jak sądziłam.

– Chyba że ma pani teraz za „zadanie” założyć parę karteczek z nazwiskami na ciała zmarłych. – Strike wykonała palcami sarkastyczny znak cudzysłowu przy wyrazie, którego użyłam chwilę wcześniej.

Oparłam się w fotelu i przyjąłam zasluchany wyraz twarzy.

– Co pani wiadomo o internetowych detektywach amatorach?

A więc o to chodziło. Obiecałam sobie, że zachowam cierpliwość, ale będę odpowiadać krótko.

– To ludzie, którzy współzawodniczą ze sobą w sieci w rozwiązywaniu zamrożonych spraw kryminalnych. – Niedoszli medycy sądowi i niedoszli gliniarze. Nadgorliwi widzowie seriali w rodzaju *NCIS*, *Dowody zbrodni*, *CSI: Kryminalne zagadki* czy *Kości*. Nie powiedziałam tego głośno.

Strike ściągnęła brwi, aż połączyły się nad jej nosem. Były ciemne, nie pasowały do bladej skóry i marchewkowych włosów. Przyglądała mi się uważnie bardzo długo, zanim odpowiedziała.

– Kiedy większość ludzi umiera, odbywa się ich pogrzeb, stypa, nabożeństwo żałobne. Wygłasza się mowę pogrzebową, w prasie zamieszcza nekrolog. Niektórym wkłada się do trumny święte obrazki z ich własną podobizną w towarzystwie aniołów, świętych czy coś tam. Jeśli ktoś jest naprawdę znany, jego imieniem nazywa się jakąś szkołę albo most. Tak właśnie powinno być. Tak radzimy sobie ze śmiercią. Podkreślając osiągnięcia danej osoby za życia. Co się jednak dzieje, gdy ktoś po prostu znika? Na przykład. – Strike zwinęła, a potem rozłożyła palce. – Facet wychodzi do pracy i ślad po nim ginie. Kobieta wsiada do autobusu i nigdy z niego nie wysiada.

Zaczęłam mówić, ale Strike mi nie pozwoliła.

– Co się dzieje, kiedy zwłok nie da się zidentyfikować? Leżących przy drodze, w stawie, zawiniętych w dywan, upchniętych w szopie.

– Jak już powiedziałam, to zadanie policji i lekarzy sądowych. W tym zakładzie robimy, co możliwe, żeby zidentyfikować wszystkie ludzkie szczątki, niezależnie od okoliczności ich znalezienia lub ich stanu.

– Tutaj zapewne tak. Ale wie pani równie dobrze jak ja, że w innych

miejscach nie jest tak różowo. Jeżeli zwłoki mają szczęście, to udaje się je rozpoznać po bliznach, przekłuciach, tatuażach, dawno odniesionych urazach, odciskach palców albo po DNA. Ciało, które uległo rozkładowi, lub sam szkielet łąduje u ekspertów takich jak pani. Robi się mu zdjęcia zębów, ustala płeć, wiek, rasę i wzrost, po czym wprowadza to wszystko do bazy danych. Ktoś z innego obszaru jurysdykcji sądowej, jeśli ma u siebie podobne szczątki, może rzucić na nie okiem, ale potem łądują w zamrażarce, gdzieś na zapleczu lub w piwnicy. Niezidentyfikowane ciało przechowuje się kilka tygodni, czasem kilka dni, a potem zostaje ono skremowane albo pochowane na cmentarzu dla ubogich.

– Pani Strike...

– Zaginieni. Zamordowani. Porzuceni. Niechciani. W tym kraju jest aż nadto umarłych, o których zapomniano. A gdzieś ktoś codziennie myśli o każdym z nich.

– Internetowe amatorskie dochodzenia są rozwiązaniem dla tego problemu?

– Jasne, że tak, do cholery. – Strike mocno podciągnęła rękawy do góry, jak gdyby ich mankiety nagle zaczęły ją uwierać.

– Rozumiem.

– Doprawdy? Była pani kiedyś na takiej stronie internetowej?

– Nie.

– Wie pani, co się dzieje na tych forach?

Uznając to pytanie za retoryczne, darowałam sobie udzielenie odpowiedzi.

– Niezidentyfikowani umarli otrzymują tam małe śliczne przezwiska. Księżniczka Nieznana. Pani Wydm. Dziewczynka z Namiotu. Panienczka z Jeziora Panasoffkee. Maleńka Nadzieja.

Brzęczyk w moim mózgu rozognił okoliczne synapsy.

– To pani zidentyfikowała Starego Berniego – powiedziałam.

Tym mianem określano niekompletny szkielet znaleziony przez turystów w roku 1974 nieopodal schroniska, na pieszym szlaku Neusiok w parku krajobrazowym Croatan. Szczątki przekazano do biura głównego medyka sądowego, które w owym czasie mieściło się w Chanel Hill. Tam ustalono, że należały do starszego mężczyzny rasy czarnej. Przydzielonemu do tej sprawy detektywowi z New Bern nie udało się go zidentyfikować.

Całe lata szkielet spoczywał w pudle w magazynie działu medycyny sądowej. Ni stąd, ni zowąd zaczęto nazywać go Starym Berniem, od miasta New Bern, znajdującego się najbliżej znalezienia szczątków.

Kiedy odkryto szkielet Starego Berniego, w prasie publikowano liczne artykuły na ten temat – w Raleigh, w Charlotte, w New Bern i okolicznych miejscowościach. Sprawa odżyła ponownie w trzynastą rocznicę jego znalezienia, tym razem wraz ze zdjęciem zrekonstruowanej twarzy, po artykule w gazecie „Sun Journal” z New Bern z dnia dwudziestego czwartego marca 2004 roku. Jednakże po zmagazynowane kości nie zgłosił się nikt.

W roku 2007 wspomniał mi o tym pewien technik z działu medycyny sądowej. Zgodziłam się przyjrzeć tej sprawie.

Przychyliłam się do opinii, że szczątki należały do bezzębnej osoby pochodzenia afroamerykańskiego w wieku między sześćdziesiąt pięć a osiemdziesiąt lat. Zakwestionowałam jednak kluczowe ustalenie mojego poprzednika i zasugerowałam zmianę przezwiska z Berniego na Bernice. Cechy miednicy wskazywały bowiem niezbicie, że szkielet należał do kobiety.

Pobrałam jeszcze próbki tkanek do ewentualnych badań DNA, po czym Stary Bernie wrócił do kartonowego pudła w Chanel Hill. Rok później

uruchomiono Krajowy System Osób Zaginionych i Niezidentyfikowanych, NamUs. Owa baza danych ludzkich szczątków bez tożsamości, w żargonie policyjnym zwanych NN, oraz osób zaginionych, w żargonie policyjnym OZ, jest bezpłatna i dostępna dla wszystkich. Wprowadziłam deskryptory tego przypadku do sekcji NN. Wkrótce detektywi amatorzy z Internetu zaczęli się zlatywać niczym roje much.

– Taa – potwierdziła Strike. – To ja.

– Jak się pani udało?

– Zwyczajny upór.

– To trochę niejasne.

– Przejrzałam miliony zdjęć na NamUs i innych portalach z listami osób zaginionych. Wykonałam szereg telefonów, pytając o starsze panie bez zębów. Na obu frontach bez rezultatów. Zrezygnowałam więc z netu i zaczęłam szperać za artykułami z lokalnych gazet, rozmawiać z gliniarzami w New Bern i w okręgu Craven, ze strażnikami parku Croatan. I tak dalej. I nic.

Miałam na szczęście nosa, żeby podzwonić po domach starców. Znalazłam taki zakład w Havelock, z którego w 1972 roku zniknęła pacjentka. Charity Dillard. Administrator zgłosił zaginięcie Dillard, ale nikt tak naprawdę nie zadał sobie większego trudu, żeby ją odnaleźć. Dom stoi blisko przystani dla łodzi, doszli więc do wniosku, że wpadła do jeziora i utonęła. Kiedy dwa lata później zrobiło się głośno o Starym Berniem, dalej nikt się tym nie interesował, ponieważ szkielet rzekomo należał do mężczyzny. Koniec opowieści.

– Dopóki pani nie powiązała jednego z drugim. – Słyszałam o tym plotki za pośrednictwem stanowego lekarza sądowego.

– Dillard miała jednego żyjącego wnuka, gdzieś w Los Angeles.

Dostarczył materiału genetycznego. Dzięki pani próbkom DNA można je było porównać. Sprawa zamknięta.

– Gdzie jest teraz Dillard?

– Wnuk szarpnął się i postawił jej nagrobek. A nawet przyleciał na wschód, na pogrzeb.

– Miło.

– Trzymanie jej zakurzonych kości w pudle nie było w porządku. – Znow wzduszyła jednym ramieniem.

Wiedziałam już, po co Strike przyszła do mojego gabinetu.

– Chodzi pani o kolejne niezidentyfikowane szczątki – powiedziałam.

– Tak jest.

Złożyłam obie dłonie w geście „kontynuuj”.

– Cora Teague. Osiemnastoletnia biała dziewczyna z okręgu Avery. Zniknęła trzy i pół roku temu.

– Czy zgłoszono jej zaginięcie?

– Oficjalnie nie.

– Co to znaczy?

– Nikt nie wypełnił raportu o zaginięciu. Informacje o niej znalazłam na stronie internetowej. Rodzina sądzi, że dziewczyna po prostu związała.

– Rozmawiała pani z rodziną?

– Tak.

– To powszechna praktyka u detektywów internetowych?

– Coś się tej małej stało, a nikt nie kiwnie nawet palcem.

– Kontaktowała się pani z miejscowymi władzami?

– Osiemnaście lat oznacza, że dziewczyna jest dorosła. Może jeździć, gdzie chce. Bla, bla, bla.

– To prawda.



Strike dźgnęła kciukiem woreczek Ziploc.

– Czy to brzmiało dla pani jak manifest osoby, która może robić, co chce?

– Czyli według pani dziewczyna na nagraniu to Cora Teague?

Strike wolno pokiwała głową.

– Dlaczego przychodzi pani z tym do mnie?

– Bo sądzę, że gdzieś tutaj ma pani upchnięte kawałki ciała Teague.

## Rozdział 3

– Chyba poproszę jakiegoś detektywa, żeby do nas dołączył.

– Nie. – Zdawszy sobie sprawę z ostrości swego tonu, Strike dodała: – Jeszcze nie.

– Okej. – Na razie. – Proszę mi opowiedzieć o Teague.

– Jeżeli okaże mi pani cierpliwość, podzielę się wszystkim, co wiem.

Znów uniosła jedno ramię. Nie było to właściwie wzruszenie, raczej tik. Albo bezwiedna próba ulżenia własnemu kręgosłupowi.

– Cora urodziła się w dziewięćdziesiątym trzecim jako czwarta z piątki dzieci. Jej ojciec, John Teague, jest właścicielem stacji benzynowej, połączonej ze sklepem spożywczym, budowlanym i wędkarskim. Matka, Fatima, to etatowa pani domu. Czasem pracuje też za kasą w sklepie. Starszy brat Cory, Owen Lee, jest już żonaty, a dwie jej starsze siostry, Marie i Veronica, też wyszły za mąż. On sprzedawał nieruchomości, ale szło mu słabo. Sięgnął właściwie dna, po czym przerwucił się na biznes ze szkoleniem psów. Obie siostry mieszkają poza stanem. O Elim wiem niewiele. To najmłodszy. Ma chyba dziewiętnaście lat. Owen Lee i rodzice mają domy w odległości paru kilometrów od siebie w okręgu Avery.

Pasmo Błękitne. W moim umyśle, nieproszony, pojawił się obraz mamy i zniknął.

Skinęłam głową na znak, że słucham.

– Według jednego z postów na witrynie OPKK kropka net Cora zaginęła w tajemniczych okolicznościach trzy i pół roku temu.

– OPKK kropka net?

– Obywatele Poruszający Każdy Kamień. Na tej stronie każdy może

zamieścić post z informacją o zaginionej osobie. Działa jak NamUs, tylko że jest prywatna.

– Znalazła więc pani Corę Teague na OPKK. – Chciałam mieć pewność, że wszystko dobrze rozumiem.

– Tak.

– Kto zamieścił post?

– I tu jest właśnie pies pogrzebany. – Strike położyła łokcie na udach, pozwalając, by dłonie zwisały jej swobodnie w kierunku kolan. – OPKK pozwala na całkowitą anonimowość użytkowników.

– Czy to standard na tego typu stronach?

– Nie. Ale facet, który prowadzi tę witrynę, uważa, że ludzie chętniej podają informacje, jeśli nie wymaga się od nich odkrywania własnej tożsamości.

– To znaczy, że dany użytkownik nie musi podawać swojego nazwiska, aby zamieścić post o osobie zaginionej albo uczestniczyć w dyskusjach na forum.

– Właśnie. A ci, którzy figurują jako zaginieni, niekoniecznie przechodzą przez kanały oficjalne.

– Czyli policyjny raport nie jest wymagany. – Brzmiało to co najmniej dziwnie.

– Otóż to. Dlatego nie przy każdym OZ podaje się nazwę instytucji, która danej osoby poszukuje. W takim wypadku to administrator strony prosi o podawanie jak najwięcej danych.

– A zatem każdy oszołom na tej planecie może publikować dowolne bzdury, jakie tylko przyjdą mu do głowy.

– To nie jest aż tak proste – powiedziała defensywnie.

– Jednak nie ma pani pojęcia, kto zamieścił te informacje o Teague.

– Chce pani posłuchać do końca?

– Proszę mówić.

– Ponieważ zaginięcia Cory Teague nigdy nie zgłoszono oficjalnie, jej sprawa nie spotkała się z żadnym zainteresowaniem ze strony mediów. A także z zainteresowaniem na wspomnianej witrynie internetowej. Doszłam do wniosku, że jeśli gdzieś tam znaleziono już jej zwłoki, a szczątki figurują w bazie danych osób NN, to nikt nie będzie nawet próbował znaleźć dopasowania. Wszystko zatem zależało tylko ode mnie.

– To było wyzwanie właśnie dla pani.

– Tak.

– A pani lubi wyzwania. – Zaczynałam wyczuwać naprawdę nieprzyjemną aurę.

– To coś złego?

– Więc co zaszło?

– Według tego postu Teague zapadła się pod ziemię w środku lata dwa tysiące jedenastego roku.

– Gdzie widziano ją ostatni raz żywą?

– W okręgu Avery. O tym wszyscy wiedzą.

– Teague bywała obecna w Internecie?

– Nic takiego nie stwierdziłam. Ani na Myspace, ani na Facebooku i Twitterze. Nie miała adresu mailowego. Nie korzystała z portali Buzznet, Blogster, Foursquare, LinkedIn. A także z iTunes...

– A z komórki?

– Też nie.

Osiemnastolatka bez telefonu komórkowego? To brzmiało naprawdę niedorzecznie.

– Rozmawiała pani z jej rodziną? Co powiedzieli?

- Sądzą, że uciekła ze swoim chłopakiem.
  - To się często zdarza.
  - Rozmawiałam z kilkoma znajomymi. Obraz, który uzyskałam, nie pasuje do tej teorii.
  - To znaczy?
  - Teague była typem samotnika. Nie umawiała się na randki. Nie znalazłam ani jednej osoby, która by słyszała o jakimś jej chłopaku albo o tym, że na kogoś spojrzała. Nie miała też przyjaciółki. Bliskiej sąsiadki. Nie lubiła się z kierowcą autobusu czy z trenerem.
  - Tylko rodzina.
  - Tylko ona.
  - Kim jest ten chłopak?
  - Nie wiedzą. Albo nie mówią.
  - Więc trzymała swój związek w tajemnicy. Młodzi ludzie nieraz tak robią.
  - Trudno cokolwiek przesądzać, za mało danych. Teague poruszała się w bardzo wąskim kręgu ludzi. Rodzina. Dom. Kościół.
  - Może poznała tego chłopaka w szkole.
- Strike potrząsnęła głową.
- Nie ma mowy, przynajmniej według tych, z którymi się kontaktowałam.
  - Czy Teague była dobrą uczennicą?
  - Niezbyt. Chodziła do katolickiego gimnazjum, potem z trudem ukończyła liceum okręgu Avery. Nikomu nie zapadła w pamięć. Nie należała do żadnej drużyny sportowej, nie uczestniczyła w zajęciach pozalekcyjnych. Kobieta, z którą rozmawiałam, chyba szkolna pedagog, mówiła, że codziennie przywoził ją i odbierał ktoś z rodzeństwa albo jeden z rodziców.

– Chwileczkę. Pani dzwoniła do jej szkoły?

– Powiedziałam, że pomagam rodzinie dziewczyny.

Jezu. Ta kobieta to było niezłe ziółko.

– Jedna dziwna sprawa – ciągnęła Strike, obojętna na moją dezaprobatę. –

W dorocznej księdze absolwentów zabrakło zdjęcia Teague.

– Może być wiele przyczyn. Miała wtedy fatalne uczesanie i nie chciała dać zrobić sobie fotki. Albo też w dniu, w którym wykonano fotografię, była chora.

– Być może. Jednak pedagog powiedziała, że według szkolnego dziennika Teague charakteryzowała się chroniczną absencją.

– Wiadomo o jakichś jej problemach z alkoholem lub narkotykami?

– Nie.

– Była młodocianą przestępczynią?

– Nie wiem. Po skończeniu szkoły podjęła pracę jako opiekunka do dzieci. Trwało to parę miesięcy i się skończyło.

– Dlaczego?

– Kłopoty ze zdrowiem.

– Jakiego rodzaju kłopoty ze zdrowiem?

– Nikt nie chciał mi powiedzieć.

– Dokąd Teague wyjechała?

– Do domu.

Czekałam, żeby Strike dodała coś więcej. Nie dodała.

– Pozwoli pani, że zbiorę fakty. Cory Teague nie widziano od ponad trzech i pół roku.

– Zgadza się.

– Ale policja nigdy nie otrzymała zgłoszenia o zaginięciu.

– Nigdy.

- Rodzina sądzi, że dziewczyna wyjechała gdzieś z własnej woli.
- Tak.
- Jednak pani zdaniem to mało prawdopodobne.
- Moim oraz osoby, kimkolwiek jest, która zamieściła ów post na OPKK. Skinęłam głową, przyznając, że tu ma rację.
- Podejrzewa pani, że na tym nagraniu słysząc głos Cory Teague – pokazałam na Ziploc.
- Podejrzewam.
- I że została zabita, a zwłoki porzucone. Że fragmenty jej ciała odnaleziono i przesłano do tutejszego laboratorium.
- Sugeruję, żeby wziąć pod uwagę taką możliwość.
- Dlaczego pani sądzi, że szczątki Teague są w naszym zakładzie?
- Mniej więcej półtora roku temu dokonała pani wpisu na portalu NamUs, szczegółowo opisując ludzki tułów, znaleziony w okręgu Burke. Burke leży przy drodze prowadzącej z Avery. Okno czasowe pasuje. Dane geograficzne również. Pasują też deskryptory. – Strike wyprostowała się i rozłożyła szeroko ręce. – Niech mnie pani nazywa wariatką, ale sądzę, że sprawa jest warta zastanowienia.

W korytarzu zagrzechotał wózek z próbkami. Otworzyły się jakieś drzwi, wypuszczając odgłos piły sekcyjnej przedzierającej się przez kość. Po czym zamknęły gwałtownie. Dźwięk ustał.

Wciąż słyszałam w głowie ów nieszczęsny głosik z taśmy.

*Proszę, nie zabijaj mnie.*

*Proszę.*

*Zabij mnie.*

Nadal czułam ciarki pełznące wzdłuż kręgosłupa.

- W jaki sposób weszła pani w posiadanie tego nagrania? – Gestem ręki

wskazałam dyktafon.

Strike oparła się w krześle.

– Jak już mówiłam, nieustannie przeglądam strony internetowe z listami NN w nadziei, że jakiś zespół szczątków doprowadzi mnie do Cory Teague. Tak się jednak nigdy nie stało. Poza tym musiałam też zająć się sprawami osobistymi. Na pewien czas odpuściłam.

Przerwała, być może zastanawiając się nad tymi tajemniczymi problemami, które chwilowo wstrzymały jej poszukiwania.

– W zeszłym tygodniu powróciłam do swojego śledztwa. Kiedy zauważyłam pani wpis na NamUs, odniosłam wrażenie, że wszystkie harfy zagrały piękną melodię. Rozumie pani. Niczym w telewizji.

Nie rozumiałam. Ale kiwnęłam głową.

– Pani wpis zawierał informację o miejscu znalezienia tułowia, pomyślałam więc: a co mi tam. To przecież nie tak daleko. Dlaczego nie wpaść i trochę nie poszperać?

– Pojechała pani do okręgu Burke? Naprawdę?

– Tak. Kiedy tam dotarłam, wydało mi się oczywiste, że istnieje tylko jedno miejsce, w którym szybko można się pozbyć ciała przy punkcie widokowym. Wybrałam się na spacer z tego miejsca w dół. Przez kilka godzin nic, samo robactwo naokoło. Już miałam zrezygnować, kiedy zauważyłam łańcuszek na klucze zaklinowany między korzeniami wielkiego starego drzewa. Doszłam do wniosku, że znalazł się tam z powodu zbiegu okoliczności. Ale na wszelki wypadek zabrałam go ze sobą.

Końcówka ust Strike uniosła się lekko, po czym kobieta zamilkła.

– Odkryła pani, że to dyktafon, i odtworzyła nagranie – podsunęłam.

– Taa – odparła powściągliwie.

– A potem?



– A potem zadzwoniłam do pani.

Między nami zapadła bardzo długa cisza. Przerwałam ją, starannie dobierając słowa.

– Pani Strike, imponuje mi pani entuzjazm. A także zaangażowanie, aby przywracać bezimiennie ofiary ich rodzinom. Ale...

– Ale nie może pani rozmawiać na temat szczegółów prowadzonych spraw.

– Właśnie.

– Mniej więcej tego się spodziewałam. – Strike wciągnęła szybko powietrze do płuc i napięła mięśnie żuchwy. Gotując się do kłótni? A może do zaakceptowania odmowy?

– Jednak mogę pani obiecać – ciągnęłam – że przyjrzę się całej tej sytuacji.

– Taa. – Zachnęła się, udając pozbawiony humoru śmiech. – Tylko niech pani nie przytrzaśnie sobie tyłka drzwiami, jak będzie pani lecieć, żeby się tym zająć.

Chwyciła ziploc i zerwała się na nogi.

Ja również wstałam.

– Jeżeli zostawi mi pani ten dyktafon, poproszę kogoś z laboratorium kryminalistycznego, żeby ocenił nagranie.

Strike powtórzyła swój wymuszony śmiech. Miała to doprowadzone do perfekcji.

– Raczej nie. – Wrzuciła ziploc do swojej torby.

Wyciągnęłam rękę.

– Odezwę się. Tak czy inaczej.

Strike kiwnęła głową.

– Byłabym wdzięczna. Również za dyskrecję.

Musiałam sprawiać wrażenie zdezorientowanej.

– Dopóki tożsamość ofiary nie zostanie potwierdzona, nie ma sensu wciągać w to mediów.

– Nigdy nie udzielałam wywiadów. – Chyba że otrzymam takie polecenie z góry. Ale nie powiedziałam tego na głos.

– Przepraszam. Nie musiałam tego mówić. Chodzi o to, że robię, co mogę, dla dobra rodziny.

– Oczywiście.

Odprowadziłam Strike do końca korytarza, a potem patrzyłam, jak znika w holu. Przez cały czas debatowałam sama ze sobą, czy przekazać te informacje mojemu szefowi, głównemu lekarzowi sądowemu okręgu Mecklenburg. Wiedziałam, jak Larabee na mnie spojrzy. I jakie zada mi pytania.

Wróciwszy za biurko, odtwarzałam sobie w głowie rozmowę ze Strike. Rozważałam rozmaite możliwości.

Strike jest stuknięta. Jest artystką oszustwa. Przenikliwym detektywem bez odznaki.

Zaczęłam od opcji numer trzy. Strike kieruje się dobrą wolą, aczkolwiek przejawia nadgorliwość typową dla internetowych detektywów amatorów. Dyktafon wpadł jej w ręce tak, jak to opisała. Problemy. Dlaczego policjanci nie zauważyli tego przedmiotu, kiedy znaleźli tułów? Jak to możliwe, że tak długo przetrwał w dobrym stanie narażony na działalność żywiołów?

Powiedzmy, że dziewczyna na nagraniu to faktycznie Cora Teague. Powiedzmy, że Strike ma rację, twierdząc, iż Teague nie żyje i że mam jej szczątki u siebie w magazynie. Czy łańcuszek na klucze należał do niej? Czy nagrywała swoje myśli, przebywając w brutalnej niewoli? Czy została zamordowana?

Przeszłam do alternatywnego wyjaśnienia. Strike sfabrykowała całą tę historię. Sfalszowała zapis audio. Problem. Oszustwo szybko wyszłoby na jaw, Strike okazałaby się naciągaczką. Po co miałyby to robić? Bo jest stuknięta? Ponieważ pragnie uwagi mediów? Opcje jeden i dwa.

A może to Teague była oszustką, a Strike stała się ofiarą własnej łatwowierności. Teague i jej dwaj współnicy, mężczyźni, odegrali całą tę wymianę zdań i w jakiś sposób naprowadzili Strike na dyktafon. Teague od trzech i pół roku przebywa w nieznanym miejscu. Może chciała, by tak pozostało. Problem. Taśma brzmiała zbyt autentycznie. Lęk czający się w tym głosie na każdym słuchaczu wywarłby wrażenie przeciwne do zamierzonego.

A może Teague współpracuje ze Strike. To samo pytanie. Po co? Co miały nadzieję uzyskać?

W swojej pracy zawodowej mam do czynienia z całym szeregiem ludzkich motywacji, nieskończonym niczym Morze Południowochińskie. Jestem całkiem niezła w wykrywaniu oszustw. W ocenianiu charakterów. Myśląc jednak o spotkaniu sprzed chwili, musiałam przyznać, że nie mam zielonego pojęcia, co sądzić o Hazel „Lucky” Strike.

## Rozdział 4

Wpatrywałam się w jaskrawożółty folder leżący na moim biurku. Larabee pewnie się niecierpliwił, czekając na informację o zmumifikowanych zwłokach.

Nadal się gapiłam, gdy mój iPhone zasygnalizował wiadomość przychodzącą. Przypomnienie o locie wywołało we mnie niespodziewaną falę niepokoju.

Decyzja.

Wzięłam głęboki oddech, a potem wybrałam numer. Czekając na połączenie z Północą, wyobrażałam sobie Ryana, dobierałam słowa i argumenty.

Andrew Ryan, *lieutenant-déetective*, Service des enquêtes sur les crimes contre la personne, Sûreté du Québec. W tłumaczeniu: Ryan pracuje w wydziale zabójstw w policji prowincji Quebec. Ja jestem antropologiem sądowym w tamtejszym Biurze Koronera. Od lat wspólnie prowadzimy różne dochodzenia dotyczące morderstw.

Przez pewien okres Ryan i ja byliśmy również parą. Oboje postanowiliśmy zakończyć ten związek. Potem on zapadł się pod ziemię. Ostatnio uznał jednak, że czas powrócić z wygnania, i mi się oświadczył. Chociaż od tej chwili minęło już kilka miesięcy, nadal miałam taki mętlik w głowie, że nie mogłam dać sobie z tym rady.

Wyobraziłam sobie twarz Ryana. Już niemłodą, ze zmarszczkami i bruzdami wciąż w tych samych miejscach. Włosy koloru piasku i elektrycznie niebieskie oczy. Oczy, w których teraz odbije się rozczarowanie.

Uśmiechnęłam się szeroko, mimo obawy przed czekającą mnie rozmową. Tak właśnie działał na mnie Ryan. Naprawdę bardzo za nim tęskniłam.

Kiedy odebrał, w jego głosie słychać było dziecięcą wesołość.

– Madame, zarezerwowałam najlepszy stolik dla dwojga w Milos. Tudzież zorganizowałam całą gamę poobiednich zajęć. Także dla dwojga.

– Ryan...

– „Poobiednich” znaczy po posiłku. Rzeczone zajęcia odbędą się w zaciszu mojego domu.

– Z przykrością to robię, ale muszę wszystko odwołać.

Ryan milczał.

– Wyłynęła pewna sprawa. A właściwie dwie. Przykro mi.

– No cóż, istnieją rzeczy, od których mężczyzna po prostu nie może uciec. – Nieudana próba naśladowania Johna Wayne’a.

– *Dyżans*. – Domyśliłam się, że cytat pochodził z tego właśnie filmu. Była to część naszej gry. – Chcesz posłuchać o tych sprawach?

– Może później. Na kiedy przeniesiesz lot?

– Jak tylko skończę tutaj.

Po chwili milczenia powiedział:

– Tempe, w głębi ducha boję się, że ten cytat pokazuje istotę rzeczy.

– To znaczy?

– Jesteś pewna, że odkładasz wizytę tylko z powodu obowiązków zawodowych?

– Oczywiście, że tylko przez pracę. – Naprawdę? Miałam ściśnięte gardło, oczy mnie paliły. – Zadzwoń do ciebie wieczorem?

– Jasne.

Na linii zapadła cisza.

Siedziałam przez chwilę, czując się samotna i zmieszana. Już prawie

podjęłam decyzję, by jeszcze raz zadzwonić do Ryana i powiedzieć mu, że zmieniłam zdanie. Zamiast tego wybrałam numer linii US Airways.

Kiedy rozmawiałam z agentem, mój wzrok padł na żółty folder. Na krzesło, które wcześniej zajmowała Hazel Strike.

Znów wyobraźnia podsunęła mi tę przerażoną dziewczynę z nagrania.

Dałam sobie spokój z Ryanem. Facet sprzed telewizora też mógł poczekać.

Zanim poszłam porozmawiać z szefem o Strike, przywołałam znane mi fakty. Słabo pamiętałam tę sprawę. Jedyne to, że analizę wykonałam na specjalne zlecenie, ponieważ normalnie nasz dział medyczno-sądowy nie zajmuje się zwłokami znalezionymi w okręgu Burke. Nie pamiętałam, jakie było uzasadnienie owego zlecenia.

Dzięki Strike wiedziałam już, że szczątki odkryto mniej więcej półtora roku wcześniej. I przypomniałam sobie, że ich deskryptory sama wprowadziłam do bazy danych NamUs.

Po zalogowaniu się do komputera wpisałam słowa kluczowe „okręg Burke” oraz ogranicznik dat. Wyszukiwanie trwało krótko. Denat został zarejestrowany w naszym zakładzie jako ME229-13. Wyciągnęłam swój raport i szybko przeczytałam jego treść.

ME229-13 pojawił się u nas dwudziestego piątego sierpnia 2013 roku. Szczątki znalazł jakiś myśliwy. A mówiąc dokładniej, jego pies Mort. Pamiętam, że wtedy rozbawiło mnie to imię. Nieładnie z mojej strony, ale jednak.

Mort dokonał swego makabrycznego odkrycia trzydzieści parę kilometrów na północ od Morganton, niedaleko drogi numer 181. Kości leżały w dole zbocza, pod punktem widokowym, rozrzucone na obszarze ponad pięćdziesięciu metrów kwadratowych, przykryte liśćmi i gałęziami.

Najwyraźniej stary Mort miał diablo dobry węch.

Dochodzenie prowadziła zastępczyni szeryfa okręgu Burke, niejaka Opal Ferris. Wszystko do mnie teraz wracało. Przypomniałam sobie swoje zaskoczenie, że Ferris okazała się na tyle bystra, by rozpoznać w szczątkach ludzkie kości. Że zadała sobie trud pofatygowania się na miejsce i zebrania kolejnych. Że dostarczyła zdobycz Morta do miejscowego lekarza sądowego.

Przeczytałam rozdział własnego raportu, zatytułowany *Stan zwłok*.

Tkanek miękkich zachowało się niewiele, działalność zwierząt i sił natury zebrała zwykle żniwo. To, co pozostało, składało się z fragmentów skóry i wiązadeł, na tyle dużych, by wciąż łączyć ze sobą dwa segmenty kręgosłupa. Reszta przetrwała jako odrębne odłamki. Na liście znajdowały się: osiemnaście fragmentów żeber, piętnaście kompletnych i trzy rozczłonkowane kręgi, dwa fragmentaryczne obojczyki, części prawej i lewej łopatki oraz jeden fragment mostka.

W rozdziale zatytułowanym *Wiek ofiary* wpisałam zakres od siedemnastu do dwudziestu czterech lat. Szacunek ten oparłam na młodzieńczym wyglądzie końcówek żeber łączących się – poprzez tkankę chrzęstną – z mostkiem. A także na świeżym zroście na trzonku w środkowej części prawego obojczyka. Lewy był zbyt uszkodzony, żeby cokolwiek zaobserwować.

Na podstawie pomiarów długości nieuszkodzonego odcinka kręgosłupa obliczyłam wzrost ofiary na pomiędzy sto pięćdziesiąt dwa a sto osiemdziesiąt dwa centymetry, który to zakres był zbyt szeroki, by mógł do czegokolwiek się przydać.

W oparciu o stan kości oraz obecność i ilość wyschłej tkanki miękkiej, przedział czasowy zejścia śmiertelnego oszacowałam na od trzech miesięcy do maksimum dwóch lat wstecz.

Nie mogłam ustalić ani płci, ani rasy ofiary.

To było wszystko.

Wylogowałam się z oprogramowania działu medyczno-sądowego, weszłam do Internetu i wpisałam adres [www.NamUs.gov](http://www.NamUs.gov). Podawszy login i hasło, wybrałam bazę danych osób niezidentyfikowanych i wprowadziłam numer katalogowy tułowia z okręgu Burke. W sekcji oznaczonej jako „Informacje o sprawie” znalazłam datę i miejsce znalezienia szczątków, a także datę utworzenia akt. Od tego czasu nie wprowadzano do nich żadnych modyfikacji. Status osoby pozostawał „bez tożsamości”. Moje nazwisko widniało w rubryce osoby kontaktowej oraz kierującej sprawą. W porządku. Tak właśnie Strike trafiła na mnie.

Przesuwałam strony raportu.

Jeśli chodzi o wagę, rysy twarzy, owłosienie ciała, kolor oczu i włosów, nie miałam wówczas żadnych danych, które mogłabym wprowadzić do systemu. Brak wszelkich informacji o amputacjach, deformacjach, bliznach, tatuażach czy piercingu. Brak dowodów na implanty medyczne czy brakujące narządy. Zero wiedzy o ubraniu, obuwiu, biżuterii, okularach i dokumentach. Brak DNA. Brak odcisków palców. Brak danych o uzębieniu.

Nic dziwnego zatem, że kości wciąż spoczywały na półce w moim magazynie. ME229-13 składał się z bezgłowego, pozbawionego kończyn odcinka szkieletu tułowia.

Odsunęłam się od biurka i przeszłam korytarzem do niewielkiego pomieszczenia, przy którego ścianach, od podłogi po sufit, stały metalowe stelaże. Każda z półek wypełniona była kartonowymi pudłami. Każde pudło nosiło naklejkę z numerem sprawy wypisanym dużymi literami czarnym markerem.

ME229-13 tkwił bezpośrednio przede mną na ścianie naprzeciwko drzwi,



dwie półki od góry. Sięgnęłam ręką, wyjęłam pudło i zaniiosłam je do „śmierdzącej sali”, małego prosektorium ze specjalnym systemem wentylacyjnym, który niwelował zapachy co bardziej cuchnących trupów. Rozkładających się zwłok. Topielców. Czyli tych, którymi zajmowałam się ja.

Umieściwszy pudło na stole sekcyjnym, założyłam lateksowe rękawiczki i plastikowy fartuch, wyciągnięte z szuflady pod kontuarem, po czym uniosłam pokrywę. Zgodnie z oczekiwaniami na zawartość pudełka składała się garstka kości. Z wyjątkiem dziesięciu kręgów piersiowych, które wygotowałam do czysta w celu usunięcia z nich tkanki miękkiej, wszystkie pozostałe miały zabarwienie głębokiego, mahoniowego brązu.

Wyjmowałam kości jedną po drugiej i układałam w pozycji anatomicznej. Kiedy skończyłam, na nierdzewnej stali leżały puzzle, które powinny stanowić klatkę piersiową. Luki po brakujących kościach wyglądały jak miejsca, które należałoby natychmiast uzupełnić.

Przez kolejną godzinę badałam każdą kość, każdy ich fragment pod podświetlanym powiększalnikiem. Zauważyłam urazy pośmiertne – ogryzione krawędzie oraz stożkowate perforacje pozostawione przez zęby żerujących zwierząt. Kilka perforacji odznaczało się bladożółtą istotą gąbczastą widoczną w środku. Brak plam na ich powierzchni podpowiedziało mi, że za szkody te odpowiedzialny jest Mort.

Nie zauważyłam żadnych dowodów na urazy odniesione przez ofiarę przed jej śmiercią. Nic nie świadczyło o tym, by żebra się kiedykolwiek goiły lub by je leczono. Żadnych przemieszczeń stawów wywołanych dysplazją obojczyka lub kręgów.

Nie zauważyłam dowodów na urazy odniesione w chwili śmierci. Żadnych złamań wywołanych atakiem tępym narzędziem ani ran związanych

z nagłym hamowaniem pojazdu. Żadnych wlotów i wylotów po pociskach. Brak nacięć i uszkodzeń spowodowanych ostrym przedmiotem. Nic, co by wskazywało na użycie przemocy w chwili śmierci.

Nie zauważyłam dowodów świadczących o chorobie lub anomaliach. Brak porowatości, nieregularności lub lezji, sugerujących niedożywienie, chorobę zakaźną czy zaburzenie metabolizmu.

Zniechęcona, wyprostowałam się i poruszałam ramionami. Tak jak poprzednio, nie miałam zielonego pojęcia o płci, rasie, stanie zdrowia i okolicznościach śmierci ME229-13.

Zegar wskazywał już czternastą trzydzieści siedem. Larabee czekał na informacje o mężczyźnie z pilotem w dłoni.

Czy zatem *wiedziałam* coś, co mogłoby rzucić światło na teorię Hazel Strike?

Spojrzałam na tułów przypominający puzzle.

Średnia wielkość kości, pasująca do dużej kobiety lub niewielkiego mężczyzny. Przybliżony wiek w chwili śmierci, między siedemnaście a dwadzieścia cztery lata, pasował do Cory Teague. Wzrost, od metra pięćdziesięciu dwóch do metra osiemdziesięciu dwóch, był zgodny z charakterystyką połowy populacji Ameryki Północnej.

Zgodność. Ulubiony wyraz medyków sądowych. Gdzieś między trafieniem a wykluczeniem. Zapisałam sobie, żeby zapytać o wzrost Cory Teague.

Znów pograżyłam się w myślach. Czyżby Strike była szarlatanką? Wariatką? A może jednak natknęła się na coś naprawdę złego?

Na kościach nie zauważyłam niczego, co sugerowałoby popełnienie przestępstwa. Poza faktem, że leżały na pustkowiu, stosunkowo niedaleko zwykłej asfaltowej drogi.

W jaki sposób ME229-13 zakończył życie w tak odosobnionym miejscu? Czy ofiara szła drogą i zablądziła? Spadła z platformy widokowej? Skoczyła?

A może należało wziąć pod uwagę o wiele potworniejsze fakty? Ciało ciśnięto w dół z punktu widokowego? Wyrzucono z samochodu w środku nocy?

Usłyszałam w głowie ów drżący głosik z taśmy. Znow poczułam dreszcz.

Za pomocą małej piły sekcyjnej odciąłam kawałek środkowej części mniej zniszczonego obojczyka, umieściłam go w plastikowej fiolce, a wieczko oznaczyłam numerem sprawy, datą i swoimi inicjałami. Nie robiłam sobie większych nadziei, że uda się z tej kości wyodrębnić DNA, ale przynajmniej mieliśmy próbkę do badań.

W razie gdyby teoria Strike miała jednak ręce i nogi. W razie gdyby ktoś z rodziny Teague dostarczył nam próbkę do porównań. W razie gdyby Larabee zgodził się zapłacić rachunek za analizę.

Niektóre aspekty opowieści Strike budziły wątpliwości. Zastępca szeryfa Ferris schodziła wtedy cały teren, znalazła kolejne kości, jednak nie zauważyła tego łańcuszka na klucze? A Hazel Strike – owszem.

Lampy fluorescencyjne nad moją głową miękko mruczały. Czułam ucisk w karku i ramionach, u podstawy czaszki czaił się już ból głowy.

Dość.

Umieściłam ME229-13 z powrotem w magazynie i wróciłam do swojego gabinetu. Mijając sale sekcyjne, nie słyszałam wycia ani grzechotania. Patolodzy skończyli na dzisiaj cięcie zwłok.

Zawsze przechowuję tradycyjne, papierowe kopie akt wszystkich prowadzonych przeze mnie spraw. Przedpotopowy zwyczaj, ale nic na to nie poradzę. Udałam się prosto do szafki na dokumenty i wyjęłam z niej neonowożółty folder z odręcznie napisaną sygnaturą ME229-13. Bardzo

cienki.

Usiadłam za biurkiem i otworzyłam akta. Do okładki po stronie wewnętrznej przypięta była brązowa paczuszka, której szukałam.

Powoli przeglądałam zdjęcia z „miejsca zdarzenia” zrobione przez Opal Ferris. Tak samo jak w roku 2013, byłam pod wrażeniem staranności dokumentacyjnej owej funkcjonariuszki. Jej umiejętności fotografowania imponowały już znacznie mniej.

Na pierwszym zdjęciu, rozmiarów siedem i pół na dwanaście i pół centymetra, pokazano punkt widokowy, aczkolwiek większość szczegółów była niewidoczna, gdyż aparat skierowano pod słońce. Tak samo było w przypadku dwóch kolejnych fotek. Na trzeciej zobaczyłam płaski teren z drewnianą balustradą, a za nią stromy spadek. W oddali las. Na kilku kolejnych ujęciach widać było drzewa, głównie sosny, a także gęste zarośla górskich wawrzynów – tutaj zapewne buszował Mort.

Ostatnia seria zdjęć przedstawiała zbliżenia kości w miejscu ich znalezienia: zbitka żeber przecięta cieniem, fragment kręgosłupa zagrzebany w ziemi, poszczególne kręgi wystające spod pnia sosny.

Na każdej fotografii widniała niewielka plastikowa linijka do oznaczania rozmiarów materiału dowodowego, pozbawiona jednak podziałki oraz strzałki kierunku. Niektóre zdjęcia były ostre, inne rozmyte z powodu niedostatecznego oświetlenia albo niestabilności aparatu. Nie ulegało też wątpliwości, że przed ich wykonaniem Ferris co nieco oczyściła i zaaranżowała.

Ostatnia fotografia przedstawiała cały prawy obojczyk – bardzo wyraźnie widać było pełną zawijasów linię zrostu. Wpatrywałam się w to wymowne świadectwo młodego wieku kości. Gdy Corę Teague widziano po raz ostatni, miała osiemnaście lat. Czy to była jej kość? A jeśli nie, to który dzieciak

skończył w ten sposób, martwy na górskim zboczu?

Czas porozmawiać z Opal Ferris. A potem zająć się Człowiekiem sprzed Telewizora.

Zadzwoiłam, sprawdzivszy numer w swoich zapiskach. Odebrano po pierwszym sygnale.

– Wydział szeryfa okręgu Burke. Czy to pilne wezwanie? – Głos był kobiecy, słowa wymawiał jak robot.

– Nie. Chciałabym...

– Proszę zaczekać.

Zaczekałam.

– Okej, proszę pani, proszę podać nazwisko.

– Doktor Temperance Brennan.

– Jaki jest powód pani telefonu?

– Chciałabym rozmawiać z zastępczynią szeryfa, Opal Ferris.

– Czy może pani powiedzieć, w jakiej sprawie?

– Ludzkich szczątków znalezionych w rejonie drogi numer 181.

– Proszę zaczekać.

Zaczekałam. Po pełnej minucie przełączyłam aparat na głośnik i odłożyłam słuchawkę.

– Okej. Kiedy znaleziono te szczątki?

– W sierpniu 2013 roku – odparłam bardziej szorstko, niż zamierzałam. Bolała mnie jednak głowa. I tego rodzaju grillowanie piekielnie mnie irytowało.

– Może pani powiedzieć coś więcej?

– Nie – rzuciłam ostro.

Lekkie wahanie. Potem usłyszałam:

– Proszę zaczekać.

Zaczekałam. Dłużej niż za każdym z poprzednich razów.

Stukałam palcami jednej ręki w blat biurka, drugą zakreślałam na prawej skroni okręgi. Nagle po tamtej stronie linii coś kliknęło. Potem przez małe kwadratowe otwory głośnika dobiegł mnie ten sam głos.

– Zastępczyni szeryfa Ferris jest nieosiągalna. Chciałaby pani zostawić swoje dane kontaktowe?

Podalam numer głównej linii MCME oraz numer własnej komórki. Podkreślając, że to pierwsze to dział medycyny sądowej. Obcesowo.

Kobieta życzyła mi dobrego dnia i się pożegnała.

Dźgnęłam przycisk rozłączania. Bezsensowna próba zachowania kontroli nad sytuacją.

Świat za moimi drzwiami spowijała cisza. Badacze śmierci albo byli w terenie i wkładali zwłoki do worków, albo wykonywali w swych boksach „papierkową robotę”. Patolodzy wycofali się do gabinetów lub pojechali realizować inne zadania.

Mój wzrok spoczął na aktach leżących na biurku. Potem przeniósł się na zegarek. Piętnasta pięćdziesiąt pięć.

Chciałam jechać do domu, zjeść obiad z kotem, Birdiem, spędzić trochę czasu na rozmowie z Ryanem. Uspokoić się?

Wyobraziłam sobie oblicze Larabeego. Leniwe, zatroskane i jednocześnie niezatroskane spojrzenie za to, że zlekceważyłam mumię.

– Świetnie.

Złapałam folder z zamiarem powrotu do śmierdzącej sali. Obracałam się właśnie w fotelu, gdy zadzwonił mój iPhone. Sądząc, że to Opal Ferris, odebrałam.

To nie była Opal Ferris.

Telefon sprawił, że ból głowy sięgnął zenitu.

## Rozdział 5

– Tu Allan. – Akcent był z Karoliny, ale gdzieś w tle pobrzmiwał Bronksem.

Cholera. Cholera. Cholera.

– Cześć, Allan – powiedziałam z entuzjazmem przeznaczonym dla ślimaków w moim ogrodzie.

– Na pewno wiesz, dlaczego dzwonię.

– Pracuję nad tym. – Nieprawda. Straszliwie nie podobało mi się owo „to”. Unikałam „tego” od wielu miesięcy.

– Dzisiaj jest trzydziesty marca.

– Tak.

– Na pewno wiesz, co to oznacza.

Moje górne i dolne zęby trzonowe zetknęły się ze sobą. To już drugi raz. Allan Fink powtarzał tę frazę podczas każdej naszej rozmowy.

– Na pewno wiem. – Powiedziałam żwawo, niczym Dzwoneczek z kreskówki, szybko poruszający stópkami.

– Sprawa jest poważna.

– Rozchmurz się, Allan. Do terminu złożenia zeznania mamy jeszcze ponad dwa tygodnie.

– Tempe – odrzekł z westchnieniem udawanej cierpliwości. – Potrzebuję tych materiałów, żeby obliczyć całą należną kwotę.

– Dostarczę ci wszystko do piątku.

– Do jutra.

– Jestem zavalona pracą w laboratorium.

– A ja jestem twoim doradcą podatkowym. Teraz przypada najbardziej

zawalony okres roku.

- Rozumiem.
- Proszę cię o to już od listopada.
- Postaram się.
- Nie jesteś moją jedyną klientką.

W głowie dodałam: „Na pewno wiesz”. Przypominał mi o tym już z milion razy.

– Darowizny na cele charytatywne, wydatki służbowe, delegacje, formularz numer 1099, uwzględniający wszystkie honoraria i wniesione opłaty. Coś jeszcze?

Zapadła surowa, karcąca pauza, po której powiedział:

- Wyślę ci ponownie listę wszystkich pozycji, których mi brakuje.
- Jestem pewna, że przechowuję rachunki. – Gdzieś chyba przechowuję.
- Przydałyby się.
- To naprawdę jest aż tak ważne?
- Urząd skarbowy jest dziwnego zdania, że i owszem.
- Zarabiam mniej niż małpa w cyrku.
- A *ile* dziś zarabiają występujące przed ludźmi naczelne?
- Trochę fistaszków.
- To musi bardzo irytować słonie. – I Allan się rozłączył.

Kiedy skończyłam, było już po ósmej. Zawiozłam Człowieka sprzed Telewizora z powrotem do chłodziarki. W pomieszczeniach MCME szumiała przesadna cisza, charakterystyczna tylko dla budynków opustoszałych po całodziennym harmidrze.

W oparciu o badanie szkieletu i dane dentystyczne ustaliłam, że zmumifikowane zwłoki należały do starszego mężczyzny, rzeczono go lokatora mieszkania. Ani stan ciała, ani zdjęcia rentgenowskie nie



wskazywały, że śmierć spowodowały osoby trzecie. Staruszek wykorkował podczas ciągłego oglądania *Rodziny Soprano* albo jakiegoś innego serialu.

Larabee zapewne będzie niezadowolony z faktu, że swój wstępny raport przygotowałam z opóźnieniem, jednak jego treść powinna go ucieszyć. Reszta należała już do niego.

Powietrze na zewnątrz było ciepłe i bardzo wilgotne, barwy widnokręgu przechodziły z rudego brązu w szarość. Chmury w kształcie serpentyn rozciągały się zdecydowaną czernią ponad drutami telefonicznymi wzdłuż obu stron Queens Road.

Telefon od Allana wytrącił mnie z równowagi. Ostatnie, czego teraz chciałam, to spędzić noc nad restauracyjnymi kwitami i starymi kartami pokładowymi do samolotu. Co roku przyrzekam sobie być lepiej zorganizowaną. Co roku mi się to nie udaje. Kiedy zdałam sobie sprawę, że sama odpowiadam za ów problem, moja irytacja jeszcze wzrosła.

Po drodze do domu zatrzymałam się tylko raz, by kupić sushi na wynos. Zmierzch z wolna opanowywał okolicę. W gęstniejącym mroku dworek wyglądał jak niezgrabny czarny bunkier, magnolie i wiecznie zielone dęby przypominały olbrzymich strażników chroniących trawniki.

Minęłam Sharon Hall i wozownię, zmierzając ku najmniejszej budowli w kompleksie. Dwie kondygnacje, pięć pokojów i łazienka. Przybudówka, której pierwotne przeznaczenie przepadło w odmętach dziejów.

Spodziewając się, że wrócę do domu na długo przed zmrokiem, nie zostawiłam włączonych świateł. Wszystkie okna rzucały czarne cienie. Nie widziałam wprawdzie puszystego białego pyszczka, ale byłam pewna, że przez jedną z szyb wygląda za mną pewien bardzo głodny kot.

Wzięłam sushi, wysiadłam z samochodu i przeszłam przez patio do tylnych drzwi. Gdy wysuwałam odpowiedni klucz z nadmiernie obciążonego

breloka, słyszałam auta mijające kościół baptystów w Myers Park. Szczekanie psa. Wycie syreny gdzieś w oddali.

– Cześć, Bird. – Włączyłam światło i położyłam torbę na kontuarze. Birdie wykonał ósemkę wokół moich kostek. – Wybacz, staruszk. Wiem, że umierasz z głodu.

Birdie usiadł i przyglądał mi się z dezaprobatą. Chyba. Potem, zwietrywszy zapach surowego tuńczyka, zapomniał o wszelkich urazach i wskoczył na kontuar.

Napełniłam jego miskę, pewna, że zignoruje chrupiące grudki i skupi się na wyłudzeniu pokarmu ode mnie. Następnie wzięłam sobie talerz i colę dietetyczną, które ustawiłam na stole. Birdie wskoczył na krzesło obok mnie.

– No dobra – położyłam przed nim kawałek hamachi. – Mów, jak ci minął dzień.

Birdie pomacał mój prezent jedną delikatnie zwiniętą łapką, powąchał, i wreszcie pożarł. Bez słowa komentarza na temat swojej dziennej aktywności.

– Mój nie był dokładnie taki, jak sobie zaplanowałam.

Jedząc maki-zushi, opisałam mu swoje spotkania z Lucky Strike i Człowiekiem sprzed Telewizora. Koty mają gdzieś, kiedy mówi się do nich z pełnymi ustami. Tę cechę ich charakteru ogromnie podziwiam.

– Dzwonił do mnie Allan Fink. – Podzieliłam się swymi odczuciami na temat terminu składania zeznań podatkowych.

Bird słuchał, jego oczy podążały za palczkami, za pomocą których pochłonełam dwa omlety tamago. Podałam mu ebi, a sama zjadłam ryż. Znow wykonał swoje badanie łapą i spałaszował krewetkę jednym kęsem.

Musiałam się do czegoś przyznać. Jedna rzecz sprawiła, że bywam burkliwa. Otóż była nią szokująca propozycja Andrew Ryana.

– Co o tym sądzisz? Powinnam wyjść za tego faceta?

Bird popatrzył na mnie, ale nie zaoferował żadnego udziału własnego.

– Zgadzam się. Później. Obstajesz za węszeniem wśród kości?

Znów brak odpowiedzi.

Wspięłam się po schodach, wzięłam szybki prysznic, przebrałam się w koszulkę i spodnie od piżamy. Potem skierowałam się w stronę poddasza na końcu korytarza.

Tutaj przechowuję dokumenty. Mój system, trójstopniowy, nigdy nie może zostać ujawniony przed Allanem Finkiem. Masz paragon, unieważniony czek, jakiś dokument, który może się kiedyś przydać? Wrzuć go do pudełka, napisz na nim datę, a pod koniec roku schowaj pudełko na strychu.

Szybko znalazłam odpowiedni karton, pomiędzy stertą przestarzałych podręczników a dwiema rakietami tenisowymi, których nie oddałam do naciągnięcia. Zatargałam go do jadalni, lekko zaniepokojona skromną wagą.

Usiadłszy za stołem, zdjęłam pokrywkę. Niepotrzebnie się martwiłam. W pudle było więcej papieru, niż fabryka produkuje w ciągu dekady. Jęknęłam w duchu i zaczęłam rozkładać, odszyfrowywać i sortować kwitki, odkładając je na kupki. Taksówki. Hotele. Stowarzyszenie Ochrony Zwierząt. Zwierzęta Azji. Śmieci.

Gdy moje oczy walczyły, aby odczytać wyblakłe numery kart kredytowych i wydruki paragonów, umysł powędrował z powrotem do osoby Lucky Strike. Do nagrania. Dziewczyna sprawiała wrażenie przerażonej, mężczyźni niewyobrażalnie okrutnych. Ich głosy odbijały się w mojej głowie, ostre i poszarpane jak stłuczone szkło.

Czy dziewczyna na taśmie to rzeczywiście Cora Teague? A jeśli nie ona, to kto? Kto zakończył życie pod punktem widokowym w okręgu Burke?

Powinam była skonfiskować ten dyktafon. Tak, poprosiłam grzecznie, a Strike odmówiła. Należało być jednak bardziej przekonującą, wysilić szare komórki. Dlaczego tego nie zrobiłam?

Dlaczego Opal Ferris nie odpowiedziała na mój telefon?

I tak w kółko. Poczucie winy. Irytacja. Wzburzenie wobec perspektywy złożenia ślubowania.

Po godzinie wgryzłam się w górę papierów może na pięć centymetrów. Ból głowy powrócił ze zdwojoną siłą. Chrzanić to.

Przeniosłam się do gabinetu, wyciągnęłam maca i wpisałam w Google hasło „detektywi amatorzy w sieci”. Liczba otrzymanych wyników wprowadziła mnie w osłupienie. Artykuły. Filmiki. Witryny o podobnych nazwach. Oficjalne Śledztwa z Archiwum X. W Poszukiwaniu Sprawiedliwości.

Klikałam w jedną stronę za drugą, zaintrygowana. W pewnej chwili przyłączył się do mnie Birdie i zwinął na biurku w kłębek. Jego równomierne mruczenie stanowiło uspokajające tło dla staccato wydawanego przez klawiaturę.

Wspomniane witryny odznaczały się pewnym podobieństwem. Miały chatroomy, fora, wątki dyskusyjne dotyczące konkretnych spraw albo zapytań. Największe zainteresowanie zdawały się przyciągać nierozwiązane przypadki zabójstw oraz osoby zaginione.

Strony te różniły się jednak co do regulaminów funkcjonowania. Jedne wymagały „weryfikacji” osób podających się za profesjonalistów, które miały jakieś informacje „z wewnątrz” – lekarzy, dziennikarzy, policjantów i tak dalej. Inne natomiast wcale nie. Jedne zabraniały „zapraszania się” – próśb od jednego użytkownika do drugiego o prywatny kontakt – inne na to zezwalały.

Przejrzałam artykuł o stronie Websleuths.com i dowiedziałam się, że

witryna powstała w latach dziewięćdziesiątych jako forum dyskusyjne po zamordowaniu Jon-Benét Ramsey. Że odegrała istotną rolę w odkryciu niezwykle ważnych wskazówek dla rozwiązania sprawy Casey Anthony, że zebrała laury za pomoc w rozwikłaniu zagadki morderstwa Abrahama Shakespeare'a, pracownika fizycznego z Florydy, zabitego po tym, jak wygrał na loterii trzydzieści milionów dolarów. Przeczytałam, że według administratora strony liczba zarejestrowanych na niej członków wynosi sześćdziesiąt siedem tysięcy oraz że każdego dnia pozostawiają oni do trzydziestu tysięcy wpisów. Nie wiadomo jednak, czy dane te są prawdziwe.

Podalam informacje niezbędne do zapisania się jako członek i na chybił trafił wybrałam wątek dyskusyjny. Dotyczył on dwudziestodwuletniej fryzjerki, która zaginęła w Lincoln w stanie Nebraska. W styczniu tego roku Sarah McCall wyszła z pracy z zamiarem wypicia kilku drinków z przyjaciółmi. Dwa dni później na miejscu odpoczynku dla kierowców na międzystanowej drodze numer 80 znaleziono jej samochód. Nie było w nim torebki, kluczyków ani śladu po samej McCall.

Liczba ludzi śledzących tę sprawę była naprawdę zdumiewająca. Podobnie jak ilość informacji, które mieli oni zebrać. W ciągu dwóch miesięcy detektywi amatorzy znaleźli profil McCall na Facebooku, jej filmiki zamieszczone w Internecie, a także zidentyfikowali jej różne pseudonimy na Twitterze, w rodzaju @singleandfree, @silverlining czy @curlupanddye. Pewien informatyk o ksywce candotekkie odzyskał na Twitterze tysiące jej usuniętych postów. Inni użytkownicy analizowali ich treść w poszukiwaniu istotnych dla śledztwa danych.

A ludzie ci byli solidni. Jeden z użytkowników witryny Websleuth.com, ksywka R.I.P., rozesłał kopie zawiadomienia o zaginięciu McCall do wszystkich schronisk dla kobiet, szpitali oraz zakładów medycyny sądowej

w Nebrasce. Niestety, jak dotąd Sarah McCall nie odnaleziono.

Robiąc sobie herbatę, nie mogłam powstrzymać myśli, że McCall – nieświadomie – bardzo ułatwiła swoje własne poszukiwania. Była zdeklarowaną miłośniczką mediów społecznościowych. Dokładnie odwrotnie niż Cora Teague.

Wróciłam do klawiatury i przeszłam do OPKK.net. Strona była mniej przyjazna dla użytkownika niż Websleuth.com, a jej twórca mniej biegły w wykorzystaniu internetowych szablonów. Ale Strike miała rację. Aby zostać tu członkiem, nie trzeba było podawać żadnych swoich danych.

Wymagało to trochę pracy, ostatecznie jednak zlokalizowałam forum poświęcone Corze Teague. W porównaniu z innymi sprawami, które przejrzałam, tu wątków było bardzo niewiele, a uczestników dyskusji – zaledwie garstka, z czego większość szybko rezygnowała.

Pierwszy wątek zainicjował dwudziestego drugiego sierpnia 2011 roku ktoś, kto przedstawiał się jako OMG. Post informował, że Cora Teague zaginęła i może być zagrożona ze względu na słaby stan zdrowia. Autor – lub autorka – twierdził również, że rodzina oraz organy ścigania zupełnie się tym faktem nie interesują. Opisał Teague jako białą kobietę, mierzącą sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, szczupłej budowy ciała, o zielonych oczach i długich jasnych włosach.

OMG informował dalej, że ostatni raz widział Teague w dniu czternastego lipca 2011 roku przed jej domem rodzinnym w okręgu Avery w Karolinie Północnej. Miała na sobie niebieską koszulkę z długim rękawem, spodnie, lekką kurtkę z kapturem koloru białego oraz skórzane buty. Autor nie wspomniał, w jakich okolicznościach doszło do kontaktu wzrokowego, nie zostało to również ujawnione w krótkiej wymianie zdań, która nastąpiła dalej.

Dwudziestego czwartego lutego 2012 roku do dyskusji włączył się detektyw amator posługujący się pseudonimem luckyloo. Wcześniej, przez ponad pół roku, nikt nie zamieścił żadnego komentarza. Domyśliłam się, że lyckuloo to Hazel Strike.

Po pojawieniu się Strike forum lekko ożyło, ostatecznie jednak wątek ograniczył się do udziału dwóch użytkowników. OMG nie był jednym z nich. W styczniu 2013 roku, po dwumiesięcznej ciszy, Strike poprosiła OMG o spotkanie. Na prośbę nie odpowiedziano. Wówczas OMG jakby zapadł się pod ziemię.

Z natury jestem uparta. Nie potrafię odpuścić problemu, którego nie umiem rozwiązać.

Sącząc letnią już herbatę earl grey, myślałam o tym, co właśnie przeczytałam. O teorii Strike.

O nagraniu.

Zastanawiałam się, co motywowało Corę Teague. Jaka nieznana choroba spowodowała ją z powrotem do domu rodziców.

Ciekawiła mnie tożsamość OMG. Oh my God<sup>2</sup>? Zastanawiałam się, z jakiego powodu OMG sądził, że Teague została skrzywdzona.

I – po raz setny – czy Teague żyje, czy już nie.

Cora Teague była zagadką, a ja płonęłam z ciekawości, by ją rozwiązać.

Przeszłam do NamUs.gov i wpisałam do systemu akta sprawy dotyczącej tułowia z okręgu Burke. Podałam opis dyktafonu z breloka na klucze oraz džinsowej pętelki, po czym wylogowałam się i poszłam do łóżka.

Nieświadoma spirali śmierci, którą właśnie wprawiłam w ruch.

## Rozdział 6

Zegar przy łóżku wskazywał dwudziestą trzecią czterdzieści osiem. Uznałam, że już zbyt późno na telefon do Ryana, kiedy nagle mój iPhone buchnął melodią *Girl on Fire*. Uwaga do samej siebie. Zmienić dzwonek.

Sprawdziłam, kto zacz, odebrałam i wsunęłam się pod kołdrę.

– Hej.

– Co hej? – Standardowa odpowiedź Ryana.

– Tu jest Południe Stanów – odparłam z uśmiechem. – Tak się tutaj witamy.

– Jak ci minął dzień?

– Mówisz tak samo jak ja, kiedy staram się wciągnąć do rozmowy swojego kota.

Ryan się roześmiał. Jego rozczarowanie moją rezygnacją z podróży już minęło, był w całkiem dobrym humorze.

– Jak tam Birddog?

– Zły, że kolację dostał dopiero o dziewiątej.

– Dlaczego tak późno?

– Chcesz wreszcie posłuchać o tych nowych sprawach?

– Powinniśmy raczej przedyskutować promocje w Costco.

Wyobraziłam sobie Ryana w jego mieszkaniu, z widokiem na ciemną i posępną Rzekę Świętego Wawrzyńca. Na sofie, z wyciągniętymi nogami i kostkami skrzyżowanymi na stoliku do kawy. Ryan nigdy nie telefonuje z łóżka. Dla niego łóżko oznacza tylko dwie rzeczy. W obu jest utalentowany.

Po pierwsze, ledwie Ryan dotknie głową poduszki, od razu zasypia. Po



drugie... Myśl o tym drugim sprawiła, że gdzieś na południe od żołądka poczułam niewielkie stado motyli.

– Jedna sprawa dotyczy zmumifikowanych zwłok starszego mężczyzny. Tożsamość ustalona bez problemu. Natomiast druga zaczęła się od wizyty dziwnego gościa. – Opowiedziałam Ryanowi o Lucky Strike. O Corze Teague. O szczątkach oznaczonych jako ME229-13. O nagraniu. – Te głosy mogą wytrącić z równowagi.

– To znaczy?

– Dziewczyna zdawała się absolutnie przerażona. Potem zjawili się mężczyźni i zaczęli ją dręczyć. – Wspomnienie tej sceny sprawiło, że znów poczułam zimny dreszcz na plecach. – Sama nie wiem. Może to wszystko głupi kawał.

– Zrobiony w jakim celu?

– Tego właśnie nie mogę się domyślić.

– Kim jest ta Strike?

– Internetowym detektywem amatorem.

– Na pewno zechcesz mi to wyjaśnić.

– To ludzie, którzy pracują w sieci, starając się rozwiązać różne sprawy kryminalne.

– Boże, miej nas w opiece.

– Wielu sprawia wrażenie dość kompetentnych. I niesamowicie zaangażowanych.

Cisza.

– Możesz przynajmniej spróbować być wolnym od uprzedzeń? – zapytałam.

Ryan wydał dźwięk, który wzięłam za „tak”.

– Część z nich zajmuje się zabójstwami, w sprawie których śledztwa

umorzono. Inni dokładają starań, aby nadać tożsamość niezidentyfikowanym szczątkom. Ci właśnie interesują mnie najbardziej.

– To zrozumiałe.

Opowiedziałam o witrynach internetowych, o forach i wątkach dyskusyjnych.

– Są ludzie, którzy spędzają wiele godzin na wyszukiwaniu zdjęć szkieletów i rozkładających się zwłok. Potem analizują fotki osób zaginionych, wykonane za ich życia, próbując znaleźć punkty styczne.

– A my wiemy, jak dokładna potrafi być większość reprodukcji twarzy.

Tu Ryan miał rację. W czasie mojej krótkiej podróży przez składnicę internetowych danych widziałam typowe w takich wypadkach pretensjonalne kolorowe portrety, surowe szkice ołówkiem, rysunki podobne do tych z kreskówek, gliniane popiersia z perukami na głowie, przypominające stracha na wróble, a także nienaturalnie symetryczne grafiki komputerowe. Z doświadczenia wiem, że większość z nich jest straszliwie nieprecyzyjna. Niektóre strony zawierały autentyczne zdjęcia z prosektorium, o twarzach groteskowo zniekształconych przez śmierć.

– Jeszcze inni zaczynają od raportów dotyczących NN, które zawierają unikalne cechy identyfikacyjne: jakąś starą bliznę, wyróżniający się tatuaż, nietypowe złamanie, implant, sztuczną część ciała. Potem przeszukują strony z danymi osób zaginionych o podobnej charakterystyce. – Zignorowałam uwagę Ryana. – Kolejni wolą rozpocząć poszukiwania od OZ na terenie, w którym znaleziono szczątki, a potem rozszerzać ich zakres na okręg, stan...

– Ku przyszłości, aż po horyzont.

– Będziemy się wymieniać dowcipami w stylu Jedi, czy chcesz mnie wysłuchać do końca?

– Uwielbiam twój głos, który staje się taki seksowny, kiedy się złościsz.

– Odwiedziłam stronę poświęconą zamordowanej nastolatce o pseudonimie Księżniczka Nieznana. Jej ciało znaleziono w Blairstown w stanie New Jersey w osiemdziesiątym drugim roku, z twarzą zmasakrowaną tak, że nie dawała się rozpoznać. Pojawiło się prawie sto potencjalnych trafień, Ryan, każde dotyczyło młodych kobiet choćby luźno odpowiadających rysopisowi tej małej, wszystkich zaginionych po roku siedemdziesiątym piątym.

Spróbował to skomentować. Ale mówiłam dalej.

– A takich jak Księżniczka Nieznana są dziesiątki. Całe mnóstwo. NN z Kaledonii. Dziewczynka z Namiotu. Pani Wydm. NN z Arroyo Grande.

– Wygląda to na wiele roboczogodzin pracy policjanta.

– Albo policjantki.

– Zanotowałem.

– NN to wielki problem, Ryan. Zarówno w Stanach, jak i w Kanadzie.

– Szczypawki też.

– Chcesz mnie zdenerwować?

– Uwielbiam słuchać, jak twój głos staje się...

– Narodowy Instytut Sprawiedliwości szacuje, że w kostnicach i w anonimowych grobach w całym kraju spoczywają obecnie dziesiątki tysięcy niezidentyfikowanych zwłok. – Jezu. Mówiłam jak Strike.

– Myślałem, że właśnie tym zajmuje się NCIC.

Ryan miał na myśli Krajowe Centrum Informacji Kryminalnej, monstrualny kompleks komputerowy w Clarksburgu w Wirginii Zachodniej, przechowujący dane o wszystkich możliwych przestępstwach. Skradziona broń, samochody, łodzie. Fałszywe obligacje, podprowadzone czeki. Odciski palców. Nazwiska terrorystów, gangsterów, groźnych bandytów. Oraz od kilku lat niezidentyfikowane szczątki ludzkie i niektóre kategorie osób

zaginionych.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że NCIC nie prowadzi dochodzeń. Więcej: do dziewięćdziesiątego dziewiątego roku żaden amerykański stan i lokalne agencje nie miały nawet obowiązku rejestrowania tam osób zaginionych i niezidentyfikowanych. Dopiero w dwa tysiące siódmym Narodowy Instytut Sprawiedliwości obliczył, że w bazach danych figuruje zaledwie piętnaście procent wszystkich NN. – Będąc wcześniej w Internecie, poświęciłam trochę czasu na zgłębienie tego zagadnienia. – W dwa tysiące dziewiątym roku Krajowa Rada ds. Badań ogłosiła, że osiemdziesiąt procent koronerów i lekarzy sądowych biorących udział w sondażu odpowiedziało „rzadko” lub „nigdy” na pytanie, czy korzystają z NCIC w celu dopasowania NN z OZ.

– Skąd taki słaby wynik?

– Może stąd, że ta baza danych dostępna jest tylko dla policji.

– Czyli nie każdy tępak, któremu zaginał wujaszek, może wejść sobie do tego systemu.

– Właśnie. Ale kolejny problem bierze się z faktu, że wprowadzenie tam danego przypadku wymaga wręcz benedyktyńskiej pracy. Pełen protokół liczy ponad trzydzieści stron. Myślisz, że gliniarze chętnie siadają razem z członkami rodziny i sprawdzają wszystko, co wymaga sprawdzenia?

Ryan milczał.

– Często dzieje się tak, że policja zamieszcza tylko podstawowe dane – płeć, rasę, zakres wiekowy i wzrost. Może również datę znalezienia zwłok. Profil jest tak niekonkretny, że program wypluwa z siebie setki ewentualnych dopasowań. Jakie jest zatem prawdopodobieństwo, że jakiś facet dogrzebie się wartościowych informacji?

– Albo dziewczyna.

– Zanotowałam.

– W dzisiejszych czasach gliniarze są przemęczeni. – Głos Ryana brzmiał odrobinę defensywnie.

– I jest jeszcze kwestia niezgodności w sposobie raportowania. Bo co z tego wszystkiego, skoro dane dentystyczne na temat osoby NN wprowadza się w formie diagramu, a dane dentystyczne OZ w zupełnie innym systemie? Obie informacje mogą być sobie w bazie danych, tylko że nikt ich ze sobą nie połączy.

– Powiadasz zatem, że NCIC jest nieskuteczny i słabo wykorzystywany.

– Jeśli chodzi o kradzieże samochodów albo paszportów, jest wspaniały. Lecz żeby znaleźć jakieś powiązania w przypadku osoby zaginionej – już nie tak bardzo. Ale sytuacja ulega poprawie.

– Czyli ci internetowi detektywi amatorzy zajmują się danym problemem, korzystając tylko ze stron dostępnych dla szerokiej publiczności.

– Tak.

– Przy czym niektóre z nich przyciągają zapewne każdego głupka, który zechce się podzielić informacjami o rozmiarach swoich butów.

Zignorowałam to.

– Kilku detektywów internetowych odniosło znaczące sukcesy.

– Na przykład stara pani Strike.

– Lucky.

– Co?

– Ma ksywkę Lucky.

– Jeżeli Strike faktycznie kontaktowała się z rodziną i szkołą tej małej, z trudem podpada pod definicję, którą właśnie podałaś.

– To się określa mianem „działania offline”.

– Jeśli ta Strike mówi prawdę, to zanosła swój tyłek offline prosto na potencjalne miejsce zbrodni.

– Słuchaj. Możliwe, że ten tułów należał do Cory Teague, możliwe, że nie. – Mój głos był całe lata świetlne od bycia sexy. Postawa Ryana zaczynała mnie wkurzać. – Jednak Strike znalazła przynajmniej jakiś trop.

– Albo nabrała cię, a ty tracisz czas i energię.

– Sprawdzanie przekazanych informacji należy do moich obowiązków.

– Ta Strike ma jaja, muszę jej to oddać.

– Chyba powinniśmy porozmawiać o czymś innym.

– Nie, nie, nie.

– Ładny przykład trylogii.

Zapadła długa cisza, wywołana przez irytację w moim głosie i sceptycyzm w jego.

– Jak tam Daisy?

Oferta zawarcia pokoju wniesiona przez Ryana niekoniecznie była taka, jaką chciałam usłyszeć.

Katherine Daessee Lee Brennan. Daisy. Moja szalona, stuknięta, zwariowana matka.

Kiedy miałam osiem lat, ojciec zginął w wypadku samochodowym, a młodszy braciszek zmarł na oddziale intensywnej opieki pediatrycznej, przegrawszy walkę z białymi komórkami krwi. Przeprowadziłam się z Chicago do Karoliny Północnej, gdzie mieszkałam przez resztę dzieciństwa, migrując pomiędzy rodzinnym domem przy plaży na Pawleys Island a wiktoriańską chatką babci w Charlotte.

Po wielu dekadach, podczas których towarzyszyła córce w nieustannych kryzysach psychicznych, babcia odeszła w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat. Myślę, że w ostatecznym rozrachunku szaleństwo mamy po prostu ją zmęczyło.

Wkrótce po śmierci babci moja matka zniknęła bez słowa wyjaśnienia

czy przeprosin. Cztery lata później moja siostra Harry i ja dowiedziałyśmy się, że mieszka w Paryżu z opiekunką, niejaką Cécile Gosselin, którą nazywała Goose.

Gdy miałam trzydzieści pięć lat, mama wróciła do Stanów w towarzystwie Goose. Odtąd przemieszczały się obie pomiędzy domem na Pawleys Island a wielkim mieszkaniem na Upper East Side na Manhattanie. Układ ten bardzo mi odpowiadał. Wizyty w święta. Mejle i esemesy. Krótkie rozmowy przez telefon.

A potem, bez ostrzeżenia, mama wykonała piruet i znów weszła do mojego życia, zresztą tuż przed powrotem do niego Ryana. Z walizkami od Louisa Vuittona, szalami od Hermès a oraz perfumami Channel numer 5 wprowadziła się do pewnego ośrodka, który jako jedyny odpowiadał jej nadzwyczaj wysokim standardom i oczekiwaniom. To podróżowanie w takim anturazie, ów rodzaj niepowstrzymanego szaleństwa, kiedyś z pewnością ją wykończy.

- Mama ciągle terroryzuje personel w Heatherhill Farm – powiedziałam.
- A Goose pozostaje na posterunku w pobliskim pensjonacie?
- Tak. Ta kobieta jest święta.
- Pewnie Daisy obiecała przepisać na nią rodzinny majątek.
- Finansowe planowanie mamy koncentruje się raczej na tym, jak znaleźć pokrycie dla ostatniego czeku, który wystawi. Sama nie wiem. Trudno rozgryźć tę Goose. Rzadko się odzywa.
- My, Francuzi, jesteśmy zagadkowi.
- Ale produkujecie dobry ser.
- I wino.
- I wino.
- Daisy potrafiłaby zniechęcić wszystkich internetowych detektywów

amatorów.

– Nawet nie waż się jej o tym wspominać.

Ryan miał rację. Talent mojej mamy w przeszukiwaniu Internetu był nie do prześcignięcia. Istniał jednak minus tej sytuacji. Kiedy mama znajduje się w fazie manii, nawet niewielkie zaciekawienie może przekształcić się u niej we wszechogarniającą obsesję.

– Tak jest. Jakież wieści od Katy?

Kolejny temat, który trzymał mnie w stanie ciągłego niepokoju. Dwa lata wcześniej moja córka zaciągnęła się do wojska i została skierowana do Afganistanu. Odsłużyła swoją turę, wróciła do kraju, a potem – ku mojemu przerażeniu – zgłosiła się ponownie na ochotnika. Mijał pierwszy miesiąc jej drugiej misji.

– Zdrowa i zadowolona. – Przynajmniej była taka, kiedy ostatnio rozmawialiśmy przez Skype’a.

– To dobrze.

Nastąpiła bardzo długa pauza. Przygotowałam się w duchu, wiedząc, co teraz będzie.

– Rozumiem, dlaczego musiałaś odwołać wizytę w Montrealu. Ale zastanowiłaś się choć trochę nad moim położeniem? – Ryan bardzo się starał, aby ton jego głosu pozostał neutralny.

Położeniem?

– Tak. – Przeczesałam ręką włosy. Wciągnęłam powietrze. Wypuściłam je.

– I?

– To trudna sprawa, Ryan. Z mamą.

– Tak.

– I z Katy.



– Katy świetnie da sobie radę.

– Tak.

– Kocham cię.

Wiedziałam, że powinnam odpowiedzieć tym samym. Tymczasem musiałam zwalczyć w sobie szaleńcze pragnienie, by się rozłączyć.

– Brak wiadomości potraktuję jako dobrą wiadomość.

Wzruszyłam ramionami. Głupie. Przecież Ryan nie mógł tego widzieć.

– Oto moja propozycja – znów zmienił temat. – Przekaż to nagranie swoim fachowcom technicznym.

– Nie mam go.

– Dlaczego? – Wciąż neutralny ton. Nikt nie jest w tym lepszy od Ryana.

– Strike odmówiła oddania mi dyktafonu. – Choć byłam sama w ciemnym pokoju, poczułam, że się rumienię ze wstydu za swój brak kompetencji. – Dzwoniłam do zastępczyni szeryfa okręgu Burke, która znalazła te kości.

– Co powiedziała?

– Czekam na jej telefon.

– Mądrze byłoby dać to nagranie do analizy – Ryan stwierdził to, co było oczywiste.

– Rano zadzwonię do Strike.

To okazało się bardzo złym pomysłem.

## Rozdział 7

Tej nocy wzięłam udział w makabrycznym przyjęciu, wydanym przez Szalonego Kapelusznika.

Siedziałam za stołem sięgającym tak daleko, że nie widziałam jego końców. Z białym lnianym obrusem i serwetkami. Srebrnymi łyżkami i kandelabrami. Porcelanowym serwisem do herbaty.

Naprzeciwko mnie tkwił Ryan, ubrany w smoking, muszkę i czerwoną wełnianą czapkę. Obok niego znajdowała się jakaś kobieta, która ledwo sięgała mu do ramienia. Jej włosy tworzyły mglisty nimbus, otaczający głowę niczym aureola, rysy twarzy kryły się w cieniu, niewyraźne, pozbawione ostrości i szczegółów. Ciało kobiety kończyło się na klatce piersiowej, wystającej nago spod niebieskiej przeciętej koszulki z długim rękawem.

Za Ryanem i kobietą w wielkim łukowatym oknie zachodziło neonowe słońce. Krzykliwe żółć, pomarańcz i czerwień, warstwa na warstwie, otaczające złowieszczy czarny dysk unoszący się tuż nad widnokregiem.

Wiedziałam, co tu jest nie tak. To słońce powinno być jasne. Próbowałam powiedzieć o tym Ryanowi. Ale wciąż rozmawiał z siedzącą obok kobietą.

Daleko przy stole, po mojej lewej, mama i Larabee prowadzili ożywioną dyskusję. Larabee miał na sobie poplamiony krwią fartuch. Mama – czarną garsonkę od Chanel, którą kupiła na pogrzeb taty, ale nigdy jej nie założyła.

Daleko po mojej prawej siedziała samotnie Hazel Strike, w spodniach i wysokich butach; obok, na śnieżnobiałym obrusie, spoczywał plecaczek. Płomienny zmierzch sprawiał, że jej kok wyglądał jak brązowa beza.

Wszyscy trzymali w ręku maleńkie filiżanki. Na tle niewielkiego,

zawijanego uszka naczyńia palce Ryana wydawały się ogromne.

Mama i Larabee rozmawiali teraz głośniej, ale nie mogłam rozróżnić słów. Rozpoznawszy w głosie matki niebezpieczne tony, spróbowałam wstać, lecz stwierdziłam, że jestem przyklejona do krzesła.

Zaczął padać drobny deszczyk. Nikt prócz mnie nie zwracał na niego uwagi.

Spojrzałam na Ryana.

– Rozpłyniesz się? – zapytał.

Starłam się odpowiedzieć. Jednak wargi nie chciały formułować wyrazów.

– Pozwolisz, żeby Cora Teague się rozpłynęła? – spytał obojętnie.

Moje usta wciąż nie funkcjonowały.

– Rozpłynęła się. – Larabee, mama i Strike powiedzieli to unisono. Słowa odbiły się echem od ścian ogromnego pomieszczenia. Rozejrzałam się. Cała trójka wpatrywała się we mnie.

– I *mnie* pozwolisz się rozplnąć? – Rzucone ostro, bez echa.

Skupiłam wzrok na Ryaniu. Jego oczy wyglądały jak gniewne niebieskie płomienie.

– Wpadnę w czarną dziurę?

Zanim zdołałam odpowiedzieć, Ryan odwrócił się do mnie plecami i zniknął w złowieszczym, groźnym dysku słońca. Kobieta o mgielnych włosach odwróciła się także, wyssana do góry przez nagłe odejście Ryana. Jej twarz, teraz już widoczna, była pozbawiona mięśni i skóry, puste oczodoły mierzyły mnie z błaganiem, a jednocześnie oskarżycielsko. Po chwili podążyła za Ryanem.

Przestraszona, skierowałam wzrok w lewo. Mama i Larabee zniknęli.

Na prawo. Strike stała, zginając gruzłowate palce do wewnątrz, w geście

nakazującym, bym się do niej zbliżyła.

Odwróciłam się. Starłam się zajrzeć w dziurę, która pochłonęła Ryana i tamtą kobietę. Nie zobaczyłam nic poza grobową czernią.

– Ryan! – krzyknęłam.

Obudziłam się z sercem tłukącym się w piersi i skórą śliską od potu.

Całkowicie zdezorientowana, potrzebowałam dłuższej chwili, aby zrozumieć, gdzie jestem.

Zegar wskazywał drugą czterdzieści w nocy.

Birdie wstał i wygiął się w łuk, niewątpliwie poirytowany faktem, że przerywam mu sen. Pogłaskałam go po głowie; usadowił się przy moim kolanie.

Zamknęłam oczy.

Wciągnęłam powietrze.

Wypuściłam je.

Spokojnie.

Powtarzałam tę mantrę raz za razem. Oczywiście, nie mogłam już zasnąć. Mój umysł był obsesyjnie zajęty dekonstrukcją marzeń sennych. Do czego zwykle nie trzeba być Freudem. Moja wybitnie mało kreatywna podświadomość po prostu przerabia to, co ostatnio wydarzyło się na jawie.

Smoking i eleganckie nakrycie stołu symbolizowały pragnienie Ryana poślubienia mnie, wełniana czapka na głowie – jego kanadyjskie pochodzenie i miłość do Quebecu. Zniknięcie w czarnej dziurze nie wymagało wyjaśnienia.

Kobietą siedzącą obok niego była Cora Teague. Jej błagalne spojrzenie oraz nagłe odejście w nicość również wydawały się całkiem zrozumiałe.

Strike była tam obecna w swej zwykłej postaci. Chciała, żebym zaczęła szukać Teague. Larabee, na drugim krańcu stołu, byłby temu

prawdopodobnie przeciwny, zważywszy, jak mało wiedzieliśmy o Strike oraz szczątkach oznaczonych jako ME229-13.

A Daisy? To łatwe. Ostatnio mama ciągle gości w moich myślach.

Garsonka od Chanel i zakrwawiony fartuch? Każdy by się domyślił.

Kiedy ostatni raz sprawdzałam, pomarańczowe cyfry na zegarze wskazywały piątą pięćdziesiąt cztery. Budzik zadzwonił o siódmej.

Przed ósmą byłam już w MCME. Spędziłam dwie godziny, popijając kawę i pisząc ostateczny raport na temat zmumifikowanych zwłok starszego dżentelmena nazwiskiem Burgess Chamblin. Kiedy skończyłam, wyciągnęłam akta ME229-13, przeszłam korytarzem i zapukałam do drzwi Larabeego.

– Cześć.

Weszłam i stanęłam pośrodku pokoju, niepewna, czy podjąć temat, czy rzucić sprawę w diabły. W moim umyśle wyświetlały się podwójne obrazy. Twarz ze snu. Nagranie.

Larabee pisał coś za biurkiem, wciąż ubrany w cywilne ciuchy.

– Co słyszeć?

– Wszystko w jak najlepszym porządku.

– To dobrze. – Nadal coś bazgrał, słuchając jednym uchem.

– Widziałeś mój wstępny raport na temat Człowieka sprzed Telewizora?

– Widziałem. – Postawił kropkę nad „i”, a może nad „j”. Wcisnął kilka zdjęć do foldera i zamknął go. – Dzięki, że się tym zajęłaś.

– Napisałam już ostateczną wersję.

Podniósł na mnie wzrok.

– Świetnie. Dzięki. – Ponieważ nie wychodziłam, zapytał: – Coś ci chodzi po głowie?

– Jeśli masz wolną chwilę?

– Siadaj.

Przyciągnęłam sobie krzesło i usiadłam.

Larabee oparł się wygodnie i splótł swe długie, kościste palce na piersi. Jego klatka piersiowa pod białym polo wyglądała na wychudłą i zapadniętą, rezultat trzydziestoletniej nadgorliwości w bieganiu na długie dystanse.

– Co za draństwo. Przez prawie dwa lata nikt dziadka nie odwiedza, a teraz nagle jego dzieciom strasznie się spieszy, żeby staruszka pogrzebać.

– W grę wchodzi pieniądze?

– Raczej nie. – Czoło Larabeego, poprzecinane bruzdami wskutek wielu godzin spędzonych na bieganiu po chodnikach, zmarszczyło się jeszcze bardziej. – O co chodzi?

– Chciałabym, żebyś mnie wysłuchał – rozpoczęłam.

– Chyba zawsze to robię.

Zrobiłam minę, a potem ciągnęłam.

– Wczoraj przyszła tu do mnie pewna kobieta. Hazel Strike. Strike sądzi, że jednym z naszych NN jest dziewczyna nazwiskiem Cora Teague. – Postukałam palcem w folder na kolanach.

– Wspaniale. Leć dalej.

– To nie takie proste.

– Kontynuuj.

– Szczątki składają się z garstki kości znalezionych w okręgu Burke w dwa tysiące trzynastym roku.

– Dlaczego ta sprawa trafiła do nas?

– Nie wiem.

– Możesz sprawdzić DNA?

– To problematyczne z dwóch powodów. Po pierwsze, kości są poważnie zdegradowane. Kwaśna gleba, żerowanie zwierząt...

- A po drugie?
- Zapewne rodzina nie zechce dać materiału porównawczego do badań.
- Dlaczego?
- Nie wierzą, że ta mała nie żyje.

Brwi Larabeego uniosły się, co jeszcze bardziej pogłębiło jego zmarszczki na czole.

- Sądzą, że zerwała się z domu.
- Dlaczego zatem Strike podejrzewa, że nasz NN to Teague?

Opowiedziałam mu o wprowadzeniu przeze mnie deskryptorów identyfikacyjnych ME229-13 do bazy danych NamUs, potem krótko wprowadziłam go w temat internetowych detektywów amatorów. Wspomniałam też o wizycie Strike w okręgu Burke oraz o budzącym niepokój nagraniu. Gdy mówiłam, wyraz twarzy Larabeego zmienił się z zainteresowanego w pogardliwy.

- Żartujesz sobie?

Pokręciłam przecząco głową.

- Świetnie. Odtwórz mi to nagranie rodem z Blair Witch Project.
- Strike nie chciała mi zostawić dyktafonu.
- Jezu, Tempe.
- Co niby miałam zrobić, wyrwać go jej z ręki?

Zadzwonił telefon Larabeego. Zignorował go.

- Co proponujesz? – zapytał.
- Może powinnam tam pojechać. Zabrać ze sobą Joego i pod tym punktem widokowym wypuścić do lasu psa do poszukiwania zwłok. – Joe Hawkins to dochodzeniowiec specjalizujący się w poszukiwaniu osób zmarłych, pracujący w MCME od czasów prezydentury Eisenhowera. Jeżeli na tym wzgórzu pozostała jeszcze choćby jedna kość, Joe Hawkins ją

znajdzie. Albo jego pies.

Larabee chwilę zastanawiał się nad tym pomysłem.

– Powiadasz, że kiedy szczątki dotarły do nas w dwa tysiące trzynastym roku, były już poważnie uszkodzone. Jakie są szanse, że mogły się zachować jakieś inne?

– To jest możliwe.

– A prawdopodobieństwo?

Wzruszyłam ramionami.

– Kto pracował na miejscu?

– Zastępca szeryfa z okręgu Burke.

– Rozmawiałaś z nim?

– Z nią. Nazywa się Opal Ferris. Była nieuchwytna. Zostawiłam wiadomość.

– Czy krewni zgłosili zaginięcie?

Potrząsnęłam głową.

– Kto umieścił Teague na tej stronie OPKK?

– Nie ma szans, żeby się tego dowiedzieć. Wszystkie posty można zostawiać tam anonimowo.

Na obliczu Larabeego pojawił się wyraz pośredni między grymasem niezadowolenia i złości. Utrzymał się przez kilka sekund. Potem szef powiedział to, czego się spodziewałam.

– Nie mogę przeznaczyć funduszy i personelu na badanie czegoś o tak wątpliwych podstawach. Zadzwoń jeszcze raz do okręgu Burke. Pogadaj z Ferris. Zobacz, jak tam to wygląda.

Kiwnęłam głową. Wstałam i wróciłam do swojego gabinetu.

Tym razem Opal Ferris odebrała.

Przedstawiłam się. Ferris wiedziała, kim jestem. Pamiętała również tamte



kości oraz swoją wędrówkę wokół góry, z Mortem. Spytała, czy pojawiły się jakieś nowe informacje.

Po raz chyba setny przekazałam jej najnowsze dane, skupiając się na wydarzeniach, o których Ferris nie mogła wiedzieć. Internetowi detektywi amatorzy. Strike, jej poszukiwania na NamUs i wizyta w okręgu Burke. Cora Teague. Nagranie.

Ferris słuchała. Chyba. Po drugiej stronie, w tle, bardzo wiele się działo.

– Ten brelok na klucze po prostu leżał sobie na ziemi? – Miała chrapliwy głos, może od palenia papierosów, może z powodu zgrubień na strunach głosowych.

– Tak twierdzi Strike.

– A zdaniem rodziny mała uciekła z jakimś miejscowym chłopakiem?

– Nie jestem pewna, czy miejscowym.

– Ostatecznie jednak nikt nie zgłosił jej zaginięcia?

– Z wyjątkiem wpisu na OPKK.

– Gdzie każdy ćwok może napisać, co zechce.

Milczałam.

– Teague ma telefon komórkowy?

– Nie.

– A udzielała się w Internecie?

– Według Strike – nie.

– Aha. Przykro mi, pani doktor. Ale to wszystko nie trzyma się kupy. Kilka kości z Burke, ktoś, kto zaginął, albo i nie, w Avery. Ten ktoś ma zresztą osiemnaście lat i może sobie pojechać, dokąd zechce.

Trudno było się z tym nie zgodzić.

– Mogłaby pani wykonać parę telefonów? – spytałam. – Zobaczyć, czy matka albo któraś z siostr zechce przekazać materiał do badań DNA?

Czekałam. Dość długo. Kiedy już byłam pewna, że Ferris mnie zignoruje, powiedziała:

– Odezwę się.

Ferris się nie odezwała. Zrobił to zastępca szeryfa okręgu Avery, Zeb Ramsey. O czwartej po południu, kiedy podjeżdżałam pod dom.

Matka i obie siostry odmówiły udostępnienia próbek. Mimo że od 2011 roku nie miały od Cory żadnych wiadomości, wszystkie uważały, że dziewczyna żyje i świetnie sobie radzi.

Zastępca Ramsey zdawał się równie mocno podekscytowany całą sytuacją, jak wcześniej Ferris. Rozłączył się, zanim zdążyłam zadać choćby jedno pytanie dotyczące rodziny Teague'ów.

Najpierw Ryan, potem Larabee, Ferris, a teraz Ramsey. Poziom ich entuzjazmu sprawił, że czułam napięcie w całych plecach.

Rzuciłam komórkę na tablicę rozdzielczą i pokazałam jej środkowy palec. W odpowiedzi zadzwoniła. Złapałam ją, sądząc, że to znowu Ramsey.

– Brennan, słucham.

– Brzmi pani, jakby miała naprawdę fatalny dzień.

– Nie jestem teraz w pracy, panno Strike.

– Pani.

Westchnęłam, zastanawiając się, czy próbować ją udobruchać, czy się po prostu rozłączyć.

– Nie zajmę pani dużo czasu, chciałam tylko udowodnić, że gram uczciwie. Otóż mam jutro zamiar jeszcze raz przejść się pod tym punktem widokowym.

– Znowu się pani wybiera do okręgu Burke?

– Taa.

– Nie powinna pani tego robić.

– Jeśli nie ja, to kto?

– Doceniam pani wysiłki. Ale czas już przekazać śledztwo profesjonalistom.

– Taa? A natrafili może na jakieś nowe tropy?

Jak dotąd wszyscy, z którymi się kontaktowałam, mieli całą sprawę głęboko gdzieś. Zachowałam tę wiadomość dla siebie.

– Bo ja tak. – Strike pozwoliła, by zapadła długa cisza, zapewne żeby pokazać, kto tu rządzi. – Pamięta pani najmłodsze dziecko Teague’ów? To, z którym nie wiedziałam, co się stało?

– Eliego.

– Mały Eli zmarł zaraz po swoich dwunastych urodzinach.

– Jak?

– Nie wiem. Nie mogę zdobyć danych medycznych.

– Dzieci też umierają. To jeszcze nie musi o niczym świadczyć.

– Albo może oznaczać coś istotnego.

– Skąd się pani dowiedziała o jego śmierci?

– Mam swoje sposoby.

– Kiedy pani tam jedzie?

– Planuję być na miejscu przed ósmą rano.

Pomyślałam o ochrzanie, jaki dostałam od Larabeego. Oraz o szkodach, które Strike mogłaby wyrządzić, gdyby przypadkiem na tej górze znajdowały się kolejne dowody lub szczątki.

Wyciągnęłam z torebki mały notes.

– Proszę podać mi wskazówki dojazdu.

Strike je podała. Zapisałam.

– Niech pani nic nie robi, dopóki nie przyjadę – rzuciłam. – I weźmie ze sobą ten dyktafon.

– Nie zaszkodzi powiedzieć „proszę”.

Po czym na linii zapadła głucha cisza.

Siedziałam przez chwilę z ciepłym iPhone’em w ręku. Czyżby Strike na coś trafiła? Czy któryś z rodziców skrzywdził Eliego Teague’a? Zabił Corę, a potem zrzucił jej ciało z punktu widokowego?

A może wciągano mnie w szaleństwo, które istniało tylko w umyśle Hazel Strike?

Nie chciałam jechać w te góry.

Coś mi jednak mówiło, że jeśli nie pojadę, popełnię naprawdę wielki błąd.

Podjęłam decyzję.

Wcisnęłam klawisz na komórce i czekałam.

## Rozdział 8

W Paśmie Błękitnym w Karolinie Północnej, na granicy okręgów Burke i Caldwell, ponad bujną zielenią parku krajobrazowego Pisgah wyrasta bryła magmowo-metamorficznych skał. Jeśli chodzi o wysokość szczytów, nie jest imponująca: niecałe osiemset metrów nad poziomem morza, sam masyw mierzy zaś dwa i pół kilometra długości. Jednak owa niewielka góra stanowiła inspirację dla wielu mitów Czirokezów, dla legend ludowych, naukowych badań, dla twórców internetowych stron i filmików na YouTube. Jest również wystarczająca, by powstała tu skromna infrastruktura turystyczna oraz przynajmniej jedna popularna piosenka. Rezerwat występuje na każdej liście „nawiedzonych” miejsc w Ameryce Północnej. Wszystko przez owe zadziwiające światła.

Od setek lat na Brązowej Górze i ponad nią obserwowano tajemnicze iluminacje. Według naocznych świadków w pewnym momencie pojawiają się małe, jaskrawe obiekty kuliste, które wznoszą się na sporą wysokość, po czym znikają za górską granią. O światłach tych informowały setki osób, zarówno miejscowych, jak i turystów, a także ci, którzy wybrali się do Karoliny Północnej wyłącznie w tym celu.

Nie brak różnych teorii na ów temat. Refleksy świetlne w aparaturze do produkcji bimbru. Gazy bagienne. Wdowy czirokeskie z latarniami szukające dusz swoich mężów, którzy polegali w walce.

„Upiorne światła” doczekały się dwóch śledztw przeprowadzonych przez Urząd Geologiczny Stanów Zjednoczonych. Pierwsze miało miejsce w 1913 roku, drugie w 1922. Według oficjalnych raportów fenomen ten należało przypisać lokomotywowi, samochodom i sezonowym pożarom poszycia.

Wiele ludzi zupełnie w to nie wierzyło. Zwłaszcza Czirokezi.

Gdy jechałam, kierując się zapisanymi przez siebie wskazówkami (ledwie dającymi się odczytać), nie miałam jeszcze pojęcia, że zmierzam do platformy widokowej przygotowanej specjalnie w celu podziwiania Brązowej Góry. Nie wiedziałam też zbyt wiele o owych cudownych światłach. Przeczytałam o tym wszystkim dopiero po przyjeździe, po zapoznaniu się z tablicą informacyjną i szybkim wyszukiwaniu w Google, kiedy czekałam na resztę zespołu.

W porze przed świtaniem ruch na drodze był prawie niezauważalny, wybrałam więc trasę widokową. Pojechałam szosą I-40 do Morgantown, stamtąd drogą NC 181 na północ w kierunku Pasma Jonasa i Pineoli. Gdy dotarłam do skromnej dwupasmówki, było już wystarczająco jasno, żeby cieszyć się widokami. U podnóża gór i na ich zboczach wciąż zalegał szron, przydając pejzażowi eterycznego wyglądu, przykrywając wszystko jakby polewą cukrową. Kiedy słońce zaczęło nieśmiało wysuwać swoje pierwsze macki, zauważyłam przerwy pomiędzy wzniesieniami, z których sączyła się najpierw czern, potem szarość, wreszcie zabarwiona różem żółć.

Wiedząc, że bardzo łatwo przegapić właściwy zjazd, Strike podała mi współrzędnie GPS. Ta kobieta była dokładna, musiałam jej to przyznać. I miała rację. Nigdy bym go nie zauważyła.

Półtorej godziny po wyjeździe z Charlotte iPhone zapikał, informując, że dotarłam na miejsce. Zahamowałam, zjechałam z asfaltu i zatrzymałam się na utwardzonym parkingu. Mój samochód stał tam jako jedyny.

Wyłączyłam silnik i otworzyłam okno. Powietrze mocno pachniało sosnami i zmrożoną roślinnością. Czuć też było delikatny zapach benzyny, dochodzący z żużlu na poboczu drogi.

W otaczającym mnie lesie panowała absolutna cisza. Nie ćwierkał i nie

krakał ani jeden ptak, czy to powitalnie, czy ostrzegawczo. W poszyciu nie zauważyłam jakichkolwiek małych stworzeń, spieszących się do domu po nocy spędzonej na polowaniu ani sposobiących się do zjedzenia jakiejś łodygi na śniadanie.

Chwyciłam kurtkę z tylnego siedzenia i nałożyłam rękawiczki. Potem, poruszając się powoli, żeby nie narobić hałasu, wysiadłam z samochodu. W sumie bez sensu, skoro byłam tu sama.

Platformę widokową otaczała niska stalowa barierka, na której umieszczono różne znaki. Podeszłam do jednego z nich; moje obcasy stukały głośno w panującej ciszy. Według Zarządu Rozwoju Turystyki Okręgu Burke Brązowa Góra znajdowała się bezpośrednio na wprost platformy, Pasma Jonasa natomiast z drugiej strony, za moimi plecami.

Zmrużyłam oczy, wpatrując się w dal. Dostrzegłam smugę barwy dymu, ciągnącą się na horyzoncie. Żadnych światełek. Ale nie przyjechałam tu przecież, aby zrobić sobie selfie z jakimiś upiornymi oparami.

Jeżeli to typowy dzień w tej okolicy, to w punkcie widokowym nie bywało zbyt tłoczno. Szybki zjazd z drogi, krótki spacer do balustrady, potem powrót na trasę, czy to zmierzającą na północ, czy na południe – i koniec. Miejsce świetnie nadawało się na porzucenie zwłok.

Szansa, że po dziewiętnastu miesiącach znajdziemy jakieś ślady pozostawione przez pojazd sprawcy, była bardzo niewielka. Odcisk opony, odprysk lakieru, włókno z dywanika albo maty podłogowej. Po raz miliardowy zaczęłam się zastanawiać, co – do diabła – chcę tutaj osiągnąć.

Odgłos silnika kazał mi się odwrócić.

Obok mojej mazdy zatrzymał się czarny range rover. Logo Wydziału Szeryfa Okręgu Avery podpowiedziało mi, że przybył zastępca Ramsey. Na tylnym siedzeniu samochodu widać było sylwetkę psa.

Gdy Ramsey odpinał pas, ruszyłam w jego kierunku. Zwierzę gapiło się na mnie przez szybę z taką uwagą, z jaką nowojorczyk wypatruje taksówki.

– Doktor Brennan? – Wymówienie mojego nazwiska sprawiło, że z ust Ramseya uniósł się mały stożek pary.

– Tempe. A pan to pewnie zastępca szeryfa Ramsey.

Zerwał rękawiczkę i wyciągnął ku mnie dłoń.

– Zeb.

Podaliśmy sobie ręce. Miał silny uścisk, ale nie zabójczo testosteronowy. To mi się podobało.

– Przykro mi, że to spadło teraz na ciebie – powiedziałam.

– Jeżeli w grę wchodzi martwy młodociany z Avery, to jest to mój teren.

– Zastępczyni Ferris nie wykazywała chęci, żeby się angażować. – Mało powiedziane.

– Domyśliłem się.

– Mam nadzieję, że nie wyciągnęłam cię tutaj w ramach primaaprilisowego żartu.

– Jeśli tak, to wytłumacz to Gunnerowi. – Ramsey kiwnął głową w stronę swojego psiego towarzysza. Miałam co do niego wątpliwości. Wyraziłam je przez telefon dzień wcześniej.

– Na pewno potrafi tropić zwłoki? – spytałam.

– Zwłoki, narkotyki, zbiegów. Sam go nauczyłem.

– Skoro tak twierdzisz. – Próbowałam ukryć swój sceptycyzm.

Pracowałam już z wieloma psami do wykrywania zwłok, które szkolono specjalnie w tym jednym celu. To wyjątkowa umiejętność, różniąca się od zwykłego niuchania w poszukiwaniu narkotyków albo żywych ludzi, wymagająca szczególnego rodzaju treningu. Nigdy nie spotkałam psa, który umiałby wykonywać wszystkie trzy rodzaje zadań. Ani takiego, którego



szkoliłby w tym celu amator.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

– Czy zastępczyni Ferris mówiła ci o Hazel Strike? – spytałam, zastanawiając się, jak też ją opisała.

– Owszem.

– Ta Strike to niezła dziwaczka.

– Spóźni się? – Wskazówka dla mnie. Ramsey nie chciał poruszać tego tematu.

– Powiedziała, że będzie o ósmej. Możemy dać jej jeszcze parę minut.

Nieznacznie skinął głową.

Rysy twarzy Zeba Ramseya były całkiem przyjemne – brązowe oczy, prosty nos, brwi, które nie stykały się ze sobą. Dopóki się nie uśmiechnął. Wtedy wszystko to razem tworzyło wspaniałą całość.

O rany.

– Właściwie mogę was sobie przedstawić – Ramsey podszedł do radiowozu i otworzył tylne drzwi.

Rodzice Gunnera musieli być bardzo dużymi zwierzętami. Pies, czarno-brązowy, z białymi plamkami, stanowił zapewne krzyżówkę owczarka z chow-chow, o czym świadczył zawadiacko podwinięty ogon.

Mój były mąż, Pete, miał psa rasy chow. Gunner nie wyskoczył z auta tak, jak zrobiłby to Boyd, spadając i drapiąc pazurami w ziemię, gdy się z nią zetknął. Wysiadł z kontrolowaną elegancją i – nie spuszczając wzroku z Ramseya – podszedł do mnie cicho i usiadł.

Spojrzałam na mężczyznę. Kiwnął głową na znak, że się zgadza. Wysunęłam rękę otwartą dłonią w dół i pozwoliłam się Gunnerowi powąchać. Pies węszył chwilę, a potem długim fioletowym językiem oblizał moje palce. Definitywnie musiał mieć w puli genowej coś z chow-chow.

Głaskałam Gunnera po głowie, gdy z szosy zjechała poobijana czerwona corolla i zatrzymała się gwałtownie obok mojej mazdy. Hazel Strike zgasila silnik i wyskoczyła z wozu, w najmniejszym stopniu nie okazując takiego opanowania, jakie wcześniej przejawiał pies.

Gdy pędziła w naszą stronę, Ramsey rozstawił szeroko stopy i owinał sobie koniec smyczy wokół ręki. Gunner cały się napiął.

– Nie wiedziałam, że będziemy mieć towarzystwo – powiedziała do mnie Strike, spoglądając wilkiem, celowo zwrócona plecami w kierunku Ramseya.

– Pani Strike, to zastępca szeryfa Ramsey.

– Nie widzę powodu obecności w tym miejscu armii gliniarzy. – Pośrodku jej czoła wiła się maleńka żyła, niebieska, kręta, pompująca krew jak szalona.

Niepewna co do źródła złości Strike, a także – szczerze mówiąc – niespecjalnie tym zainteresowana, zignorowałam jej uwagę.

– Pies wabi się Gunner.

Rzuciła mi kolejne twarde spojrzenie, a potem zaczęła mówić. Przerwałam jej.

– Zastępca szeryfa Ramsey i ja poprowadzimy Gunnera według systematycznej, standardowej procedury poszukiwawczej. Jeżeli odkryjemy szczątki ludzkie bądź materiał dowodowy, wszystko zostanie sfotografowane na miejscu, a następnie zabezpieczone w odpowiednich pojemnikach, zgodnie z regulaminem. Może pani pójść z nami, o ile będzie się trzymać z tyłu na terenie, który już wcześniej został przeszukany. Jeśli pani tego nie akceptuje, proszę pozostać tutaj i poczekać w samochodzie. – Powiedziane stanowczo i niezbyt uprzejmie.

– Chryste Panie – rzekła Strike, kierując oczy do nieba; nie wiadomo, czy chciała się pomodlić, czy nam złorzeczyć.

Czując się troszkę winna z powodu własnej oschłości, spytałam:

– Potrafi pani wskazać miejsce, w którym znalazła ten dyktafon na breloczku?

– Pewnie, że potrafię. Nie jestem idiotką.

Odwróciłam się do Ramseya.

– Szczątki znaleziono dziesięć metrów dalej w dół zbocza, po stronie Brązowej Góry. – W poprzedni wieczór znów przeglądałam akta ME229-13. Oraz fatalne zdjęcia zrobione przez Opal Ferris. – Wezmę swój zestaw podręczny i dołączę do was przy balustradzie.

Ramsey ruszył z Gunnerem jako pierwszy. Ja za nimi. Strike zamykała peleton.

Poniżej balustrady teren opadał stromo. Gdy schodziliśmy, chwytając się gałęzi górskich wawrzynów, słyszałam za sobą sapanie Strike. Czułam na plecach jej palący wzrok.

Po pokonaniu siedmiu metrów, cały czas walcząc z grawitacją, doszliśmy do dość szerokiego występu skalnego. Żółto-różowy świt już minął, ustępując błękitnemu światłu dnia, jednak wyniosłe sosny taeda blokowały niemal każdy skrawek nieba nad nami. Wieczny cień tworzony przez gałęzie oraz strome zbocza nad doliną sprawiały, że przestrzeń pomiędzy pniami pozbawiona była poszycia. Ziemię pokrywał gruby dywan z igieł.

Zdjęłam swój pakunek z ramion, wydobyłam fotki zrobione przez Ferris i przyglądałam się im, szukając jakiegoś charakterystycznego punktu. Pozostała dwójka obserwowała mnie – Strike sapiąc, Ramsey ze stoickim spokojem. Albo znudzeniem.

Wszystkie drzewa wokół wyglądały tak samo. Przypomniałam sobie opis przekazany mi ustnie przez Ferris. Nie był wprawdzie zbyt doskonały, dzięki niemu jednak doszłam do wniosku, że zesliśmy już do krawędzi balustrady,

tak samo jak wcześniej ona.

– Według Ferris szczątki leżały porozrzucane mniej więcej tam. – Wskazałam na wschód.

Ruszyliśmy, czując pod nogami miękkie, gąbczaste igły. Nie zdążyliśmy przebyć nawet pięciu metrów, gdy Strike odezwała się nagle, niemal bez tchu, nadąsanym tonem.

– Tamto drzewo. Tam. Tam znalazłam łańcuszek z dyktafonem.

Odwróciłam się, zaskoczona pewnością tej kobiety. Musiała dostrzegać punkty charakterystyczne, których ja nie widziałam.

Stojący za mną Ramsey zapytał:

– Jaki łańcuszek?

Gestem dałam znać, że powiem mu później. Gunner ciągle węszył po ziemi, wykonując swoje zadanie.

– Jest pani pewna? – zwróciłam się do Strike.

– Możemy pominąć tę część, w której pani i ten wiejski szeryf traktujecie mnie jak skończoną idiotkę?

Nie czekając na odpowiedź, Strike skierowała się w stronę sosny, która wyglądała identycznie jak wszystkie inne. Poszłam za nią. Ramsey i Gunner też.

– Tu jest mój znak. – Strike wskazała nacięcie na korze w kształcie litery V, metr nad gruntem. – Zrobiłam go nożem. – Uklękła na jedno kolano i odsunęła igły, ukazując rozległe korzenie do połowy zagrzebane w ziemi. – To leżało dokładnie tutaj. – Wskazała zakamarek, w którym zbiegały się dwie sękate odnogi.

Spojrzałam na Ramseya. On spojrzał na mnie.

– Drzewo nadaje się na punkt początkowy naszych poszukiwań równie dobrze jak wszystko inne – powiedział.

– Proponuję, żebyśmy najpierw trzymali psa na smyczy, a jeżeli nic nie wskaże, puścili go wolno.

– Zgoda.

Ale Gunner miał w tej sprawie własne zdanie. Z jego gardła dobył się odgłos przypominający bardziej „jo” niż „jasna cholera”. Wszystkie oczy skierowały się na niego.

Pies wyciągnął łeb i ułożył go nisko nad gruntem. Jego wzrok spoczywał nieruchomo na jakimś miejscu ponad ramieniem Strike.

Ramsey pochylił się i odpiął smycz.

– Szukaj.

Gunner pognał przed siebie, wachając igły na lewo i prawo. Mniej więcej trzy metry na południowy wschód od naszej pozycji ostatni raz pociągnął nosem, głośno wyrzucił z siebie powietrze i opadł na brzuch u podstawy pnia sosny, co najmniej dwa razy szerszego niż sąsiednie.

– To oznacza alarm. – Ramsey już ruszył ku niemu.

Szłam tuż za nim. Słyszałam za sobą Strike, która ze stękaniem gramoliła się pod górę.

Lustrowałam uważnie całą trasę przebytą przez Gunnera, ale nic nie zauważyłam.

Kiedy Ramsey udzielał psu pochwały, ja przesuwalam wolno oczyma po gruncie. I z powrotem. Znowu nic.

Fałszywy alarm?

Lodowaty podmuch wiatru podniósł kilka kosmyków moich włosów. Gałęzie drzew poruszyły się lekko. Promień światła przeciął baldachim i padł na brązowy kobierzec pokrywający ziemię. Z głębi grubej warstwy igieł mrugnęło coś czerwonego, a potem zniknęło.

Zamieniwszy wełniane rękawiczki na lateksowe, zrobiłam krok do

przodu i padłam na kolana, obok drzewa. Poruszając się ostrożnie, brałam do garści igły i odsuwałam je na bok.

Podobnie jak w pobliżu sosny, gdzie Strike znalazła łańcuszek z dyktafonem, także tutaj spod ściółki wystawały poskręcane korzenie, ciemne i sztywne, przypominające jakąś prymitywną dłoń zaciśniętą na poszyciu leśnym. W zagłębienie pod jednym z gruzłowatych węzłów wklinowała się czerwono-żółta masa wielkości pestki brzoskwini.

Zgniły owoc? Martwy gryzoń lub ptak?

Dźgnęłam masę palcem w rękawiczce. Była twarda.

Wyciągnęłam nikona, w oznaczniku materiału dowodowego wpisałam odpowiednie dane i wykonałam zdjęcia pod różnymi kątami. Zakończywszy dokumentowanie, schowałam aparat do plecaczka. Ramsey i Strike przyglądali mi się przez cały ten czas, zaintrygowani i milczący.

Za pomocą kciuka i koniuszka jednego palca spróbowałam obrócić masę w prawo. Poczułam drgnienie. Chyba. Obróciłam ją w lewo, potem znów w prawo i tak dalej. Powoli i niechętnie korzeń rozluźnił uchwyt, uwalniając to coś.

Umieściłam niewielką grudkę masy na otwartej dłoni. Była półprzezroczysta, na jednym końcu czerwono-żółta, na drugim brązowa. Kiedy przerzuciłam ją na drugą stronę, na spodzie ukazały się jakby dwie gałki przysypane ziemią.

Wyciągnęłam z plecaczka szkło powiększające i przyjrzałam im się bliżej.

Poczułam, jak moje serce przyspiesza o kilka dodatkowych uderzeń.

– Co to jest? – spytała Strike.

Byłam zbyt wstrząśnięta, żeby odpowiedzieć.

## Rozdział 9

– Kości palców? – Strike wydawała się zdezorientowana. To zrozumiałe. Ja również tak się czułam.

– Nie tylko kości. – Wciąż przyglądałam się lśniącej masie na swojej dłoni. – Chyba widzę fragmenty dwóch opuszków palców.

– Wewnątrz tej brei?

– Tak.

– To smoła sosnowa.

Uwaga wygłoszona przez Ramseya kazała mi podnieść wzrok.

– Sosny wypuszczają żywicę, zwłaszcza u podstawy pnia. Z czasem robi się twarda jak skała.

– Jak bursztyn.

– Po paru tysiącach lat, owszem.

Oczywiście. Sok drzewny jest bakteriostatyczny, eliminuje tlen, tworzy barierę przeciwko żerowaniu zwierząt, zapewnia warunki korzystne dla zachowania tkanek miękkich. Miałam kiedyś przypadek, w którym – oprócz ludzkich szczątków – niechący pobrano do badań pewną ilość soku sosnowego. W nim znajdowała się idealnie zachowana mysia głowa. Na zewnątrz natomiast zwisała reszta szkieletu.

Tak jak paliczki wystające z masy na mojej dłoni.

– Czyli ona upadła w tym miejscu, zaatakowana, albo jej zwłoki wylądowały właśnie tutaj po zrzuceniu z punktu widokowego. Jedna ręka spoczęła u podstawy pnia tej sosny. – Strike wskazała drzewo. – Z czasem sącząca się żywica, albo kropląca się, czy co ona tam robi, zalała te dwa ludzkie palce.

Scenariusz opisany przez Strike brzmiał, niestety, realistycznie. Lecz słuchałam jej tylko jednym uchem. Kiedy zabezpieczałam nasze makabryczne znalezisko w woreczku Ziploc, moje oczy szukały już kolejnych.

Gdy wreszcie daliśmy sobie spokój, słońce stało już nisko. W tym sosnowym sanktuarium i tak nie miało ono większego znaczenia. Żaden promień nie przebił się przez gałęzie nad naszymi głowami. Żaden melanż światła i cienia nie zmienił kształtów tego, co widzieliśmy pod nogami. Panował odwieczny mrok.

Najpierw poprowadziliśmy Gunnera na smyczy według schematu, a następnie daliśmy mu wolną rękę. Pies wszczął alarm jeszcze dwukrotnie. W obu przypadkach nie bez przyczyny.

Ostatecznie znaleźliśmy sześć paliczków, dwie kości śródreca, kość łódkowatą i kość haczykowatą, wszystkie zniszczone i pogryzione. A niech mnie! To przecież aż dziesięć na pięćdziesiąt cztery kości dłoni. Udało się nam również trafić na pordzewiały śrubokręt, osiem aluminiowych puszek i kawałek metalu, który wyglądał na stary maszt od namiotu.

Wszystkie kości należały do osoby dorosłej nieokreślonego wzrostu. Wątpiłam, by którakolwiek z nich przyniosła nam zbyt wiele informacji.

Ale ciało w żywicy sosnowej to już inna historia. Czułam się przez nie totalnie nakręcona. Ktoś zginął w tym miejscu lub został zrzucony z góry. Wystarczyłby jeden dający się odczytać odcisk palca i mielibyśmy tożsamość tej osoby.

O ile znajdowała się w systemie. Lub gdyby udało się pobrać próbkę porównawczą.

Ramsey nalegał, żebym zabrała szczątki ze sobą. Stanowczo. W sumie słusznie. Miałam w swoim laboratorium ME229-13. Istniała spora szansa, że



znaleziona ręka należała do tej samej osoby.

Po dotarciu do miejsca objętego zasięgiem sieci AT&T zadzwoniłam do Larabeego. Jak należało się spodziewać, nie był szczególnie zadowolony, że wybrałam się do okręgu Burke. Gdy skończył wygłaszać przydługą tyradę, opowiedziałam mu o naszym odkryciu.

Chcąc uniknąć komplikacji wynikających ze złamania jurysdykcji terytorialnej, a także gniewu własnego szefa, Larabee polecił mi czekać, dopóki nie skontaktuje się z zakładem medycyny sądowej w Raleigh. Oddzwonił już po dziesięciu minutach. Mimo zaskoczenia tym, że szczątki z okręgu Burke zawieziono pierwotnie do Charlotte-Mecklenburga, stanowy lekarz sądowy zgodził się przekazać tę sprawę bezpośrednio mnie.

Strike została do końca, a potem odjechała z piskiem opon, rozrzucając żużel. Psiakrew. Znow nie udało mi się uzyskać od niej tego nagrania.

Przez cały dzień postawa tej kobiety oscylowała między rozdrażnieniem a wrogością. Zastanawiałam się nad przyczyną tego stanu. Ale niezbyt długo.

Gdy wcześniej wybierałam numer telefonu Larabeego, dotarł do mnie, z piknięciem, esemes od mamy. Przeczytałam go teraz, czekając, aż szef oddzwoni. Nic pilnego. Po prostu pytanie o moje zdrowie i nastrój.

Chciałam wrócić do domu i wziąć bardzo długi, bardzo gorący prysznic. Zjeść kolację. Skulić się w łóżku i podzielić wiadomościami z Birdiem. A może z Ryanem.

Nikt jednak nie potrafi przejawiać biernej agresji tak doskonale jak moja mama. Jej podtekst: jestem stara, mam raka i prawie nikt mnie nie odwiedza.

Twoja matka znajduje się trzydzieści kilometrów stąd, podpowiedziało mi sumienie.

Sprawdziłam godzinę. Wpół do szóstej. Mogłabym zjeść z nią szybką kolację i wrócić do domu, do swojej przybudówki, przed dziewiątą.

Euforia przygasła, nie pozostawiając w zamian nic poza poczuciem winy.

Tak więc zamiast do domu, pojechałam na wschód, ze spoconymi włosami pod czapką Charlotte Knights, w brudnych ciuchach i z paznokciami powalnymi błotem. Raczej nie spodziewałam się pochwał ze strony Daisy.

Niedaleko Marion zjechałam z drogi numer 221 na wschód. Heatherhill Farm pojawiła się szybko, jeśli nie nagle. Znak informujący o jej istnieniu jest tak gustowny, że prawie niewidoczny. Ci, którzy potrzebują wielu wskazówek, aby dokądś trafić, zwyczajnie go omijają.

Skręciłam na nieoznakowany odcinek asfaltu, przeciskający się między górskimi wawrzynami. Wkrótce gęstwina ustąpiła bardziej cywilizowanym, zadbanym terenom zielonym.

W ciemnościach Heatherhill wyglądało jak niewielki ośrodek pełen domków wypoczynkowych. Obok głównego szpitala wznosiły się budowle z ogródkami od frontu, różnej wielkości. Pokryte bluszczem kominy, długie werandy, białe okładziny ścian, czarne okiennice. Dzięki moim licznym wizytom w tym miejscu wiedziałam, że w pozostałych zabudowaniach mieszczą się ośrodek leczenia chronicznego bólu, siłownia, biblioteka oraz pracownia komputerowa. Wciąż nie byłam pewna, co jest gdzie.

Zjechałam w boczną alejkę i po pięćdziesięciu metrach zatrzymałam się na żuźlowym prostokącie, z trzech stron otoczonym białym płotkiem ze sztachet. Zaparkowałam i brukowaną ścieżką ruszyłam w stronę brązowego domku z kwietnikami pod każdym oknem. Znak nad drzwiami informował: RIVER HOUSE.

Stałam przez chwilę, czując złość i napięcie. A może wyrzuty sumienia. Lub dawno zapomniany rodzaj emocji, których nie potrafiłam już rozpoznać. Zawsze tak było. Moment wahania przed rzuceniem się na głęboką wodę.

Popołudniowy wiatr zrobił się zimny i przeszywający. Poryw znad chmur

pociągnął mnie za kołnierz i przemieścił daszek mojej czapki. Spojrzałam w górę. Na niebie świeciło milion gwiazd, jednak bez księżyca. Wszędzie wokół mnie, nie licząc wiatru, panowała całkowita cisza.

Wnętrze River House wyglądało dokładnie tak, jak zapowiadała to jego zewnętrzna elewacja. Podłogę, wykonaną z lśniącej dębiny, pokrywały dywany tureckie oraz perskie. Tapicerka mebli utrzymana była w miękkich beżach i brązach – te drewniane były odbarwione i sztucznie postarzone. Projektant osiągnął swój cel, czyli uzyskanie efektu spokoju i wyciszenia, z dodatkowym elementem – czuło się tu nieograniczone zasoby gotówki.

Po pokazaniu dowodu tożsamości uśmiechniętej pracownicy, siedzącej za biurkiem z epoki któregoś tam Ludwika, przeszłam przez salon, mijając rozpalony gazowy kominek z kamienia. Apartament mamy znajdował się dalej, w bocznym korytarzu, ostatni po prawej.

Zanim tam skręciłam, zerknęłam w lewo, do jadalni. Z pół tuzina pensjonariuszy w różnym wieku siedziało przy stołach nakrytych lnianymi obrusami, pośrodku których ustawiono kompozycje kwiatowe niewykazujące najmniejszych oznak wędnięcia. Wiedziałam, że mamy tam nie ma. Daisy woli jadać sama, przy małym biurku koło okna w swojej bawialni.

Drzwi były odrobinę uchylone. Fakt ten wywołał w głębinach mego mózgu cichy alarm. Normalnie mama jest pedantyczna, jeśli chodzi o bezpieczeństwo i prywatność. Czyżby naruszenie jej zasad oznaczało stan apatii, wejście w mroczną fazę? Radosną beztroskę? Zwykły przypadek utraty czujności, bez znaczenia?

Mama faktycznie siedziała za biurkiem, z zapomnianym widelcem w rękę, wpatrzona w las za szybą. Może w jakieś migotliwe wspomnienie z innej epoki. A może w nicość.

Przyglądałam jej się przez chwilę. Schudła, lecz poza tym wyglądała

dobrze. Nic to właściwie nie znaczyło. Mimo miriadów psychicznych problemów, a może właśnie dzięki nim, moja mama jest aktorką klasy Oscara-Tony-Emmy.

Usłyszawszy mnie, odwróciła się nagle. Zielone oczy promieniały, miała miękkie kurze łapki w kącikach oczu. Na mój widok jej uśmiech zamarł.

– Ojej.

– Taa. – Zachichotałam. – Nieźle wyglądam, co?

– Moja słodka dziewczynka. Uciekłaś z cyrku?

– Dobrze. – Odmówiłam połknięcia przynęty.

Chciałam, żeby ta wizyta przebiegła lekko i wesoło. Żadnych sporów dotyczących mojego stroju, fryzury czy stanu cywilnego. Bez naciskania na mamę, żeby poddała się chemioterapii, której opierała się każdą cząstką swego czterdziestokilogramowego ciała.

– A może pokłóciłaś się ze swoim uroczym detektywem? – Nonszalancko wymierzyła we mnie widelec. – Jak ten dżentelmen się nazywa?

– Andrew Ryan.

– Czekał. Już wiem. – Twarz mamy się rozjaśniła. – Wracasz z miejsca zbrodni. – Jej głos stał się cichy, lekko chropawy. Moja praca ją fascynowała. – Wykopałaś jakieś zwłoki.

O nie. Żadnych rozmów o morderstwach i śmierci. Ani o propozycjach małżeństwa. Mama zrobiłaby z tego wielką broadwayowską produkcję.

– Pracowałam jako konsultantka w okręgu Burke. Nic wielkiego. – Przeszłam do zawartości jej talerza. – Byłam w pobliżu, więc wpadłam na kolację. Co jest w menu?

Niełatwo odwrócić uwagę mamy. Zawsze.

– Nie możesz czegoś opowiedzieć swojej sędziwej matce? – Rozłożyła ramiona. Wyglądały jak kruche gałązki wewnątrz grubego irlandzkiego

swetra. – Słodki Panie na niebiosach, dokąd mam pójść? Z kim mogę podyskutować o zawiłościach twojego życia zawodowego?

Za plecami Daisy wiatr zatrzęsł oknem, odbicie jej twarzy zachwiało się. W moim umyśle wyskoczył smutny obraz. Mama, samotna na swym dobrowolnym wygnaniu, może rozmawiać tylko i wyłącznie z Goose oraz z personelem ośrodka Heatherhill i nie ma prawie nic innego do roboty poza pisaniem swojego dziennika albo siedzeniem nad laptopem.

Jej logika miała zdrowe podstawy. Żyła w izolacji. Poza tym potrafiła zachowywać tajemnice lepiej niż CIA. Jak niby mogłaby narazić na szwank sprawę, w której nie znałam ani tożsamości ofiary, ani przyczyny jej śmierci?

– Okej, Sherlocku – westchnęłam teatralnie. – Najpierw pozwól mi się umyć.

Mama uniosła widelec niczym dyrygent swoją batutę.

– Przedstawienie zaraz się zaczyna.

Poszłam do łazienki, wyszorowałam twarz i ręce. Oczyszcziłam paznokcie. Zastanawiałam się nad włosami. Doszłam do wniosku, że sprawa jest beznadziejna i ponownie schowałam je pod czapkę. Kiedy wróciłam, na biurku znajdował się drugi talerz, a obok biurka – drugie krzesło.

Pochłaniając pieczonego kurczaka i ziemniaczane purée z zielonym groszkiem, opowiedziałam mamie o ME229-13 oraz o moich całodziennych poszukiwaniach w towarzystwie Gunnera i Ramseya. Wspomniałam o znalezieniu przez nas kości ręki oraz grudki smoły sosnowej. Strike pominęłam. A także możliwość, że ofiarą mogła być Cora Teague.

Mama słuchała urzeczona. Mimo wszystkich swych wad moja matka jest bardzo dobrym słuchaczem. Kiedy skończyłam, zapadła długa cisza, jako ponaglenie, bym kontynuowała. Ja tymczasem, chcąc pozostać na bezpiecznym gruncie, podzieliłam się z nią nowo pozyskaną wiedzą

o Brązowej Górze. Mama machnęła ręką, czy to z niechęcią, czy z brakiem zainteresowania. Gdy oświadczyłam, że to już wszystko, zaczęła zadawać pytania. Przez kolejną godzinę wyciągnęła ze mnie niemało.

Ale rozmowa toczyła się dobrze i zostałam dłużej, niż planowałam. Na dworze wiatr dawał z siebie wszystko. Pomknęłam do samochodu, z nisko pochyloną głową, przytrzymując czapkę. Żywopłot rosnący wzdłuż ścieżki falował jak ocean w czasie sztormu.

Kiedy dotarłam do domu, była dwudziesta trzecia dwadzieścia. Wyjęłam z plecaczka worki Ziploc i włożyłam je do lodówki. Nakarmiwszy straszliwie nieszczęśliwego kota, zrzuciłam z siebie ciuchy i popędziłam pod prysznic.

Czując na sobie zapach balsamu imbirowo-cytrusowego oraz lawendowego szamponu, dziesięć minut po północy wpełzłam wreszcie do łóżka. Tak jak poprzedniej nocy, zastanawiałam się nad telefonem do Ryana, lecz zrezygnowałam. Było zbyt późno.

Znów odezwało się moje sumienie, zawsze mające coś do powiedzenia. Przecież ten facet jest nocnym markiem. Skąd ta moja niechęć?

Dobre pytanie. Czyżbym nie chciała przyznać oczywistej prawdy, że boję się małżeństwa? A może przyczyna leży jeszcze głębiej? Niechęć do podzielenia się informacjami o sprawie Cory Teague? Podprogowe pragnienie zachowania dla siebie tego, co jest moje?

Mimo wyczerpania nie mogłam zasnąć. Długo leżałam w łóżku, głaszcząc Birdiego po głowie i nasłuchując dźwięków, które nie pasowałyby do otoczenia. Na szczęście nie usłyszałam ani jednego. Jedynie mruczenie kota i grzechot siatki w drzwiach frontowych. A potem lodowate bębnienie w szyby. Gradu, może deszczu. To była moja ostatnia myśl. Odpływałam.

Obudziłam się raptownie, czując, jak serce podchodzi mi do gardła. Alicia Keys śpiewała o płonącej dziewczynie.

O drugiej w nocy nigdy nie należy się spodziewać dobrych wieści. Moja matka miała raka. Moja córka przebywała na terenie objętym wojną.

Wymacałam telefon. Upuściłam go. Szukając komórki pod łóżkiem, walnęłam się w łokieć.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam, słodki groszku.

– Rozchorowałaś się?

– Absolutnie nie.

– Mamo, jest środek nocy.

– Tak mi przykro. – Powiedziała to pełnym ekscytacji szeptem. Nieszczercze. – Ale właśnie odkryłam coś, o czym chyba powinnaś wiedzieć.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Czuję się świetnie.

– Miałam bardzo długi dzień. Możemy porozmawiać rano?

Mama westchnęła, długo i z rozczarowaniem, żebym usłyszała.

– Chyba tak.

– Źle się czujesz?

– Już pytałaś i odpowiedziałam.

Był kiedyś czas, że wykazywałam większą stanowczość, próbując się jej pozbyć. Lecz ten okres już minął. Nauczyłam się, że zdeterminowana matka jest siłą, której nie można się oprzeć.

– Strzelaj. – Przewróciłam się na plecy, z telefonem przy uchu, prawie pewna jej następnych słów.

– Kiedy wyjechałaś, weszłam do Internetu.

No właśnie. Tego się spodziewałam. Wyobraziłam ją sobie w łóżku, z laptopem spoczywającym na uniesionych kolanach, z twarzą nakrapianą światłem odbitym od ekranu.

– Aha. – Stłumiłam ziewnięcie.

– Słuchasz mnie?

– Słucham.

Dobiegł mnie szelest kołdry. Wiedziałam, że mama mości się w łóżku, by wygłosić dramatyczny komunikat.

– Nie uwierzysz, co znalazłam.

Miała rację. Nie uwierzyłam.



## Rozdział 10

Krótką uwagę na temat Katherine Daessee Lee Brennan.

Przez cały okres mojego dzieciństwa mama była nieprzewidywalna jak letnie popołudnie na plaży. Miesiącami mogła być szczęśliwa, zabawna, mądra – niczym personifikacja słonecznego blasku. A potem, bez ostrzeżenia, wycofywała się do swojego pokoju. Czasem gdzieś znacznie dalej. Harry i ja rysowałyśmy obrazki na naszym małym stoliku, nocami szeptałyśmy do siebie w łóżkach. Dokąd ona pojechała? Czy kiedyś wróci do domu?

Lekarze różnych stopni wtajemniczenia przedstawiali rozmaite diagnozy. Choroba dwubiegunowa. Schizofrenia z dwubiegunowością. Schizoafektywność. Najmodniejsze w danym okresie zaburzenie. Proszę sobie wybrać ulubione. Proszę sobie wybrać leki. Lorazepam. Lit. Lamotrigan.

Żadne preparaty nie działały zbyt długo. Żadna terapia nie przynosiła większych efektów. Chwila radosnego wytchnienia, a potem znów przychodziła po nią ciemność. Kiedy byłam dzieckiem, huśtawki nastrojów mamy po prostu mnie przerażały. Jako osoba dorosła nauczyłam się sobie z nimi radzić. Akceptować je. Mama jest tak stabilna jak uderzony kulą kręgiel.

Kiedy zbliżała się do sześćdziesiątki i właśnie wyszła ze szczególnie głębokiej depresji, kupiłam jej komputer. Nie miałam większych nadziei, że cyberświat okaże się dla niej atrakcyjny, byłam jednak zdecydowana czymś ją zająć. Czymś innym niż ja.

Wprowadziłam ją w podstawy wiedzy informatycznej – mejle, edytor

tekstu, arkusze kalkulacyjne, Internet. Wyjaśniłam działanie przeglądarki i wyszukiwarek. Ku memu zaskoczeniu mama była zafascynowana. Uczyła się jednej nowej rzeczy za drugą, brała lekcje najpierw na Apple Store, a potem w miejscowym college'u. Ostatecznie, jak zwykle, opanowała zagadnienie znacznie lepiej ode mnie.

Nie nazwałabym swojej matki hakerką. Nie interesowała jej kradzież danych z bankomatów czy numerów kart kredytowych. Nie obchodziła jej działalność Pentagonu ani NASA. A jednak, gdy już wchodziła do gry, nic jej nie mogło wyrwać z uniwersum stron internetowych.

Ponadto mama cierpi na nieuleczalną bezsenność.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, nie byłam zaskoczona, że zaczęła zajmować się historią z Gunnerem i Ramseyem, którą jej opowiedziałam. Jednakże wyniki jej poszukiwań wprawiły mnie w lekki niepokój.

– Co tam znaleziono?

– Artykuł nie precyzuje. Pewnie z delikatności. Pochwalam tego rodzaju dyskrecję. Opinii publicznej udostępnia się zbyt wiele szczegółów...

– O czym piszą?

– Po prostu donoszą, że prawdopodobnie znaleziono szczątki ludzkie. –

Cztery ostatnie wyrazy wygłosiła z precyzją. – Cytuję dosłownie.

– Jaka to gazeta?

– „Avery Journal-Times”. W okręgu Avery.

– No przecież wiem.

– Nie ma potrzeby być taką czepialską, Temperance – powiedziała bardzo czepialsko.

– Przepraszam, mam. Jeszcze trochę śpię. – Położyłam stopy na podłodze, włączyłam światło, chwyciłam długopis i starą kopertę leżącą na nocnym stoliku. – Kiedy ten artykuł się ukazał?

– Dwudziestego dziewiątego kwietnia dwa tysiące dwunastego roku.  
– Czy piszą w nim, gdzie dokładnie leżały te szczątki?  
– Owszem, piszą. – Szybki oddech. – Znaleźiska dokonano nieopodal Blue Ridge Parkway w Paśmie Błękitnym, dwie mile na północ od skrzyżowania z drogą 181. Oznaczenie mili 310. Sprawdziłam na Google Earth.

Pewnie, że sprawdziła.

– Wiesz może, co znajduje się w tamtym miejscu? – spytała.

– Nie wiem.

– Punkt widokowy o nazwie Urwisko Zagubionego Wąwozu.

Nie miałam pojęcia, do czego mama zmierza. Usilnie próbowałam się tego domyślić, gdy odezwała się ponownie.

– Punkt widokowy? – powiedziała to tak, jakby w owych dwóch wyrazach krył się bardzo głęboki sens.

No tak.

– Mamo, wiesz ile w Paśmie Błękitnym jest platform widokowych?

Zapadła chłodna cisza. Uświadomiłam sobie, że odpowiedź na to retoryczne pytanie będzie mi się tłuc w głowie do samego rana.

– A jak myślisz, co widać z *tej konkretnej* platformy? – zapytała oschle.

– Więcej gór? – Znów za nią nie nadażalam.

– Brązową Górę. Tak samo jak z punktu widokowego w okręgu Burke.

– Dziwny, ale jednak zbieg okoliczności.

– Bardzo trudno jest mi tu dostrzec zbieg okoliczności.

– Kto znalazł te fragmenty zwłok?

– Piesi turyści.

– Czy ustalono z całą pewnością, że te przedmioty miały ludzkie pochodzenie?

– Przedmioty? – Pełne dezaprobaty pociągnięcie nosem. – Naprawdę, kochanie.

– Natrafiłaś na jakieś dalsze publikacje?

– Nie. A szukałam bardzo dokładnie. Pamiętaj, że to nie była wiadomość z pierwszych stron gazet. Oryginalny artykuł był bardzo krótki.

– Ten dziennikarz zostawił swoje dane kontaktowe?

Stuknęły klawisze.

– Osoby mające informacje w tej sprawie proszone są o kontakt z Wydziałem Szeryfa okręgu Avery. – Odczytała numer telefonu. Ten sam, który pojawił się na moim wyświetlaczu, kiedy dzwonił Zeb Ramsey.

– Możesz przesłać mi link?

– Mogę.

Tej nocy śniły mi się światła na odległym górskim grzbiecie.

Nic dziwnego, że obudziłam się późno. Szybka toaleta, potem nakarmienie Birdiego, i już jechałam do MCME, spodziewając się kazania Larabeego, które witałam równie chętnie jak krytykę mamy dotyczącą mojego ubioru.

Prowadząc samochód przez przedmieścia, wyobrażałam sobie Larabeego, jak siedzi za biurkiem, napompowany po porannym biegu, gotowy rzucić się w wir działań, gdy tylko usłyszy dźwięk otwieranych drzwi do mojego gabinetu. Ale wcale nie było go u siebie.

Wprowadziłam do systemu informacje o nowych szczątkach znalezionych w okręgu Burke. System przydzielił im sygnaturę ME122-15. Następnie otworzyłam akta i porobiłam notatki dotyczące okoliczności, w jakich fragmenty ciała zostały odkryte. Potem zaniiosłam woreczki Ziploc do śmierdzącego pokoju, umieściłam kości na tacy, a bryłkę sosnowej żywicy zanurzyłam w acetonie.

Kiedy skończyłam, zatelefonowałam do Joego Hawkinsa. Zgodził się spotkać ze mną, gdy tylko uzyskam to, co kryła grudka.

W socjalnym szybko wypiliśmy kubek szlamu, który uchodzi tu za kawę, i zajęłam się fotografowaniem dziesięciu kości dłoni, od czasu do czasu podchodząc do zlewu, by sprawdzić przebieg procesu. Cały ranek bryłka pozostawała twarda jak marmur.

Jak się tego obawiałam, kości nie przedstawiały sobą większej wartości poznawczej. Spróbowałam dokonać analizy metrycznej na podstawie pomiarów kości śródreżca. Były absolutnie średniej wielkości. Także paliczki nie odsłoniły przede mną żadnych danych na temat rasy. W ostatecznym rozrachunku mogłam jedynie stwierdzić, że ofiarą była młoda i zdrowa osoba dorosła.

Podobnie jak ME229-13. Kości dłoni pod każdym względem wykazywały zgodność z kośćmi tułowia, brakowało jednak rozstrzygającego dowodu, że oba zestawy szczątków należały do tej samej osoby. Pozytywne powiązanie można było wykazać tylko na podstawie badań DNA. W tej kwestii nie byłam jednak optymistką.

Zniechęcona, ale nie zaskoczona, wróciłam do swojego gabinetu i wybrałam numer szeryfa okręgu Avery. Ramsey był u siebie i natychmiast odebrał.

– I to wszystko? – zapytał, kiedy skończyłam relacjonować mu swoje obserwacje.

– Możesz wykluczyć starych dziwaków chodzących we śnie.

– Sprawa praktycznie rozwiązana. – Pauza. – Ale nie uważasz, że mogło być dwoje ludzi?

– Myślę, że to wysoce nieprawdopodobne.

– A co z tymi kawałkami w żywicy?

– Pracuję nad tym. Sprawdziłeś Corę Teague?

– Wpisałem nazwisko do bazy, ale nic nie uzyskałem. Brak adresu, brak numeru telefonu, numeru ubezpieczenia społecznego, paszportu, historii kredytowej i podatkowej. Jest tylko świadectwo urodzenia, zarejestrowane w urzędzie stanu cywilnego okręgu Avery w dziewięćdziesiątym trzecim roku.

– Rodzice nie wystąpili dla niej o numer ubezpieczenia społecznego, kiedy wystawiano akt urodzenia?

– Pytasz niewłaściwego człowieka.

– Według Strike po skończeniu liceum Teague pracowała krótko jako niania. Poza tym nie podjęła żadnego zatrudnienia.

– Nianiom często płaci się pod stołem. – Słyszałam, że Ramsey czymś się bawi, może kablem od telefonu. – Posłuchaj. To wielki kraj. Jeśli ta mała postanowiła zniknąć, zmienić nazwisko, to raczej nie będzie można jej znaleźć.

Kiwnęłam głową.

– A Strike miała rację. Nie zgłoszono oficjalnie zaginięcia.

– Przesłuchałeś rodziców? – zapytałam.

– Taa. Nic ciekawego. Żadnych aresztowań, skarg, telefonów do domu.

– Gdzie mieszkają?

– Przy Larkspur Road, niedaleko drogi 194. Nic tam nie ma, tylko sosny i ptaki.

Niewiele brakowało, abym się rozłączyła, nic mu nie wspominając.

– Wczoraj w nocy ustaliłam coś dziwnego. Może to bez znaczenia.

Ramsey czekał, wciąż bawiąc się tym, czym się bawił.

– W roku dwa tysiące dwunastym w gazecie „Avery Journal-Times” ukazał się pewien artykuł. – Przebiegłam wiadomości w swoim iPhone

i znalazłam mail od mamy z godziny trzeciej dwanaście w nocy. Otworzyłam go i kliknęłam w link. – Napisano w nim, że przy pieszym szlaku w pobliżu punktu widokowego Urwisko Zagubionego Wąwozu znaleziono szczątki.

– Ludzkie?

– To nie jest jasne.

Ramsey pozwolił sobie na krótką, pełną sceptycyzmu pauzę.

– Kiedy?

– Dwudziestego dziewiątego kwietnia.

– Pół roku przed tym, jak objąłem służbę.

– To pewnie zbieg okoliczności, ale z tej platformy widokowej także widać Brązową Górę.

– Co sugerujesz?

– Nic. Zastanawiam się, co się stało z nimi dalej.

– Ludzkie szczątki powinny zostać przekazane koronerowi.

– A zostały?

– Sprawdzę. A także to, czy ten dziennikarz nadal pracuje.

Rozłączywszy się, wróciłam do kości dłoni oraz do żywicznej bryłki.

Pięć godzin namaczania i dłubania zrobiło wreszcie swoje. O trzeciej po południu na dnie zlewu leżały dwa pomarszczone kawałki tkanki, a wokół nich oślizłe pozostałości żywicznej smoły. Przyjrzałam się obu za pomocą ręcznego powiększalnika.

Ścisnęłam go tak mocno, że rozboleła mnie ręka. Głupie, ale jednak.

Każdy z kawałków odznaczał się fragmentem paznokcia na jednym końcu, na drugim zaś – częściowo widocznym paliczkiem dalszym. Zrobiłam zdjęcia rentgenowskie i zbadałam każdy szczegół.

Paliczek, przypominający kształtem strzałkę, poinformował mnie, że większy z kawałków ciała to koniuszek kciuka. Na drugi, wnioskuje po

wielkości, składały się opuszki pierwszego, drugiego i trzeciego palca. Proksymalna powierzchnia stawowa obu paliczków była zmiażdżona i poszarpana, wskutek usilnej działalności padlinożerców *et consortes*.

Totalnie podekscytowana, wybrałam numer wewnętrzny Joego Hawkinsa. Czekaając na jego przyjście, wydobyłam z szafki zestaw daktyloskopijny i przygotowałam poduszeczkę do tuszu oraz kartę na dziesięć odcisków palców. W MCME nie mamy supernowoczesnych skanerów. Pracujemy jak za dawnych czasów, mocząc palce w tuszu i przykładając je potem do papieru.

Przyszedł Hawkins, wyglądał jak zwykle mizernie. Wysoki i chudy, o zapadłych policzkach i farbowanych czarnych włosach, sprawiał wrażenie, jakby na jakimś castingu w centrali wybrano go specjalnie do roli pracownika kostnicy.

Pokazałam mu „przedmiot” i opisałam sprawę. Słuchał z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Cały Hawkins. Żadnych pytań, żadnych reakcji. Żadnych błędów. Gość nie jest może typem wesołka, ale to zdecydowanie najlepszy technik sekcyjny, jakiego znam. Reputacją tą cieszył się całe dziesięciolecie przed tym, jak podjęłam pracę.

Kiedy wypełniał daktyloskopijną kartę informacyjną, zaczęłam robić zdjęcia kości ręki w zbliżeniu. Przez pewien czas jedynym dźwiękiem słyszalnym w pomieszczeniu było klikanie migawki aparatu, a także – od czasu do czasu – kapanie wody w zlewie.

Jeżeli palce osoby zmarłej nie są zmumifikowane albo sztywne z powodu stężenia pośmiertnego, pobranie odcisków trwa zwykle bardzo krótko. Byłam tak pochłonięta robieniem zdjęć, że straciłam poczucie czasu. Kiedy uniosłam wzrok, stwierdziłam, że minęło pełne pół godziny.

Hawkins nadal garbił się nad swoim zadaniem. Napięcie w jego karku



i plecach sugerowało, że coś jest nie tak.

– Ciężko idzie? – spytałam.

Brak odpowiedzi.

– Chętnie pomogę. – Łapy Hawkinsa były bardzo wielkie, a koniuszki palców ofiary bardzo małe.

Wciąż żadnej reakcji.

Zauważyłam, że na kontuarze wala się kilka kart daktyloskopijnych. Na każdej z nich widniały dwa czarne owale. Przypuszczałam, że ten większy to kciuk, mniejszy – jeden z palców.

Hawkins zwykle pobiera odciski już za pierwszym podejściem. W czym tkwił problem? Nie miałam pojęcia, ile dokładnie facet ma lat, wiedziałam jednak, że jest dobrze po sześćdziesiątce. Czyżby jego dotychczasowa sprawność padła ofiarą artretyzmu? A może zaskoczyło go to, co zobaczył?

Podeszłam do kontuaru, jakby od niechcienia podniosłam jedną z kart daktyloskopijnych i spojrzałam na nią.

Wzięłam następną.

I następną.

Hawkins odwrócił się znad zlewu, trzymając dłonie w rękawiczkach wysoko, z dala od swojego ciała. Moje oczy napotkały jego, ciemne przecinki pod nimi marszczyły się z zakłopotaniem.

– O co tu chodzi, do diaska? – Jego palce rozwarły się z konsternacją.

Nie umiałam podać mu żadnego wyjaśnienia.

## Rozdział 11

W drugim i trzecim miesiącu ciąży, gdy płód mierzy od dwóch i pół do dziewięciu centymetrów długości, na opuszkach jego palców tworzą się maleńkie poduszeczki. W trzecim i czwartym miesiącu skóra z niemal przezroczystej staje się woskowata, a na poduszczykach pojawiają się pierwsze linie. W miesiącu szóstym, kiedy wzrost przeciętnego płodu sięga już trzydziestu centymetrów, jego linie papilarne są w pełni wykształcone i stałe przez resztę życia.

Naukowcy nie są całkowicie zgodni, w jaki sposób zachodzi ów proces. Według jednej z teorii rosnąca szybciej dolna lub środkowa warstwa skóry ulega zmarszczeniu, gdyż stawia opór skórze właściwej i naskórkowi. Ciśnienie wywołane oporem tej warstwy skutkuje powstaniem pofałdowań. Na całość mają również wpływ same ruchy macicy. Niezależnie jednak od przyczyn, w ostatecznym rezultacie tworzy się niewyobrażalna liczba wariacji.

Linie papilarne dzielą się na trzy podstawowe kategorie: łuki, pętle i wiry. Każda z nich wykazuje dodatkowo cechy indywidualne w postaci zakończeń, rozwidleń i kropek.

Zakończenie to miejsce, w którym jedna linia urywa się, a zaczyna kolejna. Rozwidlenie to miejsce, w którym linie się rozchodzą, tworząc wzór w kształcie litery Y. Kropka to fragment linii tak mały, że wygląda, no cóż, jak kropka.

Na każdym z palców spotyka się często setki takich „punktów” identyfikacyjnych. Relacje między nimi a najbliższą linią papilarną są tak skomplikowane, że – jak się sądzi – żaden wzorzec nigdy się nie powtarza.

Co najistotniejsze, odciski palców to indywidualny dowód tożsamości.

Lecz w przypadku ME122-15 tak nie było. Małe owale na karcie lśniły solidną czernią. Bez linii. Bez kropek. Ani jednego łuku, pętli czy wiru.

– Skóra jest uszkodzona? – spytałam, bojąc się, że aceton okazał się zjadliwy.

Hawkins pokręcił głową.

– Skóra w porządku. Po prostu nie ma odcisków palców.

– Jak to możliwe? – Bezsensowne pytanie, bo skoro sama tego nie wiedziałam, skąd on miałby to wiedzieć.

Hawkins tylko posłał mi długie, uroczyste spojrzenie.

– Widziałeś wcześniej coś takiego?

– Miałem już do czynienia z palcami, przy których te są świeżutkie jak schabowy, ale zawsze mi się udawało uzyskać przynajmniej jeden częściowy odcisk.

– Czyżby ktoś celowo usunął linie papilarne?

Hawkins zdjął rękawiczki, nacisnął nogą pedał kosza na odpadki biologiczne i wrzucił rękawice do środka.

– Wszystko jest możliwe, skoro teraz przeszczepia się nawet twarze.

Nie miałam pojęcia, co znaczyła ta uwaga.

– Może powinniśmy spróbować jeszcze raz?

– Strata czasu. – Pokrywa zamknęła się ze stukotem.

– Domyślam się, że nie ma sensu przekazywać tych kart dalej?

– Nie ma.

Normalnie odciski palców wysyła się do laboratorium medyczo-sądowego przy wydziale policji Charlotte-Mecklenburga, gdzie skanuje się je i wprowadza do Automatycznego Systemu Identyfikacji Daktyloskopijnej, w skrócie AFIS. Bazując na technologii obrazowania cyfrowego, AFIS

gromadzi, przechowuje i analizuje dane daktyloskopijne z całego kraju. W owej bazie danych, utworzonej przez FBI, znajdują się dziesiątki milionów indywidualnych odcisków palców.

Lecz nazwa systemu jest myląca. AFIS nie zajmuje się identyfikowaniem, lecz przeszukiwaniem. Program pozwalający na rozpoznanie wzorców biometrycznych porównuje nieznaną jeszcze odcisk z danymi w systemie, po czym podaje informacje o ewentualnych trafieniach, porządkując je od najbardziej do najmniej prawdopodobnych. Później analityk daktyloskopijny porównuje otrzymany odcisk palca z podsuniętymi „kandydatami”. Ostateczną decyzję podejmuje więc człowiek.

To wszystko nie miało jednak zastosowania do ME122-15.

– Mam to coś wsadzić z powrotem do słoja? – Hawkins pokazał kciukiem zlew.

– Sama się tym zajmę. – Byłam trochę rozkojarzona. – Dzięki.

Stałam przez chwilę, rozważając możliwości.

Czy ME122-15 sam usunął swoje odciski palców? Żeby uniknąć problemów z prawem? Uciec przed przeszłością? A może zrobił to jego morderca, już po śmierci ofiary? Żeby zatrzeć jej tożsamość?

Czy tego rodzaju zamazanie jest w ogóle możliwe? Czy to tylko hollywoodzki mit od czasów *Facetów w czerni*? Nie zauważyłam żadnych śladów wskazujących na okaleczenie lub działalność środków chemicznych. Celowe zniszczenie wydawało się więc mało prawdopodobne.

Gdzieś głęboko w moim banku pamięci odezwało się ciche *pssst*. Coś, o czym słyszałam albo czytałam. Jakiś artykuł naukowy? Rozmowa z którymś z kolegów?

Drzwi się otworzyły, a potem zamknęły, utrudniając mi koncentrację. Ale przecież to epoka Google’a. Spekulowanie odchodzi do lamusa.

Pobrawszy próbki do ewentualnych badań DNA, zabezpieczyłam palce w słoju z formaliną, kości schowałam do woreczków Ziploc i wszystko razem umieściłam w chłodziarce. Następnie pospieszyłam do swojego gabinetu.

Nie było to takie łatwe, jak sądziłam. Ostatecznie jednak znalazłam w Internecie pewien artykuł z „Annałów Onkologii”. Z dnia dwudziestego siódmego maja 2009 roku.

Sześćdziesięciodwuletni mężczyzna podróżujący z Singapuru do Stanów Zjednoczonych został zatrzymany przez urząd imigracyjny po rutynowym skanowaniu odcisków palców – okazało się, że nie miał ich wcale. Mężczyzna ten, nazywany tylko Panem S., przechodził wcześniej leczenie raka głowy i szyi za pomocą preparatu zwanego kapecytabiną, nazwa handlowa Xeloda. W wyniku tej terapii u Pana S. wywiązało się powikłanie zwane zespołem dłoniowo-podeszwowym. Oficjalna nazwa: erytrodyzestezja wywołana chemioterapią.

Kopałam dalej. Znalazłam artykuł w czasopiśmie „Actas dermo-sifiliográficas”. Z maja 2008 roku. Napisało go po hiszpańsku dziewięciu autorów. Dowiedziałam się żeń, co następuje.

Erytrodyzestezja wywołana chemioterapią, czyli zespół dłoniowo-podeszwowy, to reakcja skóry na różne leki przeciwnowotworowe. Wśród objawów wymienia się opuchliznę, ból oraz łuszczenie się naskórka na dłoniach i podszwach stóp. A także utratę linii papilarnych.

Sprawdziłam w sieci trochę danych na temat kapecytabiny. Lek ten używany jest głównie w leczeniu nowotworów głowy, szyi, piersi, żołądka i odbytu.

Dość ryzykowne wnioski, ale niedające się wykluczyć. Ramsey powinien skontaktować się z lekarzami i szpitalami i spytać, czy jakiś młody pacjent

chory na raka nie przestał nagle przychodzić na chemioterapię. Cora Teague miała podobno kłopoty ze zdrowiem. Należałoby również przepyttać rodzinę w tej sprawie.

Sięgałam właśnie po telefon stacjonarny na biurku, gdy sam zadzwonił. Była to pierwsza z szeregu rozmów, które wywołały we mnie ziejącą ogniem zgage.

Jak zwykle Strike nie traciła czasu na uprzejmości.

– A cóż to był za zdradziecki postępek, do diabła?

– Słucham?

– Podzielenie się informacjami ode mnie z kimś z zewnątrz.

– Zastępca szeryfa Ramsey raczej nie jest kimś z zewnątrz.

– Czy jest panią? Albo mną?

– Ta sprawa podlega jurysdykcji jego wydziału. – Wątpliwe.

– On jest z okręgu Avery. My byliśmy w Burke.

– Przecież podejrzewa pani, że szczątki, które tu przechowujemy, należą do Cory Teague – odparłam stanowczo, ale w sposób niepozbawiony cierpliwości. – Jeśli ta teoria okaże się prawdziwa, sprawą zajmie się właśnie Ramsey.

– Co mu pani powiedziała o tym nagraniu?

– Cieszę się, że pani o tym wspomina. Biorąc pod uwagę fakt, że śledztwo jest już oficjalne, muszę prosić o przekazanie mi dyktafonu. – Pewna przesada, ale niewielka.

– Za diabła, nie ma mowy.

– W takim razie poproszę zastępcę Ramseya, żeby wystąpił o nakaz.

Zapadła głucha cisza. Potem Strike powiedziała:

– Głupia, stara kobieta ze mnie. Gdzieś zawieruszyłam to cholerstwo.

Odnaczam się wybuchowym usposobieniem. O którym wiem, że muszę

je trzymać na wodzy. Zamiast naskoczyć na Strike, zachowałam się dyplomatycznie.

– Myślałam, że celem internetowych detektywów amatorów jest rozwiązywanie umorzonych spraw.

– To nie znaczy, że chcę się dzielić z całym światem tym, co mam.

– Organa ścigania to raczej nie cały świat.

– Tak pani określa tego buraka?

– Zastępca szeryfa Ramsey nie jest burakiem.

– Z pewnością ma na ścianie dyplom Harvardu.

Gdzieś w moim brzuchu zapaliła się pierwsza iskierka.

– Pani Strike. Czy mówi coś pani termin „utrudnianie działań wymiaru sprawiedliwości”? – spytałam chłodno.

– Poszukam dyktafonu.

– Dlaczego pani dzwoni?

– Chciałam przekazać, że zamierzam znów zająć się rodziną.

– To zły pomysł.

– Może. Ale mój.

– Proszę nie...

Trzy ostre piknięcia. Rozłączyła się.

Kopnęłam swoje biurko. Tak mocno, że musiałam zdjąć but, aby zobaczyć szkody wyrządzone palcom. Bolało jak diabli, jednak niczego sobie nie zламаłam.

Znów sięgałam po telefon stacjonarny, kiedy rozdzwoniła się komórka. Sprawdziwszy, kto zacz, wzięłam długi, głęboki oddech, przełączyłam się na głośnik i położyłam aparat na blacie.

– Dzień dobry, mammo.

– Dzień dobry, słodki groszku. Mam nadzieję, że dobrze spałaś w nocy.

Miałaś taki zmęczony głos, kiedy rozmawialiśmy.

- Owszem. – Nie spałam, ale jakie to miało teraz znaczenie.
- Rozmawiałaś z tym swoim zastępcą szeryfa? Jak on się nazywa?
- Ramsey. Jeszcze nie. Planuję wkrótce do niego zadzwonić.
- A zbadałaś te kości ręki?
- Zbadałam. Niewiele mi powiedziały.

Mama odczekała, robiąc teatralną pauzę. Potem powiedziała:

- Jest coś jeszcze.

Słyszając znaną mi nutę na bezdechu, zlustrowałam blat biurka w poszukiwaniu czegoś do pisania.

- Coś jeszcze?
- Znalazłam kolejną.
- Kolejną co?
- Platformę widokową. Na Brązową Górę.
- Przypuszczam, że jest ich wiele.
- No cóż, to jesteś w błędzie. Nieważne, jak głęboko szperam, zawsze

wyskakują te trzy. I tylko te trzy.

- Naprawdę?
- Nazywa się Punkt Wisemana.
- Gdzie jest? – spytałam z roztargnieniem.
- Nieco na południe od Linville. W okręgu Avery.
- Hm.
- Słuchasz mnie?
- Słucham. – Nie słuchałam. Studiowałam spis treści ostatniego numeru

„Magazynu Medycyny Sądowej”.

Mama zamilkła. Test. Grobowa cisza zwróciła moją uwagę.

- Co chcesz zasugerować?



- Musicie szukać.
- Pod Punktem Wisemana.
- Oczywiście, że pod Punktem Wisemana.
- Kolejnych kości.
- Naprawdę, Tempe. Cieszysz się znakomitą opinią w swojej dyscyplinie.

Czy muszę ci wszystko sylabizować?

– Sugerujesz, że części zwłok mogły zostać wyrzucone z wszystkich trzech platform, z których roztacza się widok na Brązową Górę.

- Alleluja, niech się stanie jasność!
- Mamo, ja...
- Co znaleźliście do tej pory? Fragmenty dłoni i fragmenty tułowia?
- Tak. – Nie powiedziałam jej o koniuszkach palców. Sama nie

wiedziała dlaczego.

- Pasują do siebie?
- Niewykluczone.
- Ale jak dotąd nie macie ani głowy, ani kończyn.
- Zgadza się. – Iskierka we mnie rosła, stawała się cieplejsza, rozlewała

się.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale głowa mogłaby, tylko mogłaby, okazać się użyteczna w ustaleniu tożsamości osoby, której części ciała znaleziono?

- Tak.

Krótką przerwę, a potem pytanie:

- Przynajmniej omówisz moją teorię z tym swoim zastępcą szeryfa?

Zapał w jej głosie sprawił, że zabolęło mnie serce. Mama nie wykazywała ostatnio zbyt wielkiego zaangażowania. Zdaje się, że jej jedyną radością było uczestniczenie w mojej pracy, zresztą zdalnie. Dreszczyk z drugiej ręki.

Tak jak Hazel Strike i jej koleśków, internetowych detektywów?

– Pewnie, mamo – powiedziałam. – Dobra robota.

– Będziesz mnie o wszystkim informować?

– Będę.

– *Ciao*.

– *Ciao*.

Wypuściłam powietrze. Zastanawiałam się. Czy pomysł mojej matki był całkowicie niedorzeczny? A może miał solidne podstawy śledcze? Przekazać go Larabeemu? Ramseyowi? Czy któryś z nich zgodzi się na kolejną łąkę po lesie?

To było jak w *Dniu świstaka*. Znów sięgnęłam po telefon stacjonarny. Znów się zatrzymałam, bo zadzwoniła moja komórka. Zaśpiewała. Muszę jednak zmienić ten dzwonek. Znów sprawdziłam, kto zacz.

Allan Fink.

Cholera.

Tym razem nie odebrałam. Ani nie odsłuchałam wiadomości. Wiedziałam, czego Allan chce. W tej chwili nie mogłabym znieść kolejnego wykładu o odpowiedzialności podatnika.

Mój wzrok spoczął na kalendarzu leżącym na blacie biurka. Czwartek, drugi kwietnia. Nie ma pośpiechu. Jutro znajdę wszystko, czego Allan potrzebuje, żeby rozliczyć mnie z urzędem skarbowym.

Iskierka paliła się już w moich piersiach pełnym ogniem.

Wyciągnęłam z szuflady torebkę i wygrzebałam z niej dwie tabletki Tums. Przerzuciłam je z dłoni prosto do ust. Połknęłam.

Wtedy zadzwonił Ramsey.

– Sprawdziłem tę historię – powiedział bez przywitania. – Ale nie chodzi o dziennikarza. Jego już dawno nie ma. Miałaś rację. Grupa młodzieży z WCU natknęła się na kości i zawiadomiła policję. – Użył akronimu

oznaczającego Uniwersytet Zachodniej Karoliny. – W okolicach Urwiska Zagubionego Wąwozu krzyżują się dziesiątki szlaków. W każdym razie jeden z funkcjonariuszy pojechał tam wtedy i przejął to, co znaleźli.

– Dlaczego ci młodzi ludzie uznali, że to ludzkie kości?

– Też o to pytałem. Odpowiedź powinna ci się spodobać. To byli studenci antropologii.

– Co się stało z tymi przedmiotami? – Przepraszam, mam.

– Koroner był na wakacjach. Szeryf nie miał wtedy pojęcia, co zrobić ze „starymi kośćmi”, jak się o nich wyraził. W ogóle się nimi nie interesował. Młodzież zaproponowała, żeby przesłać je ich profesor, która – jak się okazało – była antropologiem sądowym.

– Marlene Penny. – Znałam ją z Amerykańskiej Akademii Medycyny Sądowej. Daleko jej było do geniuszu, już dawno przekroczyła siedemdziesiątkę, ale poza tym miała przecież certyfikat Rady Antropologii Sądowej i była całkiem kompetentna.

Usłyszałam szelest papieru.

– Tak, to ona. Mam kopię jej raportu. Przeczytać?

– Tylko najważniejsze.

– Nie wysiliła się specjalnie. To tylko jedna strona. Na liście elementów szkieletu wymienia część kości piszczelowej, kość strzałkową, piętową i skokową. – Nastąpiła przerwa, gdy Ramsey szukał istotnych dla sprawy faktów. – Dwie stępki łączyła wysuszona tkanka. Kości nóg leżały osobno.

– Jakież oceny dotyczące wieku, płci i tak dalej?

– Kości były zbyt fragmentaryczne. – Pauza. – Większość padła łupem zwierząt. Ale zdaniem profesor wszystkie należały do jednego osobnika.

– A ten osobnik był człowiekiem?

– Jest tego całkowicie pewna.

– Gdzie są teraz szczątki?

– Nic tu nie jest napisane.

Wciągnęłam głęboko powietrze. Wypuściłam je. Potem zapytałam:

– Masz parę minut?

– Pewnie.

Opowiedziałam Ramseyowi o nagraniu. O internetowych detektywach amatorach. O dziwnej wrogości Hazel Strike wobec niego. Przez cały czas słyszałam rytm jego oddechu w słuchawce. Wiedziałam, że słucha uważnie.

Kiedy skończyłam, zapytał:

– Kości dłoni znalezione przez Gunnera coś ci podpowiedziały?

– Są zgodne z kośćmi tułowia z okręgu Burke.

– To wszystko?

– To wszystko.

– A koniuszki palców?

Opowiedziałam mu o brakujących liniach papilarnych. O zespole dłoniowo-podeszwowym, wywołanym chemioterapią. O możliwości, że ofiara była leczona na raka i przechodziła terapię w miejscowym szpitalu. O Corze Teague, która porzuciła posadę niani i podobno miała problemy ze zdrowiem.

A potem o platformie widokowej Punkt Wisemana.

Na linii zapadła cisza tak długa, że pomyślałam, iż się rozłączył. Już miałam się odezwać, kiedy Ramsey coś zaproponował. Wyraziłam zgodę na jego plan i się pożegnaliśmy.

Jedną ręką podparłam sobie głowę, a drugą umieściłam na rozognionej piersi.

## Rozdział 12

Udało mi się uniknąć wezwania na dywanik do Larabeego. W sensie metaforycznym, rzecz jasna. Wszystkie nasze gabinety mają na podłodze terakotę.

Zadzwoił o czwartej, kiedy robiłam zakupy w sklepie spożywczym. Zadanie to zostawiam sobie zawsze na ostatnią chwilę, gdy moja spiżarka przypomina już bunkier w powojennym Iraku. Albo gdy muszę kupić jedzenie dla kota.

Zastawiałam się, czy nie zignorować tego telefonu. Uznałam, że i tak muszę stawić czoło nieuniknionemu.

– Gdzie jesteś? – ton głosu Larabeego był ostry jak brzytwa.

– Przykro mi, że się dzisiaj rozminęliśmy – powiedziałam, uśmiechając się tak samo jak produkty Snap, Crackle i Pop w moim wózku.

– Jesteś w swoim biurze?

– W sklepie Harris Teeter na Providence Road. Potrzebujesz czegoś?

Larabee nie zwrócił uwagi na moją ofertę. W tle słyszałam spory hałas. Głębia dźwięków sugerowała, że znajduje się na dworze.

– Cały dzień jestem na lotnisku i chyba się stąd szybko nie wyrwę.

Zamarłam, z puszką zielonego groszku w połowie drogi między półką a wózkiem.

– Co się stało?

– Jakiś durnowaty reżyser filmowy dostał się pod rotujące śmigło helikoptera podczas kręcenia zdjęć.

– Zwłoki bez głowy?

– Zbyt delikatnie powiedziane.

– Miał pozwolenie filmowania na czynnym lądowisku?

– Tak, w Wilson Air Center, tym dla snobów.

Bywałam na Wilson, przyjmującym loty prywatne i korporacyjne. Niestety, niezbyt często.

– Chcesz, żebym przyjechała na miejsce? – Proszę, powiedz, że nie.

– Nie. Ale jutro możesz być potrzebna. Urazy są rozległe.

– Mam cały dzień wolny.

– Zajmę się sekcją zwłok z samego rana. Zakładając, że do tej pory skończymy skrobanie asfaltu.

Nie brzmiało to dobrze.

– Głowa do góry – powiedziałam.

– Raczej w dół – poprawił. I już go nie było.

Wrzucając na chybił trafił różne artykuły do wózka, odtwarzałam sobie w głowie całą rozmowę. Plus: ani słowa o mojej podróży do okręgu Burke. Minus: Allan i urząd skarbowy znów muszą poczekać.

Tego wieczoru na kolację zrobiłam sobie zielone chili z kurczakiem. Ryzykowne, biorąc pod uwagę stan moich wnętrzności. Ale przepis domaga się pięciu składników. Tak właśnie gotuję. Poza tym zamrażam resztki na później.

Jadłam, jednym okiem oglądając lokalne wiadomości. Idealnie uczesana prezenterka informowała ze stosowną powagą o odkryciu trzech ciał w jakimś domu w Shelby. Ogłaszając podniesienie rangi szpitala prezbiteriańskiego do poziomu ośrodka leczenia urazów drugiego stopnia, cała się rozpromieniła. Znów się zachmurzyła, gdy zaczęła omawiać ów nieszczęsny wypadek na lądowisku Wilson Air.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia prywatnego terminalu, niewątpliwie nakręcone z drugiej strony żółtej policyjnej taśmy. Rozpoznałam Larabeego

i jednego z techników medycznych z MCME. Furgonetkę z kostnicy. Usłyszałam zdanie zakończone zwyczajową uwagą, że nazwiska denata nie można podać do wiadomości przed powiadomieniem jego rodziny.

Pozmywałam naczynia i przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy nie powrócić do sterty papierów rozłożonych na stole w jadalni. Postanowiłam jednak zainteresować się głębiej internetowymi detektywami. Opryskliwość Strike wtedy, na tamtej górze, zirytowała mnie i zmieszała jednocześnie. Przecież jej celem było rozwiązanie sprawy.

Najpierw odwiedziłam strony, które wyjaśniają samą ideę dochodzeń internetowych. Dowiedziałam się z nich, że w pewnym sensie poszukiwania te podobne są do gry terenowej, zwanej geocaching. Uczestniczyć może każdy. Na przykład facet, który naprawia ci tłumik w samochodzie. Chłopak pakujący torby w sklepie spożywczym. Staruszka, która sprzedała ci latte w Rzymie. Albo w Rydze. Albo w Rio. Wszędzie, gdzie są komputery i ciekawość.

Potem weszłam już na witryny samych poszukiwaczy. Sprawdziłam blogi, posty grupowe, wątki na chatroomach. Im więcej czytałam, tym większy czułam niepokój.

Wielu z owych ludzi wydawało się szczerych w swych zamiarach, autentycznie pragnących doprowadzić zabójców przed oblicze sprawiedliwości, dopasować bezimienne szczątki do osób zaginionych. Niektórzy byli inteligentni, ich posty obiektywne i rzeczowe. Wind. Vegasmom. Befound. Inni, choć równie mocno zaangażowani, cechowali się mniej logicznym sposobem myślenia. Oraz sposobem pisania. Crispie. Answerman. Niezależnie jednak od swej bystrości czy jej braku większość członków tej społeczności jawiła się jako ludzie uczciwi i zdecydowani, chętni do swobodnej wymiany informacji.

Nie jestem psychologiem, wyczułam tam jednak obecność także zupełnie odmiennego typu uczestnika. Ciągącego za sobą całe mnóstwo bagażu. O stanie umysłu wynikającym z osobistych doświadczeń, osobistych urazów.

Wśród członków tej drugiej grupy jedni sprawiali wrażenie, jakby zależało im na wywołaniu waśni, przy jednoczesnym przyglądaniu się jej z bezpiecznej odległości anonimowego użytkownika. Ich komentarze i odpowiedzi, często złośliwe, wskazywały na megalomanię. I paranoję.

Rozumiem naturę dialogów prowadzonych w Internecie. Nie ma w nich niuansów, zróżnicowania tonów. Po prostu słowa na ekranie. Podobnie jak w przypadku esemesów, często mogą być źle zinterpretowane, prowadzić do konfuzji, czasem być bolesne. Temperaturę niektórych debat, nierzadko bardzo wysoką, można przypisać właśnie owemu brakowi klarowności. Ale nie tylko. Wiele postów wydaje się napisanych celowo tak, by jątrzyć, by wywoływać gorycz.

Było też dla mnie oczywiste, że niektóre osoby uczestniczą w forach nie dla poszukiwania sprawiedliwości, lecz chwały. Cechowały je ostrożność i podejrzliwość. Ponieważ osoby te zebrały sporo danych, bardzo niechętnie dzieliły się z trudem zdobytymi informacjami, zwłaszcza z witrynami oficjalnymi w rodzaju NamUS czy Doe Network. Niektórzy okazywali taką zazdrość terytorialną, że przypominali wściekłego goryla afrykańskiego.

Jeszcze jeden element tej subkultury odebrałam jako szczególnie irytujący. Detektywi amatorzy potrafili rzucać się sobie wzajemnie do gardeł niczym wilki przy padlinie. Przykład: sprawa Todda Matthews'a.

Matthews był weteranem wśród internetowych detektywów, wspierał witrynę Doe Network od chwili jej powstania. Gdy powołano do życia system NamUs, a Matthews'a zatrudniono jako jego administratora, część dawnych kolegów uznała go za zdrajcę i sprzedawczyka. Chodzi



o sprawiedliwość, twierdzili, nie o stałe dochody.

Nastąpiło wzajemne obrzucanie się błotem. Doe Network oskarżyła Matthews'a o naruszenie zasad poufności i złamanie standardów wymaganych od administratora. W kwietniu 2011 roku zarząd głosował za wyrzuceniem go z pracy. Matthews odszedł, ale bez uśmiechu na twarzy.

Walka o władzę i kontrolę nie cechowała wyłącznie przedstawicieli strony Doe Network. Cold Case Investigations, Porchlight International, OPKK – wiele witryn doświadczyło własnych melodramatów. Wszystkie te utarczki i wyzwiska pozostawiły we mnie wrażenie, że czytam esemesy grupki licealnych gwiazdeczek.

O wpół do dziesiątej zrobiłam sobie przerwę. Czekając, aż zagotuje się woda w czajniku, postanowiłam zmienić taktykę. Podczas poprzednich odwiedzin na OPKK, w poszukiwaniu informacji o Corze Teague, ustaliłam, że Hazel Strike używa pseudonimu luckyloo. Zdecydowałam się sprawdzić wszystkie wątki, w których luckyloo zabierała głos.

I natrafiłam na konflikt, przy którym pozostałe po prostu zbladły. Kąśliwe uwagi i oskarżenia pomiędzy luckyloo a kimś przedstawiającym się jako WendellC, choć dalekie od poetyckich, były przynajmniej jasne co do intencji. Ci dwoje się zwyczajnie nie znosili.

Nie znałam jego prawdziwego nazwiska, dowiedziałam się jednak, że wśród społeczności internetowych detektywów WendellC jest prawdziwą legendą. Rozwiązał wiele spraw, z których szczególnie jedna przyniosła mu status supergwiazdy. Weszłam na link prowadzący do historii tego śledztwa.

W roku 1984, na polu należącym do jakiejś farmy w okręgu Cuyahoga, niedaleko Cleveland w stanie Ohio, znaleziono fragment szkieletu nastoletniej dziewczyny, owinięty w kołdrę. Czaszka była w komplecie, co pozwoliło na odtworzenie rysów twarzy. Po pewnym czasie jej wizerunek,

właściwie przypominający szkic, pojawił się na wszystkich tego typu stronach w całym cyberwszechświecie.

Przez dziesięciolecia próbowano drażnić sprawę na różne sposoby, nigdy jednak nie ustalono tożsamości ofiary, nie powiązano jej z osobą zaginioną. Szkielet zaczęto nazywać Dziewczyną w Kołdrze.

Od czasu do czasu w lokalnych gazetach w Ohio pojawiały się na jej temat artykuły. W 2004 roku, w dwudziestą rocznicę znalezienia szkieletu, sprawę przedstawiono w programie telewizyjnym *America's Most Wanted*, wraz z oryginalną rekonstrukcją twarzy. Napłynęło mnóstwo informacji. Żadna na nic się nie przydała.

W roku 2007, ponad dwie dekady od znalezienia na polu soi Dziewczyny w Kołdrze, WendellC przeczytał w magazynie „True Sleuth” pewien artykuł. Przypomniano w nim sprawę Annette Wyant, osiemnastoletniej studentki pierwszego roku, która zniknęła z college’u Oberlin w 1997 roku. Dołączono fotografię Wyant, odpowiednio postarzoną, tak by wyglądała na czterdzieści osiem lat.

WendellC znał rekonstrukcję twarzy Dziewczyny w Kołdrze. Zdjęcie Annette Wyant zupełnie jej nie przypominało, nie było więc żadnego powodu, by je ze sobą łączyć. Lecz WendellC zwrócił uwagę na jeden uderzający fakt. College Oberlin znajdował się sześćdziesiąt kilometrów od farmy, na której znaleziono Dziewczynę w Kołdrze. Zadzwoił do lekarza sądowego okręgu Cuyahoga i poprosił o fotografię czaszki z sekcji zwłok, w zbliżeniu. Ówczesny medyk, choć niechętnie, wyraził na to zgodę.

Kiedy WendellC zobaczył zdjęcie, dostrzegł kolejny istotny fakt. Annette Wyant i Dziewczyna w Kołdrze miały wyraźną wadę zgryzu, której to cechy nie przedstawiono w rekonstrukcji twarzy. Ponownie zatelefonował do medyka sądowego, stwierdzając, że jego zdaniem szkielet należy do

zaginionej studentki.

Ze starych archiwów, których nikt już właściwie nie prowadził, wydobyto dane stomatologiczne. Dwadzieścia trzy lata po znalezieniu Dziewczyna w Kołdrze wróciła do domu, do rodziny.

Weszłam na Google i znalazłam kolejne artykuły poświęcone jej zniknięciu, a także nowsze, na temat identyfikacji szczątków. Annette Wyant pochowano cicho w jej rodzinnym miasteczku Plainfield w stanie Illinois. „Chicago Tribune” zamieściła krótką notkę. Podobnie jak dziennik „Plain Dealer” z Cleveland. W obu reprodukowano fotografię, na której przy grobie stoi kobieta w średnim wieku, a obok niej wysoki mężczyzna z pobrużdżoną twarzą, w źle dopasowanym garniturze. Podpis pod zdjęciem informował, że kobieta to siostra Wyant, mężczyzna zaś nazywa się Wendell Clyde i pochodzi z Huntersville w Karolinie Północnej.

Nigdy nikogo nie aresztowano. Z doświadczenia wnioskowałam, że sprawa śmierci Wyant pozostaje „niewyjaśniona”.

Zaintrygowana, wróciłam do stron internetowych detektywów.

W bardzo wielu wątkach dyskusyjnych użytkownicy chwalili inteligencję i upór WendellaC. Z całego świata napływały gratulacje.

Hazel Strike wpadła we wściekłość i nie przebierała w słowach. W niezliczonych postach nazywała WendellaC podstępny padalcem. Zastranym szarlatanem. Oślizłym oszustem. Twierdziła, że wcześniej ona i Clyde tworzyli zespół. Oskarżyła go o przywłaszczenie sobie ich wspólnych odkryć. WendellC był w swoich odpowiedziach równie zjadliwy jak ona.

Cała ta dysputa byłaby nawet zabawna, gdyby nie jej jadowitość. Wytrzymałam jeszcze tylko pół godziny. Potem, zniechęcona infantylnością sprzeczki, poszłam spać.

Piątek spędziłam, urabiając sobie ręce po łokcie nad tkanką mózgową

i pokrwawionymi fragmentami kości.

Ofiarą helikoptera był trzydziestodwuletni mężczyzna nazwiskiem Connolly Sanford. Jego pierwsza praca na stanowisku reżysera okazała się zarazem ostatnią. A pogrzeb będzie musiał się odbyć – zdecydowanie – przy zamkniętej trumnie.

Podczas gdy Larabee robił sekcję zwłok Sanforda, ja badałam to, co pozostało z jego głowy. A było tego niewiele. Właściwie tylko kawałki kości ciemieniowej i potylicznej, z których największy miał wielkość ucha. Uszy też się zachowały.

Tożsamość ofiary nie ulegała wątpliwości, ponieważ świadkiem wypadku była cała ekipa filmowa. Podobnie jeśli chodzi o przyczynę śmierci. Larabee potrzebował jedynie potwierdzenia, że uraz czaszki powstał wyłącznie w wyniku uderzenia śmigła.

Szef cały czas pracował nad tym przypadkiem, ja zaś skończyłam już o trzeciej. Posprzątałam po sobie, przebrałam się w czysty fartuch, a następnie zadzwoniłam do Marlene Penny z WCU z pytaniem o kości z Urwiska Zagubionego Wąwozu. Przełączyło mnie na pocztę głosową. Pozostawiłam wiadomość z prośbą, żeby oddzwoniła.

Przed wyjściem zgłosiłam Larabeemu, że nie znalazłam żadnych pocisków, zatrutych strzałek, nic, co sugerowałoby udział osób trzecich w zdarzeniu. W grę wchodziło jedynie kręcące się śmigło i bardzo pechowe przemieszczanie się. Podziękował mi. Wyglądał na wykończonego. Życzyłam mu udanego weekendu, a potem szybko się odmeldowałam, zanim zdążył przypomnieć sobie o swojej irytacji w związku z moim niesubordynowanym wypadem do okręgu Burke. Albo zapytać, co zamierzam robić dalej.

Ramsey zadzwonił, gdy szcztokowałam zęby. Potwierdziłam swój

przyjazd, zgodnie z planem.

Zastanawiałam się też, czy nie zatelefonować do Ryana. Rozmowa z nim zawsze bardzo poprawia mi humor. Zawsze pomaga uporządkować myśli w sposób produktywny. Prawie zawsze. W tej chwili jednak brakowało mi energii, aby znieść dyskusję o wolnym związku. Albo o ślubie. Wolałam wyłączyć dzwonek.

Zmęczenie organizmu szybko wzięło górę nad pobudzeniem umysłowym. Sen spadł na mnie jak gruby wełniany koc.

I bardzo dobrze. Ponieważ kolejny dzień trwał jakieś trzy miesiące.

## Rozdział 13

Birdie, będący na nogach jeszcze przed budzikiem, przekonał mnie do wstania, gryząc moje włosy.

Kot udawał, że umiera z głodu, poszliśmy więc od razu na śniadanie. Gdy on chrupał swoje Science Diet, ja zjadłam bajgla z serkiem śmietankowym i popiłam kawą tak mocną, że utrzymywała łyżeczkę na baczność.

Nasycony Bird wybrał się na zwiady w poszukiwaniu miejsca na swoją pierwszą poranną drzemkę. Napełniłam termos pozostałą ilością kawy, a potem zrobiłam sobie kanapki i schowałam je do torby, przez cały czas zastanawiając się nad obecnością salami i sera w lodówce. Zupełnie nie pamiętałam, żebym je kupowała.

Kiedy czyniłam te przygotowania, współzawodniczyły we mnie przeciwstawne uczucia. Była sobota. Uniwersytet Duke miał rozegrać mecz przeciwko Karolinie w ramach finałowej czwórki zawodów organizowanych przez NCAA, dlatego miałam ochotę pozostać w domu, zamówić pizzę i go obejrzeć. Ale pragnęłam także ustalić tożsamość ME229-13.

Wróciwszy do pokoju, sprawdziłam w komórce prognozę pogody. Niebo nad Charlotte miało być pogodne, maksymalna temperatura siedem stopni Celsjusza. Ikonka na wyświetlaczu pokazywała dwa nieodebrane połączenia. Wcisnęłam ją.

Dzwonił Ryan, lecz nie pozostawił żadnej wiadomości. Znów zapukało do mnie znajome, dokuczliwe poczucie winy. Odmówiłam mu wstępu.

Dzwoniła też Hazel Strike. Prosiła o telefon zwrotny.

Wiedząc, że w wyższych partiach gór będzie zimniej, ubrałam się w spodnie, koszulę z długim rękawem, włożyłam wełniane skarpetki

i solidne buty. Wzięłam również sweter, telefon wcisnęłam do kieszeni i zbiegłam po schodach. Chwilka na zebranie wierzchniego okrycia oraz plecak i już mnie nie było. O szóstej czterdzieści pięć rano.

Pojechałam drogą I-85 na południe do Gastonii, potem 321 na północ do Hickory, skąd szosą I-40 skierowałam się na zachód. Miejskie drapacze chmur, potem domki jednorodzinne, utworzone jakby od jednej foremki, przydrożne centra handlowe na przedmieściach – wszystko to mijałam w otaczającej mnie ciemności. Nie zwracałam na nie żadnej uwagi. Moje myśli skupiały się na mamie. I na Ramseyu. Oraz miejscu wysoko w górach, którego nigdy nie widziałam.

Zanim dotarłam do Morganton, świat za szybą przypominał płótno Moneta, pełne stłumionych bursztynów i zieleni. Słupy energetyczne, drzewa i ogrodzenia rzucały długie, zniekształcone cienie na drogę i pola, rozciągające się po obu stronach jezdni.

Dojechałam stoosiemdziesiątkajedynką do Pasma Jonasa, potem skręciłam w lewo i wykonałam pętlę powrotną w kierunku południowo-zachodnim, na NC 183. Kiedy po raz drugi w tym tygodniu pokonywałam serpentyny Parku Krajobrazowego Pisgah, minęły mnie jedynie cztery samochody. Policzyłam.

W końcu zauważyłam znak wskazujący drogę do Punktu Wisemana. Skręciłam na trakt 1238, leśną drogę dojazdową dla służb, żużlową i szeroką na tyle, by zmieścił się jeden pojazd. Znajdowałam się zaledwie parę kilometrów od maleńkiej osady Linville Falls.

Po sześciu kilometrach ostrych zakrętów oraz stromych zjazdów i podjazdów, o których nie mogę powiedzieć, żeby sprawiły mi przyjemność, wśród listowia ukazał się drugi znak. Skręciłam na utwardzany parking, zastanawiając się, ile części mojego samochodu tudzież plomb w użębieniu

zostało właśnie obluzowanych.

Co dziwne, na parkingu stało już kilka innych aut – czerwona toyota camry, jakiś pick-up z pęknięciem na przedniej szybie, przypominającym kształtem półwysep Cape Cod, srebrne audi A3 oraz czarny SUV. Logo wydziału szeryfa na jego boku poinformowało mnie, że Ramsey i Gunner są już na miejscu. Wysiadłam i rozejrzałam się. Nigdzie nie było widać ani zastępcy, ani jego psa.

Powietrze było rześkie, niosło w sobie chłód wczesnego poranka. Nie taki, jak wilgotne zimno Quebecu, które blokuje oddech i w kilka sekund znieczula twarz. Ale dostateczny. W otaczających mnie górach zawodził kłusujący lodowato wiatr.

Założyłam na siebie kurtkę, a sweter, czapkę i rękawiczki wcisnęłam do plecaczka. Wyjęłam z bagażnika swój podręczny zestaw i stałam przez chwilę, nasłuchując.

Docierała do mnie cała symfonia cichych odgłosów. Tik-tik-tik studzącego się silnika samochodu. Stabilne oddychanie moich płuc. Szum gałęzi nad głową.

Spojrzałam do góry. Wiatr utrudniał budowę gniazdka jakiemuś drozdowi.

Życząc ptakowi powodzenia, przeszłam w kierunku przerwy między drzewami, za SUV-em. Zaczynała się tam ścieżka, wąska i na pewnym odcinku wyłożona popękany asfaltem. Za pordzewiałą balustradą, wyznaczającą jej prawą stronę, teren opadał gwałtownie i stromo. Kilka metrów dalej szlak zakręcał w lewo, wbijał się w górę i zniknął z pola widzenia.

Szczyć się tym, że trudno mną wstrząsnąć. W większości wypadków to prawda. Ale przyznam szczerze, jest coś, co mnie przeraża: wysoko położone



miejsca bez zabezpieczenia. Nie upadku się boję, lecz twardego lądowania.

Z sercem bijącym nieco zbyt szybko poprawiłam paski plecaka, silniej zacisnęłam dłoń na swoim zestawie i zrobiłam krok w kierunku szlaku. Las mieszany, sosnowo-liściasty, był tak gęsty, że czułam się, jakbym wkraczała w jakiś mural malarstwa iluzjonistycznego, stworzony ze światłocienia. Gdzieś z dołu, z dala, docierał do mnie odgłos wartko płynącej wody.

Szłam przed siebie, a obcasy moich butów szurały głośno w rześkim powietrzu poranka. Tu i ówdzie na asfalt padały promienie słonecznego światła. Kątem oka widziałam strome urwisko po swojej prawej.

Po pięćdziesięciu metrach usłyszałam przed sobą odgłos kroków i zatrzymałam się. W przeciągu paru sekund zobaczyłam jakąś parę zmierzającą gęsiego w moją stronę. Ona szła pewnie, rozglądając się wszędzie wokół. On poruszał się ostrożnie, wpatrzony prosto przed siebie. Przycisnęłam się plecami do zbocza, aby pozwolić im się minąć.

Gdy odgłosy ich marszu ucichły, zaczęłam znów nasłuchiwać. Nic poza przytłumionym szemraniem wody.

Po kolejnych prawie stu metrach ścieżka skończyła się na skalnym wypiętrzeniu, otoczonym taką samą pordzewiałą balustradą. Z obu jej stron ustawiono pulpity informacyjne, wskazujące najciekawsze punkty. Przy jednym z nich, zachodnim, stało czworo ludzi; troje skupionych blisko siebie, czwarta osoba samotnie. Trójka musiała robić zakupy w LLBean. Samotnik wyglądał jak tyranozaur ubrany na przechadzkę.

Ramsey opierał się łokciem o reling po przeciwnej stronie, z Gunnerem u nogi.

– Dzień dobry, Karolino! – zawołałam, udając radiowy głos Robina Williamsa, która to brawura miała głównie na celu uspokojenie moich własnych nerwów.

Pies postawił natychmiast uszy na sztorc, a potem – ze zwisającym fioletowym językiem – podbiegł truchtem, żeby się ze mną przywitać. Poklepałam go po głowie.

Zastępca szeryfa przyglądał się przez kilka sekund, jak się zbliżam, po czym znów odwrócił się w kierunku podziwianego wcześniej widoku. Przez chwilę wpatrywaliśmy się weń w milczeniu.

– Patrzymy na wschód, w stronę wąwozu Linville.

– Imponujące – powiedziałam.

– Jeden z najgłębszych kanionów we wschodniej części Stanów Zjednoczonych. I jeden z najbardziej dzikich. Wiesz, jak powstał?

Pokręciłam głową.

– Rzeka Linville ma swoje źródła wysoko na Górze Dziadka. Na długości zaledwie dwudziestu kilometrów spadek nurtu wynosi aż siedemset metrów. Poziom wyrównuje się dopiero w dolinie Catawba. Cała ta wałaca w dół woda musiała przebić się bezpośrednio przez skały.

– Jak wysoko nad rzeką jesteście?

– Około pięciuset metrów, niemal pionowo. – Po chwili Ramsey zapytał: – Słyszałaś kiedyś o Williamie i Johnie Linville'ach?

– Nie.

– Ojciec i syn, badacze. W tysiąc siedemset sześćdziesiątym szóstym roku Czirokezi potraktowali ich wyjątkowo i obu oskalpowali.

– Auć.

Kąciki ust Ramsey'a uniosły się ledwie dostrzegalnie.

– Ich imiona nadano całemu stadu punktów orientacyjnych i obiektów przyrodniczych.

To była prawda. Oprócz wąwozu i rzeki, jaskiń, wodospadów i dzikich ostępów, nazwę Linville nosiło również kilka miejscowości.

– Mimo wszystko przykry to sposób, by zyskać sławę – zauważyłam.

Niewykluczone, że Ramsey znów się uśmiechnął. A może nie. Podniósł jedną rękę i otwartą dłońią wykonał gest obejmujący krajobraz. – Za tym wąwozem jest Pasma Jonasa. – Gdy wymieniał różne formacje skalne, jego ręka jakby lekko krajała powietrze. – Siedzący Niedźwiedź, Żółt Szylkretowy, Góra Stołowa, Kominy. Ten teren to labirynt pieszych szlaków.

– Dobrze określenie, labirynt – powiedziałam.

Tym razem z pewnością się uśmiechnął. Pod jego wełnianą czapką, naciągniętą nisko na brwi, wyraz twarzy zupełnie się zmienił. O rany.

– Gdzie jest Brązowa Góra?

– Widzisz ten niski wierzchołek tam daleko, za granią?

Kiwnęłam głową.

– To ona. Jakież trzynaście kilometrów stąd.

– A gdzie odbywa się pokaz światła?

– Większość turystów kieruje swoje aparaty tam. – Wskazał górę po przeciwnej stronie.

– Myślisz, że istnieją naprawdę?

– Widziałem je. – Ujrzawszy mój zdziwiony wzrok, powiedział: – Coś jakby migotanie, przypominające machanie latarkami wśród drzew.

– Jaka jest twoja teoria?

– Niektórzy powiadają, że to gaz bagienny.

– W przypadku gazu bagiennego w warunkach naturalnych nigdy nie dochodzi do samozapłonu.

– Zgoda. Potrzebny jest konkretny skład chemiczny. Naukowcy wytworzyli coś takiego w laboratoriach. Mówią, że zaczyna się od małego wybuchu, a potem widać niebieskozielony płomień.

– Który nie gaśnie zbyt szybko.

– To prawda.

Grupka ludzi za naszymi plecami skierowała się ku nam i zajęła pozycje wzdłuż balustrady. Samotnik prowadził wszystkich pozostałych, ale znów trzymał się z boku.

– Wdowy czirokeskie? – zapytałam.

– Więc znasz miejscowy folklor.

– Bardzo słabo.

– Problem polega na tym, że te panie powinny wędrować po niebie, nie po ziemi. A tymczasem światła widać nie ponad granią, lecz niżej, między drzewami. – Jak gdyby moja sugestia była serio. – I wątpię, żeby Czirokezi znali technikę budowania lampionów.

– A jeśli ich kobiety po prostu płonęły na myśl o byłych mężach?

Ramsey zignorował mój dowcip. Może go nie zrozumiał.

– Przeprowadziłem pewne poszukiwania. W piśmiennictwie Czirokezów nigdzie nie natrafiłem na wzmiankę o tej legendzie. Jedyne odniesienia znajdują się w literaturze poświęconej samym światłom. Co nie znaczy, że opowieści te nie istnieją. Ja ich po prostu nie znalazłem.

– Refleksy świetlne odbijające się w aparaturze do produkcji bimbrowy? – zaryzykowałam jedyną pozostałą teorię, którą znałam.

– Sądysz, że nielegalni bimbrownicy prowadzą swój proceder właśnie tam, w towarzystwie pieszych turystów i wspinaczy skałkowych, w polu widzenia najpopularniejszej w całym stanie platformy widokowej?

– W sercu labiryntu. – Jezu. Czyżbym z nim flirtowała?

Ramsey się wyprostował.

– Przyczyna nie ma znaczenia. *Ewentualne* znaczenie może mieć to, że wiele osób wierzy w realność tych światel, w ich pochodzenie paranormalne, mistyczne czy jakie tam chcesz.

– Że ta góra jest nawiedzona.

– W pewnym sensie. – Żuchwa Ramseya napięła się, potem rozluźniła. – Są i tacy, dla których to robota diabła.

Zastanawiałam się przez chwilę. Potem zrozumiałam płynące z tego wnioski. – Sugerujesz, że to jest powód, dla którego z tych punktów widokowych zrzucano ludzkie szczątki? Kult szatana?

– Demonów? Kosmitów? Nimf? Duszków leśnych? Kto wie. W tych górach mieszka nadreprezentacja idiotów.

Milczałam.

– Brzmi niedorzecznie? – zapytał Ramsey.

– Słyszałam bardziej zwariowane rzeczy.

Przy relingu troje turystów wciąż coś pokazywało i trajkotało. Samotnik zbliżył się bardziej do nas. Nie podziwiał widoków. Stał bez ruchu, ze spuszczonym wzrokiem, jakby zastanawiając się nad dalszą trasą.

Ramsey się wyprostował.

– Tak czy owak, stąd nikt niczego nie zrzucał.

– Zgadzam się. Zbyt wielu ludzi. I za trudny dostęp.

– Ruszajmy.

– Dokąd?

– W miejsce, które wybrałbym, żeby pozbyć się ciała.

Ramsey kroczył już w kierunku ścieżki, z Gunnerem u nogi, nie pozostawiając mi innego wyboru, jak tylko pójść za nim. Kiedy dotarłam do parkingu, zwierzę siedziało z tyłu SUV-a, a zastępca szeryfa za jego kierownicą. Drzwi od strony pasażera oraz tylna klapa stały otworem. Subtelne.

Wrzuciłam swój sprzęt do bagażnika i wsiadłam do samochodu. Wyjechawszy z parkingu, Ramsey zaskoczył mnie, ponieważ podjął

rozmowę.

– Co wiesz o Teague'ach?

– Niewiele. – Opowiedziałam mu to, czego sama się dowiedziałam od Hazel Strike. John. Fatima. Pięcioro dzieci. Niezgłoszenie zaginięcia Cory, drugiej najmłodszej córki, którą po raz ostatni widział anonimowy użytkownik jednej ze stron dla internetowych detektywów amatorów, OPKK, trzy i pół roku temu.

– Popytałem tu i tam. – Ramsey skręcił na 1238. Zaczęliśmy podskakiwać i chwiać się w drodze na południe, wzdłuż górskiego grzbietu. – Teague'owie należą do dość ekscentrycznej grupy zielonoświątkowców. Ich kongregacja liczy może ze stu członków.

– Jak się nazywa?

– Kościół Uświęceniowy Jezusa Pana.

– Poskramiacze węży?

Miałam na myśli ruch religijny założony przez George'a Wenta Hensleya w roku 1910. Jego członkowie poskramiali jadowite węże, pili truciznę, a jeśli udało im się nawiązać kontakt z Duchem Świętym, mówili różnymi językami. Kościoły tego typu mają w Appalachach silną pozycję, w tym także w górach Karoliny Północnej.

Ramsey wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia o ich teologii. Wiem tylko, że trzymają się razem.

– Jeśli tak cenią świętość, nie powinni mieć bzika na punkcie szatana – powiedziałam.

– Nie sądzę. – Słońce padło na oblicze Ramseya, oświetlając jego nos, pogłębiając linie i zmarszczki w kącikach oczu i ust. – Byłem u Teague'ów.

To mnie zaskoczyło.

– Są skorzy do współpracy?

– Nie zaproszono mnie na biszkopty, jeśli to masz na myśli.  
Rozmawiałem z Johnem przez siatkę w drzwiach.

– Jakie odniosłeś wrażenie?

– Intensywne. – Zastanawiał się przez chwilę. – Był wojowniczy.

– Niegrzeczny?

– Raczej tak.

– A matka?

– Nie widziałem jej.

– Co John powiedział o Corze?

– Że wyjechała z jakimś mężczyzną. Że oboje są grzesznikami. I spłoną w piekle. Wynos się z mojej posesji albo skopię ci dupę.

– Myślisz, że powiedział prawdę?

– Że mi skopie dupę?

– O Corze.

– Facet jest oddany Bogu, ale nie powiedziałaabyś, że potrafi wybaczać.

Ramsey zatrzymał wóz na poboczu i wyłączył silnik. Rozejrzałam się. Nie dostrzegłam niczego poza tą samą mieszaniną drzew, tą samą nieutwardzoną drogą, którą przedzieraliśmy się przez ostatnie dziesięć minut.

Ramsey, schowawszy kluczyki do kieszeni, oparł się jednym ramieniem o kierownicę i obrócił twarzą do mnie.

– Z jednym wyjątkiem.

Nie potrafiłam zinterpretować wyrazu jego twarzy. Ale jego głos miał w sobie twardość, której wcześniej w nim nie było. Czekałam.

– Zgodnie z twoją sugestią wpadłem wczoraj do szpitala Cannon Memorial, żeby popytać o pacjentów po chemioterapii. – Ramsey miał na myśli szpital imienia Charlesa A. Cannona Juniora w Linville. – Nic nie uzyskałem. Gdy jednak podałem nazwisko Cory Teague, jeden z lekarzy dał

do zrozumienia, że byłoby dobrze zainteresować się śmiercią jej młodszego brata.

– Eli zmarł, kiedy miał dwanaście lat.

Ramsey spojrzał na mnie dziwnie.

– Zgadza się.

– Przyczyna?

– Rozległy urazowy krwiak podtwardówkowy. Rodzice powiedzieli, że spadł ze schodów w piwnicy.

– Ale ten lekarz miał wątpliwości?

– Pełnił wtedy dyżur na pogotowiu. Pamięta dzieciaka. Nie mógł rozmawiać ze mną o szczegółach ze względu na tajemnicę lekarską, wiadomo. Jednak odnosił wrażenie, że coś było nie tak.

– To znaczy, że obrażenia dziecka nie zgadzały się z wersją podaną przez rodziców?

Palce Ramseya zacisnęły się na kierownicy. Kiwnął głową.

Usłyszałam głos przerażonej dziewczyny z nagrania. Czułam ciemne widmo Brązowej Góry za oknem.

– Czyli mamy do czynienia z ojcem fanatykiem i zbuntowaną córką. – W ciszy panującej we wnętrzu SUV-a sama mówiłam zduszonym głosem. – I nagłym zejściem młodszego brata.

– Triada, która mogła doprowadzić do jej śmierci – powiedział Ramsey.



## Rozdział 14

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam.

Ramsey wskazał brodą drzewa przed nami, trochę na lewo.

– Widzisz tę przerwę?

– Hm. – Nie widziałam.

– To początek szlaku prowadzącego do wąwozu. Wszystkie trasy mają nazwy. Sosnowa Przepaść. Urwisko Bynuma. Wieża Babel. Ta nazywa się Diabelski Ogon. Kiedyś popularna wśród zaawansowanych piechurów.

– Kiedyś?

– Służba parku przestała utrzymywać szlak po tym, jak burza oberwała jego dolną część. – Oczy Ramseya napotkały moje. – Diabelskiego Ogona nie ma już na stronach internetowych, więc o jego istnieniu wiedzą tylko miejscowi.

Kiwnęłam głową na znak, że zrozumiałam, co ma na myśli.

– Gotowa?

– Mam wziąć swój sprzęt? – spytałam.

– Najpierw zobaczmy, co tam jest. Idźmy za nosem Gunnera.

Słyszając swoje imię, pies wstał i zamachał ogonem. Ramsey i ja wysiedliśmy z samochodu. Kiedy otworzyły się tylne drzwi, Gunner wyskoczył z tą swoją dystygowaną gracją, którą nauczyłam się już podziwiać.

– Patrz pod nogi – ostrzegł mnie Ramsey.

No jasne.

„Przerwa”, wspomniana przez Ramseya, była niczym więcej niż tylko przerzedzeniem w starodrzewie. Gunner prowadził, torowaliśmy sobie drogę

wśród sosen i drzew liściastych, idąc wąską ścieżynką porośłą bluszczem i pnączami. Snopy światła słonecznego, przebijające się przez nagie gałęzie i baldachim z igieł, dawały niemal oszałamiający efekt. Moją twarz oblepiały niewidzialne pajęczyny, leżące na poszyciu gałęzie groziły ciosem w kostkę. Lecz nie trwało to długo. Dziesięć metrów od drogi teren gwałtownie opadał.

Żadnej barierki. Żadnych dodających otuchy znaków parkowych. Jedynie otwarte niebo i zwietrzała skała, stara jak sama planeta.

Pompa adrenalina wprawiła moje nerwy w drżenie. Może przez tę stromiznę. Może przez fakt, że Ramsey miał rację. Miejsce było opuszczone, dostęp do niego łatwy. Wyrzucony stąd obiekt mógłby nigdy nie zostać znaleziony.

Zatrzymałam się z tyłu, a Ramsey i Gunner ruszyli prosto ku czemuś, co wyglądało jak koniec całego wszechświata. Jeden głęboki, uspokajający wdech. Następnie, bardzo ostrożnie, dołączyłam do tamtych i położyłam jedną stopę na odsłoniętym głazie, na krawędzi przepaści.

– Spory spadek – powiedział Ramsey, nie patrząc na mnie.

Moje tętno sięgnęło stratosfery. Objęłam ramieniem jakiś klon, zaparłam się obiema stopami i wychyliłam do przodu. Poniżej zobaczyłam fragmenty tego, co pozostało z Diabelskiego Ogona, opadającego ostro w dół, pomiędzy drzewami. Kawałek lasu, a potem szlak znów pojawiał się w płytkim wgłębieniu, otoczonym przez mały skalisty gzyms. Całość przypominała mi formację skalną przedstawioną na stronie internetowej okręgu Burke.

Jednak z pewną różnicą. Ten występ był jeszcze bardziej zalesiony. Stała na nim prymitywna szopa. Za nią i trochę poniżej grunt znów się podnosił, tworząc jakby trzeci schodek, a potem opadał nagim urwiskiem prosto w wąwóz.

Spojrzałam na Ramseya. Przyglądał się Gunnerowi. Pies stał napięty. Uszy miał zwrócone do tyłu, głowę nisko, wzrok wlepiony w szopę.

– Co to jest? – zapytałam.

– Pewnie opuszczony schron służb parkowych.

– Zwrócił uwagę Gunnera.

– Owszem.

– Mógł z tak daleka złapać jakiś zapach?

– Zdarzało mu się już wcześniej.

– Uda nam się tam dostać?

– Ścieżka stąd do pierwszej skały jest w całkiem dobrym stanie.

Musiałam mieć sceptyczny wyraz twarzy.

– To może sam sprawdzę, co tak intryguje Gunnera – rzekł Ramsey. – Jeśli znajdę coś podejrzanego, dam ci znać.

– Nie ma mowy. – W moim głosie było milion razy więcej pewności siebie, niż naprawdę czułam.

– W takim razie w porządku. Idziemy.

Ramsey zagwizdał, krótko i przenikliwie. Pies skoczył na prawo, zniknął, i po kilku sekundach pojawił się na Diabelskim Ogonie. Mignęła jego brązowa sylwetka i już go nie było.

Ramsey prowadził. Szłam za nim, ze wzrokiem przylepionym do ziemi.

„Całkiem dobry” w języku zastępcy szeryfa oznaczał „stromy i zdradziecki”. Idąc chwiejnie od jednego pnia drzewa do kolejnego, posuwałam się w dół tak, jakbym trawersowała pole minowe. Od czasu do czasu ślizgał mi się któryś z butów, uwalniając kaskadę kamyków i grudek błota, opadającą tuż przede mną.

Gdy się tak przemieszczałam, mój mózg rejestrował dane. Zapach sosen. Ledwo wyczuwalny smród skunksa. Porosty. Czarne, koronkowe gałęzie nad

głową. Delikatne srebrne pasemka u moich stóp.

Ptasie głosy wyrażały same skomplikowane skargi. Daleko w dole rzeka wcinała się w skałę wulkaniczną. W pewnej chwili usłyszałam poruszenie w leśnej ściółce, a po nim urywany pisk. Zatrzymałam się, z moich piersi, przez usta, wychodziły maleńkie obłoki mgły. Wyobraziłam sobie nieszczęsnego królika albo wiewiórkę, z oczami zachodzącymi błoną, z futerkiem pociemniałym od krwi.

Umysł podsuwał mi wybór ewentualnych drapieżników. Mokasyn miedziogłowiec. Grzechotnik leśny.

Ignorując własną wyobraźnię, nadmiernie skłonną do makabry, szłam dalej. Odnosiłam wrażenie, że pokonałam już z pięć kilometrów. Tak naprawdę po dziesięciu metrach poziom gruntu się wyrównał.

Gunner leżał na brzuchu, ze wzrokiem utkwionym w jeden z rogów szopy. Obok niego znajdował się Ramsey z rozpiętą kurtką, zgiętym jednym łokciem i dłonią wspartą na biodrze. Cień padał na jego twarz, sprawiając, że wyglądał, jakby miał głębokie fioletowe sińce.

Przez krótką szaloną chwilę poczułam zimny dreszcz wobec wrogiej obecności kogoś, kto zamieszkuje ów mroczny, zamknięty świat, który naruszyliśmy.

Otrząśnij się, Brennan.

Podeszłam do Ramseya. Z bliska widać było, że szopa ledwie trzyma się kupy. Krył ją blaszany dach, pordzewiały i wyrywający się gwoździom, które miały go zabezpieczać. Ściany zrobiono z surowych sosnowych desek, pewnie na miejscu, i szybko złączono ze sobą. Tu i ówdzie któraś z nich odpadła albo poluzowała się na jednym z końców i tkwiła pod dziwnym kątem.

Bez słowa Ramsey wyciągnął zza paska latarkę Maglite i gestem kazał mi

stanąć za sobą.

Doprawdy? Zakwestionowałam to polecenie, unosząc do góry dłonie i brwi.

– Kolejnym powodem, dla którego ten szlak został zamknięty, jest duża populacja czarnego niedźwiedzia.

– No tak. – Stałam za plecami Ramseya.

– Nie zauważyłem żadnych odchodów. Mimo to lepiej unikać niespodzianek.

– A co z Gunnerem? – Z jakiejś przyczyny czułam się zmuszona szeptać.

– To znaczy?

– Daje sobie radę z niedźwiedziami?

– Ignoruje je, a one odwdzięczają mu się tym samym.

Bez ostrzeżenia Ramsey walnął latarką w metalowy dach. Aż podskoczyłam.

Z wnętrza szopy nie wyleciał z rykiem żaden hibernujący potwór. Nie zaszarżowała na nas rozwścieczona matka z gatunku *Ursus*.

– Hej! – krzyknął Ramsey.

Cisza.

Zadowolony, że nikogo w środku nie ma, Ramsey obszedł jeden z narożników szopy. Mając mnie u swego boku, wolną ręką pchnął drzwi, które przesunęły się na zawiasach. Oboje zapuściliśmy żurawia.

We wnętrzu chaty zalegała płatanina cieni. Tam, gdzie wygięty metalowy dach i krzywe deski tworzyły luki, bladoszare ukośniki padającego z góry światła krzyżowały się pod przeróżnymi kątami.

Ramsey włączył latarkę i uniósł ją na wysokość swojego barku. Razem przeszliśmy przez próg. Powietrze było chłodne i wilgotne. Gdy moje oczy przystosowywały się do ciemności, nos wyczuł zapach ziemi, mokrego

drewna i gnijącej roślinności.

Ramsey przesuwiał snop światła latarki powoli i metodycznie. Zauważyłam belę łańcucha, kilka pił, nożyce ogrodnicze, siekierę z długą rękojeścią, stertę parkowych znaków informacyjnych. Wszystko pordzewiałe i pokryte brudem. Na narzędziach i pomiędzy nimi wałały się wyschłe szczątki całych generacji pajaków i owadów.

Promień posuwał się do przodu, sondując. Natrafił na grabie i łopatę oparte o północną ścianę, przy której leżała drabina.

– Faktycznie – powiedział Ramsey, być może do mnie. – Magazyn służb parkowych.

Każdy zakątek wnętrza pokrywał gruby dywan pajęczyn. W jednym z rogów pod sufitem widać było zniszczone ptasie gniazdo. Pod nim na ścianach wiły się dziwne białe strumyczki, podłogę zaścielały uschłe gałęzie.

– Wygląda na to, że dość dawno nikogo tu nie było – odezwałam się.

– Tak wygląda.

Ramsey skierował promień światła na deski podłogi.

– Brak śladów włamania.

Chodziło mi o nieobecność śmieci, typowo spotykanych w opuszczonych ludzkich siedzibach: niedopałków papierosów, opakowań po fast foodach, pustych puszek i plastikowych butelek, zużytych prezerwatyw. Smrodu ludzkich odchodów i moczu.

– Owszem – zgodził się Ramsey.

– Nie uważasz tego za dziwne?

– Nie mogę sobie wyobrazić, żeby miejscowi łazili tu i podbierali stare narzędzia. Wniesienie tego złomu na górę wymagałoby wielkiego trudu.

– A dzieciaki szukające jakiegoś ustronnego miejsca?

– Ustronnego?

– Żeby napić się piwa. Zapalić trawę. – Jezu. Czy ten facet nie miał o niczym pojęcia?

– Ta sama odpowiedź. Są o wiele łatwiej dostępne miejsca, żeby to robić. Co robić?

– A ludzie z zewnątrz? – zapytałam.

– Od wielu lat ani w Internecie, ani w folderach parku nie ma słowa o tym szlaku.

– Ale przecież my dostrzegliśmy tę szopę z góry.

– Ponieważ wiedzieliśmy, gdzie szukać.

– Nie uważasz za dziwne, że w tym budynku nigdy nie obozują piesi turyści, wspinacze, myśliwi, ornitolodzy, ludzie liczący nietoperze, grzybiarze czy obserwatorzy gwiazd? – Powiedziałam to odrobinę zbyt ostro.

Nie trudząc się udzieleniem mi odpowiedzi, Ramsey wykonał kolejną rundkę latarką. Miał oczywiście rację. Mimo to coś mnie tu niepokoiło. To kwestia podstaw fizyki. Kiedy w danej przestrzeni brakuje materii i energii, coś musi wypełnić tę próżnię. W przypadku opuszczonych budowli tym czymś nieuniknienie staje się homo sapiens.

Przez szczelinę w ścianie przedarł się lodowaty podmuch i zawirował kłębem wokół mnie. Zapięłam kurtkę po samą szyję i wcisnęłam ręce do kieszeni, zastanawiając się, czy przypadkiem nie jestem najgłupszą w dziejach poszukiwaczką wiatru w polu.

A może ten dreszcz, który czułam, wywołały moce inne niż wiatr?

– Chodźmy. – Ostatnie głębokie ogarnięcie latarką wnętrza i Ramsey ją wyłączył. – Nic tu nie ma.

Szliśmy w stronę drzwi, kiedy usłyszeliśmy szczekanie. Tylko jedno szczeknięcie. Głośne i wyraźne.

Ramsey zatrzymał się. W słabym szarym świetle jego twarz sprawiała

trupie wrażenie. Potem powiedział:

– Gunner coś znalazł.

Wyskoczyliśmy pospiesznie z szopy i zaczęliśmy się rozglądać naokoło. Gunnera nie było już przy narożniku.

– Gdzie jesteście, mały? – zawołał Ramsey.

Pies raz jeszcze wydał z siebie pojedynczy skowyt, stłumiony przez drzewa. Znajdował się gdzieś pod nami, na prawo.

Popędziliśmy do krawędzi i zajrzeliśmy do wąwozu. Prawe ramię Ramseya znów było podniesione, gotowe do akcji.

Moje oczy zarejestrowały kilka tysięcy odcieni brązu oraz fragmenty szlaku, którego nie spróbowałabym pokonać, nawet będąc kilkadziesiąt lat młodsza i pod wpływem drinka Enola Gay.

– Tam. – Ramsey wskazał w dół zbocza. – Na ziemi. Widzisz?

Skierowałam wzrok wzdłuż jego palca na płataninę gigantycznych drzew. Początkowo nie dostrzegłam nic poza martwymi pniami i gałęziami.

A potem zobaczyłam Gunnera, na dole, z nosem przytkniętym do czegoś niebieskiego.

– Co to jest? – zmrużyłam oczy i osłoniłam je ręką.

– Właściwie to pytanie do Gunnera.

Nagle z jakiegoś zakątka mego umysłu wyskoczył obraz. Niedawno uzyskana informacja. Odsunęłam ją do późniejszej analizy.

– Możemy się tam dostać? – zapytałam.

– Idź za mną. – Głos Ramseya niósł w sobie napięcie. – Przemieść ciężar ciała w kierunku góry i stawiaj ręce i nogi tak jak ja.

Opuścił się z występu skalnego na coś, co przypominało dawny szlak, a następnie zaczął powoli zsuwać się w dół, starając się zachować równowagę. Ruszyłam w ślad za nim, serce waliło mi jak szalone.



Ów trzeci odcinek Diablego Ogona był jak dwa poprzednie na sterydach. Starając się naśladować każdy krok, uchwyt i oddech Ramseya, nawet nie myślałam o drodze powrotnej.

Po długim sapaniu, litrach potu oraz – z mojej strony – licznych przekleństwach, dotarliśmy w końcu na ostatnie metry. Gunner obrzucił nas krótkim spojrzeniem, a potem znów skupił się na zapachu, który musiał drażnić jego nerwy węchowe.

Pies wpatrywał się w kawałek niebieskiego plastiku, osadzonego na końcu sosnowej gałęzi ociosanej przez wiatr tak, że stała się ostra. Schyliłam się, by się jej dokładniej przyjrzeć. Zobaczyłam fragment obręczy i mały otwór, w którym kiedyś znajdował się pałak.

– Wygląda na kawałek wiadra. – Staralam się, by w moim głosie nie było słychać rozczarowania.

– Nie z tego powodu wywołał alarm – odrzekł Ramsey.

Wyprostowałam się i spojrzałam na psa. Gunner gapił się na kamień leżący trochę niżej na zboczu, zaklinowany pomiędzy sterczącymi do góry korzeniami dawno martwego, liściastego drzewa. Jego oczy, wielkie i czujne, ukazywały zbyt dużo białka.

Podeszłam do znaleziska Gunnera i kucnęłam.

Obiekt przypominał kamień, ale nim nie był. Twardy i szary, miał symetrycznie wycięte boki oraz płaskie powierzchnie na górze i na dole.

Sięgnęłam dłonią i dotknęłam tej płaskiej powierzchni. Była ziarnista i szorstka. Obiema rękami obróciłam przedmiot na drugą stronę. Aczkolwiek ciężki, ważył jednak znacznie mniej, niż sądziłam.

Brak dolnej części wyjaśniał mniejszą wagę.

Gapiałam się, zdumiona.

A potem wolno w mojej głowie ukształtowała się bardzo

nieprawdopodobna ewentualność.

Padłam na kolana i przyglądałam się obiektowi pod różnymi kątami.

Z trudem łapiąc oddech, uniosłam wzrok na fragment wiadra osadzony na gałęzi.

Nie.

Mój umysł wzbraniał się przed tym pomysłem.

Tak.

Przeszyło mnie uczucie zimna panującego w grobie.

## Rozdział 15

– To beton. – Moje serce biło szybko i mocno.

Ramsey tylko popatrzył na mnie.

– Do wiadra wiano beton i pozwolono mu stężeć. Potem zrzucano wiadro z początku szlaku prosto do wąwozu. Spadając, uderzyło w szopę i pękło.

Zerknęłam, by się przekonać, czy Ramsey za mną nadąża. Nadążał.

– Kiedy wiadro wylądowało tutaj i nadziało się na sosnę, już zresztą uszkodzone, plastik pękł i stwardniały beton wytoczył się na zewnątrz.

– Skąd wiesz, że wiadro trafiło w szopę? – Jego głos nie miał absolutnie żadnego wyrazu.

– Gunner podniósł alarm w jej południowo-wschodnim narożniku. Na deskach osadziły się niebieskie plamki. Zauważyłam je już wcześniej, ale aż do tej chwili nic mi nie mówiły.

Ramsey zastanawiał się.

– Dlaczego beton i plastik miałyby zainteresować psa do wykrywania zwłok?

– To nie one go zainteresowały. – Gestem wskazałam dolną część masy ukształtowanej przez wiadro. – Przyjrzyj się uważnie.

Ramsey klęknął na jedno kolano niedaleko mnie. Przez bardzo długą chwilę studiował ów kawałek betonu.

– Środek jest wydrążony.

– Tak.

– W kształcie głowy.

– Połowy głowy.

– Która stanowiła zawartość wspomnianego wiadra.

– Tak.

– Ktoś wsadził do wiadra odciętą głowę, zalał betonem, a potem całość dzieła wrzucił do wąwozu – podsumował bezbarwnym głosem.

Kiwnęłam głową, mimo że Ramsey wciąż spoglądał w dół.

– Więc gdzie jest ta głowa?

– Beton wyleciał z wiadra, a potem jakimś cudem pękł w środku. Może do szczeliny dostała się woda i zamarzła. Nieważne. Kiedy głowa została wystawiona na działanie żywiołów, zaczęła się rozkładać. Padlinożercy wyczuli zapach rozkładu i zorganizowali sobie piknik.

Ramsey zmarszczył brwi, lecz nie wyraził dezaprobaty dla doboru mojego słownictwa.

– I tę woń podłapał Gunner.

– Możliwe, że beton wciąż zawiera ślady materii organicznej. Skóry, włosów, krwi. – Mózgu. To pominęłam.

– Z których da się pozyskać DNA? – Nasze oczy spotkały się nagle.

Machnęłam ręką. Może tak, może nie.

Wyraz twarzy Ramseya pozostawał beznamiętny, ale widziałam, że za oczami kręcą się wszystkie kółka zębate jego mózgu.

– Głowa pozostawiła odbicie, jakby negatyw.

– Tak. Wytworzyła się forma.

– Podobna do tych, za pomocą których robi się maski pośmiertne.

– Podobna.

– Przy użyciu formy możesz wykonać trójwymiarowy odlew głowy i twarzy ofiary. – Myślał na głos. – Popiersie.

– Spróbuję. Ale to tylko połowa głowy. – Wskazałam na beton, a potem na las wokół. – Druga musi być gdzieś tam.

– No cóż. – Ramsey wstał i zlustrował zbocze. – Nie ma zatem innego

wyjścia, do jasnej cholery, jak tylko ją znaleźć.

Podniosłam się. Moje kolana zaprotestowały wobec takiego braku uprzejmości. Otrzepałam ręce i spodnie z ziemi.

Prawie się uśmiechnęłam.

A więc jednak Zastępca-Taki-Doskonały potrafi przeklinać.

Nagle, bez ostrzeżenia, coś sprawiło, że maleńkie włoski na moich ramionach i karku uniosły się w górę. Nie tyle ów dźwięk, ile dziwna anomalia w powietrzu. Stałam nieruchomo, nasłuchując.

Zanim zdołałam zidentyfikować to, co wywołało alarm moich neuronów, potężna siła rzuciła mnie na ziemię. Straciłam dech, moje płuca skurczyły się spazmatycznie.

Gdy próbowałam łykać powietrze, które nie napływało, odgłos przeszedł w miękki, narastający grzmot. Plus łomotanie, pęknięcie i trzask suchych gałęzi.

Słodki Jezu!

Coś wielkiego zsuwało się, podskakując po zboczach, prosto na nas! Przyciągnęłam kolana do piersi, wetknęłam w nie podbródek i objęłam ramionami głowę.

W samą porę. W ciągu paru sekund ciężka masa uderzyła w skupisko martwych drzew za moimi plecami, wypluwając w górę glebę i korę, które spadły niczym deszcz. Usłyszałam świst, łomot, a potem obiekt poleciał dalej, w dół zbocza.

W brzuchu mi się kotłowało. Leżałam w pozycji płodowej, czując w uszach młot własnego tętna.

– Nic ci nie jest? – Głos był blisko, a zarazem jakby milion kilometrów stąd.

Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam oddychać.

Znów ten głos. Zalękniony.

Serce zabiło jak oszalałe z dziesięć razy, po czym moje płuca rozluźniły się o jeden mikron.

Wciągnęłam powietrze. I jeszcze raz, głębiej.

Tlen pomógł. Drżenie kończyn zaczynało ustępować.

– Dostałaś?

Wciąż nie ufałam swojemu głosowi na tyle, żeby odpowiedzieć.

Obniżyłam ramiona i przyjęłam pozycję na czworaka. Nadgarstkiem otarłam usta. Wyplułam ziemię i błoto.

– Jesteś ranna?

Potrząsnęłam głową, wciąż jakby ogłuszona paniką.

– Na pewno?

– Taa.

Rozejrzałam się na boki. Ramsey klęczał, twarz osłaniał mu cień gałęzi nad naszymi głowami. Jego kurtkę i czapkę zdobiły gleba i fragmenty martwej flory.

– Co się stało, do cholery? – Przekręciłam się na tyłek.

– Przypuszczam, że to była luźna, spadająca skała. Która teraz spoczywa na dnie wąwozu.

– Jak?

Zanim Ramsey zdołał odpowiedzieć, pojawił się Gunner.

– A ty gdzie się podziewałeś, tchórze? – Mimo że wciąż mną trzęsło, spróbowałam zażartować.

Pies uniósł głowę, ale nie odpowiedział.

Ramsey wstał i wysunął do przodu rękę. Wzięłam ją i podciągnęłam się. Sprawdziłam nogi. W miarę stabilne.

– Dasz radę się wspinać? – Ramsey sprawiał wrażenie autentycznie

zatroskanego.

Kiwnęłam głową. Wcale nie byłam tego pewna.

– Taa?

– Taa. – Wskazałam kciukiem fragmenty wiadra i betonu. – A co z...?

– Wezmę.

Wspinaczka zajęła nam prawie czterdzieści minut. Bardzo niepewna. Bardzo ostrożna. Łatwo to sobie wyobrazić. Pominę szczegóły. Kiedy dotarliśmy na górę, Ramsey szedł tak długo, aż wreszcie złapaliśmy sygnał.

Nawiązawszy kontakt z cudami współczesnej komunikacji bezprzewodowej, spróbowałam zadzwonić do MCME. Trzykrotnie. Wciąż byłam na adrenalinie, dlatego stukałam w klawisze dość niezdarnie.

Larabee skierował mnie, jak się tego spodziewałam, do głównego medyka sądowego w Raleigh. Jego polecenia były takie jak poprzednio. Zebrać wszystkie najmniejsze odłamki i przewieźć do Charlotte. Jeśli będzie coś większego, wezwać furgonetkę.

Gdy rozmawialiśmy, ekran telefonu rozjaśnił sygnał rozmowy przychodzącej. Rozpoznałam numer. Hazel Strike. Zignorowałam ją.

Ramsey zadzwonił do swojego szefa. Powiedział mu krótko o wiadrze i betonie. Oraz o skale.

Szeryf Kermit Firth, w przeciwieństwie do poprzednika, był certyfikowanym śledczym kryminalnym. Stwierdził, że z uprzejmości poinformuje o sprawie okręg Burke, ale uważa, że to jego wydział najlepiej poradzi sobie z zaistniałą sytuacją. Grupa ratownicza z Avery przeszuka górę, a jego technicy zajmą się zabezpieczaniem pozyskanego materiału dowodowego.

Słuchając, jak Ramsey opisuje plan działań, wyczułam atmosferę jakby rywalizacji między nimi. Nie byłam tego pewna, zresztą niewiele mnie to

obchodziło.

Zanim doszliśmy do Diabelskiego Ogona, mój żołądek zdołał się uspokoić i zaczął zgłaszać poważne skargi. Podzieliłam się z Ramseyem kanapkami i kawą. Przyjął poczęstunek, dorzucając do puli batoniki Twix.

Usadowiliśmy się na początku szlaku, skąd w dole widać było szopę. Minęło zbyt dużo czasu, by na miejscu zdarzenia mogły zachować się jakiegokolwiek ślady, ale instynkt gliniarza niełatwo uciszyć.

Jedliśmy w milczeniu, błędząc wzrokiem po ocienionym, niewielkim występie skalnym poniżej. Wąwóz. Odległe góry w przypominającej dym mgłę. Gunner trzymał się blisko Ramseya. Nie domagał się pochwał, ale wyglądał na czujnego i pełnego nadziei.

Wpychałam właśnie opakowania do plecaczka, od niechcienia lustrując otoczenie, gdy nagle moja ręka zamarła.

– Jezu. – Gwałtownie wciągnęłam powietrze.

Zerwałam się na nogi i podbiegłam do krawędzi wzniesienia, gdzie wcześniej tego ranka staliśmy z Ramseyem. Głaz, na którym opierałam but, zniknął. W jego miejscu ziała pustka, ciemna i wilgotna ziemia, niczym świeża rana na wardze.

Ściany krateru zniekształcały głębokie żłobienia. Jego okrąg zanieczyszczała świeżo wrzuszona gleba.

Słyszając, że zbliża się Ramsey, odsunęłam się na bok. Przyglądał się dziurze, żłobieniom, świeżym rozpryskom błota. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, zauważyłam, że oczy ma pociemniałe z gniewu.

– Ktoś dołożył pewnych starań, żeby poruszyć to maleństwo.

– Tak.

– Nie wygląda na zbieg okoliczności, że to my akurat byliśmy tam na dole.



– Nie.

– To coś mogło zabić...

Wypowiedź Ramseya przerwał odgłos silnika. Oboje obróciliśmy się w kierunku drogi. Zastępca szeryfa klepnął się w biodro, dając sygnał psu. Gunner przybiegł do nas, wspólnie schroniliśmy się w cieniu drzew.

Szum narastał i nagle ustał gwałtownie. Trzasnęły drzwi. Odezwały się jakieś głosy.

Czekaliśmy.

Po paru minutach ukazało się sześcioro ludzi dźwigających mnóstwo sprzętu. Czworo miało na sobie kurtki identyfikujące ich jako członków grupy ratunkowej. Dwoje pozostałych ubranych było po cywilnemu. Towarzyszyły im owczarek niemiecki oraz pies będący mieszańcem z border collie. Gunner przyglądał się zwierzętom podejrzliwie, ale został z nami, gdy wyszliśmy na otwarty teren.

Dwóch spośród facetów w kurtkach ważyło może z pięćdziesiąt kilo do kupy. Jeden, który był pewnie zaraz po dwudziestce, prezentował typ wiecznego studenta. Drugi, starszy, miał krótko przycięte włosy i kolczyk w uchu. Trzeci odznaczał się jasną cerą i włosami blond, i – jak podejrzewałam – bardzo łatwo się rumienił. Była też kobieta w kurtce, która musiała spędzać dużo czasu na siłowni. Wielkie oczy, tłusta grzywka, dopiero zbliżała się do trzydziestki.

Obaj technicy kryminalni byli niscy i żyłaści, a kiedy wreszcie przebrali się w zapinane kombinezony Tyvek, stali się trudni do rozróżnienia.

W całej grupce nikt się nie uśmiechał. Łatwo było się domyślić powodu ich niezadowolenia. Wyciągnięto ich sprzed ogromnych telewizorów lub monitorów od najważniejszego finału koszykówki w tym stuleciu.

Gdy członkowie zespołu zakładali na siebie skomplikowany sprzęt pełen

pasów i lin, przeprosiłam ich za ruch wyprzedzający, eliminujący ich z gry. Właściwie nie okazali się wobec mnie opryskliwi, ale byli tego blisko.

Pokazałam im betonową formę i wiadro, opisałam szopę. Wspomniałam o częściach ciała znalezionych przy dwóch innych punktach widokowych, a także o teorii, zgodnie z którą ofiara – nazwisko zachowałam dla siebie – zamieszkiwała w okręgu Avery.

Zasugerowałam, że od jej śmierci mogło minąć od trzech do czterech lat, ostrzegając jednocześnie, iż jeśli są tam jeszcze jakieś szczątki, to tylko we fragmentach. Nikt nie popełnił błędu i nie zapytał, dlaczego po tak długim czasie wszczęto pilne poszukiwania, które należało przeprowadzić jeszcze dzisiaj.

O wpół do trzeciej grupa stanęła nad zboczem, włącznie z Ramseyem i Gunnerem. Okazało się, że zastępca szeryfa ma certyfikat AMGA. Amerykańskiego Towarzystwa Przewodników Górskich.

Na wniosek Ramseya zostałam na początku szlaku wraz z technikami, uzbrojona w ręczną radiostację. Słusznie. Nie posiadam żadnych umiejętności alpinistycznych, jestem natomiast niesamowita na miejscu zdarzenia, gdy trzeba pozyskać materiał dowodowy.

Zrobiliśmy zdjęcia jamy po brakującym głazie, następnie przygotowaliśmy zaprawę ortodontyczną i waliśmy ją do otworu tak, by uzyskać formę wraz ze żłobieniami. Może się przydać, o ile natrafimy na narzędzie użyte przez podejrzanego. A może nie. Zgadywałam, że był to łom, lecz dysponowałam wyłącznie domysłami.

Zaprawa sobie schła, a w tym czasie technicy zeszli do szopy. Mieli zamiar poszukać odcisków palców i pobrać je, wziąć fragmenty wiadra, porobić zdjęcia i nakręcić film. Żaden nie tryskał optymizmem.

Kiedy włożyłam do worka wyschlą już zaprawę, usiadłam

z podniesionymi kolanami, opierając się o drzewo. Technicy wrócili po niecałej godzinie i stanęli pod sosną pięć metrów ode mnie. Na zmianę palili papierosy lub rozmawiali przyciszonym głosem, podczas gdy grupa ratunkowa kontynuowała swoje czynności pod nami.

Całe popołudnie słuchałam głosów napływających z wąwozu. Wykrzykiwanych pytań i poleceń, odpowiedzi, w większości zbyt przytłumionych, żeby rozróżnić poszczególne słowa.

Nie jestem zbyt dobra, jeśli chodzi o trzymanie się z boku. Staję się nerwowa, nie mogę usiedzieć spokojnie. Zwłaszcza gdy akcja rozgrywa się tuż obok mnie.

Próbowałam spacerować. Bez sensu sprawdzałam radio. Rozmyślałam. O podatkach i o urzędzie skarbowym. O mamie i raku. O prawdziwym pochodzeniu imienia Opiego Taylora.

Ale głównie o Ryaniu i jego niemożliwej propozycji.

Już kiedyś odgrywałam rolę panny młodej. Obrączki, kwiaty, białe koronki. Przed wielką zdradą Pete'a spędziliśmy ze sobą kilka dziesięcioleci. Jednak czas leczy rany. Znow pozwoliłam sobie na miłość. A potem Andrew Ryan na nowo złamał mi serce.

Ryan nigdy się nie ożenił. Dlaczego teraz? Dlaczego ja? Czyżby się zmienił? Czy ktokolwiek w ogóle się zmienia?

Przysięgam sobie nie składać żadnych więcej przysięg. Czy warto łamać tę obietnicę?

I tak w kółko. I ciągle. Pętla w moim mózgu.

W pewnej chwili, przez roztargnienie, zaczęłam przeglądać zdjęcia w swoim iPhone. Wiedziałam, że to głupie, ale i tak to robiłam. Chrzanić wszystko. Przecież nie ma sygnału. Jeśli padnie mi bateria, mogę skorzystać z radia.

Patrzyłam na twarze, których nie widziałam już tak dawno. Na uśmiechy, które kiedyś z nimi dzieliłam. Na szczęście, którym się cieszyłam.

Mama, cała ubrana w rzeczy od Gucciego. Moja siostra Harry ze swoją wysoką fryzurą z Teksasu i jeszcze większym sercem. Moja córka Katy w wojskowym kombinezonie bojowym, zakrywającym ją od stóp do głów.

Ryan otaczający mnie ramieniem w Montrealu. Selfie. Znałam ten jego zmechacony zielony sweter tak dobrze, że prawie czułam teraz zapach wełny.

To zdjęcie uderzyło mnie prosto w serce. Skąd ten nagły ból? Poczucie straty? A może to euforia? Jezu, cóż takiego ja właściwie czuję?

Postanowienie. Kiedy wrócę do cywilizacji, zarezerwuję lot do Montrealu. Na pewno uda mi się wygospodarować parę dni wolnych. Ryana uszczęśliwi nawet krótka wizyta. Do diabła, mnie też. Chyba że ciśnienie okaże się zbyt wielkie. Albo tarcia między nami zbyt stresujące.

Chyba że. Chyba że. Im więcej myślałam o małżeństwie, tym mocniej czułam, że za chwilę eksploduje mi głowa.

Około czwartej napłynęły chmury, niegroźne białe smużki waty cukrowej, ciągnące się po błękitnym niebie. W ciągu kolejnych dwóch godzin smużki nabrzmiały, pociemniały i połączyły się w złowieszczy zwiastun burzy.

O siódmej już kropiło, noc zbliżała się szybko. Grupa uznała swoją robotę za skończoną.

Poszukiwacze wykonali zadanie najlepiej, jak umieli. Znaleźli więcej kawałków wiadra oraz kilka fragmentów czaszki. Gunner święcił wielki triumf – natrafił na brakującą połowę betonowej formy.

Gdy grupa ratunkowa ściągала z siebie wyrafinowany sprzęt, technicy robili zdjęcia śmiesznie małego zbioru, który rozciągnęłam na brezencie. Oni pstrykali, a ja wkładałam kości do kolejnych worków i opisywałam.

Obiecaliśmy sobie porobić więcej notatek i dodatkowe fotografie, po czym tamci – wciąż urażeni, że nie obejrzelili swojego meczu koszykówki – rozjechali się do domów.

Kiedy Ramsey, Gunner i ja wsiadaliśmy do SUV-a, deszcz rozpadał się na dobre. Nie był ulewny, ale zdecydowany i zimny.

Przygotowywałam się na rozmowę, gdy jechaliśmy, podskakując i kołysząc się, po trakcie dojazdowym do Punktu Wisemana. Minęło kilka minut, nim Ramsey się odezwał.

- Długi dzień.
- Owszem – zgodziłam się.
- Ciężko będzie ci wrócić do Charlotte.
- Zupełnie mi się nie chce.

Brak odpowiedzi.

Wyczerpana, zamknęłam oczy. Nie. Lepiej nie spać. Otworzyłam je. Obserwowałam krople skrzące się w przednich światłach, a potem znikające w ciemności.

Po pewnym czasie Ramsey przerwał ciszę.

– Myślę sobie tak. Jutro jest niedziela. Do poniedziałku nikt i tak niczego nie będzie badał.

Skręcił gwałtownie, aby uniknąć dziury w drodze, a może zderzenia z jakimś niewielkim nocnym stworzeniem. Obróciłam się ku niemu. Wzrok miał utkwiony w szybę. Czekałam.

– Niedaleko komendy jest miły pensjonat. Może zostaniesz na noc? Jutro zjemy dobre góralskie śniadanie, a potem zaskoczymy mamę i tatę Teague'ów zaraz po niedzielnym nabożeństwie?

Kiedy rozważałam tę propozycję, mój iPhone wychwycił sygnał telefoniczny i zapikał. Sprawdziłam pocztę głosową. Hazel Strike naprawdę

musiała ze mną porozmawiać. Ton jej głosu był nagły, zignorowałam jednak tę wiadomość.

W domu zostawiłam zapas jedzenia dla kota. Mogłabym poprosić sąsiadkę o podanie mu śniadania.

Wykonałam telefon do Joego Hawkinsa na jego prywatny numer. Przeprosiłam, że dzwonię w sobotę wieczorem. Wyjaśniłam, czego od niego potrzebuję.

Podatki? Chrzanić je.

Zostałam.

## Rozdział 16

Obudziłam się nagle, nie mając pojęcia, gdzie jestem. A potem sobie przypomniałam.

Okazało się, że ów „miły” pensjonat należy do ciotki Ramseya, pani po siedemdziesiątce, obdarzonej instynktem opiekuńczym tak wielkim, że śmiało mogłaby rywalizować z Clarą Barton. A ponadto, mimo że miała śnieżnobiałe włosy, seledynowy szlafrok i kapcie w kształcie krokodyli, jej postawa jasno dowodziła, że lepiej nie wchodzić jej w drogę.

Przyjechaliśmy o ósmej, mokrzy, drżący, oblepieni błotem. Gdy brałam prysznic, a Ramsey mył się i zmieniał koszulę, ciocia Ruby przygotowała swoją wersję lekkiej przekąski. Pozostałości mięsnego klopsa, golonka z fasolą, piklowane buraczki, maca z serem, placek brzoskwiniowy z lodami. Zasnęłam, zanim zdążyłam przyłożyć głowę do poduszki.

Teraz leżałam chwilę, słuchając śpiewu ptaków i patrząc, jak świat odsłania przede mną szczegóły wystroju pokoju. Tapeta w pączki róży. Całe akry kraciatej bawełny. Sosnowe meble polakierowane tak grubą warstwą, że wyglądały jak z plastiku.

Kogut na dworze stanowczo obwieścił nowy dzień. Gdzieś w głębi domu zamknęły się drzwi. Miękkie skrzypienie, a potem w starych rurach zabulgotała woda.

Odwróciłam się na poduszce, aby sprawdzić godzinę na zegarze przy łóżku, okrągłym urządzeniu zwieńczonym podwójnym dzwonkiem z maleńkim młoteczkiem pośrodku. Obie misterne wskazówki były skierowane bezpośrednio w dół.

Zrzuciłam kołdrę, położyłam stopy na podłodze i – w samych majtkach

oraz w koszulce, w których spałam – podreptałam prędziutko do wyściełanego bujanego fotela, który ustawiłam sobie wcześniej przy grzejniku. Moje spodnie wyschły na kolanach i pupie, gdzie je wcześniej zaparałam. Wsunęłam je, a potem założyłam ten sam stanik, sweter, skarpetki i buty, w których dobę wcześniej wyszłam z domu.

Łazienka, oddalona o dwie pary drzwi w kwiecistym holu, była na szczęście wolna. Umywalka na jednej nodze. Czarno-biała terakota. Wolno stojąca wanna z plastikową kurtyną w delfinki i kraby.

Na umywalce leżała opakowana w celofan szczoteczka oraz tubka pasty Crest. Umyłam zęby, zebrałam włosy w kucyk i skierowałam się na parter.

Jadalnia znajdowała się za salonem o wystroju takim jak na piętrze. Pośrodku stał długi drewniany stół, otoczony ławkami. Pod ścianami rozlokowano dwuosobowe stoliki. Przy jednym z nich siedział Ramsey i już mocował się z goframi, bekonem i jajecznicą.

Kiedy podeszłam, zastępca szeryfa na poły wstał, jak to czynią mężczyźni, gdy ma się do nich przyłączyć przedstawicielka przeciwnej płci. Ledwie zdążyłam się usadowić na krześle, gdy pojawiła się ciocia Ruby, niosąc dzbanek ze stali nierdzewnej. Szlafrok i kapcie zastępowały teraz wzorzysta sukienka, różowy rozpinany sweter oraz wygodne buty.

- Życzę dobrego poranka, panienko – powiedziała, unosząc dzbanek.
- Dziękuję – wyciągnęłam przed siebie kubek.
- Dobrze się spało?
- Owszem.
- Naleśniki czy gofry?
- Tak naprawdę nie jadam śniadań...
- Nie można zaczynać dnia bez pokarmu w żołądku.
- Naleśniki.



– Kiełbaski, bekon, czy jedno i drugie?

– Kiełbaski.

– Już podaję.

– Nie ma sensu się z nią spierać – powiedział Ramsey, kiedy gospodyni sobie poszła.

– Och, całkowicie to rozumiem.

Ramsey uniósł brwi z zaciekawieniem. Nie ma mowy, żebym o siódmej nad ranem opowiadała mu o swojej mamie.

– Jaki jest plan? – spytałam.

– Pierwsze nabożeństwo zaczyna się o ósmej. Pod jego koniec my będziemy już czekać na zewnątrz.

– Jesteś pewny, że Teague'owie przyjdą do kościoła?

– Tak.

– Dlaczego nie pojedziemy po prostu do ich domu?

– Lubię robić niespodzianki.

– Chcesz ich zaskoczyć nieprzygotowanych.

– Coś w tym stylu.

Przez chwilę Ramsey jadł i pił. Już miałam go spytać, czy dowiedział się czegoś więcej o tym Kościele, gdy wróciła ciocia Ruby, dźwigając ilość jedzenia wystarczającą, by wyżywić niewielki kraj.

Wbrew sobie połknęłam wszystkie trzy naleśniki, jajka, o które nie prosiłam, oraz dwie spośród pięciu kiełbasek. I jedną dyniową bułeczkę.

Piłam właśnie drugą kawę, kiedy w drzwiach stanęła jakaś para. Mężczyzna miał długi, siwy warkocz opadający mu na plecy. Kobieta o bardzo krótkich włosach, co najmniej o dekadę od niego młodsza, była wysoka i szczupła. Oboje nosili ciężkie buty i spodnie bojówki, wokół szyi mieli zawiązane bandany. Domyśliłam się, że to amatorzy pieszych

wędrówek.

Rozmawiali ze sobą cicho. Na widok munduru Ramseya urwali w pół słowa. Szybkie lustrujące spojrzenie, po czym usiedli przy stoliku w rogu, jak najdalej od nas.

Popatrzyłam na Ramseya, chcąc się przekonać, czy to zauważył. Delikatnie kiwnięcie głową odpowiedziało mi, że tak.

Ciocia Ruby znów uniemożliwiła mi zadanie pytania. Uśmiechnęła się do nas promiennie przez okulary w nakrapianych oprawkach i pomachała dzbankiem.

– Nie chcę już kawy, dziękuję – powiedziałam.

– Tylko rachunek – rzekł Ramsey.

Pomarszczone usta wydały z siebie dźwięk, jakby z wentyla uszło powietrze. Potem zwróciła się do mnie:

– Zeb mówi, że jest pani doktorem z Charlotte.

– Owszem.

– I że sprawa wymaga obecności fachowca.

– Tak.

Ramsey wyjął z portfela dwie dziesiątki i położył je na stole. Ciocia Ruby nie zwróciła na nie uwagi.

– To wspaniały chłopak – powiedziała.

Dobija do pięćdziesiątki, pomyślałam.

– Opowiadał pani, że to przeze mnie wyjechał z Georgii?

– Nie.

– Złamałam sobie biodro. – Wolną ręką poklepała sobie rzeźbiony staw. – Zeb przyjechał, żeby się mną opiekować. I już został.

– Na pewno cieszy się pani, mając go przy sobie.

– Jest wszystkim, co mam. Chciałabym tylko, żeby znalazł sobie nową

zonę. Poprzednia nie była zbyt gorąca.

Mój wzrok przeskoczył na Ramseya. Znad jego kołnierzyka wykwitł rumieniec, pokrywając plamami policzki.

Nie zauważając speszenia siostrzeńca, a może o to nie dbając, ciocia Ruby trąkotała dalej.

– Tylko proszę sobie nie myśleć, że jestem starą idiotką cierpiącą na urojenia. Wiem, że to całe zamieszanie małżeńskie było powodem, dla którego Zeb tu został. Oraz bałagan, do którego doprowadził nasz durnowaty szeryf. Znaczący, ten, który już nie żyje. Nowy jest chyba ciut bystrzejszy. A zresztą mniejsza o to. – Machnęła ręką, jakby odpędzając muchę. – Dzięki jego śmierci zwolniło się miejsce pracy. O, tak to jest z nami.

Ramsey wstał, wyraźnie zażenowany. Zrobiłam to samo i poszłam zebrać swoje rzeczy. Kiedy się wymeldowywałam, ciocia Ruby uparła się, żeby za mój pokój nie wziąć żadnych pieniędzy.

Podziękowałam jej za hojność. Ramsey poszedł po swojego SUV-a, a także – jak podejrzewałam – obejrzeć tablice rejestracyjne pojazdu należącego do pary wędrowców, ja natomiast wdałam się z Ruby w małą pogawędkę.

– Dziś jest jakby troszeczkę cieplej. – Uznałam, że pogoda to zawsze bezpieczny temat.

– Idzie wiosna. Zawsze przychodzi. – Pauza. – Więc dokąd teraz?

– Do kościoła. – Również bezpieczne.

Załamione oczy za nakrapianymi okularami zwęziły się.

– Nie widzę Zeba wśród ludzi wierzących.

– To sprawa służbowa.

– Jego czy pani?

– Nas obojga.

– Do którego kościoła?

– Uświęceniowego Jezusa Pana.

Znów drwiąco wypuściła powietrze z ust. Czekałam.

– Przyjechała pani tutaj ten kawał drogi, żeby pójść na nabożeństwo do wariatów?

– To znaczy?

– Ci ludzie są stuknięci. Zbikowani. Zupełnie zakręceni. – Staruszka nie przebierała w słowach.

– Może to pani jakoś rozwinąć?

– Kiedyś znałam jedną z nich. Miła kobieta, dopóki te kościelne bzdury jej nie otumaniły. Zrobiły z niej wariatkę.

– Co to znaczy „wariatkę”?

– Od czego mam zacząć? Oni nie uznają ani papieża, ani prezydenta. I szczerze mówiąc, chyba także penicyliny i pizzy. – Podniesiony ton głosu sugerował zdecydowaną niechęć. – Parafianie mają obowiązek zachować całkowite milczenie. Ale moja znajoma, *była* znajoma, wygadała się o ich poglądach.

Trzy wypowiedziane przez Ruby wyrazy połączyły się w mojej głowie.

– Moment. Powiada pani, że ta grupa to katolicy?

– Nie jestem pewna, czy Watykan by się do nich przyznał. To jakby odszczepieńcy. Charyzmatycy, zielonoświątkowcy, czy jak się tam nazywają. Całe to uzdrawianie wiarą i spotkania modlitewne, mówienie językami.

Już miałam sondować dalej, gdy Ramsey zajechał pod pensjonat. Ciocia Ruby odprowadziła mnie do drzwi i otworzyła je szeroko ręką jak u stracha na wróble. Raz jeszcze podziękowałam, a potem wyskoczyłam na dwór.

– Uważajcie tam na siebie – zageęła do moich pleców.

– O co chodziło? – zapytał Ramsey, kiedy zapinałam pas bezpieczeństwa.

Zrekapitulowałam swoją niedawną rozmowę z jego ciotką.

Wolno pokręcił głową.

– Ona ma pewne skłonności upodabniające ją do pitbulla.

Poprzedniej nocy, w ciemnościach, pensjonat Ruby był dla mnie niczym więcej jak tylko zakończeniem długiej szutrowej drogi w postaci żółto oświetlonej werandy. Teraz, gdy mogłam mu się już przyjrzeć, zaczęłam się rozglądać z ciekawością.

Obiekt był starym, piętrowym, zielonym budynkiem farmerskim z lawendowym wykończeniem, w swoim poprzednim życiu traktowanym niewątpliwie z mniejszą atencją. Od frontu i lewego boku biegła weranda wychodząca na trawnik, obecnie brązowy i mokry od roztopów.

Niewielka tabliczka informowała o aktualnym przeznaczeniu domu na Gospodę nad Cedrowym Potokiem. Nocne chmury odeszły, wschodzące słońce brązowiło dach i okna pensjonatu.

Jazda zajęła nam kwadrans. Cieszyłam się, że nie jestem sama. Nasz cel znajdował się dość daleko, trzeba było pokonać wiele zakrętów w lewo i prawo, i to szutrową drogą. Przez całą podróż nie zauważyłam ani jednego znaku. Nie napotkaliśmy też innych pojazdów.

Ramsey znał trasę. I dobrze obliczył czas naszego przyjazdu.

Kościół Uświęceniowy Jezusa Pana stał zwrócony tyłem do góry. Z gałęzi ogromnego dębu, na lewo od świątyni, zwisała opona huśtawka. W pobliżu pnia drzewa, w czterech rzędach po trzy sztuki ustawiono stoły piknikowe.

Na brukowanym parkingu od frontu czekało około trzydziestu samochodów i półciężarówek. Ramsey dołączył do nich i zgasił silnik. Oboje przyglądaliśmy się otoczeniu.

Główny budynek był mały, może wzniesiono go specjalnie jako miejsce

kultu, a może przerobiono z jakiegoś innego. Miał lśniąco białą elewację i skromne okna – żadnych skomplikowanych okuć czy witraży.

Dwa schodki prowadziły na podest, który wyglądał, jakby czyszczono go codziennie. Podwójne drzwi miały na obu skrzydłach identyczne kute żelazne krzyże. Ponad drzwiami, ze szczytu dachu wyrastał prosty krzyż drewniany. Żadnych dzwonów, żadnych iglic.

Dwadzieścia metrów dalej, obok prawego tylnego rogu kościoła stał osobny, pomniejszy budynek. Takie same podwójne drzwi. Taka sama lśniąco biała elewacja. Żadnych krzyży. Przed wejściem żuźlowa ścieżka rozdzielała się i prowadziła na jego tyły.

Opuściłam szybę w oknie. Usłyszałam stłumiony dźwięk pianina, na którym grano z werwą. I śpiew przypominający trele, typowy dla małych zgromadzeń kościelnych.

Wyteżyłam słuch. Uchwyciłam frazę lub dwie. Łacina. To by się zgadzało z relacją Ruby.

Ramsey zaczął bębnić kciukiem w kierownicę.

– To już nie potrwa długo.

Moja uwaga wywołała jego pytające spojrzenie.

– Śpiewają *Agnus Dei*. – Baranku Boży. – Msza się zaraz skończy.

– Jesteś katoliczką?

Wzruszyłam niezobowiązująco jednym ramieniem.

Chodziłam w małym zielonym fartuszku przez sześć dni w tygodniu nadzorowana przez zakonnice rodem z Gestapo. Lepsza była tylko niedziela, bo miałam przy sobie mamę i tatę. Te wspomnienia wciąż nawiedzają moje sny. Słodki zapach kadzidła. Posępne buczenie organów. Drewniana podkładka pod moje kościste dziecięce kolana, prawie niczym nieosłonięta.

Po dziesięciu minutach obserwacji z kościoła wyłonili się ksiądz

i ministrant, obaj w pełnych szatach liturgicznych. Wspólnie, w ubraniach rozwiewanych przez wiatr niczym pranie na sznurze, otworzyli i zabezpieczyli drzwi, mocując je do błyszczących metalowych pierścieni wpuszczonych w podest.

Chłopiec zniknął w środku, a potem, jeden za drugim, zaczęli wylewać się wierni, pojedynczo, w parach, w grupach rodzinnych rozmaitej liczebności. Każdy przedstawiciel płci męskiej mający ponad dziesięć lat nosił garnitur i krawat, każda przedstawicielka płci żeńskiej – kapelusz bądź woalkę.

Ksiądz wymieniał uściski dłoni z mężczyznami, błogosławił kobiety i dzieci, klepiąc je po głowie lub ramieniu. Po godzinie wymuszonej powściągliwości, co musiało być dla nich torturą, dzieci trzymały się blisko swoich rodziców. Żadne nie wyskoczyło w stronę huśtawki, nie zaczęło grać w berka, nie robiło koziołków, nie biegało z ramionami rozłożonymi jak samolot.

Parada wychodzących zaczynała się kończyć, gdy nagle kciuk Ramseya zamarł.

Ksiądz rozmawiał z parą, jak się domyślałam, po pięćdziesiątce. On był zbudowany jak buldog. Ona była wyższa – to wrażenie potęgowało jeszcze jej nakrycie głowy. Oboje ubrali się uroczyście na czarno.

– Przedstawienie czas zacząć – rzekł miękko Ramsey.

Odpięłam pas bezpieczeństwa.

– Pozwól mi prowadzić rozmowę.

– Nie ma sprawy – zgodziłam się.

Ramsey wysiadł i jął kluczyć między wiernymi z tylnych ławek, zmierzającymi do swoich samochodów. Ignorując nieufne spojrzenia oraz chór pokątnych szeptów, popędziłam za nim.

Ksiądz był przeciętnego wzrostu, chudy jak strach na wróble. Miał zaczesane do tyłu przetłuszczone czarne włosy, blizny po trądziku na policzkach i oczy barwy indygo. Zobaczywszy nas, przerwał rozmowę i przyglądał się, jak podchodzimy. Teague'owie odwrócili się z ciekawości, co mogło ich pozbawić uwagi kapłana.

Na widok Ramseya, a może jego munduru, oblicze Johna zmartwiało. Podświadomie ściągnął ramiona i rozstawił szerzej stopy, jak dzieciak sposobiący się do walki z dwoma napastnikami.

Nie spuszczać z nas oczu, ksiądz przechylił się w bok i powiedział coś, czego nie dosłyszałam. John kiwnął głową, ale pozostał napięty.

– Błogosławię pana niedzielnie, szeryfie. – Głos był głęboki i mocny, niczym miód na grzance. – Czym możemy służyć tego pięknego ranka?

– Dzień dobry. Chcielibyśmy zamienić kilka słów z państwem Teague'ami. – Życzliwy uśmiech prostego wiejskiego szeryfa wykonującego swoją pracę. – Zajmiemy tylko chwilkę, a potem odjeżdżamy.

– Oczywiście, oczywiście. – Ksiądz uśmiechnął się i zgiętym ramieniem wskazał kościół za swoimi plecami. Trzepoczący ornat skojarzył mi się z wielkim zielonym ptakiem. – Ale w Domu Bożym? W dzień Pański?

– A ksiądz się nazywa? – Ramsey nadal się uśmiechał, choć znacznie mniej ciepło.

– Ojciec Granger Hoke. Dla wyznawców: ksiądz G.

– Państwo Teague'owie znają powód naszej wizyty.

– Mogę zapytać, jaki to powód? – Znów błysnął wspaniałym kapłańskim uśmiechem.

Ramsey wpatrywał się w Johna, który odpowiadał mu tym samym.

Z bliska widziałam, że Teague ma szurzącą twarz, z nieproporcjonalnie małą zuchwą i czerstwą cerą. Jego żona była nijaka, pozbawiona kolorów,



typ osoby, którą mijają się na ulicy, a potem nie można jej sobie przypomnieć. Miała spuszczonego wzrok i nerwowy tik w dolnej powiece.

Hoke przenosił swój uśmiech od Ramseya do pary stojących przy nim wiernych i z powrotem. Trzymał się jeszcze, lecz coraz słabiej.

– Najpierw ta ciekawska stara wiedźma, a teraz pan. To jest nękanie. – Głos Johna był głęboki i zgrzytliwy. Ten sam, który słyszałam na nagraniu? Wstrzymałam oddech, bardzo pragnąc wychwycić każdy niuans.

– Wiedźma? – zapytał Ramsey.

– Z włosami jak pajac. Tej kobiecie potrzebne jest dobre...

– Hazel Strike? – Pytanie padło, zanim zdążyłam się powstrzymać. – Kiedy pan z nią rozmawiał ostatni raz?

Teague spojrział w moim kierunku, ale nie raczył odpowiedzieć.

– Gdy zaginie jakaś dziewczyna, traktujemy to poważnie. – Ramsey wrócił do meritum sprawy.

Wargi Hoke'a zacisnęły się, jego brwi lekko uniosły. W zaskoczeniu? Wyrazie czujności? Opuścił dłonie i złożył je w kształt odwróconej litery V, tuż przed swoimi genitaliami.

– Nikt nie zaginął – warknął Teague.

– Mielicie wiadomości od Cory?

Po krótkiej pauzie tamten powiedział:

– Księga Przysłów, trzydzieści, siedemnaście. – Teague mówił tonem przyciszonym i groźnym. – „Oko, co ojca wyśmiewa, gardzi posłuchem dla matki – niech kruki nad rzeką wydziobią lub niech je zjedzą orlęta”<sup>3</sup>.

– Ale, John, nie wolno nam zapominać – Hoke umieścił ojcowską rękę na ramieniu Teague'a – że słodki Pan Jezus nakazuje nam także wybaczać.

– Wszystko w porządku, proszę księdza?

Hoke i Teague odwrócili się. Ramsey i ja spojrzeliśmy za ich plecy.

W otwartych drzwiach ukazał się jakiś mężczyzna. Miał ze trzydzieści lat, był bardzo wysoki, o szerokich ramionach opadających z potężnego karku. Miał tę samą czerwonawą skórę i szczurze rysy twarzy co Teague.

– Oto Owen Lee. Proszę, dołącz do nas. – Znów uśmiech i latający brokat.

Owen Lee zrobił krok do przodu i stanął na podeście. Zatrzymał się. Skrzyżował ręce i patrzył na nas. Jego twarz była pozbawiona wyrazu.

– Owen Lee jest najstarszym dzieckiem Johna i Fatimy – wyjaśnił Hoke. – A także bardzo cennym członkiem naszej społeczności parafialnej. Każdego dnia dziękuję Bogu za wsparcie Owena Lee.

Ramsey skinął głową młodszemu, ale znów skupił się na starszym z Teague'ów.

– A Cora? – Ton głosu zastępcy szeryfa składał się teraz wyłącznie ze stali.

– List do Hebrajczyków, trzynaście, cztery. – Oczy Teague'a, spoczywające twardo na Ramseyu, płonęły żarliwością zeloty. Może nienawiścią. – „Rozpustników i cudzołożników osądzi Bóg”.

Fatima wzdrygnęła się, jakby rażona prądem. Owen Lee zachowywał stoicki spokój. Facet wydawał mi się jakby znajomy. W taki sposób, w jaki znajoma wydaje się każda tusza wołowa. Coś w jego budowie. Przypominał Pete'a? Drugiego męża Harry, faceta, którego przezywaliśmy Kolos.

– Gdzie jest pańska córka?

– Uciekła, żeby oddawać się uciechom ciała. Żeby cudzołożyć z człowiekiem, który nosi w sobie diabła...

– Kim mianowicie?

Teague przeniósł wzrok na Hoke'a, który kiwnął głową przyzwalająco.

– Masonem Gulleyem. – Splunął, jakby to imię i nazwisko wywołały

gorzki smak w jego ustach.

– Mason to jeden z naszych parafian – podpowiedział Hoke. – Właściwie był nim, do niedawna.

– Jak niedawna?

Ksiądz zaśmiał się krótko i nerwowo.

– Drogi szeryfie. Musiałbym sprawdzić w swoich...

– Mniej więcej.

Po chwili zastanowienia Hoke odrzekł:

– Mason pomagał przy remoncie naszych obiektów. Nie przez cały czas, dopiero pod koniec. Pomalowaliśmy i unowocześniliśmy ośrodek dla rodzin, wymieniliśmy stare schody. Był to wysiłek całej parafii, każda roboczogodzina i każdy kilogram materiałów budowlanych pochodziły z datków. – Kiwnął głową w stronę Teague'a. – Dzięki hojności Johna mogliśmy pozwolić sobie na nowy parking. To był prawdziwy wylew Bożej...

– A potem przestał przychodzić?

– Tak mi się wydaje.

– Kiedy to było?

– W dwa tysiące jedenastym roku. O ile dobrze pamiętam, inwestycja zakończyła się mniej więcej na początku roku szkolnego.

Ramsey zwrócił się do Teague'a:

– Dlaczego sądzi pan, że Cora wyjechała z Masonem Gulleyem?

Teague tylko się gapił. Stojący za nim syn obserwował i słuchał.

Wzrok Ramseya spoczął na księdzu.

Palce Hoke'a zacisnęły się na krzepkim ramieniu w niechlujnej czarnej marynarce. Znów uspokajająco skinął głową.

Jabłko Adama u Teague'a uniosło się i opadło. Kiedy odpowiedział,

dzika brutalność w jego głosie sprawiła, że wzdłuż kręgosłupa przeszedł mnie lodowaty dreszcz.

– Ponieważ Pan Jezus szepnął mi, że sam szatan przyszedł z góry po ich kurwiące się dusze.

## Rozdział 17

Większość sekcji zwłok przebiega według standardowego schematu. Po zbadaniu powłok zewnętrznych ciała następuje legendarne cięcie podłużne, w kształcie litery Y. Wyjmuje się narządy wewnętrzne, waży je i analizuje. Przygląda się najważniejszym naczyniom krwionośnym i nerwom.

Po opróżnieniu jamy brzusznej rozcinana jest skóra głowy na łuku przypominającym duże U, od jednego ucha do drugiego. Następnie naciąga się ją na twarz – od przodu, oraz na kark – od tyłu. Stronę wewnętrzną sprawdza się w poszukiwaniu śladów krwi lub sińców, a zewnętrzną powierzchnię czaszki – w poszukiwaniu zadraśnień bądź pęknięć.

Teraz przychodzi czas na zastosowanie ręcznej piły chirurgicznej. Wycina się i zdejmuje górny okrąg czaszki, asymetrycznie, aby uniknąć ześlizgnięcia się go przy ponownym montowaniu i zszywaniu skóry.

Szczytowy krążek głowy wyjmuje się za pomocą szarpaka i ssaka. Odsłonięta zostaje opona twarda, gruba membrana otaczająca mózg. Sprawdza się, czy są na niej krwiaki nadwardówkowe – wylewy krwi, które mogły spowodować nacisk na mózg, a następnie śmierć. Po drugiej stronie poszukuje się krwiaków podwardówkowych.

Choć powszechnie mówi się o „szarych komórkach” mózgu, jego zewnętrzna powierzchnia jest tak naprawdę biała, otoczona zwiewną pajęczynówką oraz oponą mięką. Medyk sądowy przygląda się najdrobniejszym siateczkom i bruzdom kory mózgowej, by odnaleźć ślady krwotoku podpajęczynówkowego, czyli wylewów wewnątrzczaszkowych spowodowanych uderzeniem mózgu o czaszkę, które niszczą delikatne naczynia na jego powierzchni.

W powstały otwór wsadza się palce, łapie się i podnosi płaty przednie, po czym nacina nerwy i naczynia prowadzące w kierunku twarzy. Odizolowany zostaje namiot mózdzku, wypustka opony twardej chroniąca mózdzek i pień mózgu, tak zwany „gadzi mózg”. Za pomocą odpowiednio długiego skalpela, sięgającego do podstawy czaszki, przecina się również rdzeń kręgowy, uwalniając mózg. Kresomózgowie, mózdzek i rdzeń przedłużony spoczywają teraz w ręku patologa. Albo na pokrywie czaszki, ewentualnie w stalowej misce, niczym w rękawicy bejsbolowego łapacza.

Mózg umieszcza się w roztworze formaldehydu, w którym w ciągu dwóch tygodni jego konsystencja zmienia się z galaretowatej w serową. Po uprzednim przeanalizowaniu każdego centymetra skomplikowanej powierzchni tego narządu kroi się go długim nożem do filetowania, mniej więcej tak jak kielbasę. Plasterek za plasterkiem, żeby zbadać strukturę wewnętrzną.

Jednakże ani jedna z powyższych czynności nie mogła zostać wykonana w przypadku szczątków znalezionych nieopodal Diabelskiego Ogona.

Ponieważ składowanie w chłodni nie było konieczne, kości oraz fragmenty wiadra i betonu spędziły weekend zamknięte w składzie na dowody rzeczowe szeryfa okręgu Avery. Ramsey obiecał wysłać je w poniedziałek z samego rana. A także przyjrzeć się Masonowi Gulleyowi.

Po rozmowie przy kościele Ramsey podrzucił mnie do mojego samochodu. Zaprowiantowana w niechciane kanapki, ciasteczka i jabłka od cioci Ruby, udałam się na chwilę do Heatherhill Farm – bardzo precyzyjnie odmierzoną chwilę – a potem już prosto do domu.

Będąc w swojej przybudówce, zarezerwowałam lot do Montrealu i poszłam prosto do łóżka, nawet nie patrząc na oskarżycielską stertę na stole w jadalni. Poprzedniego ranka minęłam ją w drodze do kuchni i prędko

wyszłam z domu.

Po raz setny zerknęłam na zegar. Dziesiąta siedemnaście. Zniecierpliwiona, zadzwoniłam do Ramseya. Powiedział, że jest właśnie w laboratorium medyczno-sądowym policji w Charlotte-Mecklenburgu, gdzie zostawił wiadro. Szacował, że w MCME pojawi się za pół godziny.

Dla większości instytucji zajmujących się egzekwowaniem prawa weekend oznacza, że ludzie otrzymują wypłatę, mają wolne oraz okazję do spożycia alkoholu. Tatuś upija się w sztok i traktuje mamusię blenderem. Młody obala sześciopak, a potem ginie w wypadku, gdy camaro jego kumpla przekroczy sto pięćdziesiąt na godzinę. Siostrzyczka wychodzi z baru kupić amfę i kończy w śmietniku. W efekcie ci, którzy zajmują się umarłymi, w poniedziałki mają ręce pełne roboty.

Dzisiejszy dzień nie był żadnym wyjątkiem. Słyszając wokół siebie szum pracy w MCME, wyruszyłam na poszukiwanie Larabeego z cichą nadzieją, że przystąpił już do sekcji sam. Niestety nie. Rozmawiał przez telefon, ale gestem zaprosił mnie do gabinetu.

Larabee słuchał z brodą wspartą na dłoni. Wprowadziłam go w temat: Ramsey, Teague'owie, w tym Cora i Eli, Mason Gulley, Kościół Uświęceniowy Jezusa Pana, Brązowa Góra, szlak Diabelskiego Ogona, wiadro, beton, kości. Zreferowałam mu wszystko poza moim baraszkowaniem ze spadającą skałą.

– Nie możesz po prostu pojechać w weekend do jakiejś galerii handlowej?

To nie wymagało żadnej odpowiedzi.

– Ten ksiądz, facet, który nazywa sam siebie ojcem G., radził Teague'owi, żeby współpracował.

– Kościół „uświęceniowy”. To nie brzmi dla mnie po katolicku.

Streściłam to, co powiedziała mi ciocia Ruby, wspomniałam też o poskramiaczach węży. Larabee słyszał o nich, miał kolegę, który przeprowadzał sekcję zwłok kaznodziei o tego rodzaju niestandardowych umiejętnościach.

– Powinnam chyba zadać kilka pytań jakiemuś bardziej tradycyjnemu duchownemu. – Miałam już jednego na myśli.

– Niepokojące, że rodzice nigdy nie zgłosili zaginięcia córki.

– Tak.

– Wciąż sądzisz, że ona nie żyje. – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Zadziwiające, jak Larabee potrafi we mnie czytać.

– Owszem.

– I chcesz zrobić odlew głowy – powiedział.

– Chcę spróbować.

– Masz jakieś zdjęcia dziewczyny?

– Ramsey mówi, że wydobędzie je od rodziców.

– Mało prawdopodobne.

– Jak podróż na księżyc i z powrotem.

– Naprawdę uważasz, że Teague byłby zdolny zamordować własną córkę?

Wyobraziłam sobie te gorejące oczy. Usłyszałam jadowity głos.

– Myślę, że to możliwe.

– No cóż, to twój szczęśliwy dzień. Nie przyszło nic, co wymagałoby ekspertyzy antropologicznej. – Okręcił się na krześle, kilkakrotnie stuknął w klawisze, a potem przeciągnął palcem po arkuszu kalkulacyjnym, który pojawił się na monitorze.

– Wpisz to jako sprawę numer ME135-15.

– Beton też?



Zastanawiał się chwilę.

– Pewnie. Kto wie, co znajduje się w środku.

Larabee wstał. Spotkanie skończone.

Kiedy weszłam do swojego gabinetu, zadzwonił telefon stacjonarny. Ramsey był już w holu. Powiedziałam recepcjonistce, pani Flowers, żeby przysłała go na górę. Pojawił się, dźwigając wielką skórzaną torbę.

– Co powiedzieli w laboratorium? – spytałam.

– Że sprawdzą odciski palców, pozostałości po płynach ustrojowych i inne ślady, jak zwykle. Słyszac opis sytuacji, nie tryskali optymizmem.

– Przekazałeś Teague’om, że powinni oddać próbki do badań DNA?

– Przekazałem. Nie ma szans.

Spojrzałam na torbę. Rączka przy uszach oraz podwójne dno wskazywały na solidny ciężar.

– Mógłbyś to zanieść do prosektorium?

– Prowadź.

– Kurtkę zostaw tutaj.

– Tak jest.

W śmierdzącym pokoju poprosiłam Ramseya o założenie rękawiczek i wyjęcie obu kawałków betonu. Pod moim kierownictwem ułożył je na kontuarze, wydrążoną częścią do góry.

Najpierw wykonałam serię zdjęć. Następnie, przywdziawszy maskę i rękawiczki, potarłam wewnątrz obu otworów sterylnymi wacikami i wymazówkami, po czym wielokrotnie powtórzyłam cały proces.

Ramsey przyglądał się, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, z kciukami wetkniętymi za pasek.

Zabezpieczałam właśnie próbki w foliowych workach na materiał dowodowy, gdy na bawełnianej końcówce jednego z patyczków zauważyłam

dwa blade włókna. Zlustrowałam pozostałe wymazówki. Na kilku zebrała się podobna substancja.

Czyżbyśmy mieli aż tyle szczęścia?

Z szybciej bijącym sercem włożyłam wymazówkę pod mikroskop stereoskopowy, włączyłam go i ustawiłam ostrość.

Włókna miały w przekroju po zaledwie kilka mikronów, jak jedwab, tyle że były bardziej kruche. Blade jak pajęczyna, prawie przezroczyste.

– Cholera – wymamrotałam pod nosem.

A może całkiem głośno. Usłyszałam, jak Ramsey przesuwają się. Milczał.

– Przypuszczałam, że to włosy, ale te wyglądają po prostu idealnie.

Obcasy butów Ramseya zastukały na płytkach podłogi. Bez słowa podałam mu maskę. Wziął ją. Cofnęłam się. Szeryf się pochylił i zajrzał do okularu.

Minęło kilka sekund.

– Może to było dziecko?

– Wgłębienie jest za duże, żeby mogło powstać od głowy dziecka.

– A co to jest to coś, świecące?

– To znaczy?

– W niektórych miejscach bawełna błyszcząca.

– Pokaż. – Niezbyt łagodnie odsunęłam go na bok.

Ramsey miał rację. Tu i ówdzie biały puszek wyglądał oleście, był odbarwiony. Jakiś kosmetyk do włosów? Odżywka? Sprawa rozkładu? Pot? W moim mózgu wyskakiwały różne ewentualności.

Użyłam miliona kolejnych wymazówek, opisałam je i zabezpieczyłam. Kiedy miałam pewność, że nawet w najmniejszej szczelinie lub bruzdzie nie pozostało już nic więcej, sprawdziłam krawędzie, wzdłuż których doszło do pęknięcia betonu.

Pamięć mnie nie myliła. Powierzchnia była czysta i gładka. Jakimś cudem nie doszło do rozprysnięć ani erozji.

Hawkins spełnił moją prośbę. Na kontuarze spoczywały puszkki z ciekłą gumą w aerozolu oraz pojemniki ze szpachlówką silikonową. W zlewie stał aparat, który przypominał imadło, używane zapewne przy naprawie mebli, a może w jakimś zupełnie innym celu. Nie miało to dla mnie znaczenia. Nadawało się idealnie.

Spryskałam każdy centymetr powierzchni otworów, po czym ich popękane krawędzie pokryłam szpachlówką. Następnie, napinając wszystkie mięśnie – wiedziałam, że później za to zapłacę – dociskałam swoją połówkę betonu do tej, którą trzymał Ramsey.

Odczekaliśmy pełne pięć minut.

Stękając niczym Marija Szarapowa, razem z szeryfem manewrowałam formą tak, by zmieściła się w aparacie, dolną częścią do góry. Ramsey trzymał, ja dokręcałam zaciski imadła.

Jeszcze trochę szpachlówki. Silniejszy nacisk.

Zadowolona, że klej trzyma, wybrałam się na poszukiwanie wiertarki elektrycznej. Znalazłam ją na końcu ostatniego magazynu, który sprawdziłam.

Po powrocie do śmierdzącego pokoju włożyłam rękawiczki, drugą parę wręczyłam Ramseyowi. Potem podłączyłam wiertarkę do kontaktu, a koniec wiertła skierowałam tam, gdzie – jak sądziłam – beton był najcieńszy.

Spojrzałam na Ramseya. Patrzył na mnie zza wielkich plastikowych gogli. Uniósł kciuk.

Odpaliłam wiertarkę. Zawyla, wypluwając w powietrze pył i maleńkie odłamki. Pokój wypełnił drażniący zapach rozgrzanego metalu i ustępującego betonu. Wstrzymałam oddech, uważając, żeby ten ostatni nie popękał.

Zdawało się, że trwa to całe stulecie. Jednak już po niecałej minucie koniec wiertła przebił się do środka. Cofnęłam lekko wiertarkę i wykonując okrężne ruchy, zaczęłam powiększać zrobiony przez siebie otwór.

Żadnych rysów w kształcie pajęczyny. Żadnych promieniujących na wszystkie strony linii pęknięć.

Jakby z własnej woli moja ręka wyskoczyła do góry, w geście „przybij piątkę”. Ku memu zaskoczeniu zastępca szeryfa zrobił to samo – nasze dłonie się spotkały. Lekko speszeni, oboje zaczęliśmy ściągać gogle ochronne. Potem wymieszałam porcję Duroplastu, wzmocnionego włóknem plastiku, zapewne takiego samego, jakiego używali technicy z okręgu Avery do zabezpieczania śladów na Diabelskim Ogonie.

Ramsey przyglądał się, jak wsuwam końcówkę plastikowego lejka do otworu i zaczynam wlewać preparat. Miękkie *glug-glug-glug* zdawało się trwać wiecznie.

Kiedy skończyłam, odłożyłam lejek na kontuar. Przez chwilę oboje obserwowaliśmy ciastowaty biały płyn widoczny w małej okrągłej dziurce.

Czyżbym zwariowała? Przeliczyła się z siłami? Powiedzieć, że targały mną obawy, to jakby stwierdzić, że Kartezjusz miał wątpliwości co do istnienia Boga.

– Zdobyłeś zdjęcia? – przerwałam ciszę.

– Tak jest. Są w mojej kurtce.

– Dobra. Najpierw kości, potem fotki.

Kiedy Ramsey wrócił po swoją torbę, ja nakryłam stół sekcyjny papierowym arkuszem, z folią po jednej stronie. Rozprostowałam dłońmi jego nierówności, on umieścił na środku mały pojemnik Tupperware.

Zdjęłam pokrywkę, wyciągnęłam i poukładałam fragmenty kości tak, by na siebie nie nachodziły. Wszystkie stanowiły fragmenty czaszki dorosłego

człowieka. Wszystkie były zniszczone, w złym stanie, poogryzane.

Szybka inwentaryzacja. Sześć kawałków kości ciemieniowej. Dwa potylicznej, jeden z pozostałościami szwu węglowego. Cztery elementy kości czołowej, jeden z kawałkiem obręczy nadoczodołowej.

Szew, mierzący trochę ponad centymetr, miał gładkie i niezrośnięte krawędzie. Bruzdy naczyniowe na wszystkich powierzchniach wewnątrzczaszkowych były płytkie. Wiek: młody dorosły.

Krzywizna kości czołowej sugerowała łuk brwiowy średniej wielkości. Co oznaczało, że mógł należeć zarówno do kobiety, jak i do mężczyzny.

Nie znalazłam nic, co choćby pośrednio wskazałoby na pochodzenie rasowe.

– Co teraz? – zapytał Ramsey, gdy podzieliłam się z nim powyższymi ustaleniami.

– Teraz dostarczysz te waciki do laboratorium. – Zdjęłam maskę i rękawiczki. – I poczekamy.

– Jak długo?

– To coś jest spore. – Wskazałam na twardniejącą formę. – Pewnie przesadzam, ale chciałabym dać temu ze dwa dni.

– Szkoda, że nie zobaczę otwarcia.

– Może się okazać, że nie wyjdziemy z tego z twarzą.

– A przecież nie o to nam chodzi, prawda?

Nieźle, szeryfie. Nie zauważyłam własnego kalamburu.

Kiedy wróciliśmy do mojego gabinetu, Ramsey wziął kurtkę, wyciągnął z kieszeni kopertę i podał mi ją.

– Jedno jest troszkę nieaktualne, ale drugie zrobiono na kilka miesięcy przed ucieczką Cory. – Dwa ostatnie wyrazy wziął w cudzysłów, wykonany w powietrzu. – Mimo to zdobyłem chyba ujęcia, o które ci chodziło: jedno

z profilu, jedno en face. Mama i tata nie dali mi zbyt dużego wyboru.

– W takim razie te będą musiały wystarczyć.

– Popytam jeszcze, zobaczę, co uda mi się ustalić w sprawie jej zatrudnienia jako niani.

– A pytałeś o to Teague'ów?

– John stwierdził, że ujawnienie nazwiska pracodawcy Cory będzie stanowić naruszenie zasady poufności.

– Dziwaczne.

– Owszem.

Kiedy Ramsey poszedł, sprawdziłam zawartość koperty. Dwa kolorowe zdjęcia.

Położyłam je na biurku, tuż obok siebie. Jedno przedstawiało dziewczynkę dwunasto-, może trzynastoletnią o bladej skórze, z piegami i długimi jasnymi warkoczami. Stojący za dzieckiem John Teague trzymał rękę wspartą na jego ramieniu. Twarzą do dziewczynki zwrócony był drugi mężczyzna, dotykający kciukiem jej czoła. Miał na sobie czerwone szaty i mitrę – ceremonialny strój i nakrycie głowy katolickiego biskupa. Z tyłu fotografii napisano odręcznie: „Bierzmowanie, 19 marca 2006 roku”.

Drugie zdjęcie wykonano na dworze. Za piknikowym stołem siedziała młoda kobieta ze skrzyżowanymi rękoma, ogromne zielone oczy wpatrywały się ponuro w obiektyw. Włosy miała mocno zaczesane na tył głowy. Na jej ramiona spadały długie faliste pasma, lśnią w słońcu jak płynne złoto.

Jak włókna, które pobrałam z betonu?

Siedziałam, gapiąc się na zatrzymaną w czasie wersję Cory Teague, a w mojej głowie szalały wątpliwości, niczym spłoszone ćmy. Czy ona naprawdę nie żyje? Czy uda mi się odtworzyć jej twarz w postaci maski pośmiertnej w 3D? Czy ta forma w ogóle zadziała?

Moje myśli przerwał dźwięk telefonu stacjonarnego.

– Jestem w sali sekcyjnej numer jeden. – Głos Larabeego brzmiał tak, jakby za chwilę miało dojść do wybuchu jądrowego. – Zejdź tu. Szybko.

## Rozdział 18

Larabee stał po drugiej stronie ruchomych noszy, badając ciało wciąż zapakowane w worek „na ostatnią podróż”. Zamek błyskawiczny był zasunięty, lecz zarys zawartości podpowiedział mi, że zajmuje go dorosła osoba sporych rozmiarów.

Człowiek od mojej strony noszy stał zwrócony do mnie plecami. Jego sylwetka wydawała się znajoma – wysoki, o ramionach zbyt wąskich w porównaniu z talią i tyłkiem. Coś tu jednak było nie tak.

Kiedy się zatrzymałam z ręką na klamce u drzwi, mężczyzna się odwrócił. Potwierdzając swoją tożsamość, co do której miałam nadzieję, że się mylę.

Patrzył na mnie chłodnym okiem Erskine „Chudy” Slidell z wydziału zabójstw policji Charlotte-Mecklenburga. Legenda o sile magnum, jak sam siebie postrzegał w ramach swych wąskich horyzontów myślowych.

Slidell pozdrowił mnie skinieniem głowy.

– Dzień dobry, detektywie. – Dyskretnie szukałam tego, co się nie zgadzało w wyglądzie Slidella.

Twarz miał lepką i poszarzałą. Tak działają na niego sekcje zwłok. Poza tym wyglądał najlepiej od lat. A może w ogóle, odkąd go znałam. Szacowałam, że schudł od ośmiu do dziesięciu kilogramów. Nosił zamszową marynarkę, koszulę bez krawata i spodnie khaki; włosy miał krótko przycięte, w stylu Bruce’a Willisa.

– Chodź tutaj – przywołał mnie Larabee rozdrażnionym gestem zgiętych, ubranych w rękawiczkę palców.

– Doktorze, to nie jest...



– Proszę zaczekać, detektywie. – Larabee ewidentnie nie miał ochoty na dyskusje ze Slidellem.

Obeszłam nosze. Larabee uniósł podkładkę pod dokumenty z formularzem przyjęcia zwłok.

– Biała kobieta, lat sześćdziesiąt jeden. Wzrost: sto osiemdziesiąt jeden i pół centymetra. Waga: osiemdziesiąt jeden kilogramów. Znaleziona dziś rano o ósmej zero siedem przez sąsiada pod nabrzeżem dolnego stawu w Parku Przyrodniczym Ribbon Walk.

– Gdzie to jest? – W Charlotte jest fatalnie mało parków. O tym w ogóle nie słyszałam.

– W dzielnicy Derita, niedaleko Nevin Road. Jest tam kilka stawów, tereny podmokłe, szlaki piesze.

Po drugiej stronie noszy Slidell odchrząknął. Głośno.

Larabee zignorował to niezbyt subtelne ponaglenie.

– Ofiara mieszkała kilka ulic dalej. Według tego sąsiada – sprawdził na kartce papieru przypiętej do podkładki – Franca Saltieriego, lubiła tam spacerować.

– Wiadomo coś, czy miała depresję?

Larabee wzruszył ramionami. Kto to może wiedzieć?

Nagle zrozumiałam znaczenie obecności Slidella.

– Podejrzewasz morderstwo?

– Chyba że babcia poszła się wykąpać o północy.

Larabee nie docenił przejawu humoru u Chudego.

– Doszło do bardzo poważnych urazów twarzy.

– Jak długo przebywała w wodzie?

– Saltieri mówi, że widział ją w sobotę rano około siódmej. Musiała zginąć wkrótce potem.

Biorąc pod uwagę fakt, że woda jest chłodna i że ofiara znajdowała się w niej stosunkowo krótko, w zwłokach musiały zajść niewielkie zmiany pośmiertne. Zastanawiałam się, po co mnie wezwano. Już miałam o to spytać, gdy Larabee wrócił na przednią stronę dokumentacji i odczytał nazwisko.

– Hazel Lee Cunningham Strike.

Pokój wokół mnie zawirował.

– Czy to nie ta sama Hazel Strike, która przyszła cię odwiedzić? – Czułam na swojej twarzy wzrok Larabeego, jego czujne i zwężone oczy. – Ta internetowa detektyw amator?

Mogłam tylko kiwnąć głową.

– Tak właśnie myślałem.

Usłyszałam stukot podkładki padającej na stal nierdzewną. Zgrzyt rozpinanego suwaka. Świszt powietrza w nosie Slidella.

– Czy to Strike?

Pozwoliłam sobie na chwilę zwłoki, żeby oczyścić umysł. Głęboki wdech. A potem spojrzałam w dół.

Krzykliwie kolorowe włosy, teraz mokre, zasłaniały lewą część twarzy Hazel Strike. Skórę miała trupio bladą, ciemniejszą tam, gdzie zapadła się leżąca poniżej kość – na policzku, w górnej krawędzi oczodołu. Wargi zwisały luźno, ukazując krwiaki i połamane zęby.

– Co to znaczy, że przyszła cię odwiedzić? – zażądał odpowiedzi Slidell stojący po przeciwnej stronie noszy.

– To znaczy, że do mnie przyszła – odpowiedziałam, nie podnosząc wzroku.

W tym momencie przez drzwi przepchnął się Hawkins. Larabee przywołał go gestem, a potem znów skupił się na Slidellu i na mnie.

– Może byście przełożyli tę dyskusję na później, żebyśmy mogli przystąpić do sekcji?

Rzuciłam ostatnie spojrzenie na twarz Hazel Strike. Przypomniałam sobie wiadomości w moim telefonie. Pilne. Z prośbą, żebym oddzwoniła.

Z przepelniającym mnie poczuciem winy minęłam Slidella i skierowałam się na korytarz. Chudy zawahał się chwilę, a potem ruszył za mną.

W gabinecie zajęłam swoje miejsce za biurkiem. Slidell usiadł naprzeciwko mnie, ramiona i mięśnie żuchwy miał napięte, jakby już znajdował się w postawie konfrontacyjnej.

– Kiedy tu była?

– Tydzień temu.

– Po co?

W moim umyśle słowa i obrazy kręciły się jak oszalałe. Starłam się je zmusić do jakiegoś ładu. Ułożyć w sensowny wzór. Slidell podarował mi co najmniej pół minuty cierpliwości.

– Byle dziś, doktorko.

– Dobrze.

Przekazałam mu wszystko, mając tylko nadzieję, że robię to we właściwej kolejności. Mówiłam o hobby Strike, jakim było internetowe prowadzenie śledztw, oraz o jej odwiedzinach w MCME. O Corze Teague. O mojej podróży do okręgu Burke, na Urwisko Zagubionego Wąwozu, do Punktu Wisemana, do trzech platform widokowych na Górę Brązową. Koniuszki palców pozbawione odcisków, pofragmentowany szkielet, beton na szlaku Diabelskiego Ogona, wraz zawartością twardniejącą teraz w sali prosektoryjnej numer cztery. Zastępca szeryfa Zeb Ramsey. John i Fatima Teague'owie i Kościół Uświęceniowy Jezusa Pana. Podejrzana śmierć ich najmłodszego syna, Eliego, w wieku dwunastu lat. Uporczywe telefony od

Hazel Strike w ostatnią sobotę.

Slidell słuchał, nie robiąc żadnych notatek. Kiedy skończyłam, patrzył na mnie tak, jakbym oświadczyła, że Elvis był kompletnie głuchy.

W głowie zaczęła mi się formułować jakaś uwaga, gdy przy pasku Slidella zabrzączał telefon. Bez słowa przeprosin wstał i zamaszystym krokiem wyszedł z gabinetu. Przez kolejne dziesięć minut słyszałam przez drzwi jego głos. Pauza. A potem nowa rozmowa. Może drugi akt pierwszej.

Zabrałam się za papierkową robotę, czekając, aż wróci.

– Więc ta starsza pani do ciebie wydzwaniała.

– Hazel Strike miała sześćdziesiąt jeden lat.

Slidell szyderczo wykrzywił podbródek.

– Telefonowała kilka razy – powiedziałam. – Zostawiała wiadomości z prośbą, żebym oddzwoniła.

– Kiedy to było?

– W zeszłą sobotę.

– O której?

– Jeden telefon wczesnym rankiem. Drugi po południu, trzeci... Nie jestem pewna.

– I oddzwoniłaś?

– Nie.

– Dlaczego?

– Byłam zajęta. – Znów ukłucie wyrzutów sumienia. Czego Strike chciała? Czy bała się o swoje życie? Z kim jeszcze mogła się kontaktować, prosząc o pomoc?

– Nie widziałaś jej od czasu tej wycieczki do lasu?

– Nie.

Slidell zaczął robić wyliczankę na palcach. Ku memu zaskoczeniu, jeśli

nawet nie poddał się zabiegom manikiuru, to z pewnością były one nienormalnie czyste i zadbane.

– Widzę to tak. Raz: Cora Teague to duża dziewczynka i wolno jej zadawać się, z kim tylko chce. Dwa: nikt nie zgłosił jej zaginięcia...

– *Zostało zgłoszone.*

– A mówiłaś co innego.

– O jej zniknięciu pisano na stronie detektywów amatorów o nazwie OPKK.net.

– W Internecie. – Jego głos ociekał pogardą.

– Tak.

– Kto ją spisał?

– Ktoś przedstawiający się jako OMG. – Korciło mnie, aby poprawić jego stylistykę, ale sobie darowałam.

Brwi Slidella uniosły się odrobinę.

– No wiesz. Oh my God.

Ani śladu zrozumienia.

– Przypuszczam, że OMG to cyberskrót. Jak LOL. Śmiać się w głos. Albo G2G. Muszę iść.

Slidell wziął głęboki, cierpiętniczy oddech.

– Więc nie masz pojęcia, kim jest ten męczydupek.

– Nie.

Wiedza Slidella o Internecie ogranicza się do sprawdzania danych w rodzaju odcisków palców, broni czy numerów rejestracyjnych pojazdów, które to zadania zrzuca zwykle na swoich podwładnych. Nie ma własnego komputera. W pełni świadoma owego dziwactwa, ruszyłam do ataku.

– Próbowałam na Twitterze, ale nie znalazłam żadnego użytkownika o nazwie zawierającej litery OMG. Tylko tyle zdążyłam sprawdzić, zanim

musiałam zająć się czymś innym.

– I nie wiesz, kim była ta Hazel Strike. Była.

W moim umyśle wyskoczył obraz. Strike siedzi na krześle zajęтым teraz przez Slidella, z łokciami na kolanach, twarzą pełną współczucia dla zapomnianych umarłych.

– Lucky – powiedziałam.

– Co?

– Mówiono na nią Lucky. Wiesz. Jak te papierosy...

– No, no. Poetyckie.

– Strike prowadziła dochodzenie w sprawie Cory Teague. Rozmawiała nawet z jej rodziną. To nie może być zbieg okoliczności. Musi istnieć jakiś związek między morderstwem Strike a...

– Przypuszczalnym morderstwem.

– ...a zniknięciem Teague – dokończyłam.

– Przypuszczalnym zniknięciem.

– Zastępca szeryfa Ramsey dysponuje czasem, żeby czynić pewne wysiłki w tej kwestii – powiedziałam lodowato. Czytaj: nie jest tak oporny jak ty.

– Tu nie okręg Avery, w dużym mieście załatwia się te sprawy inaczej. Doktor Larabee mówi, że ktoś wykończył Strike. Drań pójdzie siedzieć.

– Co mam robić?

– Nie wtrącaj mi się.

Pozwoliłam, by minęło kilka chwil, żeby pokazać, z jakim niesmakiem przyjmuję jego postawę. Potem powiedziałam:

– Nie jestem amatorką.

– Jesteś zezulcem. – Policyjny żargon z telewizji. Cały Slidell.

– W przeszłości nieraz okazywałam się pomocna.

– Nie rozmawiamy teraz o kościach. Nic osobistego, ale jeśli sprawa przypadnie mnie, wolę pracować bez zakłóceń z twojej strony.

Zakłóceń? Miałam ochotę walnąć go w tę zaskakująco dobrze wygoloną buźkę.

Zadzwonił telefon stacjonarny, ratując mnie przed impulsywną reakcją. To był Larabee.

– Jak idzie? – zapytałam.

– Tak, jak się spodziewałem. – W tle słyszałam szum wody uderzającej o zlew i jakiś męski głos, pewnie Hawkinsa. Larabee powiedział do niego coś, czego nie wychwycałam. – Stwierdziłem poważne urazy czaszki, twarzoczaszki i odcinka piersiowego, skutek co najmniej siedemnastu ciosów zadanych tępym narzędziem.

– To wskazuje wręcz na wściekłość.

– Owszem.

– Bezpośrednia przyczyna śmierci?

– Masywne krwawienie wewnątrzczaszkowe.

– Jakież rany powstałe wskutek obrony?

– Żadnych.

Oczy Slidella były utkwione we mnie.

– Woda w płucach?

– Nie. Nie żyła, zanim wrzucono ją do stawu. Slidell jeszcze tam jest?

– Tak.

– Powiedz mu, że kwalifikuję Strike jako zabójstwo.

– Odeślę go do ciebie.

– A nawet nie mam dziś urodzin.

– Jako nagrodę za dobrze wykonaną pracę.

Odłożyłam słuchawkę i przekazałam Chudemu to, co powiedział Larabee.

Gdy Slidell zaczął wstawać, w moim mózgu zaiskrzyła jedna z synaps.

– Sprawdzalam trochę w Internecie – rzeklam. – W tych detektywach amatorach jest coś, co mnie zaniepokoiło.

– Grają sobie w „Grzmotnij kreta” wirtualnymi podbijakami?

Uwaga była absolutnie niedorzeczna, więc ją zignorowałam.

– W przypadku niektórych z tych osób, nie wszystkich, chodzi o schlebianie własnemu ego oraz o coś w rodzaju współzawodnictwa.

– „Grzmotnij innego detektywa”?

– Interesuje cię to czy nie?

Slidell westchnął i skrzyżował ręce na piersi.

– Hazel Strike zaangażowała się w długą i gorzką dysputę z pewnym gościem, który używał pseudonimu WendellC.

– To skrót od czego?

– Facet nazywa się Wendell Clyde. – Opisałam rolę Clyde’a w zidentyfikowaniu Dziewczyny w Kołdrze. Wspomniałam o jego gwiazdorskiej sławie, będącej rezultatem owego faktu. – Strike oskarżała WendellaC o przypisanie sobie zasług i odkryć, których dokonali razem.

– I co z tego?

– Ich kłótnia była więcej niż paskudna. W większości potwornie zjadliwa.

Slidell zamrugał oczami, a potem otworzył usta, żeby przedstawić mi swój absolutny brak zainteresowania.

– Według nowych raportów ten Clyde mieszkał w Huntersville.

Pasek Slidella znów zawibrował. Tym razem detektyw zignorował telefon.

– Powiadasz więc, że między Strike a Clyde’em było dużo złej krwi?

– Nienawidzili się.

– I facet mieszka tu niedaleko.



– Mieszkał w dwa tysiące siódmym roku. Kiedy ukazały się tamte artykuły.

– Sugerujesz, że to Clyde zarąbał Strike?

– Jestem jak najdalsza od wprowadzania zakłóceń. – Dziecinne, ale Slidell mnie do tego sprowokował.

– Z dąsami nie jest ci do twarzy, doktorko.

– Sugeruję, że Wendell Clyde to właściwa osoba, żeby zacząć od niej śledztwo.

## Rozdział 19

Przed wyjściem z MCME sprawdziłam rozkład zajęć w mojej siłowni. Idealnie. Wieczorna sesja jogi o osiemnastej. Rozciąganie i oddychanie w walce ze stresem.

Kogo chciałam oszukać? Zajęcia oznaczały kolejną godzinę z dala od kilometra kwadratowego papierów zalegających na stole w jadalni.

Do przybudówki dotarłam około dziewiętnastej trzydzieści, dość zrelaksowana. Ten stan umysłu potrwał jakieś dziesięć minut.

Telefon zadzwonił, gdy dzieliliśmy się z Birdiem zapiekanką drobiową z Fresh Marketu. Zeb Ramsey. Wcisnęłam „odbierz”.

– Wykorzystuję każdą wolną chwilę. – Ramsey coś jadł, może frytki. Słyszałam żucie, przerywane szelestem. – Podzwoniłem w sprawie Masona Gulleya, tego chłopaka, z którym Cora miała uciec zdaniem rodziców.

Odczekałam, aż skończy konsumować coś wilgotnego.

– Niełatwo go było namierzyć, ale moim „kolegom” – niemal słyszałam, jak robi znak cudzysłowu przy tym wyrazie – udało się dokopać do paru rzeczy. Gulley urodził się w dziewięćdziesiątym czwartym roku, to znaczy, że jest o rok młodszy od Teague.

Oboje wzięliśmy kęs pokarmu, który akurat spożywaliśmy, on swojego, ja swojego.

– Ojciec Gulleya, Francis Gulley, wyprowadził się z domu po skończeniu szkoły średniej i został kolejnym cudownym kaznodzieją w Nashville. Jego matka, Eileen Wall, pochodziła z zapyziałej miejsciny przy granicy z Tennessee. Eileen rzuciła studia na pierwszym roku na rzecz światła Broadwayu. Kiedy się poznali, pakowała hamburgery w restauracji sieci

Wendy's w Asheville, a on grał dorywczo koncerty jako perkusista. Rok po tym, jak zamieszkali razem, na świat przyszedł mały Mason.

– Pobraли się?

– Nie. Poza tym perspektywa zostania rodzicem nie zachwycała ani jej, ani jego. Zwiali do Kalifornii, pozostawiając dziecko u matki Gulleya, Marthy Regan Gulley.

– Dlaczego nie u rodziców Eileen?

– Ojciec był pijakiem, matka miała stwardnienie rozsiane.

– To smutne.

– A nawet jeszcze smutniejsze. Oboje zginęli w zderzeniu czołowym dzień po Bożym Narodzeniu w dwutysięcznym roku.

Słuchając, obserwowałam Birdiego, jak toczy zielony groszek, akurat wolny od sosu, w stronę małej kolekcji innych groszków i marchewek na podłodze. Nie mogłam nie odczuć podziwu dla jego dbałości o zdrowie.

– Krótko mówiąc, Mason wychowywał się u babci i dziadka Galleyów. Głównie u babci. Oscar Gulley zmarł na zastoinową niewydolność serca w dwa tysiące czwartym. Miał osiemdziesiąt jeden lat.

– Martha jeszcze żyje?

– Babcia była o ponad dziesięć lat młodsza od męża. Nadal mieszka w okręgu Avery. – Ramsey przerwał, ale nie słyszałam ani szelestu papieru, ani pracy jego uzębienia. – Wychowuje drugie dziecko Eileen, dziewczynę o imionach Susan Grace.

– Poważnie?

– Eileen porzuciła Susan Grace w roku dziewięćdziesiątym dziewiątym, gdy dziecko miało zaledwie miesiąc. Spędziła z nią dwie noce, a potem wróciła do Los Angeles. Po roku przedawkowała heroinę.

– Czy w chwili jej śmierci nadal stanowili z Francisem parę?

– Rozstali się.

– Co się z nim stało?

– Wtedy nazywał się już Frank Danger. Parę razy aresztowano go w Los Angeles. Drobne sprawy. Włóczęgostwo. Niewłaściwe zachowanie. Stawianie oporu. Ostatnie zatrzymanie miało miejsce w dwa tysiące szóstym za posiadanie marihuany. Został skierowany na odwyk, wyrok był w zawieszeniu. Potem ślad po nim zaginął.

– Nigdy nie został gwiazdą rocka.

– Nie.

Czy rodzice Masona Gulleya byli naprawdę tak istotni dla sprawy? I ich fatalna młodość?

– Cora Teague chodziła do liceum okręgu Avery – powiedziałam. – Mason Gulley też się tam uczył?

– Nie.

– A gdzie?

– Pracuję nad tym. – Minęła chwila. – Wygląda na to, że tego chłopaka znało bardzo niewielu ludzi. Moi koledzy usłyszeli kilka dziwnych komentarzy od tych, którzy mieli z nim kontakt. Kasjer w Food Lion, aptekarz, pewien...

– Co to znaczy „dziwnych”?

– Ludzie mówią, że był inny.

– Inny?

– Odmienny.

– Odmienny?

– Tylko powtarzam to, co sam usłyszałem.

Rozmyślałam o tym wszystkim, konsumując kawałek kurczaka.

– Czas wrócić do szeryfowania. – Usłyszałam ruch, pewnie Ramsey

okręcał się na krześle, aby odłożyć słuchawkę.

– Zaczekaj. – Przełknęłam. – Jest coś jeszcze.

Na linii zaległa cisza.

– Wczoraj w nocy zamordowano Hazel Strike.

– Tę internetową detektyw, która poszła z nami na punkt widokowy? –

Był zszokowany.

– Tak.

– Co się stało?

Opowiedziałam mu o sekcji zwłok. O ranach wskazujących na to, że zabójca Strike działał pod wpływem silnego gniewu. O jej sporze z Wendellem Clyde'em. O odmowie Slidella, by włączyć mnie do śledztwa.

Kiedy skończyłam, od strony gór napłynęła ku mnie głucha cisza. Wiedziałam, że Ramsey rozważa to samo, co wcześniej ja. Że zbieg okoliczności jest tu bardzo mało prawdopodobny.

– Pracowałaś już wcześniej z tym facetem?

– O tak.

– Jest solidny?

– Slidell ma osobowość polipa analnego, ale to dobry detektyw.

– Chcesz, żebym do niego zadzwonił?

– Wątpię, żeby to ruszyło Chudego. Lepiej się dostosować. – Wróciłam do meritum. – Zarówno Gulleyowie, jak i Teague'owie należą do Kościoła Uświęceniowego Jezusa Pana. Cora i Mason mogli się tam widywać.

– Ksiądz się nie mylił. Osoby pytane potwierdziły, że Gulley zniknął z pola widzenia w roku dwa tysiące jedenastym. Czyli mniej więcej w tym samym czasie co Teague.

Oboje przeżuwaliliśmy tę informację. Oraz brutalny fakt śmierci Hazel Strike.

- Co teraz? – spytałam.
- Byłabyś skora jeszcze raz tu przyjechać?
- Byłabym.

Sporządziliśmy plan, a potem się rozłączyłam.

Birdie i ja poświęciliśmy zagadnieniu podatków całą uwagę. Przez jakieś trzydzieści minut. Następnie wzięłam prysznic i oboje zalegliśmy w łóżku.

Zaskakujące, ale miałam ochotę porozmawiać z Ryanem. Prawdopodobnie przez Slidella – musiałam jakoś odreagować. A może potrzebowałam czegoś jeszcze. Nieważne. Męczyło mnie już analizowanie moich chaotycznych emocji.

Ryan odebrał pod drugim sygnale.

- Właśnie miałem nadzieję, że to ty.
- Cieszę się, że mogłam sprawić ci przyjemność.
- Twoje telefony zawsze napełniają mnie radością.
- Spróbuj nad tym panować. – Uśmiechnęłam się. To było miłe.
- Spróbuję. – Słyszałam, jak w tle Ryan ścisza jakiegoś podnieconego sprawozdawcę sportowego. Był w domu. – Co słyhać?
- Przebukowałam lot.
- *C'est fantastique!* Kiedy przyjeżdżasz?
- W następny piątek. Niestety, tylko na długi weekend. Prześlę ci mejlem dane lotu.

– Naprawdę się cieszę. – Pozwolił, by to wybrzmiało. – Jakież nowości w twoim dochodzeniu?

Potrzebowałam chwili na zorganizowanie myśli. Tyle się przecież wydarzyło. Postanowiłam zacząć od najnowszych wypadków i cofać się w chronologii.

- Pamiętasz naszą rozmowę o internetowych detektywach amatorach?

– Pamiętam. I o Lucky Strike. – Usłyszałam szum, a potem brzęk kostek lodu spadających do szklanki. – Szukała młodej dziewczyny nazwiskiem Cora Teague.

– Strike została zabita wczoraj w nocy. Zatluczona na śmierć, a potem wrzucona do stawu.

– Jezu Chryste. Nic ci nie jest?

– Czuję się dobrze. – Jak to wszystko ująć bez nadmiernego podkreślania własnego zaangażowania? – W poniedziałek, po wyjściu Strike z mojego gabinetu, zaczęłam przyglądać się temu, o czym mi mówiła.

– Jej teoria trzyma się kupy? – Jakiś płyn, zapewne whisky, rozlał się na kostki lodu.

Opowiedziałam mu o opuszkach palców z okręgu Burke, pozbawionych linii papilarnych. O fragmentach kości z Urwiska Zaginionego Wąwozu. O betonowej formie ze szlaku Diabelskiego Ogona. O Brązowej Górze. O Zebie Ramseyu. O Teague'ach. Gulleyach. O Grangerze Hoke'u i Kościele Uświęceniowym Jezusa Pana. O Wendellu Clydzie.

Relacja zajęła mi pół godziny. Przez cały ten czas słyszałam grzechotanie lodu i – od czasu do czasu – odgłos przełykania.

Wysłuchawszy mnie, Ryan przebył ten sam zapętłony proces myślowy, który ja przerabiałam wcześniej.

– Dlaczego nie ma odcisków?

– Nie jestem pewna. To może być skutek chemioterapii. Ramsey wypytywał w miejscowych szpitalach, ale nie znalazł żadnych pacjentów z rakiem, którzy samowolnie przerwali leczenie.

– Co powiedziała ta antropolog z WCU?

– Jeszcze nie miałam od niej informacji zwrotnych. – Uwaga do samej siebie. Zadzwoń jeszcze raz.

– A Teague’owie odmówili oddania próbek do badań DNA?  
– Upierają się, że Cora mieszka sobie w innym miejscu i ma się dobrze.  
– A ponieważ brak dowodów na popełnienie przestępstwa, nie możecie ich do tego zmusić.

– *Voilà.*

– Masz zatem ofiarę z niewiadomą przyczyną śmierci, niemożliwą do zidentyfikowania.

– Właśnie. Na podstawie tego, co znaleziono, nie jestem w stanie ustalić ani płci, ani rasy. Przesłałam do laboratorium próbki do badań DNA, żeby chociaż stwierdzić, czy to jest tylko jedna osoba, a potem spróbować ją zidentyfikować. Ale nie jestem optymistką, że uda im się wyodrębnić sekwencję. Wszystko jest zniszczone, w fatalnym stanie.

– A najmłodsze dziecko Teague’ów zmarło w podejrzanych okolicznościach.

– Tak mówił lekarz z pogotowia.

Ryan zmienił temat.

– Sądzisz, że Wendell Clyde mógł zamordować tę Strike?

– Powinieneś przeczytać te rozmowy w sieci, Ryan. Są toksyczne. Poza tym facet mieszka niedaleko Charlotte. – Albo mieszkał.

– Chudy tego nie kupuje?

– Kto wie, co się dzieje w odległych zakątkach umysłu Slidella. Nawiasem mówiąc, on przechodzi coś w rodzaju transmutacji.

– To znaczy?

– Schudł i wygląda – szukałam odpowiedniego słowa – na zadbanego.

– Ma dziewczynę.

– Serio?

– Wrócił do Verlene.



Slidell i Verlene Wryznyk mieli ze sobą coś wspólnego już w paleozoiku. Ona go rzuciła, ale przez wiele lat pozostawali przyjaciółmi. Minionej zimy Slidell poświęcił się dla swojej dawnej ukochanej, gdy ta przypadkowo postrzeliła ówczesnego kochanka, agenta SBI o gigantycznym ego, damskiego boksera.

– Niemożliwe! – Byłam tak zaskoczona, że początkowo nie zrozumiałam implikacji płynących ze słów Ryana. – Czekał. Skąd o tym wiesz?

– Dzwonił do mnie dwa tygodnie temu. Miał pytanie dotyczące butów.

– Butów.

– Podziwia mój gust.

– Chudy?

– Trudno mu się dziwić. Jeśli chodzi o obuwie, jestem gość.

– Ryan – powiedziałam z nutką przygany w głosie.

– Opowiem ci o wszystkim, jak przyjedziesz.

Zanim zdołałam go docisnąć, znów zmienił temat.

– Myślisz, że śmierć Strike ma związek z sytuacją Cory Teague?

– Nie wiem, co myślę.

– Zdobyłaś od niej to nagranie?

– Nie. Miejmy nadzieję, że Chudy znajdzie je, kiedy przeszuka jej dom. –

Kolejna notka do samej siebie. Zadzwoń do Slidella.

Zapadła chwila pełnego namysłu milczenia. Potem Ryan zapytał:

– Granger Hoke to ksiądz katolicki?

– Kościół Uświęceniowy Jezusa Pana jest grupą odszczepieńców, która pozostaje na bakier z Rzymem. To mała, ale aktywna kongregacja. I zdecydowanie chroniąca swoją prywatność. John Teague przedstawia sobą trudne zadanie.

– A czy te szczątki, które znalazłaś, mogą mieć związek z jakimiś

przejawami szaleństwa, z Brązową Górą, szatanem?

Ramsey też wspominał o takiej ewentualności. Uwikłanie w to wszystko Hoke'a i jego trzódki nie wymagało specjalnych wyjaśnień.

Zanim zmarł mój dziadek, a babcia zabrała mamę, Harry i mnie na Południe, do krainy baptystów i prezbiterian, wychowywano mnie po katolicku. Uczyły mnie zakonnice głoszące cuda o winie i wodzie, o narodzinach z dziewicy i zmartwychwstaniu. Mówiące o braku nadziei dla nieochrzczonych pogańskich niemowląt. O grzechu lekkim i śmiertelnym, jego złu. O mocy popiołu sypanego na głowę, pokuty i modlitwy.

Mojemu młodemu umysłowi życie wieczne jawiło się jako wielka atrakcja. Ale koszt biletu do niego był przeogromny, a prawdopodobieństwo jego nabycia – skrajnie niskie. Wydawało się, że zostałam skazana na potępienie, zanim jeszcze zaczęłam żyć. Do moich cech wrodzonych należały gniew, chciwość, lenistwo, pycha, pożądanie, zazdrość i obżarstwo. Moje kobiece ciało stanowiło przedmiot nikczemnej, diabelskiej żądzy, należało je zasłaniać i korzystać z niego wyłącznie do prokreacji.

Jedynym wybawieniem było niezadające pytań posłuszeństwo. Oraz odprawianie niekończących się rytuałów. Ryba w piątek. Spowiedź w sobotę. Msza w niedzielę.

Wszyscy są wezwani, ale tylko nieliczni wybrani. Ci bojący się Boga, Bogu posłuszni. Alternatywą był szatan i ogień piekielny.

– ...do Brennan. – Głos Ryana stał się cichszy, jego ton bardziej miękki.

– Jestem. – Proszę, nie.

– Kocham cię.

Wydałam z siebie dźwięk, który mógł oznaczać wszystko.

– Dobrze wiedzieć – rzekł Ryan.

– Późno już.

Chwilowa pauza.

– Robisz uniki, Tempe. Unikasz tematu. Nie rozmawiamy o odłożeniu wizyty u dentysty. Ani o przyjeździe tutaj, do mnie. Mówię o naszym życiu.

– Wiem – odpowiedziałam ledwie słyszalnie.

– Uniki są szkodliwe.

– Nie cierpię takich dyskusji na odległość. – Kiedy to mówiłam, sama wiedziałam, że wcale nie chodzi o telefon. – Pogadamy, kiedy przyjadę.

– Naprawdę cię kocham. I będę czekał. Ale nie wiecznie.

Sztylet czystego, krystalicznego bólu rozdarł mi pierś.

## Rozdział 20

Wskazówki od Ramseya doprowadziły mnie do końca asfaltowej drogi, przy której stały drewniane chaty, śliczniejsze od domków z piernika, w typie tych wynajmowanych na krótki okres przez letników oraz miłośników zbierania jesiennych liści. Wszystkie miały zamknięte okiennice, były ciemne. Ostatni odcinek drogi prowadził żuźlowym podjazdem, odchodzącym od ślepej uliczki, o wiele za szerokim, by cokolwiek na tym odludziu uzasadniało jego przeznaczenie.

Rodzina Addamsów, tyle że na sterydach. Taka refleksja rozbłysła mi w głowie, kiedy parkowałam.

Dom Marthy Gulley był walącym się, piętrowym potworkiem, który nie zaznał malowania od czasu, gdy Babe podpisał kontrakt z drużyną Red Sox. Wieńczyły go mansardowe okna i wieżyczka z wiatrowskazem na szczycie, a otaczały weranda i oranżeria. Miejsce to wyglądało niczym bękart zrodzony wśród gotycko-wiktoriańskiego otoczenia.

Przyglądałam się detalom, gdy przyjechał Ramsey. Wysiadłam i czekałam, aż do mnie dołączy.

– Wiedziałeś o tym cudenku?

– Bywałem w pobliżu, ale nigdy nie miałem powodu, żeby wejść do środka. – Ramsey lustrował nieruchomość, jedną ręką osłaniając oczy. – Podobno stary Oscar chciał stworzyć wersję domu Sarah Winchester, taką ze Wschodniego Wybrzeża. Zmarł po dziesięciu latach budowy.

– Czy chodzi o ten dworek z San Jose?

– Tak. Dawno temu Sarah straciła dziecko, a potem męża, resztę życia poświęciła na rozbudowę starego domu na farmie. W chwili jej śmierci

budynek miał sto sześćdziesiąt pokoi i zajmował dwa i pół hektara powierzchni. Mówi się, że kobieta chciała w ten sposób uchronić się przed duchami ludzi zabitych z karabinów Winchestera.

Ramseyowi niewątpliwie podobała się ta historia.

– Sądysz, że Fester ciągle ma swoje laboratorium w podziemiach? – zapytałam.

– Kto? – Odwrócił się twarzą do mnie.

– Nieważne. – Ramsey bardziej siedział w historii niż w komediach. – Babcia wie, że przyjedziemy?

– Wie. I wcale się nie cieszy.

Kiwnęłam głową w stronę czarnego chevroleta tahoe zaparkowanego obok oranżerii. Która wyglądała zresztą tak, jakby od wielu dziesięcioleci nie pielęgnowano tam żadnej roślinności.

– Nadal prowadzi wóz?

Ramsey wzruszył ramionami. Kto to może wiedzieć?

Przecieliśmy brązowy, zryty skrawek porośły zielskiem, dawniej trawnik, i wspięliśmy się na werandę. Ramsey nacisnął dzwonek. Czynność ta nie pociągnęła za sobą żadnego stłumionego dźwięku, ni gongu, ni kurantów.

Ramsey zapukał w drzwi. Wyglądały na rażąco nowe. I tanie, może z magazynów Home Depot.

Minęła cała minuta. Potem kliknęła zasuwę, zagrzechotał łańcuch i drzwi się otworzyły do środka. Na całe dwadzieścia centymetrów.

Przez szczelinę zobaczyłam postać ludzką, której sylwetka odcinała się na tle bardzo słabego światła. Wysoką postać. Babcia Gulley była takiego wzrostu, że musiałam mocno zadzierać głowę, żeby spojrzeć jej w oczy, które były zielone i czujne za ciężkimi okularami w czarnych oprawkach przeznaczonych raczej dla mężczyzny. Jej wzrok spoczął na mnie na jedną

nanosekundę, a potem przeniósł się z powrotem na Ramseya.

– Nie mam pojęcia, czego pan ode mnie chce, szeryfie.

– Jestem tylko zastępcą, proszę pani. – Uśmiechnął się skromnie Ramsey.

– Kim ona jest? – Ruch głowy w moim kierunku.

– To doktor Brennan.

– Nie ufam doktorom.

– Dziękuję, że zgodziła się pani z nami spotkać, pani Gulley. – Powiedziane to było tak życzliwie, jak życzliwie podaje się kawałek szarlotki na kiermaszu. – Mówiła pani, że późne popołudnie pani odpowiada.

– A daliście mi niby jakiś wybór? Chodzi o Masona?

– Możemy wejść?

Nastąpiło dramatyczne wyprostowanie barków, po czym babcia cofnęła się o krok i otworzyła drzwi o kilka centymetrów więcej. Ramsey i ja przecisnęliśmy się do środka. Za naszymi plecami kobieta zatrzaskała drzwi i zamknęła je na zasuwę.

Z wejścia wchodziło się bezpośrednio do salonu, który – podobnie jak sam dom – wyglądał tak, jakby czas stanął w nim w miejscu. Zasłony były zaciągnięte, świeciła się tylko jedna lampa. W mroku udało mi się dostrzec stare pianino, narożny kredens, trzy grupki drewnianych, tapicerowanych mebli.

Kamienny kominek zajmował większość ściany po naszej lewej. Przed nim naprzeciwko siebie stały dwie pradowe sofy, oddzielone stolikiem z fragmentu pnia drzewa, ze szklanym blatem.

Na skraju dalszej sofy siedział Granger Hoke. Jego koloratka wyglądała w ciemnościach jak biały kwadracik. Wygładziwszy dłonią tłuste czarne włosy, wstał, by się z nami przywitać.

Podążałam tropem babci przez pokój, cały czas pod wrażeniem jej

postury. Wprawdzie szyję miała teraz wychudłą, a skórę na szczęce obwisłą, nie ulegało jednak wątpliwości, że kiedyś był z niej kawał kobiety.

– Pan zastępca szeryfa. – Hoke poczęstował go szerokim uśmiechem i wyciągnął rękę. – Jak miło znów pana widzieć. – Potem, rozpromieniony, odwrócił się ku mnie. – Oboje państwa.

– A oto i ksiądz – Ramsey uściskał dłoń kapłana. – Co za niespodzianka.

– Tak, tak. Mam nadzieję, że moja obecność nie stanowi przeszkody. Martha jest trochę zdenerwowana. Nigdy nie była przesłuchiwana przez policję.

– Tu nie ma mowy o przesłuchiwaniu.

– Oczywiście. – Konspiracyjny chichot. Ach, ci starzy ludzie. – Ale Martha to moja parafianka. Kiedy zadzwoniła, nie mogłem odmówić. Modliliśmy się, by Jezus dał jej siłę. – Hoke wyciągnął ramię tym samym gestem, który wykonał na podeście prowadzącym do kościoła. Teraz nie przypominał zielonego ptaka. Zamiast szaty liturgicznej miał na sobie zwykły czarny garnitur. – Możemy zaczynać?

Ksiądz usiadł. Babcia spoczęła na sofie obok niego. Ramsey i ja zajęliśmy miejsca naprzeciwko nich, na dwóch końcach trzeszczącego, nadmiernie wypchanego potworka.

– Ma pani uroczy dom – powiedziałam, żeby nieco uspokoić babcię.

– Pan Jezus nie pochwała marnotrawstwa. Większości lokalu nie używam. Nie ma sensu ogrzewać niepotrzebnego metrażu.

– Jak długo tu pani mieszka?

– Czy to ważne?

– Nie, proszę pani. Domyślam się, że pani mąż budował ten dom wiele lat.

– Próżny trud.

Ponieważ moje zagajenie na nic się zdało, ustąpiłam pola Ramseyowi, zgodnie z planem. Przysłuchiwałam się rozmowie, jednocześnie badając wzrokiem pokój.

Ze ścian wytapetowanych w zielono-beżowe pasy sterczały kinkiety z brązu. Listwy przypodłogowe i sufitowe miały ciemne plamy. Z sufitu nad nami zwisał żyrandol, otoczony bogato zdobionym, brązowym medalionem.

Za salonem przez podwójne drewniane drzwi widać było wytapetowany korytarz odchodzący w lewo. Tym razem w różyczki, nie pasy. Po drugiej stronie holu znajdowało się coś, co wyglądało jak bardzo duża kuchnia. Z miejsca, w którym siedziałam, nie mogłam dostrzec już nic więcej.

Ponad ramieniem Hoke'a wznosił się narożny kredens, świątynia wszystkiego co katolickie. Pośrodku stał wielki krucyfiks, z cierniami, gwoździami i ciałem wyrzeźbionym i pomalowanym w najdrobniejszych szczegółach, choć nieprecyzyjnie.

Znajdowała się tam również obsada osób wspomagających: niektórzy byli wyrzeźbieni, inni zamknięci w ramkach i pod szkłem. Najświętsza Panna Skądś Tam, z rozłożonymi rękoma, z czerwonym pompującym sercem. Franciszek z Asyżu, którego nogi ukryte były za króliczkami i owieczkami. Teresa z Lisieux, z głową w welonie i ramionami obciążonymi mnóstwem róż. Pozostałym, choć wydawali się mgliście znajomi, nie potrafiłam przypisać tożsamości.

Jezus spoglądał w dół ze skrawka pasiastej tapety pomiędzy kredensem a kominkiem. Jego oczy mówiły, że nie ma żadnych skrpułów, żeby czytać mi w myślach. I że wyczuwa niebezpieczeństwo.

Na licznych stolikach i półkach w salonie nie było widać ani jednego osobistego zdjęcia. Żadnego noworodka w śmiesznej czapeczce. Młodego człowieka w birecie i todze. Ani psa śpiącego w plamie słońca.



Skupiłam uwagę na rozmowie. Ramsey ignorował Hoke'a, kierując swoje słowa wyłącznie do babci. Ksiądz zachowywał pokerową twarz. Widziałam jednak, że jego umysł pracuje z wytężeniem i że człowiek ten uważnie słucha.

Włosy starej kobiety, matowe i żółtawobiałe, zaczesane były na tył głowy i spięte w skomplikowany układ warkoczyków. Rąbek jej sukni muskał czarne, sznurowane półbuty, złożone razem i mocno wsparte o podłogę.

– Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej, proszę pani. – Ramsey nie przestawał roztaczać uroku zwykłego wiejskiego chłopca.

– Rzadko wychodzę z domu.

– To strata dla całego okręgu Avery.

Hoke uniósł brew i udał rozbawienie.

– Martha ma osiemdziesiąt dwa lata, panie zastępczo szeryfa. A jednak nigdy nie przegapia mszy w środy i w niedziele.

– Czy wozi panią wnuczka? Na imię ma chyba Susan Grace? – Ramsey powiedział to tonem przyjaznym, lecz tak, by dla obojga stało się jasne, że odrobił zadanie domowe.

– Owszem.

– Więc ciągle mieszka z panią?

– Tu chodzi o moją wnuczkę? Jeśli tak, to traci pan czas. Mogę panu od razu powiedzieć. Mason zniknął i koniec pieśni. Ukradł moje pieniądze i zwiął z jakąś kobietą.

– Z Corą Teague.

– Tak jest.

Chociaż jej odpowiedzi były zdecydowane, nie miałam wątpliwości, że stara kobieta jest przerażona. Palce miała zaciśnięte, oczy rozbiegane.

– Gdzie Mason chodził do szkoły? – Ramsey zastosował starą sztuczkę

przesłuchujących. Zmieniał temat, żeby stale zbijać rozmówcę z tropu.

– Sama uczyłam chłopca w domu.

– Dlaczego?

– Mason jest inny.

– W jaki sposób inny?

– Na tyle inny, że nie mogłam go posłać do szkoły publicznej.

– To znaczy?

– Nienormalny.

– Wie pani, dokąd pojechali Mason i Cora? – Kolejny nagły zwrot.

– Nie wiem. Ani nie chcę wiedzieć.

– To przecież pani wnuk.

– To zło, które stało się ciałem. – Wypluła to z siebie z taką żółcią, że aż mnie zatkało.

– Proszę pani...?

– Dusza Masona należy do diabła.

– Dlaczego pani tak mówi?

Męskie okulary wpiły się w Hoke'a. Ksiądz opuścił brodę, nie odwracając głowy. Mrok ocieniał mu twarz, uniemożliwiając odczytanie wyrazu oczu.

– Mason nigdy nie wyglądał jak należy, nie zachowywał się tak, jak powinien zachowywać się chłopiec.

– Co to znaczy? – Nie mogłam powstrzymać się od wtrącenia.

– Nosi na sobie znamię szatana. – Pokryta niebieskimi żyłkami ręka uczyniła znak krzyża: czoło, mostek, a potem jedno i drugie ramię.

Bo jest gejem, niedouczona stara babo? Poczulałam przyływ gniewu, ogarnęła mnie plątanina zagmatwanych uczuć, mających źródło w terażniejszości i w dawnej przeszłości. Ramsey zainterweniował, zanim

wyskoczyłam z kolejnym pytaniem.

– Ma pani jakieś zdjęcie wnuka?

– Nie mam.

– Nawet jednej skromnej fotografii? – dopytywał ze słodkim, szerokim uśmiechem.

– Wszystkie spaliłam.

– A to dlaczego?

– Zgodnie z życzeniem księdza G.

Hoke odchylił się na bok i spytał starszą panią szeptem:

– Czy mam twoją zgodę na podzielenie się poufnymi wiadomościami, moja droga?

– Tak, proszę księdza.

– Myśli na temat Masona bardzo dręczą Marthę. Miewa koszmary, nie śpi. Uznałem, że przydadzą się jej ćwiczenia duchowe. Coś w rodzaju oczyszczenia.

Ramsey nie spuszczał babci z oczu, ale milczał. Kolejny trik przesłuchującego. Pozwolić na ciszę w nadziei, że rozmówca poczuje się zmuszony ją przerwać.

Mieliśmy się nigdy nie dowiedzieć, czy fortel ten przyniósłby efekt. Zanim babcia dostała szansę, by mu ulec, miękko zaskrzypiała drewniana podłoga. Wszyscy się odwróciliśmy.

W drzwiach prowadzących do holu stała dziewczyna. Była wysoka, o budowie futbolisty, lecz jakaś miękkość w jej ciele wskazywała, że kiedyś będzie mieć problemy z nadwagą. Gęsta, czarna grzywka zakrywała górne połówki oczu. Szacowałam jej wiek na mniej więcej szesnaście lat.

– Susan Grace. – Hoke wykonał swój radosny księżowski gest. – Jak miło. Proszę, dołącz do nas.

Dziewczyna nie poruszyła się, stała zgarbiona, otaczając ramionami żebra. Po chwili ciszy powiedziała:

– Po co oni tu są, babciu?

– Masz zadanie domowe do odrobienia? – Babcia zignorowała pytanie wnuczki.

– Czy wypytują o Masona? – Głos Susan Grace był głęboki i niski, prawie męski.

– Zadanie domowe.

– Znajdą go?

– Susan Grace. Wiesz, że nie wolno się wtrącać w sprawy dorosłych.

– Czy ktoś w ogóle próbuje?

– Młoda damo! – Powiedziane głośno i ostro. – Nie pozwól, byś stała się zakładnikiem szatana.

Susan Grace zamrugała powiekami, jej grzywka podskoczyła na rzęsach.

– Dziś wieczorem mam zajęcia baletu.

– Nie lubię, kiedy wyjeżdżasz sama po ciemku.

– Módl się do Pana Jezusa o mój bezpieczny powrót – odpowiedziała dziewczyna obojętnie.

Hoke i babcia drgnęli w tandemie, jak marionetki, które lekko poruszono, ciągnąc za sznurki u ramion.

Susan Grace przyglądała się nam przez bardzo długą chwilę, połówki jej oczu były całkowicie pozbawione wyrazu. Potem odwróciła się i zniknęła w głębi holu.

Atmosfera w pokoju stała się nagle lodowata.

– Ojej, ojej, ojej – Hoke wydał z siebie chichot. Nonszalancki, ale nabrzmiały czymś, czego wcześniej u niego nie było. – Te dzieciaki.

– Przepraszam księdza. – Babcia utkwiała wzrok w powykęcanych

starych dłoniach, które zaciskała silnie na podołku. – Ona zawsze wie lepiej.

Ramsey rzucił mi spojrzenie kątem oka. Jego podbródek uniósł się lekko. Skinęłam głową, ignorując ukłucie melancholii. Ryan i ja używaliśmy takiego samego sygnału dziesiątki razy.

Wstaliśmy oboje. Hoke również się podniósł. Babcia pozostała na miejscu, nie patrząc na nikogo.

Po paru sekundach znaleźliśmy się z Ramseyem na zewnątrz, w późnopopołudniowym słońcu. Nie wiedzieć dlaczego, słyszałam w głowie sygnał ostrzegawczy. Nie był to głośny dźwięk trąbki oznaczający niebezpieczeństwo, lecz podprogowy przekaz nakazujący zachowanie czujności.

– Czy ta mała nie była przypadkiem sarkastyczna? – spytałam.

– Zawołowana krytyka pod adresem babci? A może księdza?

Uniosłam brwi.

Ramsey uniósł swoje.

– Myślisz, że coś tu nie gra? – zapytałam.

– Może. – Ramsey znów wpatrywał się w dom.

– Dasz radę zdobyć nakaz przeszukania? Albo dwa. Jeden na to miejsce, a drugi na lokal Teague'ów?

– Na jakiej podstawie?

Już miałam wygłosić komentarz na temat niedogodności, których przysparza czwarta poprawka do konstytucji, powstrzymałam się jednak, zdawszy sobie sprawę, że za bardzo przypominałabym Slidella.

Do Heatherhill dotarłam akurat na kolację. W menu był comber jagńczy, zielona fasolka z siekanymi migdałami, wiosenne ziemniaczki z pietruszką i mus pistacjowy. Na talerzu jedzenie przedstawiało się równie dobrze jak w karcie.

Ale nie dla mamy. Siedziała apatyczna, nie zjadła prawie nic. Próbowałam skłonić ją do rozmowy, lecz w odpowiedzi na moje wysiłki otrzymałam głównie wzruszenia ramion. A i one były słabiutkie – niezdarne drobne poruszenia, bardziej szarpnięcia niż ruchy.

Jednak fryzurę i makijaż miała nieskazitelne, a kaszmirowy dres do joggingu pasował idealnie do brązowych sportowych butów marki Coach. Obiecałam sobie kupić Goose skromny prezent. Kiedy przyjechałam, już jej nie było.

Mama nie pytała o moją pracę, o platformy widokowe ani o szczątki ludzkie, którymi ekscytowała się w ciągu ostatnich kilku dni. Z wyjątkiem jednego komentarza dotyczącego stanu moich paznokci, nie krytykowała i nie analizowała. Spędzała czas w oddaleniu, zamknięta w świecie własnych myśli.

Zdesperowana, by ją pobudzić do życia, zaczęłam temat, którego tak usilnie ostatnio unikałam. Ale było to coś, czym musiałam się z nią podzielić.

– Mam nowiny, mamo.

Jedna idealnie wyskubana brew uniosła się z ciekawością.

– Andrew Ryan poprosił mnie o rękę.

Natychmiast się ożywiła.

– Twój francuski detektyw?

– Francusko-kanadyjski.

– Cudownie. Kiedy ślub?

– Nie powiedziałam „tak”.

– Kochasz tego mężczyznę? – zapytała, rzuciwszy mi długie, badawcze spojrzenie.

– Tak.

– Więc dlaczego nie, u diabła?

– Trudno to wytłumaczyć.

– Nie możesz ciągle rozpamiętywać niewierności Pete’a.

– Moje wahanie nie ma z tym nic wspólnego. – W głębi ducha wiedziałam jednak, że zdrada Pete’a nie zniknęła jeszcze w pełni z mojego serca. Że od czasu do czasu ból będzie pukać do moich drzwi. – Ryan jest skomplikowany.

Wyraz jej twarzy się nie zmienił, ale widziałam, że mama zwraca się do wewnątrz, żeby to przetrwać. Potem wzięła obie moje dłonie w swoje i stwierdziła:

– Miłość to jedna dusza zamieszkująca dwa ciała.

– Arystoteles.

Skinęła głową.

– Czujesz tego rodzaju więź z tym mężczyzną?

Na moim języku zacisnęła się lodowata klamra. Za nic w świecie nie potrafiłam znaleźć na to odpowiedzi.

Zostałam jeszcze dwie godziny. Nie wspominałyśmy już o Ryanie. Kiedy wychodziłam, mama z roztargnieniem dała mi policzek do pocałowania.

Idąc ścieżką do samochodu, nie mogłam pozbyć się poczucia winy atakującego z różnych stron. Mama przeżywała spadek formy, ostatnio mocno ją zaniedbywałam. Rozmowa o ewentualnym ślubie nie poprawiła jej nastroju.

Hazel Strike nie żyła, być może dlatego, że zignorowałam jej telefony. Ryan miał ochotę zrezygnować, zły, że wciąż robię uniki w kwestii jego oświadczeń.

W sprawie Cory Teague i kości z Brązowej Góry tkwiłam w miejscu. Jak dotąd moje działania nie przyniosły niczego poza niejasnymi podejrzeniami, żadnych solidnych tropów. Nad moją głową nie świeciła żadna stuwatowa

żarówka rozjaśniająca mi drogę.

Pogrzałam się tak głęboko w samooskarżeniach, że w pierwszej chwili nie usłyszałam, jak w ciemności za mną coś się poruszyło. Subtelny odgłos, którego nie powinno tam być. Stałam bez ruchu, wstrzymując oddech, napięta jak przerażone leśne zwierzątko.

Tak.

Delikatny poświst nylonu. Miękki chrzęst zużł. Raptownie powstrzymany. Gdzieś daleko stłumiony pomruk wiatru przeciskającego się przez jakieś tajemne przejście.

Zaschło mi w ustach. Serce waliło o żebra.

Samochód znajdował się pięć metrów ode mnie. Zaczęłam grzebać w torebce. Kolejny niedorzeczny ruch. Dlaczego nie noszę kluczyków w ręce?

Ponieważ w Heatherhill nie czai się żadne złe licho. A jednak ktoś lub coś za mną szło.

*Uciekaj!* – krzyczał mój umysł.

Zamiast tego odwróciłam się na pięcie.

W ciemności zobaczyłam mroczną sylwetkę.



## Rozdział 21

– Kto tam?

Brak odpowiedzi.

– No kto?

Moje nadnercza pracowały pełną mocą. W ciemnościach facet sprawiał wrażenie ogromnego.

Wciąż nic.

– Jestem uzbrojona. – Sięgnęłam po gaz pieprzowy, od wielu już lat przeterminowany.

Wreszcie zobaczyłam jakiś drobny ruch. Uniesione ramię? Błysk jasnej skóry.

– Chcę z panią porozmawiać. – Głos był zaskakująco spokojny.

– Nie zbliżaj się. – Mój taki nie był.

Kolejna delikatna zmiana układu cieni. A potem kroki. Ciężkie. Zdecydowane.

To nie było zbyt dobre miejsce na takie spotkanie. Po obu stronach ścieżki ciągnął się żywopłot. Parking za moimi plecami stał zupełnie pusty. Osoba, która za mną szła, blokowała drogę powrotną do River House.

Kroki zbliżały się szybko.

– Stój! – Zdjęłam wieczko ze sprayu. Trzymając gaz w torebce, zacisnęłam na nim rękę z całej siły. Jeśli nie zadziała, kopnę faceta w jądra tak, że wyjdą mu mózgiem.

Połyskliwe czarne włosy. Oczy zasłonięte przydługą grzywką.

Moje palce zsunęły się z przycisku zwalniającego. Tętno spadło o jeden mikron.

– Jechałaś za mną aż tutaj?

Susan Grace skinęła głową, jej ciemny kształt lekko zmienił się w mrok.

– Okłamałaś babcię w sprawie baletu.

– Wyspowiada się za nas obie – powiedziała to głosem głębokim, niskim i neutralnym. Odczytanie wyrazu jej twarzy wciąż było niemożliwe.

– Dlaczego mnie śledzisz?

– Chcę znaleźć Masona.

– Nie mam ci w tej kwestii nic do powiedzenia.

– Czy wy go naprawdę szukacie?

– Może Cora i Mason wcale nie chcą, żeby ich znaleźiono.

– Cora – rzuciła z goryczą. – Mój brat by nigdy, przenigdy nie wyjechał, nie mówiąc mi dokąd.

– A ty jak sądzisz, gdzie on teraz jest?

Stała tak blisko, że słyszałam jej przerywany oddech. Czekałam, pozwalając jej odpowiedzieć wtedy, gdy zechce.

– Muszę pani coś pokazać.

– Zostawiłaś samochód na parkingu? – Dźgnęłam kciukiem do tyłu, nad ramieniem.

– Tak.

– Okej. – Miałam nadzieję, że ta mała nie jest wariatką zdolną podrzynać gardła. – Chodźmy do mojego wozu.

Na pustym kwadracie parkingu stały dwie ciemne bryły pojazdów. Lustrowałam otoczenie w poszukiwaniu oznak obecności jakiejś kolejnej osoby, ale nie dostrzegłam niczego poza krzakami, drzewami i białym ogrodzeniem ze sztachet. Otworzywszy drzwi mazdy, przełożyłam iPhone'a do kieszeni kurtki, żeby łatwiej było po niego sięgnąć.

Wsiadłam do auta i wsunęłam torebkę pomiędzy brzuch a kierownicę.

Susan Grace rzuciła na podłogę plecaczek, a potem opadła na siedzenie dla pasażera. Kiedy włożyła do środka stopy, jej kolana sterczały wysoko, mocno przyciśnięte do deski rozdzielczej.

– Możesz sobie ustawić siedzenie.

Ustawiła.

Minęło kilka sekund. Pełna minuta. Znów powstrzymałam się od mówienia, nie chcąc wywierać na nią nacisku.

– Moje życie przypomina cholerną *Pieśń o Bernadette*. – Domyśliłam się, że miała na myśli film Henry’ego Kinga.

– Ja też zostałam wychowana po katolicku. – Szukałam dla nas wspólnego mianownika. – Mój ojciec uwielbiał ten film.

– Po katolicku? – zaśmiała się szybko, zgrzytliwie i ze złością. – Poznała pani moją stukniętą babcię i jej księdza nazistę. My nie jesteśmy po prostu katolikami. Jesteśmy ultrakatolikami. Superkatolikami w stylu „kopnąć w dupę i nie brać jeńców”. Modlimy się po łacinie, bo angielski nie jest wystarczająco pobożny. Błagamy o wybaczenie, klękając na zakrwawione kolana, ponieważ Bóg domaga się pokuty za grzechy, których nigdy nie popełniliśmy. Grzechy, których nigdy nie zamierzaliśmy popełnić. Grzechy, o których nawet nie słyszeliśmy.

– Mówisz o Kościele Uświęceniowym Jezusa Pana?

– Oczywiście, że tak. To my jesteśmy ci sprawiedliwi. Pobożni. Mówimy językami pochodzącymi od Ducha Świętego. Wystrzegamy się nienamaszczonych, nieochrzczonych, niebędących dziewicami, nieczystych. Właściwie każdego, kto nie należy do nas. Ale hej! Jeśli *należysz* do nas i dasz ciała, uważaj. Mamy swoje sposoby karania niegodziwców!

– Susan Grace...

– Przestrzegamy zasad, które nawet papież odstawili do lamusa. –

Odwróciła się bokiem, żeby spojrzeć mi w twarz. Jej oczy były okrągłe, wargi drżały. – Jesteśmy tak cholernie świętoszkowaci, że samego papieża odstawiliśmy do lamusa!

Znów się zaśmiała, w ten sam pozbawiony humoru, przyduszony sposób.

Słyszałam nieraz, jak młodzi ludzie wyrzucają z siebie napięcie. Jak przeklinają rodziców, trenera, nauczyciela, którzy odtrącili ich za to, że noszą w szkole koszulkę z napisem Korn. Tu było inaczej. Intensywność wypowiedzi Susan Grace wskazywała na furię – głęboką i potężną.

– Przykro mi. – Beznadziejne, ale to właśnie powiedziałam.

– Nie potrzebuję ramienia, żeby się na nim wypłakać. – Zaczynała się łamać. Czowała zawstydzenie z powodu swojego wybuchu.

– Czego ci potrzeba? – spytałam miękko.

– Kogoś, kto znajdzie mojego brata. – Wierzchem dłoni starła łzy z policzków, a następnie szarpnięciem otworzyła zamek plecaczka i coś z niego wyjęła. – Słyszałam, jak ten gliniarz prosił babcię o zdjęcie Masona.

– Masz je?

– Nie. Ale mam to.

Przesunęła ku mnie to coś. Wzięłam przedmiot do ręki i włączyłam światło w kabinie. Było nijakie, jednak wystarczająco mocne, żebym mogła zidentyfikować terminarz Black n'Red, ledwie trzymający się w okładce.

– Jest tam zdjęcie. Proszę pociągnąć za tasiemkę.

Uniosłam końcówkę wąskiej, czerwonej satynowej wstążki. Doprowadziła mnie do środka notatnika.

– Ostrożnie. Jest stary.

W słabym świetle zobaczyłam coś jakby ilustrację do tekstu medycznego sprzed wielu lat. Obrazek, choć czarno-biały, miał w sobie elementy rozmazanej sepii, charakterystycznej dla fotografii z przełomu wieków.

Jednak jego szczegóły przedstawiały się wyraźnie.

Ukazywał nastoletniego chłopca sfotografowanego z czterech różnych pozycji. Pełen wizerunek głowy od przodu. Zbliżenie szyi. Zbliżenie palców u rąk i nóg. Zbliżenie ust, z górną wargą odsłoniętą przez kogoś innego, tak, by pokazać uzębienie.

Chłopak miał rzadkie jasne włosy i ciemne półksiężyce pod oczami. W kącikach jego ust gromadziły się plamki pigmentacji, tworzyły też nieregularne, przypominające sieć wzory na szyi. Paznokcie u rąk wyglądały na kruche i słabe. Końcówki paznokci u nóg sterczały krzywo.

Najbardziej uderzającą cechą osoby na zdjęciu było jej uzębienie. Górne i dolne siekacze wyglądały na niejako pomniejszone, z obu stron otaczały je kły podobne do sztyletów. Szkliwo na prawie każdym zębie było nieprzyjemnie zmatowiałe, plamiste.

W górnym prawym rogu kartki ów zbiorek zdjęć opisano jako „Ilustracja LXXXIV”. Na dole po lewej wydrukowano napis: „Copyright 1905, G. H. Fox”. Poniżej, pośrodku kolażu, widniały słowa: „Dysplazja ektodermalna nieznanego pochodzenia”.

– Kto to jest? – spytałam.

– Kiedy znalazłam te zdjęcia, pokazałam je dziadkowi. Dostał wścieklizny. Powiedział, że to jego starszy brat Edward, który zmarł dawno temu. Domagał się, żebym oddała mu tę kartkę i nigdy nie wspominała o niej babci. *Kompletny* zakaz. Jak w przypadku moich rodziców. – Znów potarła policzki, niewątpliwie zwalczając blitzkrieg emocji. – Odegrałam własną scenę złości, więc w końcu pozwolił mi to zatrzymać.

– Dlaczego mi to pokazujesz?

– Mój brat wygląda jak Edward.

Inny. Nienormalny. Zło, które stało się ciałem.

– Masz pozostałą część tej książki? – zapytałam ostrożnie, starając się ukryć wstręt dla średniowiecznych określeń babci na temat przypadłości Masona.

– Nie. Tylko tę stronę. Ma chyba ze sto lat. Ktoś ją wyciął i zachował.

– Wiesz, kto i po co?

– Pewnie mój dziadek. Zdołałam coś z niego wyciągnąć.

Krótką, pełną namysłu pauza.

– Dziadkowi nadano imię po Oscarze Masonie, fotografie z przełomu wieków. Robił głównie zdjęcia chorych, dla potrzeb medycznych, ale był dość sławny. Rodzina dziadka mieszkała wtedy w Nowym Jorku, przyjaźniła się z Masonem. Może byli sąsiadami. W każdym razie Oscar Mason zauważył, że z Edwardem jest coś nie tak, i spytał, czy może mu zrobić zdjęcia. Jakiś lekarz umieścił je w książce, którą w ramach podziękowań ofiarował potem mojemu pradziadkowi.

Gdzieś w głowie odezwał mi się prawie niedosłyszalny dzwoneczek. Oddalony o całą galaktykę, mieszczący się w bankach pamięci. Oscar Mason? G. H. Fox?

– Susan Grace, muszę przyznać, że się pogubiłam.

Młoda kobieta siedziała w milczeniu. Być może żałowała swojego impulsywnego pragnienia, żeby spotkać się ze mną. A może zastanawiała się, co więcej powiedzieć – czym się podzielić, a co zatrzymać dla siebie.

Najwyraźniej zdecydowała się zachować ostrożność.

– Musi pani porozmawiać z Brice'ami – wyszeptała, spoglądając to w lewo, to w prawo, w stronę ciemności otaczającej naszą małą bańkę światła.

– Kim są Brice'owie?

– Cora Teague pracowała u nich jako niania.

- Mów dalej.
- Kiedyś należeli do Kościoła Uświęceniowego Jezusa Pana.
- Ale już nie należą?
- Nie.
- Dlaczego odeszli z Kościoła?
- Nie umiem powiedzieć.
- Dlaczego zwolnili Corę?
- Nie umiem powiedzieć.
- Na niewiele mi się to przyda.

Susan Grace nachyliła się ku mnie, ręce miała zaciśnięte na krawędzi centralnej konsoli pomiędzy fotelami.

- Wie pani o Elim?
- O Elim Teague?
- Tak.
- Co z nim?

Absolutnie martwa cisza.

- Susan Grace?
- Eli nie spadł z żadnych schodów – powiedziała przyciszonym, lecz pełnym żaru głosem.

- Co sugerujesz?

Znowu cisza.

Wiatr szturczał samochód, gwizdał w szparach okien.

- Susan Grace, jest już późno. Będę musiała...
- Dziecko Brice'ów zmarło, kiedy opiekowała się nim Cora Teague.
- Jak zmarło? – Coś zimnego zaczęło tężeć w mojej piersi.
- Nie wiem.
- Dlatego Corę zwolniono?

– Nie tylko dlatego. Musi pani z nimi porozmawiać. Chyba nadal mieszkają w Asheville.

– Mówisz, że Cora zabiła Eliego i dziecko Brice'ów? – Z niewyobrażalnym trudem zmusiłam się do mówienia spokojnym tonem.

– Mój brat ześwirował na punkcie Cory Teague. Zrobi dla niej wszystko. Ta kobieta jest... – W przyćmionym świetle lampki nad naszymi głowami zobaczyłam, jak kącik ust Susan Grace zakrzywia się do góry. – Wie pani, jak babcia ją nazywa? Diablicą.

– Czegoś tu nie rozumiem. Twierdzisz, że Mason *mógł* wyjechać z Corą?

– Nigdy by tego nie zrobił bez uprzedzenia mnie.

– Skąd ta pewność?

– On jest jakby opętany. Jednocześnie ją kocha i jej nienawidzi. – Kolejna niejasna odpowiedź.

– Ale nie możesz być pewna, że nie są razem.

– Owszem. – Oblicze Susan Grace stwardniało – Mogę. – Kąty i płaszczyzny jej twarzy zmieniały się, gdy dziewczyna z trudem podejmowała decyzję, czy ujawniać kolejne sprawy, czy dać już sobie spokój. – Mason i Cora zniknęli w tym samym czasie. W lipcu dwa tysiące jedenastego roku. To prawda. Ale rozmawiałam z moim bratem prawie codziennie, już po jego wyjeździe. I wcale nie przebywał z nią.

To mnie zdumiało.

– A gdzie był?

– W Johnson City w stanie Tennessee.

– Po co?

– Tego nie mogę pani powiedzieć.

– Dokąd pojechała Cora?

– Nigdy się nie dowiedziałam. A naprawdę próbowałam.



– Jak próbowałaś?

– Mason prosił, żebym miała Corę na oku, bawiła się w szpiega. Byłam dzieckiem, wtedy to wyglądało fajnie, jak *Mission Impossible* czy coś. Byliśmy tajnymi agentami, ale Mason działał pod przykryciem, więc to ja musiałam węszyć i składać mu raporty.

– Tylko że nigdy jej nie zobaczyłaś.

– Chyba raz, przy sklepie spożywczym. Siedziałam w samochodzie. Jechaliśmy szybko i tak naprawdę dobrze nie widziałam twarzy tej osoby.

– Jak długo trwała ta gra?

– Miesiąc, może trochę dłużej.

– Rozmawialiście przez komórkę?

Susan Grace prychnęła.

– Boże broń, żebym weszła w zdradziecki świat technologii komórkowej. Babcia dostałaby wylewu. Mason dzwonił do mnie do budki telefonicznej przed szkołą. Umawialiśmy się na określone godziny. To wszystko należało do zabawy.

– I co się stało?

– We wrześniu po prostu zamilkł. Przez dwa tygodnie czekałam przy telefonie. Nigdy już nie zadzwonił.

– W jaki sposób dostał się do Johnson City?

– Pewnie autostopem. Kiedy Mason zakładał czapkę, wyglądał prawie – zerknęła na dół, na swoje ręce – normalnie.

– Wiesz, gdzie Mason zamieszkał?

– W jakimś motelu. Tylko tyle mi powiedział.

– Żył z pieniędzy, które ukradł twojej babci.

– Mason wcale ich nie ukradł. Ja to zrobiłam.

– I dałaś jemu.

– Tak.

Myślałam o automacie telefonicznym. Wątpiłam, by po czterech latach dało się jeszcze namierzyć te rozmowy.

– Czy ty kiedykolwiek dzwoniłaś do niego? – spytałam.

– Mason tego nie chciał, ale powiedziałam, że przestanę się bawić, jeśli nie poda mi swojego numeru. Raz zadzwoniłam, nie był zadowolony. Nigdy już tego nie powtórzyłam.

– Jest szansa, że wciąż masz ten numer?

Podawała mi złożoną kartkę papieru.

– To wszystko jest naprawdę do bani. Mason ma najlepsze serce, jakie tylko można sobie wyobrazić. – Z jej gardła wyszedł dźwięk przypominający czkawkę. Wciągnęła powietrze, jakby zamierzała kontynuować. Po sekundzie je wypuściła, z westchnieniem.

Chciałam powiedzieć coś pocieszającego. Ale myśli w mojej głowie wirowały. Do tamtego dzwoneczka dołączył też wewnętrzny głos. Głos ostrzegający mnie, że być może słucham relacji z nastoletnich urojeń.

Czy rzeczywiście? A może powinniśmy się cofnąć i zacząć całą robotę od nowa?

Kim była Cora Teague?

## Rozdział 22

Może to z powodu aluzji do Arystotelesa zrobionej przez mamę, a może wskutek resztek adrenaliny pozostałych po moim spotkaniu z Susan Grace znów poczułam przygniatającą chęć porozmawiania z Ryanem.

Prowadząc samochód, zadzwoniłam do niego. Poczta głosowa. Zostawiłam wiadomość.

Zatelefonowałam również do Ramseya. Odebrał. Zdałam mu relację z mojej rozmowy z Susan Grace.

– Co o tym sądzisz?

– To dziewczyna pełna gniewu.

– A kto by nie był, mieszkając w tym domu?

Trudno się było z tym nie zgodzić.

– Czyli Mason kazał swojej siostrzyczce szpiegować własną dziewczynę, a sam wyjechał zaszyć się w Johnson City.

– Susan Grace nie ujęła tego w ten sposób.

– Nie może powiedzieć, dlaczego Mason wyjechał?

– Raczej nie chce. I muszę dodać, że jak na szesnastolatkę jest bardzo elokwentna.

– A Cora zupełnie jej nie obchodzi.

– To mało powiedziane.

– Wyjaśniła dlaczego?

– Nie. – Na poboczu drogi błysnęły czerwono oczy. Jakiś jelen, który już powinien był spać, stał ogłupiony światłami mojego samochodu. Zdjęłam nogę z gazu. – Mówiła, że nie podobało jej się to, że brat tak mocno przylgnął do Cory. Powiedziała też, że babcia nazywała Corę diabolicą.

- Ta stara baba tak samo nazwała pewnie i ciebie.
  - To mi pochlebia.
  - Więc przez jakiś czas odgrywali Borysa i Nataszę<sup>4</sup>, a potem Mason zniknął z pola widzenia.
  - Tak.
  - Gdzie w Johnson City zatrzymał się ten chłopak?
  - Susan Grace nie wiedziała, ale miała numer telefonu. Wyślę ci go esemesem.
  - Dziewczyna się boi, że bratu coś się stało?
  - Zarzeka się, że on by nigdy nie wyjechał bez uprzedzenia.
  - Chyba że uciekał przed konsekwencjami morderstwa.
  - Chyba że. A może to Cora?
  - Co Cora?
  - Musiała się zwinąć.
- Ramsey zastanawiał się nad tym przez chwilę. Potem powiedział:
- Brice. Nazwisko nic mi nie mówi.
  - Susan Grace sądzi, że ta rodzina może nadal mieszkać w Asheville.
  - Więc jej zdaniem opuścili okręg Avery.
  - Znajdziesz ich?
  - Zajmę się tym. – Typowa fraza Ramseya.
- Opowiedziałam mu o zdjęciu Edwarda Gulleya.
- Stąd to nauczanie małego Masona w domu przez babcię – skomentował.
  - Jestem zaskoczona, że nie utopiła chłopca zaraz po narodzinach.
  - Co jest z nim nie tak?
  - Zajmuję się tym.
  - Jesteś bardzo dzielna.

Zbliżałam się do przedmieść Charlotte, kiedy Ramsey oddzwonił.

– Brice’owie, Joel i Katalin. Joel jest spawaczem. Katalin pracuje w piekarni. Mają jedną córkę, Saffron, uczennicę drugiej klasy. Stracili dziecko, Rivera, latem dwa tysiące jedenastego roku. Chłopiec miał dziewięć miesięcy. Zaraz po śmierci Rivera przeprowadzili się z Avery do Asheville.

– Dzwoniłeś do nich?

– Rozmawiałem z Joelem. Krótko.

– W jaki sposób umarło ich dziecko?

– Zespół nagłego zgonu niemowląt.

– Wspaniale.

– Słucham?

– Większość fachowców definiuje SIDS jako śmierć łóżeczkową o nieznanym przyczynie, zwykle w czasie snu, której ulegają na pozór zdrowe dzieci nie starsze niż rok. To tak jak nasze określenie „przyczyna nieustalona”. Pogadasz z koronerem? Dowiesz się szczegółów?

– Jeśli uda mi się go namierzyć.

– Do śmierci dziecka doszło, gdy opiekowała się nim Cora?

– Joel odmówił rozmowy na temat Cory Teague.

– Poznali ją przez Kościół Uświęceniowy Jezusa Pana?

– To również nie był dla niego ciekawy temat.

– Pytałeś, dlaczego ją zwolnili?

– Absolutnie nie chciał o tym mówić.

– A czemu odeszli z Kościoła?

– To także był zakazany temat.

– W jaki sposób zareagował na pytanie?

– Rozłączył się.

– Wyczułeś coś?

Przez dłuższą chwilę nie słyszałam niczego poza oddechem Ramseya. Potem rzucił:

– Wyczułem, że bardzo wiele rzeczy nie zostało powiedzianych.

Spróbowałam skupić się na prowadzeniu samochodu. Ale mój umysł wciąż pracował, zapętłony.

Co będzie, kiedy rano otworzę tę betonową formę? Czy okaże się, że miałam dobry pomysł? Jeśli tak, czyją twarz zobaczę? Cory Teague?

Po co Hazel Strike telefonowała do mnie w sobotę? Jaka nagła sprawa wymagała, żebym oddzwoniła? Miała dla mnie nowiny? A może była czymś zaalarmowana, szukała pomocy? Do kogo mogła się zwrócić, skoro ja byłam poza zasięgiem? Czy to właśnie ta osoba ją zabiła?

Czy Strike ponownie złożyła wizytę Johnowi i Fatimie Teague'om? Babci Gulley? Brice'om? Czy któreś z nich poczuło się na tyle zagrożone lub rozgniewane, że wybrało się do Charlotte z żądaniem zaprzestania dochodzenia? A potem sprawy wymknęły się spod kontroli?

Czy Wendell Clyde dowiedział się o spotkaniu Strike ze mną w MCME? O jej niegasnącym zainteresowaniu zniknięciem Cory Teague? Stanął z nią do konfrontacji? Zatłukł ją na śmierć i wrzucił ciało do stawu?

Znów w moich myślach pojawiła się Susan Grace. Dwa razy zadała pytanie w taki sposób, że wywołała mój niepokój. Raz w samochodzie, wcześniej u siebie w domu.

Czy to tylko jej sposób wyrażania się? Może lubi być dosadna?

Zastanawiałam się, czy Ramsey też to zauważył. Szkoda, że nie zwróciłam mu na to uwagi.

Na skrzyżowaniu Queens Road i Queens Road paliło się czerwone światło. Nie ma co pytać, takie jest Charlotte. Czekaając na zielone, wcisnęłam klawisz szybkiego wybierania.

Trzy sygnały, a potem słowa:

– Slidell, słucham.

– Mówi doktor Brennan.

– Wiem.

Nic mi nie jest, jełopie. Dzięki, że pytasz.

– Jestem ciekawa, czy w sprawie Strike są jakieś postępy.

– Wszyscy jesteśmy tego ciekawi. – W tle słyszałam jakieś głosy, dzwonił telefon. Domyśliłam się, że Slidell jest w sali Wydziału Zabójstw.

– Pracujesz do późna – powiedziałam.

– Masz konkretną sprawę?

Opowiedziałam mu o swojej rozmowie z Susan Grace.

– Ta mała jest zdania, że Cora Teague to niezłe ziółko.

– Owszem – odrzekłam.

– Teague skradła jej uwagę brata. Dziewczyna jest zazdrosna.

– Może. Ale zadała parę pytań w taki sposób, że mnie to zaniepokoiło.

Slidell wydał z gardła trudny do rozszyfrowania dźwięk.

– Zapytała swoją babcię: czy ktoś w ogóle próbuje? A mnie: czy wy go naprawdę szukacie?

– I?

– To nie dziwne?

– Sama mówiłaś, że ta mała jest dziwna. Słuchaj, muszę...

– Jej pytania znaczą, że ktoś jeszcze szukał Masona.

– Co to ma wspólnego ze Strike? – zapytał niecierpliwie Slidell.

– Strike namierzała Corę Teague, co mogło ją doprowadzić do Masona.

Poza tym być może nie tylko ona go szukała.

– Mówisz o tym jej rywalu wśród internetowych detektywów, Wendellu Clydzie?

– A masz lepszy pomysł? – zapytałam ostro. Sceptycyzm Slidella sprawiał, że stawałam się opryskliwa. I czułam się zmęczona.

– No. Mam pomysł, że już czas pójść na jakiegoś grilla.

Tylko spokojnie.

– Strike mówiła mi, że zamierza jeszcze raz pojechać do Avery. Prawdopodobnie odwiedziła Johna i Fatimę Teague'ów, babcię Gulley, a może i Brice'ów. Niewykluczone, że kogoś wkurzyła albo przestraszyła.

Slidell zaczął mówić. Naciskałam dalej.

– A może Wendell Clyde dowiedział się o wyjeździe Strike, wściekł się i wyeliminował ją z gry.

Długa pauza. Potem usłyszałam:

– Kiedy miała miejsce ta kampania telefoniczna?

– Strike telefonowała do mnie trzykrotnie w sobotę. Domyślałam się, że była w Avery w tym samym czasie co ja.

– Ale nie oddzwoniłaś do niej.

– Nie.

Slidell odpowiedział długą ciszą. Bardzo długą.

– Przeszukałem dziś chatę Strike. Straszna norę w Derita.

– Derita to wprost idealna dzielnica, zamieszкана przez klasę średnią.

– No. Dzieci, pudle, babcine kolorowanki na ścianach, do zamalowania według numerów.

Przewróciłam oczyma. Co, biorąc pod uwagę moje zmęczenie, okazało się niezbyt przyjemne.

– Tylko że Strike nie przejmowała się wystrojem wnętrza. Dwie sypialnie, kuchnia, łazienka, jadalnia połączona z salonem, wszystko pomalowane na kolor sików. Jedynym ładnym przedmiotem w mieszkaniu był kalendarz przyczepiony do drzwi lodówki. W jednym z rogów miał reklamę karmy dla



ptaków.

Zastanawiałam się, jakież to dzieła sztuki wysokiej zdobią ściany u Slidella.

– Ślady włamania? – spytałam.

– Nie.

– Coś wskazywało, że Strike została zabita w domu?

– Brak krwi, żadnych poprzewracanych mebli, stłuczonego szkła, wybebeszonych szuflad.

– Żadnych oznak walki.

– Może ktoś wszystko posprzątał.

– Poprosiłeś o techników kryminalistyki?

– Sam nigdy bym na to nie wpadł.

Wzięłam głęboki wdech.

– Nie wiesz, czy znaleźli breloczek z dyktafonem aktywowanym głosowo?

Usłyszałam skrzypienie sprężyn i domyśliłam się, że Slidell sięga po listę przedmiotów zabezpieczonych przez techników.

– W rejestrze nie ma nic takiego. Czemu?

– Kiedy Strike przyszła do mnie pierwszy raz, miała ze sobą dyktafon. Twierdziła, że znalazła go koło platformy widokowej w okręgu Burke, tam, gdzie w dwa tysiące trzynastym roku odkryto szczątki.

– Co było na nagraniu?

Opisałam mu tamte trzy głosy.

– Jezu kurna Chryste. Nie zmusiłaś jej do oddania tego ustrojstwa?

– Nie miałam nakazu – odparłam oschle.

Usłyszałam jakiś głos, a potem na linii zapadła głucha cisza, gdy Slidell przycisnął słuchawkę do piersi. Docierałam właśnie do swojej przybudówki,

kiedy reaktywował połączenie.

– Więc w tym domu nie było nic interesującego? – Chciałam już skończyć rozmowę i wejść do środka.

– Tego nie powiedziałem. Jedna sypialnia była zastawiona z dołu do góry kartonami pełnymi segregatorów na akta. Jakbyśmy znaleźli się na planie odcinka filmu *Mania chomikowania*.– Sprawy prowadzone przez detektywów amatorów w sieci?

– Kazałem paru facetom to przejrzeć.

– Jest tam coś o Corze Teague?

– Kazałem paru facetom to przejrzeć.

– A co z komputerem?

– Ani komórki, ani komputera.

– Sprawdzales jej samochód?

– Nie mam pojęcia, jak bym sobie z tym wszystkim radził bez ciebie.

– Ona musiała mieć laptop. Spędzała mnóstwo czasu w...

– Wariackiej sieci ogólnoswiatowej. Kumam. W domu jest Wi-Fi.

Zgasiałam silnik. Przez okno samochodu trawniki i ogrody Sharon Hall wyglądały na ciemne i opuszczone jak teren wokół Heatherhill.

– Namierzyłeś Wendella Clyde'a? – spytałam.

– No. Fajansiarz ciągle mieszka w Huntersville. Jutro z samego rana przyskrzynię jego dupę i pogadam o najnowszych osiągnięciach.

– Chcesz, żebym...

– Dam sobie radę.

Oboje ustanowiliśmy krajowy rekord w szybkości rozłączania się. Była prawie dwudziesta trzecia. Czułam się wykończona, wiedziałam jednak, że podprogowy, bezlitosny dzwoneczek w mojej głowie nie pozwoli mi zasnąć.

Po ułagodzeniu Birdiego wysłałam do Ramseya esemes z numerem

telefonu Masona w Johnson City, a potem weszłam do Internetu i zaczęłam szukać. Nie było tego dużo. Lecz to, co znalazłam, wyjaśniało, dlaczego maleńka synapsa się rozżarzyła.

Oscar Mason był pionierem w dziedzinie fotografii medycznej i radiografii. Przez ponad czterdzieści lat piastował stanowisko dyrektora działu fotograficznego w nowojorskim szpitalu Bellevue. W okresie swojej kariery dostarczył setki ilustracji do książek publikowanych przez lekarzy, ludzi związanych ze szpitalem oraz przez akademię medyczną. Mason przeszedł na emeryturę w roku 1906, zmarł w 1921.

Okej. To by pasowało. Edward Gulley musiał być jedną z ostatnich osób fotografowanych przez Masona.

Mason pełnił też funkcję przewodniczącego Sekcji Fotograficznej Instytutu Amerykańskiego, zajmował stanowisko w Amerykańskim Towarzystwie Mikroskopowym.

Imponujące. Ale gdzie ja słyszałam o tym facecie?

Czytałam dalej.

Bingo.

W tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym roku w Bellevue zbudowano kostnicę, wzorując się na znacznie większym tego typu obiekcie w Paryżu. Na początku kolejnego roku do obowiązków Masona doszło fotografowanie niezidentyfikowanych denatów. Numer zdjęcia odpowiadał numerowi zwłok. Ciała wystawiano przez siedemdziesiąt dwie godziny na kamiennych stołach za ścianą z żelaza i szkła. Te, których nie rozpoznano, grzebano potem na cmentarzu miejskim Hart Island.

Stąd ten dzwonek w głowie! Dawno, dawno temu, jeszcze podczas studiów, usłyszałam o Masonie podczas zajęć na temat ewolucji systemu koronerów sądowych. Oglądaliśmy niektóre jego prace, czytaliśmy też

roczne sprawozdanie, w którym błagał o wybudowanie pomieszczenia, gdzie mógłby fotografować zwłoki pod dachem.

Znalazłam kolejne linki. I natknęłam się na pewien drobny fakt, który przykuł moją uwagę.

„Najsztywniejsze zdjęcia robione przez Oscara Masona ukazywały się w wielkich atlasach dermatologii autorstwa George’a Henry’ego Foxa”.

Ogólnoświatowa sieć to niewątpliwie cudowny wynalazek. Znalazienie *Atlasu fotograficznego chorób skóry* Foxa zajęło mi tylko chwilę. Całe cztery tomy opublikowane w latach 1900–1905, teraz już własność publiczna, zostały przerobione cyfrowo, pokolorowane i wrzucone do Internetu.

Przeglądałam zdjęcie po zdjęciu. Spis treści. Nie znalazłam żadnej wzmianki o „dysplazji ektodermalnej nieznanego pochodzenia”. Żadnej ilustracji przedstawiającej Edwarda Gulleya z podkrążonymi oczami, cętkowaną skórą, słabymi paznokciami i okaleczonym uzębieniem. Ale styl książki był nie do podrobienia. Kartka dziadka Gulleya musiała pochodzić z publikacji Foxa.

Nie zachodziła taka konieczność, wyciągnęłam jednak zdjęcie, które zrobiłam swoim iPhone’em, zanim rozstałam się z Susan Grace. Wujek Edward gapił się na mnie ponuro, ja tymczasem sporządzałam listę jego osobliwości.

Czynność ta zajęła mi trochę czasu, ale się opłacała. O drugiej w nocy miałam już diagnozę Masona i Edwarda Gulleyów.

Padłam na łóżko, smutna, a jednocześnie zadowolona. I trochę zbita z tropu.

Sen przyszedł twardy i szybki.

Jednak podświadomość to również cudowny wynalazek.

Godzinę później nie spałam, całkowicie przytomna. Tym razem synapsa

wręcz hałasowała.

Wiedziałałam już, czyją twarz zobaczę rano po wyjęciu odlewu z kamiennej formy.

## Rozdział 23

Wiatr nieustannie tarmosił różne obiekty, ale robił to z miękką nonszalancją, charakterystyczną dla wiosny. Promienie słońca przebijające się przez magnolie tworzyły ruchome wzorki na ceglach całego patio.

Piękno wczesnego poranka marnowało się jednak, jeśli o mnie chodzi. Od mojego telefonu do Hawkinsa minęły już dwie godziny. Palłam się, żeby pojechać wreszcie do laboratorium.

Kiedy tam dotarłam, pani Flowers była pochłonięta swoimi obowiązkami recepcjonistki. Machnąwszy jej szybko ręką, pospieszyłam przebrać się w odzież roboczą.

Beton znajdował się w takim stanie, w jakim go zostawiłam. Z wyjątkiem warstwy chemicznego rozpuszczalnika pokrywającego teraz silikonową szpachlówkę.

Nie zatrzymując się nawet na kawę, zadzwoniłam na niższe piętro. Hawkins pojawił się po paru minutach. Włożył rękawiczki, po czym przez całą wieczność usuwał białe paskudztwo za pomocą małej plastikowej skrobaczki. Wreszcie szpachlówka zniknęła, ukazały się szczeliny.

Ustabilizowałam beton, by nie mógł się ruszyć, co i tak pewnie niewiele dało, a Hawkins w tym czasie poluzował zaciski. Wspólnym wysiłkiem wyrwaliśmy formę z imadła i położyliśmy na kontuarze.

– Gotowa? – zapytał.

Kiwnęłam głową.

Zwolniliśmy nacisk równocześnie. Beton pękł wzdłuż pierwotnych szczelin. Wstrzymałam oddech, oboje gwałtownie odsunęliśmy się do tyłu.

Zobaczyłam rozwarcie dzielące beton na dwie części. Ciekła guma

zrobiła swoje. Forma odkleiła się lekko od masy wypełniającej jej wnętrze. Gdy oderwaliśmy połówki od siebie, ustabilizowałam odlew, a potem położyłam go niżej, na kontuarze.

Dzieło naszej pracy leżało zwrócone twarzą w dół. Głowa sprawiała wrażenie właściwie ukształtowanej, nie licząc wgniecień w miejscach, w których zebrały się pęcherzyki powietrza, lub tam, gdzie beton był już wcześniej uszkodzony. Jej zewnętrzną powierzchnię znaczyły odciski włosów.

Dwoma rękami, znów prawie nie oddychając, ostrożnie przeturlałam odlew, po czym odwróciłam go na płaską podstawę, utworzoną przez górną warstwę masy dentystycznej.

Widywałam wcześniej zdjęcia masek pośmiertnych sławnych ludzi, a kilka z owych masek na własne oczy. John Dillinger. Dante. Napoleon. Maria I Stuart. Każdy z tych makabrycznych wizerunków w jakiś zimny, niepokojący sposób uchwycił ducha osoby, której nie było już wśród żywych.

Wszystkie tamte obrazy wywoływały we mnie gęsią skórkę, podobnie jak teraz.

Staliśmy z Hawkinsem ramię w ramię, wpatrzeni, kiedy nagle przez drzwi przepchnął się Larabee.

– Zaczęło się coś dziać? – Na widok popiersia jego szeroki uśmiech przekształcił się w duże O. – Niech to dunder świśnie.

Podszedł do nas i położył ręce na biodrach.

– Wszyscy diabli.

– No tak – powiedziałam miękko.

Szczegóły wizerunku okazały się o wiele wyraźniejsze niż w moich najśmielszych marzeniach. Nie licząc drobnych zniekształceń powiek, można

było odnieść wrażenie, że patrzy się na twarz pogrążoną we śnie. Długi wąski nos. Wystające kości policzkowe. Szczeka, która byłaby o wiele ładniejsza, gdyby nie tkwiła pod tak rozwartym kątem.

– To Cora Teague? – zapytał Larabee.

– Nie.

– A kto? – okazał zdziwienie.

– Mason Gulley.

– Kim, kurka wodna, jest Mason Gulley?

– Masz parę minut?

– Pewnie. – Spojrzał na zegarek. Bez wątplenia cały czas myślał o jakichś zwłokach znajdujących się na stole sekcyjnym w głębi korytarza.

– Spotkamy się w twoim gabinecie. Muszę wziąć swój telefon i parę odcisków palców.

Kiedy Hawkins sprzątał śmierzącą salę, ja wprowadziłam Larabeego we wszystko, co wydarzyło się od czasu, gdy widzieliśmy się w poniedziałek. Potem pokazałam mu zrobione iPhone'em zdjęcie ilustracji G. H. Foxa.

Przyglądał się ekranowi z brwiami nisko ściągniętymi nad nosem.

– Fotografia twarzy przypomina zdjęcia, które robiło się kiedyś w specjalnych budkach.

– To strona z książki medycznej sprzed wielu lat. Zdjęcia wykonał fotograf ze szpitala Bellevue, Oscar Mason.

Pokazałam Larabeemu fotokopie obrazów, które ściągnęłam z Internetu. Obejrzał je, a potem wrócił do telefonu.

– Kto jest obiektem?

Opowiedziałam szefowi o Edwardzie Gulleyu. I Masonie. Oraz o Susan Grace.

– Muszę przyznać, że istnieje podobieństwo do twarzy z twojego odlewu.



Ale skąd pewność, że to ten chłopak Gulley? – Larabee nie krył wątpliwości.

– Słyszałeś kiedyś o zespole Naegeli-Franceschetti-Jadansohna?

– Odśwież moją pamięć.

– Zespół NFJ to zaburzenie genetyczne dziedziczone jako dominanta autosomalna.

– Czyli jeśli rodzic na to choruje, każde z dzieci ma pięćdziesiąt procent szans na dziedziczenie.

– Tak. Ludzie z zespołem NFJ prawie się nie pocią, dlatego nie tolerują upałów ani intensywnego wysiłku fizycznego. Osoba taka może mieć ciemne plamki na podbrzuszu, klatce piersiowej albo szyi. Czasem również wokół ust i oczu. Przebarwienia te przybierają postać siateczki, pojawiają się najczęściej między pierwszym a piątym rokiem życia. W okresie dojrzewania zanikają, ale równie dobrze mogą utrzymywać się przez całe życie.

– Widzę nienormalną pigmentację – rzekł Larabee, wciąż wpatrując się w Edwarda Gulleya. – Siatkowatą.

– Do innych objawów należą: zgrubiała skóra na dłoniach i podeszwach stóp, łamliwe paznokcie oraz – rzadziej – paznokcie wystające nierówno z dużych palców u nóg.

– Stawiam ptaszka przy wszystkich kwadracikach.

– Powszechnie występują również anomalie w uzębieniu, w tym braki niektórych zębów, żółknięcie i plamistość szkliwa, wczesne ubytki i wypadanie zębów.

– Wszystko to widzę. Ale aby dojść do wniosku, że...

– Inną wadą związaną z zespołem NFJ jest brak odcisków palców.

Brwi uniosły się, tworząc literę V.

– O?

– Na kciuku i koniuszku palca z platformy widokowej w okręgu Burke

brakowało linii papilarnych.

– Jak częste jest występowanie zespołu NFJ w populacji?

– Według szacunków jeden przypadek na dwa do czterech milionów osób.

– Całkiem spore prawdopodobieństwo.

– Tak.

– A zatem wydaje się możliwe, że w tym wiadrze była głowa Masona Gulleya.

– Tak. Jasne włosy z wymazówek. Zeznania świadków, że Mason jest dziwny. Twierdzenie babci Gulley, że chłopak był nienormalny. Podobieństwo tej maski śmierci do zdjęć Edwarda Gulleya. Brak odcisków palców w smole sosnowej, jeśli założymy, że palce należały do Masona. Wszystko wskazuje na NFJ. Czyli to Mason.

– A zatem *wszystkie* pozostałe szczątki, które znaleziono, także są jego? Uniosłam obie dłonie.

– Kości odpowiadają charakterystyce ofiary pod względem wieku i rozmiarów ciała. Ich duplikaty nie występują. Nie mogę powiedzieć na pewno, że należały do tej samej osoby. Nie mogę również powiedzieć, że nie należały.

– Czy krewna Gulleya ze strony matki dostarczy materiał genetyczny do badań DNA?

– Nie ma szans, jeśli chodzi o babcię. A Susan Grace jest nieletnia.

Larabee zastanawiał się przez chwilę.

– Czyli wciąż zachodzi możliwość, że znaleziono również szczątki Cory Teague.

– Albo kogoś innego.

– Wyczuwam, że wcale tak nie uważasz.

- Nie uważam.
- Wiesz, że to nie wystarczy.
- Wiem.
- Nie będzie powiadomienia rodziny.
- Nie.

Larabee bębnił w zamyśleniu palcami po poręczy krzesła.

- Jest zatem oczywiste, że Gulley został zamordowany.
- Jego głowa znajdowała się w wiadrze.
- Masz jakieś przemyślenia na ten temat?

Podzieliłam się z szefem tym, co Susan Grace powiedziała mi o Corze Teague, o fatalnym „upadku” jej brata Eliego, o nagłej śmierci łóżeczkowej dziecka Brice’ów. Potem spytałam:

- Kto pełnił w tym czasie funkcję medyka sądowego w tamtym okręgu?
- Avery ma własnego koronera – odrzekł Larabee.
- Świetnie. – W przeciwieństwie do medyków sądowych, mających najczęściej wykształcenie medyczne, choć w Karolinie Północnej nie we wszystkich przypadkach, koronerzy pełnią wszelkie niezbędne funkcje, od mechaników po przedsiębiorców pogrzebowych.
- Nie wiem, kogo mądrzy wyborcy powołali na to stanowisko w roku dwa tysiące ósmym i jedenastym. Pozwól, że się dowiem.
- Co w sprawie Strike? – zapytałam, gdy Larabee robił notatkę.
- Nie miałem od Slidella żadnych wiadomości.
- Dziś rano planował przesłuchać Wendella Clyde’a.
- Bitwa internetowych detektywów. – Larabee lekko pokiwał głową.
- Dyskusja w sieci pomiędzy Strike a Clyde’em była pełna jadu.
- Sprawimy Chudemu przyjemność? – Szef nachylił się, żeby wybrać numer na swoim telefonie.

Po dwóch sygnałach odezwał się głos:

– Slidell, słucham.

– Mówi Tim Larabee.

– Nie mogę teraz rozmawiać, doktorze. Jestem na miejscu zdarzenia. – Z głośnika dobiegał harmider. Ktoś trzasnął drzwiami. W oddali zawyła syrena. Podniesione głosy.

– A może szybko poznam najnowsze informacje na temat Hazel Strike?

– W tej operze mydlanej nastąpił właśnie nowy zwrot akcji. – Czekaliśmy, aż Slidell skończy gniewnie wydawać komuś rozkaz. – Jestem na osiedlu mieszkaniowym przy Carmel Road, patrzę na mózg rozprysnięty na ścianie. Selma Barbeau, lat siedemdziesiąt, kobieta rasy białej, wdowa, mieszkająca samotnie. Jakiś gnojek przefasonował jej twarz kijem baseballowym Brooklyn Smasher, który trzymała obok łóżka dla obrony.

Oczy Larabeego spotkały się z moimi.

– Barbeau została zamordowana kijem baseballowym?

– Ija.

– Sądzi pan, że to ten sam sprawca, który zabił Hazel Strike?

– Nie, doktorze. Na mojej wachcie cały czas giną wdowy. Zatluczone.

Napisałam na kartce nazwisko i pokazałam ją Larabeemu.

– Przesłuchiwał już pan Wendella Clyde'a? – zapytał.

– Clyde czeka sobie w chłodku w centrum miasta. Nie wygląda na naszego sprawcę, ale niech się trochę spoci, to poprawi jego nastawienie.

Pogratulowałam sobie samej, że powstrzymałam się od komentarza dotyczącego sprzecznych skojarzeń Slidella.

Po powrocie do gabinetu zamierzałam właśnie wcisnąć klawisz szybkiego wybierania na swoim iPhone, gdy nagle sam zawibrował mi w rękę. Numer nieznany. Nie wiedząc dlaczego, odebrałam.

– Cześć, mamó. Musimy rozmawiać krótko.

– O mój Boże, Katy! Tak się cieszę, że słyszę twój głos. – Odnosiło się wrażenie, jakby znajdowała się miliony kilometrów ode mnie. Wyobraziłam sobie Katy w centrum łączności, z M16 przewieszonym przez ramię, w kolejce innych żołnierzy czekających za jej plecami.

– Jak się masz? Wszystko w porządku? Potrzebujesz czegoś? Mogę wysłać paczkę. – Mówiłam tak szybko, że prawie bełkotałam.

– Niczego mi nie brak.

– Jak tam w Afganistanie?

– Dziś jest doskonale, a jutro będzie jeszcze lepiej.

– Zabawne. Wciąż zimno?

– Wczoraj mieliśmy tu dwadzieścia sześć stopni.

– Na pewno niczego ci nie trzeba?

– Mamó, czuję się dobrze. Mój oddział wyrusza. Chciałam tylko zadzwonić i powiedzieć cześć.

– Wyrusza? – Spokojnie.

– To nic takiego. Ale przez jakiś czas może być ciężko z telefonami.

– Przez jakiś czas? – Absolutny spokój.

– Niedługo. Coś nowego na froncie domowym?

Skoro wcześniej powiedziałam to mamie, ujawnienie wszystkiego Katy wydawało się jedyną uczciwą drogą. Drogą rozsądku.

– Andrew Ryan poprosił mnie o rękę. – Nie dodałam, że zrobił to kilka miesięcy temu.

Nastąpiła króciutka pauza, prawie niezauważalna. Potem spytała:

– I?

– Nie dałam mu odpowiedzi.

– Dlaczego?

– Nie jestem pewna.  
– Kochasz tego faceta?  
– Tak.  
– To dlaczego grasz na zwłokę?  
– Nie nazwałabym tego graniem na zwłokę.  
– A jak byś to nazwała?  
– Namysłaniem się.  
– Wciąż się boisz, bo kiedyś przejechałaś się na tacie?  
– Nie. – Tak.  
– To było paskudne, ale wcale nie znaczy, że Ryan też będzie cię zdradzał.

– To prawda.  
– Więc w czym problem?  
– Sama nie wiem.  
– Zgódź się.  
– Szybko to powiedziałaś.  
– Ktoś musi. Babcia wie?  
– Tak.  
– Co mówi?  
– Zgódź się.  
– Kochana Daisy.  
– Hm. Rozmawiałaś ze swoim ojcem?  
– Za chwilę do niego zadzwonię. Czyli muszę kończyć. Kocham cię!  
– Ja też cię kocham, skarbie. Uważaj na siebie.  
– Zawsze.

Rozłączyła się.

Potrzebowałam chwili, żeby się uspokoić. A potem, czując mieszaninę

radości i trwogi, którą starannie ukryłam, zadzwoniłam do Ramseya.

Podobnie jak u Slidella, głos Ramseya rozbrzmiewał na tle tumultu innych dźwięków. On również musiał teraz sprzątać miejsce zbrodni po czyjejś gwałtownej śmierci. W jego przypadku wchodziło w grę spotkanie buicka, forda bronco i butelki jacka daniel'sa.

Przekrzykując sporadyczne komunikaty wypluwane przez radio, opowiedziałam Ramseyowi o Masonie Gulleyu. Oraz o nowej teorii Slidella w sprawie Hazel Strike. Ramsey musiał coś wychwycić w moim głosie.

– Nie kupujesz tej gadki, że morderstwo Strike nie ma nic wspólnego z tym, co się dzieje tu u nas? Z jej śledztwem dotyczącym Cory Teague?

– Nie. – Nagle uderzyła mnie pewna myśl. – Wydaje mi się, że Strike była w okręgu Avery w ostatnią sobotę. A wtedy, w Burke, miała coś do ciebie. Przypuszczasz, że to ona mogła stracić głaz?

– Po co?

– Żeby odwrócić naszą uwagę? Bo ją wkurzyliśmy? Bo była stuknięta?

– A może zrobił to Wendell Clyde? Myślał, że Strike jest z nami, na dole?

Ciągle te pytania. Nigdy żadnych odpowiedzi.

– Jakiś sukces w kwestii odcisków? – Pytałam o dziurę po zrzuconej skale.

– Faceci od śladów mówią, że użyto łomu.

– Konkretnego rodzaju?

– Nie.

Świetnie. To zawężyło spektrum możliwości do jakichś dziesięciu miliardów.

– Wiadro ze szlaku Diabelskiego Ogona z całą pewnością zawierało głowę Masona Gulleya – powiedziałam, w równym stopniu po to, żeby

uporządkować własne myśli, jak i kontynuować informowanie Ramseya. – Jestem też pewna, że kciuk i koniuszek palca z okręgu Burke również należały do niego. To sugeruje, że kości tułowia z Burke to Mason. Pozostaje nam więc tylko materiał z Urwiska Zagubionego Wąwozu.

– Dostałaś odpowiedź od profesor z WCU w tej sprawie?

– Nie.

Oboje odczekaliśmy, aż minie głośnie wyładowanie elektrostatyczne. Ramsey musiał ściszyć głośność, ponieważ trzaski stały się teraz bardziej stłumione.

– Czyli ktoś pociął tego chłopaka na kawałki i rozrzucił fragmenty ciała w przynajmniej dwóch, a może trzech miejscach koło punktów widokowych.

– Na to wygląda – powiedziałam.

– Kto?

– Nie podoba mi się to, co ciągle słyszę o Corze Teague. Martwy braciszek. Martwe niemowlę. Diablica.

– Zabójczyni, nie ofiara. – Ton głosu Ramseya sugerował, że i on zapuszczał się wcześniej myślami na ten grząski grunt.

– Może od samego początku postępowaliśmy błędnie.

Usłyszałam, jak głęboko wciąga powietrze. Jak je wydycha.

– Co proponujesz?

– Jeszcze raz spróbuję skontaktować się z antropologiem, który przeprowadził badanie szczątków z Urwiska Zagubionego Wąwozu. Zadzwonię również do naszych ludzi od DNA, żeby zobaczyć, czy dopisało im szczęście i wyodrębnili sekwencję. I cholernie bym chciała się dowiedzieć, czy mamy do czynienia tylko z jedną ofiarą.

– A ja co mam robić?

– Może byśmy się spotkali w Asheville jutro z samego rana? –



rzuciłam. – Porozmawiamy z Brice’ami. – Powrót w góry był ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęłam. Na szczęście Asheville leżało bliżej Charlotte niż okręg Avery.

– Tak jest.

Minęła chwila, po czym Ramsey podał mi adres. Zapisałam go sobie.

– W międzyczasie zobaczę, czego uda mi się dokopać w sprawie śmierci dziecka Brice’ów. Im więcej będziemy mieć informacji, tym silniej na nich nacisniemy.

– I sprawdź też, co było nie tak ze zdrowiem Cory Teague – podsunęłam.

– Wiesz, jak to wszystko działa.

Wiedziałam. Cora była osobą nieletnią. Nikt nie zamierzał ujawnić nawet małego fragmentu historii jej choroby.

– Użyj sprytu – powiedziałam.

– Przebiegły zastępca szeryfa. Paragraf dziesięć osiem.

I cisza na linii.

Nie bardzo rozumiałam znaczenie kodu użytego przez Ramseya. Ale z każdym kolejnym kontaktem coraz bardziej lubiałam tego faceta.

Zatelefonowałam do sekcji badań DNA. Powiedziano mi, że osoba przeprowadzająca analizę, technik Irene Trent, której nie znałam, wyszła na lunch. Poprosiłam, żeby do mnie oddzwoniła.

Ta rozmowa przypomniała mi, że nic nie jadłam, nie licząc bajgla spożytego o siódmej rano. Zegar wskazywał teraz czternastą piętnaście.

Szybka wyprawa do kantyny dla personelu. Podgrzałam sobie mrożone burrito w mikrofali. Jedząc i popijając dietetyczną colą, spróbowałam dodzwonić się do Ryana. Znów poczta głosowa.

Przez kilka sekund widziałam jego twarz w miękkim cieniu rzucanym przez żółtawe światło werandy. Słyszałam w głowie jego niepewnie

wypowiadaną propozycję. Od wielu dni nie rozmawialiśmy ze sobą. Dlaczego nie odpowiadał na moje telefony?

Poczułam ukłucie lęku. Czyżbym czekała zbyt długo? Zmienił zdanie i nie chce, abym przyjechała do Montrealu? Nie chce mnie już w ogóle?

Kolejną godzinę spędziłam, fotografując popiersie Masona Gulleya. Pod różnymi kątami. W różnym oświetleniu. Na niektórych ujęciach podobieństwo do wujka Edwarda aż przerażało. Na czarno-białych zdjęciach Mason wyglądał na upiornie żywego.

Przyglądając się temu nieszczęsnemu kamiennemu obliczu, znów poczułam odrazę do Marthy Gulley. Jak jakakolwiek kobieta może napiętnować dziecko za wadę genetyczną, która powstała w chwili jego poczęcia? Potępiać własnego wnuka?

Trent zadzwoniła wreszcie o szesnastej. Nie zaśmiała się, kiedy spytałam, jak idą jej badania DNA, przeszła od razu do meritum. I bardzo dobrze. Próbkę przesłałam zaledwie tydzień wcześniej. Pod naciskiem ujawniła swoją opinię: kość była do niczego. Nie postawiłaby złamanego szeląga, że uda się z niej wyodrębnić coś nadającego się do testów.

Gdy się rozłączyłyśmy, przypomniałam sobie o wymazówkach, którymi potarłam wgłębienie w resztkach betonu. Poprosiłam, żeby ponownie połączono mnie z Trent.

Poczta głosowa. Zostawiłam wiadomość.

Ja to mam farta.

Następnie spróbowałam dodzwonić się do Marlene Penny z WCU. Przeżyłam szok, kiedy odebrała. I zawód, gdy usłyszałam, co ma mi do powiedzenia.

Kości znalezione przez jej studentów w 2012 roku stanowiły fragmenty lewej nogi i stopy człowieka. Z powodu rozległych otarć powierzchniowych

oraz ich rozdrobnienia Penny nie mogła ustalić płci, rasy, wzrostu, wieku ani przyczyny śmierci osoby, do której należały. Szczątki przekazano do Uniwersytetu Północnego Teksasu w celu wykonania badań DNA. Wszelkie próby zawiodły. Kości znajdowały się teraz w pudełku, w laboratorium Marlene Penny.

– Mam zeskanować i przesłać pani kopie moich zdjęć?

– Oczywiście. Dziękuję. Później i tak będą mi potrzebne same kości.

Podalam jej swój adres mejlowy, po czym zakończyłyśmy rozmowę.

Siedziałam, otępiała wskutek frustracji, gdy nagle moja komórka zaczęła brzęczeć i podskakiwać na blacie biurka. Przechyliłam głowę, żeby zobaczyć, kto dzwoni.

Świetnie.

Jeden uspokajający oddech. Odebrałam.

– Hej. – Słodko i radośnie, niczym polewa wiśniowa na deserze lodowym.

– Och, Tempe – rzuciła na bezdechu. – Czy jesteś tak nieznośnie zajęta, że nie możesz rozmawiać?

– Dla ciebie, mamó, nigdy nie jestem zbyt zajęta. Co słyhać?

– *Tak bardzo* bałam się ci to zakomunikować. Paraliżował mnie strach przed tym, co pomyślisz. Co powiesz. – Wypowiadała słowa z takim drżeniem, że wydawały się wyskakiwać z małymi przerwami. – Dlatego właśnie byłam niewybaczalnie rozkojarzona podczas twojej wizyty. A potem przekazałaś mi swoją nowinę. No cóż, ja byłam...

– O co chodzi? Co się stało?

– Och, skarbie.

– Powiedz mi! – Serce biło mi szybko.

Powiedziała.

Używając długich, ozdobnych superlatyw, najwyższych stopni przymiotników, od czasu do czasu mocno się zachłystując.

## Rozdział 24

Słowa mamy brzęczały w mojej głowie niczym zwarcie elektryczne. Gdy szłam do samochodu. Kiedy jechałam do domu. Gdy przygotowywałam sobie hamburgera i jadłam go z Birdiem.

Nie chciałam się zastanawiać, co euforia mamy mogła oznaczać. Tak naprawdę nie wiedziałam, co myśleć o jej opowieści.

Moja matka, siwowłosa i umierająca na raka, była szaleńczo zakochana.

Nie poleciałam do telefonu ani nie napisałam esemesa czy mejla. Szczerze powiedziawszy, sama nie wiedziałam, do kogo mogłabym je skierować. Do lekarki mamy z Heatherhill, Luny Finch? Do Goose? Do Harry?

Gdzieś pośród tego chaotycznego wylewu uczuć mama wspomniała o mojej siostrze. Postanowiłam zacząć od niej.

Harry nie odbierała telefonu. Beztroski głos poprosił, żeby „zostawić krótką wiadomość, taką jak ta!”. Co też zrobiłam. Ze znacznie mniej szampańską aurą.

Siostrzyczka oddzwoniła, kiedy myłam zęby.

- Rozmawiałaś z mamą? – spytałam, ciągle szczotkując i spluwając.
- Słuchaj, Tempe, tylko nie przybieraj tego czepialskiego tonu. Ona jest szczęśliwa.
- Jest szalona.
- Nie występujemy w serialu *Sędzia Judy*<sup>5</sup>.
- Masz rację. Wykazałam się brakiem wrażliwości. Ale mamę trudno określić mianem kobiety stabilnej.
- Mówi, że bierze swoje tabletki.

– Mama zawsze mówi, że bierze tabletki.  
– Opiekuje się nią całe mnóstwo lekarzy.  
– Daj spokój. – Nasza matka była mistrzynią zręcznych rąk. Całymi latami migała się od brania leków, stosując w tym celu niezwykle twórcze metody.

– Goose wie wszystko o sztuczki mamy – powiedziała Harry defensywnie.

– Jasne. Więc jak się nazywa ten geriatryczny żigolak?

– Clayton Sinitch. I wcale nie jest taki stary.

– Proszę, powiedz, że facet nie ma trzydziestu pięciu lat.

– Facet nie ma trzydziestu pięciu lat.

– Harry!

– Ma sześćdziesiąt trzy.

– Czym się zajmuje?

– Prowadzi własną pralnię chemiczną.

– Alleluja! Mama będzie mogła dać do wyprania majtki w zniżkowej cenie.

– I wyprostować sobie wszystkie fałdki.

Zrozumiałam ukryty podtekst seksualny. Nie miałam najmniejszej ochoty wyobrażać sobie tej sceny.

– Skąd jest ten Sinitch?

– Z Arkansas.

– Jak się poznali?

– On ładuje akumulatory w Heatherhill.

– Długo się znają?

– To nie jest chyba ważne.

Czekałam.

– Nie prowadzę kalendarza mamy, Tempe. Nie wiem. Może ze dwa tygodnie.

– Harry. – Och, w jakże kontrolowany sposób to powiedziałam. – Przecież ona wpadła w sidła tego faceta.

– Może maleńki romans dobrze jej zrobi.

– A może gnojek jest oszustem i złamie naszej matce serce.

– Zgodziła się na chemioterapię.

– Co? – Mama nie wspomniała mi o tym.

– Zgodziła się na...

– Ze względu na Sinitcha?

– Zarzekał się, że będzie ją kochać nawet łysą jak łyska.

– Co jeszcze wiesz o tym człowieku? – Przewróciłam oczyma. Natychmiast poczułam się winna, że to zrobiłam.

– Kupuje mamie kwiaty i czekoladki. Trzymają się za ręce. Razem spożywają posiłki w jadalni. Karci ją za sypanie soli do jedzenia.

– Serio?

– Domyślam się, że spędzają również czas na małych przyjemnościach w jej pokoju.

– Harry!

Nie mogłam w to uwierzyć. Sama nie wiedziałam, co powinnam czuć. Apatia mamy podczas mojej ostatniej wizyty nie była spowodowana jej pogłębiającą się depresją. Albo marzyła wtedy o Sinitchu, albo koncentrowała się na ukrywaniu przede mną jego istnienia.

– Tylko się nie zdradź, że powiedziałam ci o chemioterapii – rzekła Harry.

– Czemu?

– Najwyraźniej mama nie chce, żebyś wiedziała. Obiecuj.

- Harry, to jest...
- Mówię poważnie. Ani słowa.
- Co to jest łyska? – spytałam pokonana.
- Chyba jakiś gatunek ptaka.

Powiedziałam dobranoc i się rozłączyliśmy.

Nie ma mowy, żebym teraz zadzwoniła do Ryana.

Publikacja National Geographic z 2014 roku na temat najwspanialszych miast świata opisuje Asheville w Karolinie Północnej jako „mekkę turystów, położoną na tle niesamowitej górskiej scenerii, pełną sztuki, z doskonałą południową kuchnią”. To niewielkie miasteczko regularnie pojawia się na szczytach rankingów miejscowości, w których żyje się najlepiej. Więcej niż raz wybrano je jako najbardziej pożądane do zamieszkania w całej Ameryce.

W Asheville widuje się artystów, ulicznych muzyków, są tam również minibrowary. Oraz dziewiętnastowieczna rezydencja Vanderbiltów, bijąca wszystko na głowę, jakby wprost z serialu *Downton Abbey*. A także Uniwersytet Karoliny Północnej.

Ale podobnie jak Avery na północnym wschodzie, okręg Buncombe to pełen sprzeczności melanz cywilizacyjnego postępu i zapóźnienia. Poza jego klejnotem koronnym, czyli samym miastem, nie uświadczy się turystów. Nie ma sklepów z antykami, bożonarodzeniowych butików ani bistro dla wegan. Z dala od narciarskich stoków i sklepów ze sprzętem turystycznym rozciąga się kraina domów, w których w specjalnych szafach trzyma się broń, a najważniejsze prawa to Dziesięcioro Przykazań.

Tym razem Ramsey przyjechał pierwszy. Czekał przy jednym z sześciu cementowych stołów przed Double D', czerwonym piętrowym autobusem przerobionym na kawiarnię przy Biltmore Avenue w maleńkim śródmieściu Asheville.



– Kawa po kostarykańsku, przesączana. – Przesunął kubek w moją stronę. – Mam nadzieję, że jeszcze ciepła.

– Dzięki. – Śmietanka była spieniona i skonfigurowana w jakiś pełen znaczenia artystyczny wzór, którego symboliki nie umiałam pojąć. Kawa, chociaż letnia, smakowała dobrze.

– Jak się jechało?

– W porządku.

– Panie mają pierwszeństwo.

– Niewiele mam do powiedzenia. Ciągłe czekamy na DNA z kości i ze śladów na betonie. – A Slidell zasługuje na lobotomię.

– Dobra robota. – Ramsey wyciągnął z kurtki nieodzowny notes i przerzucił kilka stron. – Joel Brice ma trzydzieści cztery lata, jest rzeźbiarzem, należy do sporej w Asheville, chyba, społeczności hippisów. Tak ją zapewne można nazwać. Kryształ. Sandały. Humus i jogurt.

– Myślałam, że jest spawaczem.

– Robi w metalu. Katalin ma trzydzieści sześć lat, piecze ekologiczny chleb i sprzedaje okolicznym restauracjom. Żadne nie było aresztowane w przeszłości. Ich córka Saffron ma lat siedem.

– Gdzie Saffron chodzi do szkoły? – Sama nie byłam pewna, dlatego o to pytam.

– Uczy się w domu.

– Jak Mason Gulley.

– I wiele innych dzieci. Brice'owie są teraz unitarianami, ale przez kilka lat należeli do Kościoła Uświęconego Jezusa Pana.

– Do śmierci Rivera.

– Tak.

– Niezła zmiana poglądów: od ultrakatolików do unitarian.

– Może poszukują swojej własnej drogi duchowej.

Jak zwykle wyraz twarzy Ramseya pozostawał nieodgadniony. Żartował sobie ze mnie? Z tamtych?

– Brice'owie mieszkają parę kroków stąd na północ. – Schował notes do kieszeni. – Możemy ich o wszystko zapytać.

Ramsey dopił kawę. Na jego ustach pojawił się mleczny wąs. Wskazałam jego górną wargę. Wytarł ją serwetką i wstał.

Zostawiliśmy mój samochód i wzięliśmy jego SUV-a. Bez Gunnera. Troszkę mi go brakowało.

Dzielnica składała się ze skromnych domów, najprawdopodobniej wzniesionych w latach dwudziestych i trzydziestych, niektórych nowszych, stojących pośród dorodnych drzew i zwisających nad głowami przewodów. Dom Brice'ów był parterowy, z zieloną okładziną zewnętrzną i w pełni zadaszoną werandą, która sprawiała, że frontowe drzwi i okna tkwiły w wiecznym cieniu. Kotary zasłaniające podwójne okna mansardowe u góry wskazywały, że na poddaszu mieści się sypialnia.

Dom, podobnie jak sąsiednie, tkwił na niewielkim wale ponad poziomem ulicy. Do werandy dochodziło się wąskimi schodami prowadzącymi od trotuaru między krzewami, które latem pewnie były ładne.

Ramsey i ja mieliśmy już swoją rutynę zachowań. Gdy on zadzwonił, ja stanęłam z jednej strony drzwi. Ich mała szyba podzielona była na przegrody przypominające muszelki. Przywodziła na myśl gotycką katedrę w miniaturze.

Na dźwięk dzwonka swoje wielkie zainteresowanie okazał jakiś pies. Duży pies. Albo mały, ale o naprawdę imponujących strunach głosowych.

Drzwi otworzyły się w ciągu kilku sekund, wypuszczając słodki, mączny zapach pieczonego chleba. Dziewczynka przyglądała się nam spokojnie,

z ciekawością. Cuj<sup>o</sup>6 był już mniej zrelaksowany, lecz przynajmniej nie rzucił się przez drzwi.

– Kto to? – Z wnętrza domu, zza pleców dziecka dobiegł kobiecy głos.

– Policjant. – Ciemne włosy dziewczynki były rozdzielone pośrodku głowy i splecione w warkocze. Jej oczy, głęboko zielone, spoglądały z bladej twarzy w kształcie serca.

– Trzymaj Buldożera, Saffron, kochanie. – Usłyszałam kroki, zmierzające pośpiesznie w naszym kierunku.

Dziewczynka położyła rękę na głowie Buldożera. Pies przestał warczeć, jednak nadal przyglądał się nam podejrzliwie. Potężny mastiff, bestia z pewnością ważąca więcej ode mnie. I bardziej się śliniąca.

Ukazała się kobieta z uniesionymi ramionami, tak, by nie dotykały jej ciała. Były białe od mąki, natomiast oblicze miała czerwone z wysiłku. Uśmiech, początkowo przyjazny, przygasł na widok munduru szeryfa.

– Katalin Brice?

– Tak. A państwo? – Oczy kobiety przesuwaly się między Ramseyem a mną.

– Zastępca szeryfa Zeb Ramsey. – Pokazał odznakę. – A to doktor Brennan. – Wyjaśnił moje kwalifikacje. – Chcielibyśmy chwilę z panią porozmawiać.

– O czym?

– Możemy wejść? – Pytanie to skierowane było bardziej do Buldożera niż do jego pani.

Katalin Brice popatrzyła za nasze plecy, na ulicę. W porannym słońcu jej krótkie kręcone włosy zaśniły niczym miedź, a oczy – jak szafiry na broszce, którą odziedziczyłam po babci. Absolutnie pozbawiona makijażu, była uderzająco piękna.

Być może uspokojona przez symbol okręgu Avery na SUV-ie, Katalin cofnęła się o krok.

– Buldożer, na leżankę.

Okazując pełną dezaprobatę, pies zniknął.

– Piekę chleb i nie mogę pozwolić, żeby ciasto się zasiedziało. Mogę pracować podczas rozmowy?

– Oczywiście – odrzekł Ramsey.

Katalin i Saffron zaprowadziły nas na tył domu, przez salon i jadalnię, dość stare, lecz nieskazitelnie czyste. Drewniane podłogi wyglądały na oryginalne, lakier na świeży.

Umeblowanie, skąpe i eklektyczne w stylu – fotele papasan, paciorki na sznurkach wiszące w drzwiach, oprawiony plakat z Gandhim – przypominało mi moje mieszkanie wynajmowane podczas studiów. Na plakietce naściennej widniał napis: „Któregoś dnia, gdy już zapanujemy nad wichrami, falami, przyływami i grawitacją, sięgniemy po dobre siły miłości”.

Na każdej płaskiej powierzchni znajdował się jakiś metalowy przedmiot, dzieło sztuki. Większość w stylu abstrakcyjnym, z krzywizną linii i wystającymi przyległościami. Kilka wyglądało na postacie zwierząt, choć z gatunków, których nigdy w życiu nie widziałam.

Kuchnia była zaskakująco duża. W jej środku stał ciężki sosnowy stół, otoczony z dwóch stron ławkami. Obok piecyka leżała ogromna owalna poducha, zajmowana teraz przez Buldożera.

Na stole znajdowała się misa ze stali nierdzewnej, wałek oraz bryła ciasta tak wielka, że mogłaby zatopić wieloryba. Na kontuarze czekało w szeregu sześć foremek do chleba.

– Proszę. – Kobieta wygięła jeden łokieć na zewnątrz, wewnętrzną stroną drugiego odsuwając z czoła niesforne loki. – Przepraszam za bałagan.

Ramsey i ja wyciągnęliśmy sobie spod stołu ławeczkę i usiedliśmy, każde na jednym końcu. Saffron wsunęła się na miejsce naprzeciwko nas. Buldożer obserwował, wodząc oczami za każdym ruchem, z głową nisko na macie.

– Teilhard de Chardin. – Zaczęłam od swojej nieodzownej rozgrzewki.

W pierwszej chwili Katalin sprawiała wrażenie zdezorientowanej. Potem uśmiechnęła się szeroko.

– Zauważyła pani plakietkę w jadalni. Zna go pani?

– „Nie jesteśmy istotami ludzkimi, które miewają duchowe doświadczenia, lecz istotami duchowymi doświadczającymi ludzkiego losu”. – Jedyne cytaty z francuskiego księdza filozofa, który zdołałam zapamiętać.

– Tak. To jeden z moich ulubionych.

Gdy Katalin zagniała ciasto, Ramsey zaczął mówić. Na wzmiankę o Riverze wałkowanie i poklepywanie przybrało na sile.

– Bardzo, bardzo pani współczujemy – włączyłam się szybko. – Nie mogę sobie nawet wyobrazić bólu po stracie niemowlęcia.

– Wola natury.

– Nagła śmierć łóżeczkowa.

– Tak.

– Może pani powiedzieć o tym coś więcej? – poprosiłam najłagodniej, jak umiałam.

– River zmarł w czasie snu. Co tu jest więcej do powiedzenia?

Zauważywszy poruszenie po drugiej stronie stołu, zerknęłam na Saffron. Jej ciało było napięte, oczy spoczywały na twarzy matki.

– Lekarz wyraził swoją opinię?

– Dziecko zmarło, wezwano więc coronera. Doktor nie był potrzebny.

– Jak się nazywał ten coroner, wie pani?

– Nie. – Wciąż ugniatała i tłamsiła ciasto. Zwracając się do Ramseya, powiedziała: – To pan dzwonił. Rozmawiał pan z Joelem.

– Tak – potwierdził Ramsey.

– Joel jest w swojej pracowni. Nie będzie zadowolony z waszej obecności.

– To zajmie tylko chwilę – odparł Ramsey i dodał: – W tamtym okresie pani i mąż byliście członkami Kościoła Uświęceniowego Jezusa Pana. Zgadza się?

– Przez krótki czas.

– Dlaczego ten Kościół?

– Joel i ja wierzymy, że istnieje coś więcej niż ten padół łez.

– Dlaczego państwo odeszliście?

Nastąpiła pauza. Kobieta ponownie otarła zgięciem łokcia swoją twarz.

– Sądziliśmy, że spełnienie duchowe może przyjść dzięki kontaktom z ludźmi uprawiającymi pradawne rytuały, z ludźmi szukającymi osobistego zaangażowania w istnienie na wyższym poziomie bytu. – Wróciła do zagniatania ciasta. – Spróbowaliśmy więc z Kościołem Uświęceniowym Jezusa Pana. Ale to nie było dla nas. Teraz należymy do Kościoła Unitariańskiego. Jego zasady bardziej odpowiadają naszemu obecnemu światopoglądowi.

– A jaki on jest?

Odpowiedziała niespiesznie, każde zdanie poprzedzając serią dźgnięć w bryłę ciasta.

– Wierzymy, że wszystkie istoty ludzkie są mile widziane u stołu Bożej miłości i braterstwa. Że podziały, które nas od siebie oddzielają, są sztuczne, że wszystkie dusze stanowią jedność. Nie skupiamy się na życiu po śmierci, dbałości o doktrynę ani na pisanym credo. Wyrażamy naszą wiarę poprzez

akty sprawiedliwości i współczucia.

Nie byłam pewna, czy Katalin podsumowuje wierzenia unitariańskie, czy raczej swoje własne i Joela. Ale brzmiało to rozsądniej niż ogień piekielny i mówienie językami.

– Co może mi pani powiedzieć o Grangerze Hoke’u? – zapytał Ramsey.

– Ksiądz G. – Katalin podniosła, a potem upuściła ciasto. – Bez komentarza.

– Znała pani Masona Gulleya?

– Mówiliśmy sobie tylko dzień dobry.

– Pani wrażenia?

– Był smutnym młodym człowiekiem.

– Cora Teague pracowała u was jako niania?

Po drugiej stronie stołu drobne ramiona Saffron uniosły się ostro.

Katalin dotknęła córeczki.

– Wszystko w porządku, kochanie.

– Pamiętasz Coreę? – spytałam dziewczynkę łagodnie.

Saffron zwróciła się gwałtownie twarzą do matki, jej oczy były szeroko otwarte z trwogi.

– Dlaczego oni pytają o Coreę?

– Zaginęła – odpowiedziałam miękko. – Zastępca szeryfa i ja staramy się ją znaleźć.

– Czy ona przyjdzie do naszego domu, mamó? – Głos miała tak piskliwy, że Buldożer zerwał się i stanął u jej nóg.

– Nie, skarbie.

– Która to będzie, mamusiu? – Oczy jak spodki badały twarz kobiety. – Która?

– Chodź tutaj.

Saffron zeskoczyła z ławki i obiegła stół.

Katalin objęła, a potem puściła córkę, pozostawiając na jej plecach dwa białe odciski dłoni. Trzymając w złączonych rękach brodę dziecka, powiedziała:

– Wyprowadź Buldożera na podwórko. Możesz to dla mnie zrobić?

Mała uroczyście skinęła głową, po czym wybiegła z domu z psem u nogi.

– To była bardzo silna reakcja – powiedziałam.

– Saffron jest niezwykle wrażliwa.

– Mimo wszystko.

– Nie lubi Cory Teague.

– Wie pani dlaczego? – Rzuciłam szybko okiem na Ramseya.

– Kiedy Saffron miała trzy lata, spadła z trójkołowego rowerka i złamała sobie nadgarstek. Cora była wtedy z nią. Podejrzewam, że córka podświadomie łączy ból z osobą.

– Rozmawiała z kimś o tym wypadku?

– Staramy się skupiać na dobrych rzeczach.

– Jak Cora wytłumaczyła ten incydent?

– Tłumaczenia. – Coś niebieskiego błysnęło w oczach Katalin i szybko zniknęło. – Nie ma znaczenia, czy woda jest zimna czy ciepła, jeśli i tak musisz przez nią przejść.

– To także Teilhard de Chardin?

Kiwnęła głową.

– Czy to z jego powodu spróbowała pani zostać katoliczką?

– Być może. – Wskazała łokciem puste formy na chleb. – Przepraszam.

Do południa muszę dostarczyć zamówienia.

Ramsey i ja poszliśmy za nią do frontowych drzwi. Byliśmy już na werandzie, gdy wypowiedziane przez kobietę słowa kazały nam się



zatrzymać.

– W łóżeczku była poduszka.

Odwróciłam się. Katalin nie patrzyła na nas, ale na coś, co znajdowało się bardzo daleko. Może bardzo odległego w czasie.

– U Rivera – domyśliłam się.

Kiwnęła głową.

– Nigdy nie wkładałam do łóżeczka poduszki – powiedziała prawie szeptem.

– Mówiła pani o tym komuś? – spytałam.

Oczy koloru głębokiego indygo zwróciły się ku mnie, tak przepelnione bólem, że jej odpowiedź poczułam niczym cios.

– Księdzu G.

– I co powiedział?

– Żeby nie popełnić grzechu składania fałszywego świadectwa.

## Rozdział 25

Komórka Ramseya zabręczczała, gdy schodziliśmy ze stopni. Spojrzał na ekran, a potem rzucił mi kluczyki.

Otworzyłam SUV-a i wsiadłam. Kiedy on stał na zewnątrz i rozmawiał, ja przeglądałam w iPhone swoje mejle. Starłam się nie wyglądać na specjalnie zainteresowaną, ale skrycie obserwowałam Ramseya.

Język ciała miał, jak na niego, bardzo ożywiony. Przerzucanie ciężaru ciała. Dłoń wsparta na biodrze. Uniesiony podbródek. Zastanawiałam się, czy ten telefon jest w sprawie służbowej, czy osobistej. Tak czy owak, nie wyglądało to chyba najlepiej.

Po raz pierwszy pomyślałam o życiu prywatnym zastępcy szeryfa. Ciotka Ruby mówiła, że jej bratanek potrzebuje przyjaciółki. Że przyjechał z Georgii i że jego małżeństwo zakończyło się fatalnie. Ramsey miał psa. Z wyjątkiem tych kilku szczegółów nie wiedziałam o nim nic.

Jeden mejl od Larabeego. Otworzyłam go i czytałam, w tym czasie Ramsey schował komórkę za pasek i ruszył w kierunku samochodu. Nie uśmiechał się.

– Przepraszam. – Uruchomił silnik, ale nie tknął skrzyni biegów.

– Dostałam właśnie wiadomość od swojego szefa – rzuciłam. – Koroner z okręgu Avery, który prowadził sprawy śmierci Eliego Teague’a oraz Rivera Brice’a, to niejaki Fenton Ogilvie. Zmarł w dwa tysiące dwunastym roku.

– Zgadza się. Umarł prawie dokładnie wtedy, kiedy ja zatrudniłem się w wydziale. Emerytowany kierowca ambulansu. – Ramsey wolno pokiwał głową. – Znalaziono go na dnie szybu windy. Najwyraźniej Ogilvie miał swój charakterek.

– To znaczy?

– Nie wolno mówić źle o zmarłych. Ale facet zostanie chyba zapamiętany z dwóch powodów. Nieustannie chodził pijany i hodował sobie kolosalną marskość wątroby.

– No i sprawa z windą.

– To też. – Ramsey kilkakrotnie zabębnił kciukami o kierownicę. – Twoja wypowiedź na temat absencji Cory Teague dała mi do myślenia. Sprawdziłem datę na akcie zgonu Eliego, a potem zadzwoniłem do liceum w Avery. Cory nie było przez sześć tygodni po śmierci malca.

– Kiedy umiera ktoś z rodzeństwa, to musi być bardzo traumatyczne.

– Ale sześć tygodni?

– Długo.

– Ustaliłem również nazwisko lekarza Cory.

– Szkoła miała je w aktach?

– To Terrence O'Tool. Prowadzi gabinet w Newland. Jeśli czujesz się na siłach, możemy tam teraz skoczyć.

– Pewnie, kurczę, że czuję się na siłach. – W duchu jęknęłam. Newland znaczyło, że musimy jechać przez Avery, czyli poświęcić dobrą godzinę i kwadrans dłużej, aby wrócić do Charlotte.

Pojechałam za Ramseyem. Wskutek jego rajdu nasza trasa skróciła się o piętnaście minut. Moje życie też.

Znajdowaliśmy się już prawie w Newland, gdy zaskoczył mnie, zatrzymując wóz na poboczu. Zrobiłam to samo. Ramsey podszedł do mojego samochodu. Opuściłam szybę w oknie, a on się pochylił, wsparty jednym ramieniem o dach. Dla osób przejeżdżających drogą wyglądało to tak, jakby jakiś nieostrożny glina wręczał mi mandat.

– Rzuć na to okiem. – Ramsey wskazał głową wielką budowlę

z drewnianych bali po drugiej stronie jezdni. Na frontowej werandzie tkwiły dwa piknikowe stoliki, rzeźbiony w pniu niedźwiedź autentycznych rozmiarów, plastikowy kosz na śmieci i prostokątny pojemnik, w którym znajdowała się zapewne przynęta na ryby.

Jedyne okno chaty okryte było poskręcanyymi ulotkami, widocznymi za szybą. Ponad drzwiami sterczał neon z napisem „J.T. Tu zatankujesz i zreperujesz”.

Z przodu znajdowały się dwa dystrybutory paliwa. Na tyłach widać było pozbawioną okien budowlę wykonaną z blachy falistej. Wzdłuż jej fundamentów ciągnął się brukowany teren, podzielony na prostokąty ogrodzeniem z drucianej siatki.

Spojrzałam pytająco na Ramseya.

– Przejaw geniuszu przedsiębiorczości Johna Teague’a. Przewodniki, opony i paliwo dla przejeżdżających zmotoryzowanych. Gips, farby i dykta dla miejscowych lubiących robić wszystko samodzielnie.

– Co jest na tyłach?

– Syn Johna szkoli tam psy.

– Owen Lee.

– Taa.

– Ludzie oddają swoje domowe zwierzaki, żeby mieszkały na takim śmietniku?

– Wątpię, żeby te bestie były domowymi zwierzątkami.

– Mimo wszystko.

– O ile wiem, Owen Lee prowadził kiedyś działalność w domu, aż w końcu małżonka zaczęła mieć dość szczekania i kup. Przez cztery lata budował tę szkaradę, na którą patrzysz, po czym przeniósł tu biznes. Musi mieć klientów, ponieważ ciągle szkoli psy.

Miałam już zapytać o dalszy ciąg, kiedy człowiek, o którym była mowa, wyszedł zza rogu budynku, prowadząc owczarka niemieckiego wielkości czołgu. Na nasz widok zatrzymał się, z zaskoczonym wyrazem twarzy.

Ramsey pomachał mi. Ignorując to pozdrowienie, Owen Lee otworzył bramę i wszedł z psem na teren ogrodzony.

Ramsey poklepał dach mojego samochodu, po czym wrócił do swojego SUV-a. I znów ruszyliśmy w drogę.

Newland, dopóki nie zostało włączone do większego organizmu miejskiego, znane było jako Stara Stopa, która to nazwa nie pochodziła od nogi, lecz od stopy wału wodnego – miasteczko leżało bowiem u zbiegu wód Toe River.

Dziś jedynym powodem do chluby Newland jest najwyższe usytuowanie siedziby okręgu na wschód od Missisipi. Nie ma tu zbyt wiele do zobaczenia, jedynie sąd i biblioteka, kilka sklepów, Shady Lawn Lodge, Mason Jar Cafe. Na tym całkowitym zadupiu kilometrami ciągną się uprawy drzewek choinkowych.

Ramsey minął sąd okręgu Avery i siedzibę szeryfa. Przejechaliśmy koło sklepu z paszą, składu żelaznego o nazwie Prawdziwa Wartość i apteki, po czym mój przewodnik zaczął wykonywać cały labirynt skrętów, nim zatrzymał się wreszcie na skrawku ziemi pokrytej żużlem przed piętrowym domem dwurodzinnym. Jedną część domu zbudowano z cegieł, druga miała drewniany szkielet. Poniżej cegieł znajdowało się szerokie panoramiczne okno z nazwą agencji nieruchomości.

Połowa składająca się z drewnianego szkieletu była pomalowana na biało i miała pochyły dach opadający z lewej na prawą. Na piętrze widniały dwa okna, oba zasłonięte żaluzjami. Na parterze zobaczyłam kolejne, również zakryte od środka, a także dwa cementowe stopnie prowadzące do

aluminiowych drzwi. Bardzo mała plakietka identyfikowała ten budynek jako Centrum Praktyki Zawodowej O'Toola.

– Wzniośle – powiedziałam.

– W środku jest miejsce dla dwojga lekarzy. O'Toola, doktora Cory Teague, i dla dentysty.

Wysiedliśmy z Ramseyem z samochodów i weszliśmy do środka. Zobaczywszy wnętrze, doznałam wrażenia, jakbym podróżowała w czasie.

Poczekalnia mieściła kilka popękanych krzeseł winylowych i stołów z laminatu, pokrytych bardzo starymi czasopismami. Wieszak na ubrania. Pudło z zabawkami. Zakurzona plastikowa roślina. Na artystyczną stronę wystroju wnętrza składały się plakaty ostrzegające przed niepożądanymi chorobami, także stomatologicznymi. Zarówno półpasiec, jak i zapalenie dziąseł wyglądały naprawdę groźnie.

Jedno z krzeseł zajmowała jakaś kobieta. Jej śpiące dziecko sprawiało wrażenie cierpliwego pacjenta. Ona nie. Na innym krześle spoczywał starszy mężczyzna, ze wzrokiem przyklejonym do przeterminowanego egzemplarza pisma „Field & Stream”.

Po lewej biegły w górę strome schody. Na tylnej ścianie pomieszczenia tkwiły pojedyncze drzwi. Pomiędzy nimi a ladą recepcyjną siedziała kobieta, która musiała przekroczyć już osiemdziesiątkę. Miała niebiesko-białe włosy, ufryzowane w trwałą składającą się z ciasnych małych loków, dwuogniskowe okulary oraz różową górę od fartucha w niebieskie króliczki.

Na odgłos naszych kroków przy wejściu kobieta podniosła wzrok. Przyglądała się, jak podchodzimy, z wyrazem twarzy jednocześnie zachęcającym, jak i zdezorientowanym. Biały prostokąt nad jej lewą kieszenią informował: mae foster, pielęgniarka dyplomowana.

– Dzień dobry, szeryfie – uśmiech Foster odsłonił bardzo poźółkłe zęby.

– Dzień dobry pani. – Ramsey odwzajemnił się tym samym i skinął głową. – Chcielibyśmy porozmawiać z doktorem O’Toolem.

– Byli państwo umówieni?

– Nie. – Ton jego głosu dawał jasno do zrozumienia, że wcale nie musimy być.

– Jedną chwilkę, proszę.

Foster opuściła swoje stanowisko i zniknęła w drzwiach, zamykając je za sobą starannie i cicho. Gdy czekaliśmy, czułam na plecach ciekawski wzrok.

Drzwi uchyliły się nieznacznie, po czym Foster wezwała nas gestem do wewnętrznego sanktuarium. Usłyszałam, jak kobieta z dzieckiem gdacze coś z irytacją.

– Proszę – Foster wprowadziła nas do gabinetu. – Doktor O’Tool bada teraz pacjenta, ale za chwilę do państwa przyjdzie.

Większość pokoju zajmowało duże drewniane biurko. Za nim stał ergonomiczny obrotowy fotel zwany Herman Miller Aeron, który wyglądał, jakby pomyłkowo przyjechał tu z NASA. Dalej, przycięnięta do ściany, znajdowała się komoda.

Naprzeciwko biurka umieszczono dwa tapicerowane krzesła. Zajęliśmy je z Ramseyem. Rozglądaliśmy się bez słowa.

Biblioteczkę wypełniały czasopisma i różne teksty. Na blacie biurka zalegały sterty akt medycznych, niektóre cienkie, inne grube jak książka telefoniczna. Na komodzie ustawiono kilka fotografii w ramkach, jakieś szklane trofeum oraz mały złoty krzyż. Spojrzałam na Ramseya, chcąc sprawdzić, czy zauważył ów ostatni przedmiot. Zauważył.

Ponad komodą pojedynczy oprawny dyplom ogłaszał, że Terrence Patrick O’Tool ukończył Akademię Medyczną Quillen przy Uniwersytecie Stanowym Wschodniego Tennessee, rocznik 1963. Wykonywałam właśnie

obliczenia matematyczne, ciekawa jego wieku, gdy dobry doktor wpadł do gabinetu jak burza.

Zanim Ramsey i ja zdążyliśmy powstać, O'Tool okrążył biurko, opadł na swój superfotel i obrócił się nim twarzą do nas. Miał białe włosy, tak rzadkie, że widać było powierzchnię jego czaszki, a także obwisłą skórę pod oczami. Na czole, podbródku i policzkach skóra ta była lśniąca, jakby zbyt mocno naciągnięta na kościach.

Mimo że wykrochmalony fartuch krył jego posturę, nie miałam wątpliwości, że O'Tool jest mały i chudy. I z pewnością dziarski.

– Nie znam pana, szeryfie. – Miało to sugerować, że nasza wizyta jest bardzo niecodzienna.

– Nazywam się Zeb Ramsey. Jestem stosunkowo nowy, proszę pana. Doktor Brennan przyjechała z Charlotte.

– Witamy. – Było w tym bardzo niewiele ciepła. I ciekawości. Miał przed sobą koleżankę z branży, a jednak nie zadał ani jednego pytania o moją specjalizację i wykształcenie. – Pielęgniarka powiedziała, że to jakaś pilna sprawa.

– Nie zajmujemy panu dużo czasu.

– Już zajęliśmy.

Pies drapał wszelkie wstępy. Ramsey przeszedł od razu do rzeczy. John i Fatima Teague'owie, Kościół Uświęceniowy Jezusa Pana, zniknięcie Cory, teoria, że wyjechała z Masonem Gulleyem. Gdy Ramsey mówił, O'Tool nie przestawał kiwać głową.

– Do chwili zaginięcia Cora była pańską pacjentką. Zgadza się, proszę pana?

– Czy państwo Teague'owie dali wam swoją pisemną zgodę, która pozwoliłaby mi na rozmowę o stanie zdrowia jej córki?



– Nie.

– Nawet jeśli leczyłem Corę, czego nie potwierdzam, wiecie, że jestem związany przepisami o tajemnicy lekarskiej.

– Leczyłem?

– Słucham?

– Użył pan czasu przeszłego.

– Doprawdy?

– Mogę zdobyć nakaz.

– Zapewne może pan.

Po sekundzie przerwy Ramsey spróbował ponownie.

– Powiedzmy, że poinformuję pana, iż Cora i Mason zostali skrzywdzeni.

– To sprawdzony fakt?

– Bardzo duże prawdopodobieństwo.

Ponieważ O'Tool milczał, Ramsey poczęstował go pytaniem niespodzianką.

– Czy to możliwe, że Cora Teague stanowi zagrożenie dla innych?

Oczy lekarza, które nie mrugały, nie zdradzały też niczego. Nie potrafiłam stwierdzić, czy jest ostrożny, czy po prostu tępawy.

– Brat Cory, Eli, zmarł w wieku dwunastu lat – ciągnął Ramsey.

– Znałem Eliego.

– Ma pan jakieś refleksje na temat tego incydentu?

– Śmierć dziecka zawsze jest tragedią. – Twarz O'Toola pozostawała bierna i absolutnie opanowana.

– Jak w przypadku Rivera Brice'a.

– Tak. Słyszałem o tym niemowlęciu.

– Znał pan koronera Fentona Ogilviego?

– Znałem. Użycie czasu przeszłego jest tu bezpieczne.

– Ogilvie podpisał oba akty zgonu, uznając śmierć dzieci za wypadek.

Był kompetentny?

– Pod koniec życia Fenton czuł się kiepsko.

– Czyli był alkoholikiem.

– To pytanie?

– Brice'owie zwolnili Corę z pracy z powodu jej problemów zdrowotnych. Jakich?

– No naprawdę, detektywie.

– Pozwolę sobie przedstawić panu kilka faktów, doktorze. – Głos Ramseya stał się stalowy. – River Brice umiera pod opieką Cory Teague. Saffron Brice łamie rękę, gdy zajmuje się nią Cora Teague. Saffron, słysząc imię swojej dawnej niani, okazuje silny niepokój.

– Jestem pewny, że to dziecko...

– Lekarz pogotowia, który zajmował się Elim Teague'em, miał pewne wątpliwości dotyczące okoliczności jego śmierci.

– Podzielił się tymi wątpliwościami z Ogilviem?

– Zapisał je w karcie choroby.

Puste spojrzenie.

– Cora nie chodziła do szkoły przez sześć tygodni po śmierci Eliego.

Gdzie w tym czasie przebywała?

Nic.

– Niewykluczone, że Cora nie żyje, niewykluczone również, że ukrywa się gdzieś i jest niebezpieczna. Doktor Brennan i ja musimy wiedzieć, co jest z nią nie tak.

Zapadła długa głucha cisza. Kiedy nabrałam już pewności, że O'Tool nas wyprosi, odezwał się bardzo przyciszonym głosem.

– Problemy Cory były zasadniczo natury behawioralnej.

– Co to znaczy?

– Leczyłem ją z epilepsji.

Stwierdzenie O'Toola było kretyńskie.

– Epilepsja nie jest chorobą behawioralną – wtrąciłam się. – Stanowi wynik niewłaściwej aktywności elektrycznej mózgu.

– Tak – powiedział lodowato. – Stanowi.

– Orientuje się pan w neurologii?

– Jestem lekarzem pierwszego kontaktu.

– Skierował pan Corę do specjalisty? – Z każdym słowem, które wychodziło z jego ust, czułam rosnące oburzenie.

– Cora miewała napady padaczkowe. Badanie EEG wykazało ognisko epilepsji w prawym płacie skroniowym. Nie trzeba było specjalisty, żeby zdiagnozować u niej TLE, padaczkę skroniową.

– Przepisał jej pan jakieś leki typu AED? – Miałam na myśli preparaty przeciwpadaczkowe. Których są dziesiątki.

– Przez pewien czas dziecko brało depakote. Nie pomógł. Jeśli w ogóle działał, to tylko negatywnie na jej epizody. W końcu rodzice podjęli decyzję o rezygnacji z dalszego przyjmowania wszelkich farmaceutyków. Chcieli leczyć tę przypadłość własnymi sposobami.

– Leczyć jak? – zapytał Ramsey.

– Corę obowiązywał reżim, zgodnie z którym musiała regularnie jadać i wysypiać się każdej nocy. John i Fatima ciężko pracowali, żeby chronić ją od stresów, mieć pewność, że nie sięga po narkotyki ani alkohol.

– Mówi pan poważnie? – Wszystko to przypominało metody wprost ze średniowiecza.

– Cora miała – O'Tool zatrzymał się i zaraz poprawił – ma dobre i złe okresy. Podczas tych złych, gdy dochodzi do ataków, rodzice trzymają ją

w domu.

Ataków?

– Kiedy widział ją pan ostatni raz? – Wyczuwając moją rosnącą irytację, Ramsey przejął stery.

– Latem dwa tysiące jedenastego roku. Zdechł jej szczeniak. Była bardzo zdenerwowana, obwiniała siebie.

– Co się stało temu psu? – zapytałam ostro, czując znajome zimne łaskotanie.

Oczy O'Toola spoczęły na mnie, zamysłone, a może zupełnie pozbawione myśli.

– Wypadł z okna sypialni Cory, na piętrze. Często się zastanawiałem, jak zwierzakowi udało się wspiąć na parapet.

Miałam właśnie zadać kolejne pytanie, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Doktorze O'Tool?

– Tak, Mae?

– Pani Ockelstein się niecierpliwi.

– Wprowadź ją do gabinetu numer dwa, zważ i zmierz jej ciśnienie. – Zwracając się do nas, lekarz powiedział: – Mam pacjentkę.

Zostaliśmy odprawieni.

Wróciwszy do SUV-a, podzieliłam się z Ramseyem swoimi obawami dotyczącymi Cory Teague.

– Eli, niemowlę, szczeniak. – Zdałam sobie sprawę, że mówię za głośno i spróbowałam zejść o jeden ton niżej. – A może również Mason Gulley.

– Myślisz, że Cora ich zabiła?

– Tylko ona stanowi wspólny mianownik.

– Czy padaczka mogła sprawić, że stawała się agresywna?

– Mało prawdopodobne. Ale epileptycy powinni brać leki przeciwko

atakach choroby.

– Kwestionujesz sposób, w jaki O’Tool zajmował się Corą?

– Ten półgłówek nie umiałby bez instrukcji posłużyć się poręczą. I jestem pewna, że nie był z nami do końca szczerzy.

– Sądzisz, że kłamał?

– Może. A przynajmniej nie mówił wszystkiego.

– Czemu?

Uniosłam ręce w pełnym frustracji geście oznaczającym „kto to wie”.

– Co zatem sugerujesz?

– Nie wiem. Ale każda droga prowadzi do Cory.

Kiedy prowadziłam samochód, w moim mózgu wirowały różne nazwiska i twarze, niczym płatki w śnieżnej szklanej kuli. Terrence O’Tool. Fenton Ogilvie. Babcia, Susan Grace i Mason Gulleyowie. John, Fatima, Eli i Cora Teague’owie. Joel, Katalin, Saffron i River Brice’owie. Ksiądz G. i Kościół Uświęceniowy Jezusa Pana.

Lecz tylko jedno nazwisko nieustannie wypływało na powierzchnię.

Po przejechaniu trzydziestu paru kilometrów uderzyła mnie nagła myśl. Doznałam gwałtownego wstrząsu, gdy zdałam sobie z czegoś sprawę.

Zjechałam na pobocze i wybrałam numer w komórce. W moich myślach błąkało się nazwisko Grangera Hoke’a.

## Rozdział 26

Czekając na telefon zwrotny, zboczyłam ku Heatherhill.

Tak jak ostatnim razem, przyjechałam w porze kolacji. Ku memu zaskoczeniu apartament mamy był pusty.

Przypomniawszy sobie słowa Harry, zawróciłam do jadalni. Przez szerokie łukowate wejście zauważyłam mamę przy stoliku dla dwóch osób. Jej towarzysz, jak zakładałam Clayton Sinitch, był niski i tak łysy, że w jego czaszce odbijały się świetlówki na suficie. Okrągłe okulary, koszula w kratkę, kardigan, muszka. Zastanawiałam się, czy jego wygląd retro jest zamierzony, czy może po prostu głupkowato typowy, jak to u starszych facetów.

Mama miała perły i bladoszary sweter. Jej twarz była zaróżowiona z przyjemności, być może także od wina skrzącego się czerwono w kielichu obok talerza.

Patrzyłam, jak Sinitch wyciąga rękę i umieszcza swoją dłoń na dłoni mamy. Mama pochyliła głowę i spojrzała na niego spod rzęs – flirtująca mademoiselle.

Coś napłynęło mi do piersi i uderzyło o żebra. Niepokój? Miłość?

Zazdrość?

Pod powiekami zapiekły mnie niespodziewane łzy.

Gdzieś za mną miękko zabił zegar. Czując się jak podglądaczka, wycofałam się po cichu.

Telefon zwrotny zadzwonił dwadzieścia minut później, gdy zapinałam pas w samochodzie po szybkiej wizycie w KFC. Popatrzyłam na ekran, a potem odebrałam.

– Dziękuję, że oddzwonił ksiądz tak szybko. – Ułożyłam torbę na konsoli pomiędzy siedzeniami, a telefon na desce rozdzielczej.

– Spędzam spokojny wieczór na plebanii.

Czy nie wszystkie takie są? – pomyślałam.

– Jak się czuje twoja matka?

– Zna ksiądz Daisy. – Znał ją. Ksiądz James Morris, spowiednik mamy w tych zmiennych chwilach, w których uważała się za katoliczkę, wciąż pełnił posługę w kościele św. Patryka w Charlotte. Był chyba proboszczem, aczkolwiek nie w pełni rozróżniam te dystynkcje. Wiedziałam, że jego pozycja jest wyższa niż wikarego, a niższa niż biskupa.

– Uznam, że to oznacza, iż czuje się dobrze.

– Jadę samochodem, proszę księdza. Rozmawiamy przez głośnik.

– Rozmowa nie będzie cię rozpraszać?

– Jestem ogromnie ciekawa, czego się ksiądz dowiedział.

– Niestety, niezbyt wiele. Ze względu na późną porę mogłem jedynie sprawdzić w *Official Catholic Directory*. To publikacja przeznaczona dla duchowieństwa, zawiera między innymi listę wszystkich parafii i wszystkich księży.

– Znalazł go ksiądz?

W samochodzie pachniało smażonym drobiem. Gdy rozmawialiśmy, namacałam i wyciągnęłam z torby udko kurczaka.

– Tak i nie. Grangera Hoke’a nie ma obecnie na liście, dlatego musiałem przekopać się przez stare wydania. Tutaj nigdy niczego się nie wyrzuca. Trwało to trochę, ale cierpliwość się opłaciła. Granger Hoke urodził się w St. Paul w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku.

– Myślałam, że wszyscy mieszkańcy Minnesoty to luteranie.

Morris zignorował ten dowcip. Poczucie humoru nigdy nie należało do

jego mocnych stron. Kiedy Harry i ja dorastałyśmy, nazywałyśmy go księdzem Rygorem. Nawet babcia czasami uczestniczyła w tych żartach.

– Nie, wcale nie. W Minnesocie jest wiele katolickich parafii.

– To z Garrisona Keillora? – zrobiłam aluzję. – Zresztą nieważne.

– Hoke został wyświęcony w siedemdziesiątym dziewiątym roku po ukończeniu seminarium w Mundelein.

– Koło Chicago.

– Tak. Seminarium to wchodzi w skład Uniwersytetu St. Mary of the Lake. Przez prawie piętnaście lat Hoke posługiwał na Środkowym Zachodzie – stany Indiana, Iowa, Illinois – w małych, wiejskich parafiach, o ile mogę stwierdzić. W końcu przeniesiono go do okręgu Watauga w Karolinie Północnej.

– A potem?

– Potem zniknął.

– Co to znaczy?

– Nie chciałbym spekulować. Rano będę szukał dalej.

Głos Morrisa stał się bardziej napięty. Zastanawiałam się, czy było coś, o czym mi nie mówił.

– Dziękuję księdzu. Bardzo mi zależy, aby ustalić więcej.

Kiedy jechałam przez ciemność, mój mózg wpadł w nieubłagany wir rodzących się bez końca pytań. Gdzie był Hoke po tym, jak przeniesiono go na wschód kraju? Czy odszedł z kapłaństwa? Wyjechał na misję? Okazał się zbyt chory, żeby pracować? Zwolniono go z obowiązków duszpasterskich?

Pytania. Coraz więcej pytań. I żadnych odpowiedzi. Teraz już jednak całkowicie skupiłam się na Hoke’u.

W ciągu nocy wiosna przejęła władzę w Charlotte. Żadnych więcej kompromisów. Zimo – pójdź sobie precz.



Idąc przez patio, czułam aksamitną miękkość powietrza na skórze. Z czarnej, mokrej ziemi w moim ogrodzie wystawiało główki milion żółtych i białych krokusów. Grusza drobnoowocowa demonstrowała mnóstwo grubych młodych listków i kwiatów przypominających maleńkie różowe embriony.

Pogoda ma ogromny wpływ na mój nastrój. Mimo frustracji związanej ze szczątkami znalezionymi w okolicy Brązowej Góry, obaw o mamę, udręki z Ryanem oraz wczesnoporanego telefonu zasadzki od Allana Finka, tyrana podatkowego, czułam się pełna energii. Zdolna rozwiązać każdą zagadkę. A może to tylko kawa tak na mnie działała.

Mój optymizm miał się okazać równie trwały co cząstka wirtualna w fizyce. Na parkingu przed MCME stał pod dziwnym kątem znajomy ford taurus. Lśnił nieskazitelną bielą, jakby został niedawno umyty i nawoskowany. Mijając go, zerknęłam przez boczne okno. W środku panował porządek, na tylnym siedzeniu nie było nic poza niebieską płócienną torbą sportową.

Wstrząśnięta czystością samochodu, wpadłam szybko do wnętrza budynku, mając nadzieję, że Slidell przywiózł jakieś wiadomości dotyczące Hazel Strike. Kiedy przepchnęłam się przez drzwi, pani Flowers pomachała do mnie – ruch jej nadgarstka miał w sobie coś ptasiego.

– W pani gabinecie jest detektyw Slidell – powiedziała na bezdechu. – Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza.

W tym właśnie momencie mój cudowny nastrój zaczął się ulatniać.

– Nie przyjechał do doktora Larabeego? – zapytałam.

– Nie, nie. Chce się zobaczyć z panią. Nalegał, a ja nie wiedziałam, czy...

– W porządku. – Wcale nie było w porządku. – Długo tu jest?

– Dopiero parę minut.

Starając się nie pędzić, pospieszyłam na tyły budynku.

Przy drzwiach mojego biura odbiłam się od ściany wody kolońskiej. Kupionej w drogerii i aplikowanej z entuzjazmem.

– Dobry, doktorko. – Slidell nie wstał, nawet nie wyprostował się na krześle.

– Dzień dobry, detektywie.

Usiadłam, wsunęłam torebkę do szuflady, splotłam palce na blacie i czekałam.

– Twój facet jest na aucie.

– Mój facet? – Nie nadażalam.

– Wendell Clyde.

– Sprawdziłeś go?

– Do piątego pokolenia.

– Figuruje w kartotekach?

– Parę razy się upił i dopuścił drobnych wykroczeń, dwadzieścia lat temu.

Ostatnio nic.

– Co to znaczy, że jest na aucie?

– Półtora fiuta z niego, ale to nie on jest sprawcą.

– Zabójstwa Strike.

– Nie. Zabójstwa JFK. W wolnym czasie zajmuję się rozwikłaniem tej zagadki.

Powstrzymałam się z ripostą i uniosłam brwi.

– Po pierwsze, wiedziałaś, że Clyde mierzy ze trzy metry?

– Co to ma do rzeczy?

– Ma, kiedy trzeba przyskrzynić jakiegoś pawiana i wsadzić go na tylne siedzenie. Ja nieomal...

– Przeciętny pawian waży dwadzieścia kilka kilogramów. – Szczeniackie.

I nie do końca prawdziwe. Ale nie miałam ochoty dyskutować z Chudym o różnych gatunkach zwierząt.

Slidell wyciągnął z marynarki jakiś papier i rzucił go na biurko. Rozłożyłam kartkę i przyglądałam się zdjęciu, wykonanemu zapewne telefonem komórkowym i wydrukowanemu na komputerze. Przedstawiało człowieka, który siedział w jednym z tych małych pokojów przesłuchań w centrum policyjnym. Rozpoznałam stolik ze sztucznego drewna i szare metalowe krzesło, fioletoworóżową wykładzinę oraz bezbarwną górną część ściany.

Slidell nie przesadzał. Wendell Clyde nie był po prostu wysoki. Wyglądał jak Wyspa Wielkanocna z rękami i nogami. Jego głęboko osadzone oczodoły otaczały stromo opadające brwi, oddzielone od siebie nosem podobnym do wydrążonej dyni lampionu.

– Przesłuchałeś Clyde’a?

– Nie. Czytałem mu w myślach. Które nie były zbyt imponujące.

– O co ci chodzi?

– Nie masz wrażenia w przypadku niektórych facetów, że jest w nich coś więcej, niż można wyczytać z oczu? Jeśli chodzi o tego fiuta, pozory nie mylą.

– To znaczy?

– Uroku ma bardzo mało, za to mnóstwo T. – Tak Slidell określał testosteron.

– Clyde był agresywny?

– Przez chwilę.

– Dopóki nie walnąłeś go mokrym ręcznikiem.

– Coś w tym stylu.

– Co zeznał?

– Że jest uczciwym tynkarzem, a poszukiwanie martwych ludzi to jego hobby.

– A co mówił o Hazel Strike?

– Nie miał zwyczaju przysyłać tej pani kartek na urodziny.

– Zgodził się na badanie na wykrywaczu kłamstw?

– Aż się palił, jak beagle do bekonu. Ale to bez znaczenia. Clyde ma alibi.

– Poważnie?

– Poważnie.

– Mów. – Uszło ze mnie powietrze. Nastrój opadł już całkowicie.

– Clyde twierdzi, że od godziny dziewiętnastej w sobotę aż do pierwszej w nocy w niedzielę był w pubie Selwyn Avenue. Mówi, że widziało go tam wiele osób.

– To jeszcze nie oczyszcza go z podejrzeń. Mógł przecież...

– Chcesz mówić czy słuchać?

Moje zęby trzonowe zacisnęły się mocno.

– Twierdzi, że udzielał wtedy wywiadu do artykułu na temat internetowych detektywów amatorów. Píše go bloger, niejaki Dennis Aslanian.

Slidell przerwał, może prowokując mnie, żebym się wtrąciła. Nie zrobiłam tego.

– Z tego pubu Clyde poszedł z Aslanianem do jeszcze dwóch innych barów, a w końcu do pokoju tego faceta w Motelu 6 niedaleko areny sportowej Coliseum. Potajemni kochankowie przebywali razem, dopóki Aslanian nie wyjechał z Charlotte wcześniej rano w poniedziałek.

Slidell miał rację. Jeśli Hazel Strike zginęła w niedzielę, a Aslanian potwierdzi wersję wydarzeń Clyde'a, ten ostatni przestanie być podejrzany.

– Rozmawiałeś z Aslanianem?

– No, nie wpadłbym na ten pomysł.

Wzięłam głęboki oddech. Poczułam w nosie zapach stetsona albo bruta.

– Zostawiłem Aslanianowi parę wiadomości z radą, żeby jak najszybciej oddzwonił. Wpadnę jeszcze do Motelu 6 i do tego pubu, kiedy już będzie otwarty, pokażę im zdjęcie Clyde'a.

– Gdzie on teraz jest?

– Musiałem go wypuścić.

– Nadal uważasz, że w Charlotte grasuje seryjny zabójca atakujący starsze kobiety?

– Tak.

– Więc Clyde nie jest na szczycie twojej listy podejrzanych.

– Nawet się do niego nie zbliża.

– Dlaczego mówisz o tym wszystkim mnie, a nie Larabeemu?

Przez dłuższą chwilę Slidell nie ruszał się i milczał. Potem powiedział:

– Wprowadź mnie w temat tej Brązowej Góry.

– Nie wiem, czy Brązowa Góra jest tu istotna.

– Dobra, dobra, dobra – naprawdę strzelił palcami.

Opowiedziałam Slidellowi o ludzkich szczątkach, w tym o końcach palców bez linii papilarnych i o głowie w wiadrze, o Masonie Gulleyu oraz jego zespole NFJ, o Grangerze Hoke'u i o Kościele Uświęceniowym Jezusa Pana, o Corze Teague i śmierci niewiniątek, które znaczyły jej drogę, o koronerze alkoholiku, Fentonie Ogilviem, o Terrensie O'Toolu oraz jego nieudolnej diagnozie.

Kiedy skończyłam, zagapiłam się na Slidella. On gapił się na mnie. Minęła pełna minuta.

Czasem Chudy potrafi mnie zaskoczyć. Tak się stało właśnie teraz.

– Sądysz, że to nie przez padaczkę? Że ta mała jest wariatką?  
– Wariatka to nie jest termin medyczny.  
– Więc że ma pomieszane w głowie i zabiła własnego brata, niemowlę i szczeniaka? I że ktoś ją kryje? – Worki pod oczami Slidella drgnęły, gdy w jego mózgu pojawiła się nowa teoria. – A może to ją załatwili?

– Kto?

– Mówiłaś, że tatuś jest w gorącej wodzie kąpany.

– Jest nieźle zakrecony, fakt. Ale żeby zabić własną córkę?

– Zabójstwo honorowe? A może zrobił to któryś z tych świrniętych wyznawców Jezusa od Hoke'a?

– Po co?

– Morderstwo przyciąga uwagę. Tamci mogli widzieć w tej dziewczynie zagrożenie dla swoich małych paskudnych sekretów.

– A może zabili Masona Gulleya. – Pod wpływem nagłego impulsu obróciłam się z fotelem, złapałam kopertę od Ramsey'a i rzuciłam jedno zdjęcie na blat biurka. – To jest Cora Teague. Nie sądzę, żeby nastolatka poćwiartowała zwłoki i porzuciła ich kawałki pod różnymi punktami widokowymi. Poza tym głos nagrany na dyktafonie nie wskazuje, aby to dziewczyna była morderczynią. – Slidell formułował te same podejrzenia, których ja sama wcześniej nie chciałam zaakceptować.

Chudy wpatrywał się w zdjęcie, otworzył i zamknął usta. Minęła kolejna długa chwila, zanim podjął następną próbę.

– Hazel Strike jako pierwsza wsadziła kij w mrowisko?

– Owszem – potwierdziłam.

– Pojechała do Avery?

– Tak. Szukała tej platformy widokowej, wiem również, że rozmawiała z rodzicami Cory. I telefonowała do jej szkoły i do szpitala, w którym zmarł

Eli. Myślę, że była tam powtórnie w sobotę, kiedy do mnie dzwoniła. Dzień przed swoją śmiercią.

– Zgadza się.

– Poważnie?

– Sprawdziłem dane komórki Strike. Jezu Chryste, sądzisz, że zajmowałem się załatwianiem podsłuchu na prywatną linię Obamy?

– I?

– Rzadko używała telefonu, ale ustalono dwa połączenia wcześniej rano, tamtego dnia. Stacje bazowe zarejestrowały ją na drodze I-40, prawdopodobnie wtedy, kiedy jechała do Avery. Potem albo wyłączyła komórkę, albo padła jej bateria.

– Odnalazłeś telefon?

– Nie.

– Jakież postępy w sprawie laptopa?

– Dostałem wiadomość od działu IT, żebym oddzwonił. Dlaczego ci komputerowi maniacy zawsze brzmią tak, jakby właśnie przeżuwali mysz?

Uznawszy to pytanie za retoryczne, nie zaproponowałam żadnej odpowiedzi.

Wargi Slidella znów się rozdzieliły. Miałam się nigdy nie dowiedzieć, co zamierzał mi oświadczyć. Gdy zadzwonił telefon stacjonarny, Chudy wciągnął głęboko powietrze i spuścił wzrok na swoje dłonie.

Telefonowano z laboratorium kryminalistycznego policji w Charlotte-Mecklenburgu.

Był to początek całej kaskady wydarzeń, która doprowadziła do przerażających rezultatów.

## Rozdział 27

Na początku XX wieku francuski badacz Edmund Locard zauważył, że kiedy dwa przedmioty wchodzi z sobą w kontakt, zawsze dochodzi między nimi do wymiany materiału. To samo dotyczy dwojga ludzi. Ja dotykam ciebie. Ty dotykasz mnie. Dzielimy się odrobinkami nas samych. Odkrycie to stało się znane pod nazwą zasady wzajemnej wymiany Locarda.

W epoce *Kryminalnych zagadek CSI* i *Kości* wydaje się to oczywiste, wówczas jednak pomysł ten był szalenie nowatorski. Dziś, dzięki wspomnianej zasadzie, w laboratoriach medycyny sądowej na całym świecie znajduje zatrudnienie tysiące ludzi. Włosy, sierść, włókna, tkaniny, sznury, pióra, gleba, szkło, substancje biologiczne i chemiczne, cokolwiek. Eksperci od wykrywania śladów identyfikują i porównują różne materiały w nadziei, że powiążą podejrzanego z ofiarą albo z miejscem zbrodni. Bywa, że proces ten wymaga zaangażowania sporej wiedzy i nowoczesnej techniki.

Dlatego właśnie świeżo upieczony analityk, niejaki Bebe Denver, nie przestawał terkotać mi do ucha.

Siedzący naprzeciwko mnie Slidell wyciągnął scyzoryk armii szwajcarskiej i zaczął dłubać w zaskakująco czystym paznokciu swojego kciuka. Było to jak gapienie się na wypadek drogowy – nie miałam najmniejszej ochoty patrzeć, ale nie mogłam się powstrzymać.

– ...analiza pierwiastkowa, wykonana metodą absorpcyjnej spektrometrii atomowej, bądź też za pomocą mikroskopu elektronowego wyposażonego w spektroskop do analizy EDS. Przy użyciu chromatografu gazowego lub spektrometru gazowego można odseparować składniki chemiczne. Rozumie mnie pani, doktor Brennan?



Nie chciałam być niegrzeczna ani torpedować jego entuzjazmu, ale nie było to moje pierwsze rodeo ze śladami z miejsc zbrodni. Pragnęłam tylko uzyskać najważniejsze informacje, zanim Slidell powala mi krwią cały gabinet.

– Wygląda na to, że wykonał pan kawał solidnej roboty – powiedziałam.

– Tak.

– Moglibyśmy od razu przejść do wyników? A później, jeśli będę miała pytania, omówimy całą procedurę.

– Oczywiście. Umieszczę wszystko w raporcie. Każdy najmniejszy szczegół.

Jasna cholera. Dysertacja na temat analizy pierwiastkowej. Nie ma nic wspanialszego.

– Doskonale – powiedziałam.

– Sam beton to mieszanka cementu portlandzkiego i kilku innych rodzajów cementu. Zidentyfikowałem uwodnione wapno, łupek...

– A zasadniczo?

– No tak. Wydaje się, że jest to mieszanina cementu, piasku i kruszywa, beton szybko tężejący.

– Na przykład Quikrete<sup>8</sup>.

– Właśnie.

– Do kupienia w każdym sklepie sieci Home Depot.

– Tak – potwierdził nieco zasmucony.

Slidell cały czas zajmował się swoimi paznokciami. Wiedziałam jednak, że słucha.

– A materiał, który pobrałam z powierzchni wewnętrznej?

– To jest ciekawe. – Kliknęły klawisze. – Substancja ta zawierała triacyloglicerole, trójglicerydy, czyli tłuszcze, a także niewielkie ilości

wolnych kwasów tłuszczowych, glicerolu, fosfatydów, pigmentów, steroli...

– Więc co to jest?

– Oliwa z oliwek.

Mój brak reakcji Denver potraktował jako zakłopotanie.

– Triacyloglicerole składają się zwykle z połączenia trzech kwasów tłuszczowych. Triacylglicerol, czyli potrójny kwas oleinowy, występuje powszechnie w oliwie z oliwek, za nim idzie kwas palmitynowo-oleinowo-oleinowy, dalej oleinowo-oleinowo-linolowy, następnie palmitynowo-oleinowo-linolowy, potem stearynowo-oleinowo-oleinowy i tak dalej.

– Oliwa z oliwek – pomyślałam na głos.

– Oliwa z oliwek zawiera więcej kwasu oleinowego, a mniej kwasów linolowych i linolenowych niż inne oleje roślinne. – Znów błędnie wziął mój komentarz za prośbę o przybliżenie tematu.

– Jest pan pewny?

– Znalazłem również mikroskopijne ślady oliwy.

Trawiłam tę informację, Denver natomiast szarżował dalej.

– Ta druga substancja okazała się większym wyzwaniem. Odkryłem jej niewielkie stężenie tylko na jednej wymazówce, ledwo uchwytnie dla analizy. – Kolejne stukanie w klawisze. – Kwasy żywiczne, guma, kwasy bosweliowe, kwas glukuronowy o grupie metylowej 4-0, octan kadzidłowy, fellandren...

– Co to znaczy?

– Nie jestem pewien. Najciekawszy jest ten kwas bosweliowy.

Coś niewyobrażalnego wyskoczyło spod paznokcia Slidella i spadło na moje biurko. Wyszarpnęłam chusteczkę, zebrałam tę maź i wrzuciłam do kosza. Slidell rył dalej.

– Kwas bosweliowy pochodzi z żywicy roślinnej. W afrykańskiej

i indyjskiej medycynie ludowej stosuje się go do łagodzenia stanów zapalnych. Obecnie prowadzi się badania nad jego użytecznością w leczeniu chorób autoimmunologicznych, takich jak reumatoidalne zapalenie stawów i choroba Leśniowskiego-Crohna. A także w terapii niektórych rodzajów raka – białaczki, nowotworów mózgu i piersi.

– Skąd można wziąć ten kwas bosweliowy?

– Z Internetu, z apteki, ze sklepów ze zdrową żywnością. Jest łatwo dostępny.

Tak jak Quikrete.

– Dzięki, Bebe. – Nie bardzo udało mi się ukryć rozczarowanie. – Doceniam pański wkład pracy.

Rozłączyłam się i podzieliłam ze Slidellem informacjami od Denvera.

– Skąd się to wszystko wzięło w wiadrze z betonem, w którym była głowa Masona Gulleya?

Wyobraziłam sobie nieszczęsnego Edwarda Gulleya z jego dziwnymi włosami, paznokciami, skórą i zębami.

– Może Mason mieszał kwas bosweliowy z oliwą i stosował na skórę głowy albo na włosy. – Wiedziałam, że ta sugestia jest do niczego, ale i tak ją wyraziłam. – A może aplikował go sobie na skórkę wokół paznokci.

– Stylowe. – Slidell znów skupił się na manicurze.

– Mógłbyś już przestać?

– Co? – zamrugął oczami.

Pokazałam na jego zabiegi pielęgnacyjne.

– To mnie rozprasza.

Wzdychając teatralnie, Slidell złożył scyzoryk i schował go do kieszeni.

– Jak daleko twój kumpel Ramsey zaszedł w sprawie Gulleya?

– *Zastępca szeryfa Ramsey bada liczne tropy.*

Slidell parsknął, a potem zanucił mrukliwie pierwsze takty riffu z piosenki *Dueling Banjos*<sup>9</sup>.

– Spośród wszystkich ludzi właśnie ty powinieneś rozumieć, że on nie ma luksusu koncentrowania się tylko na jednej sprawie.

– Och, mój Boże w tutu baletnicy. Ekskjuzemła.

Nagle zapaliło się we mnie kilkanaście neuronów jednocześnie. Ekspłodowały obrazy.

Hazel Strike na krześle, z którego obecnie wylewał się Chudy. Wątki dyskusyjne na czacie grupy internetowych detektywów amatorów. Strona z bardzo starej książki medycznej. Susan Grace Gulley w ciemnościach w moim samochodzie.

W płatach czołowych mózgu rozbłysła mi jaskrawa myśl.

Złapałam telefon i wybrałam numer Ramseya. Zaczęłam bez żadnych wstępów.

– Oscar Gulley otrzymał imię na cześć fotografa, Oscara Masona, prawda?

– Masz na myśli dziadka? – Ramsey był zdezorientowany, ale próbował dotrzymać mi kroku.

– Tak. Susan Grace powiedziała, że zarówno jej brat, jak i dziadek otrzymali imiona po Oscarze Masonie. Przypuśćmy, że *obaj* nazywali się Oscar Mason Gulley. Na dziadka wołano Oscar, opuszczając Mason, rozumiesz?

– No tak – odpowiedział Ramsey rozwleknie. Co wskazywało, że nie rozumie.

– OMG. Ta osoba zostawiała posty na stronie OPKK dotyczące zniknięcia Cory Teague. Na tej witrynie detektywów amatorów. – Wiedziałam, że mówię o wiele za szybko. – Myślałam, że nazwa

użytkownika oznacza Oh My God. Ale jeśli to są inicjały, a nie cyberżargon?

Slidell przyglądał mi się z uniesioną lewą brwią.

– Oscar Mason Gulley – rzekł Ramsey.

– Tak.

– Niech mnie diabli. Jak na to wpadłaś?

– Jest u mnie detektyw Slidell. Nawiązał do tematyki baletowej. – Ujęłam sprawę delikatnie. – Wtedy skojarzyłam, że Susan Grace okłamała swoją babcię w sprawie baletu, żeby móc mnie śledzić. Pomyślałam również o fotografiach brata Oscara, Edwarda, oraz o tym, co pisała Hazel Strike na OPKK, a także o wynikach moich własnych poszukiwań. Bingo. Nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

– Twój mózg działa jak superakcelerator.

– Tak. – Nie byłam pewna, czy ta analogia jest całkiem uprawniona.

– Chcesz, żebym zadzwonił do babci?

– Lepiej pojechać do sądu i wydostać stamtąd akt urodzenia.

– Zajmę się tym.

Gdy się rozłączyliśmy, zaczęłam opowiadać wszystko Slidellowi.

– Mam uszy.

– Powinnam zapytać Susan Grace o tę miksturę z oliwą?

– I co powiesz? Hej, siostruniu, czy twój brachol wcierał sobie to paskudztwo we włosy? Larabee nie potwierdził tożsamości ofiary, więc jak dotąd rodzina wie tylko, że młodzian nawiał.

Slidell miał rację. Tak dziwne pytanie musiałyby wzbudzić podejrzenia.

Zanim Chudy wyszedł, połączyłam się z Internetem, zalogowałam na OPKK i jeszcze raz sprawdziłam daty postów OMG. Pierwszy pojawił się w sierpniu 2011 roku, mniej więcej miesiąc po tym, jak Cora Teague zniknęła z pola widzenia. Ostatni we wrześniu, około miesiąca później.

Slidell znajdował się już w drzwiach, gdy Ramsey oddzwonił. Przełączyłam go na głośnik.

– Miałś nosa. Na akcie urodzenia Masona widnieje jego pełne nazwisko: Oscar Mason Gulley. Takie dane podała babcia. Żadne z rodziców się nie pofatygowało.

– Slidell i ja posprawdzaliśmy daty – powiedziałam. – Treść postów OMG jest zgodna z wersją Susan Grace, że Mason wyjechał do Johnson City. Przestały się pojawiać mniej więcej w tym samym czasie, gdy urwał się kontakt między rodzeństwem.

– Okej – rzekł Ramsey. – Powiedzmy, że to prawda. OMG to Mason Gulley. Co to oznacza?

Żadne z nas nie umiało wysunąć jakiejś rozsądnej hipotezy.

Kiedy Slidell wyszedł, siedziałam przez chwilę, walcząc sama ze sobą, kładąc na jednej szali poczucie obowiązku wobec bezimiennej ofiary, a na drugiej sprawy osobiste. Potem, poruszając się z prędkością leniwca, wybrałam numer i anulowałam swój lot do Montrealu.

Pełna obaw przed zbliżającą się rozmową zadzwoniłam do Ryana. Poczta głosowa. Czując winę z powodu ulgi, że uszłam przed egzekucją, wysłałam mu długi mejl z wyjaśnieniem swojej decyzji. Ryan na pewno zrozumie. Albo i nie.

Ale czy *ja* rozumiałam samą siebie? Czulałam ulgę, ponieważ uniknęłam nieprzyjemnej rozmowy telefonicznej? Czy może dlatego, że zrezygnowałam z wyjazdu?

Larabeego zastałam w jego gabinecie i opowiedziałam mu krótko o wszystkim, tak jak obiecałam Slidellowi. Nie pojawiła się żadna nowa sprawa dla antropologa sądowego, oświadczyłam więc szefowi, że udaję się do domu pracować nad podatkami.

Wyraz twarzy Larabeego wskazywał, co sądzi o moim nawyku odkładania spraw na później. On swoje zeznanie złożył pewnie w styczniu.

Naprawdę zamierzałam skupić się na tej kwestii. I tak też robiłam. Aż do szesnastej piętnaście, kiedy zadzwonił ksiądz Morris.

– Mam dla ciebie informacje – powiedział posepnym głosem prezentera wiadomości, który sprawił, że poczułam ciarki na plecach.

– Świetnie. – Sięgnęłam po długopis.

– Myślę, że najlepiej będzie porozmawiać w cztery oczy.

– Jasne. – Patrzyłam na dokumenty piętrzące się w niezbyt schludnych stosach wokół mnie. Na wypełniony do połowy karton. A może w połowie pusty? – Mam przyjechać na plebanię?

– Tak. Za godzinę?

– Do zobaczenia.

Rozłączyłam się i spojrzałam na Birdiego, który patrzył na mnie. Mogłabym przysiąc, że kot wzruszył ramionami.

Parafia św. Patryka leży w Dilworth, dzielnicy tylko odrobinę gorszej od tych najlepszych. Choć skromny jak na tego typu budowle, kościół jest właściwie katedrą, okrętem flagowym diecezji Charlotte. Neogotycki w stylu, ma typową, otynkowaną elewację z wapienia, nawę główną przykrytą kopułą, dzwonnice i witraże. Wysoko ponad frontowymi drzwiami stoi posąg świętego patrona dzierżącego laskę.

Kościół św. Patryka miał czterdzieści lat, kiedy w 1979 roku rozpoczął się jego remont, właściwie lifting, który trwał z przerwami przez trzy dziesięciolecia. Nowy ołtarz z marmuru, organy piszczałkowe i dzwon. Elegancki miedziany dach, lśniące drewniane podłogi, celtycki krzyż na trawniku. Świątynia, zadbana i schludna niczym starsza pani, stoi sobie wyniośle na wzgórzu i wygląda cholernie dobrze.

Kilka lat temu odwiedziła mnie pewna przyjaciółka, osoba nietutejsza, którą ogromnie zdziwiła wielka liczba szkół pomaturalnych w Charlotte. Nie rozumiejąc romansu, jaki łączy to miasto z religią, niewłaściwie zinterpretowała liczne tutaj, rozległe kompleksy budynków związków wyznaniowych, biorąc je za instytucje szkolnictwa wyższego.

Święty Patryk nie jest wyjątkiem. Ze swym głównym kościołem, parafialnym ośrodkiem życia wspólnotowego, ogrodami, trawnikami, parkingami, szkołą niedzielną i plebanią, przypomina niewielki campus uniwersytecki.

Dziesięć minut po wyjściu z przybudówki zaparkowałam samochód tam, gdzie wcześniej skierował mnie Morris, i weszłam po schodach prowadzących do plebanii. Nacisnęłam kciukiem dzwonek, a on odpowiedział miękkim lirycznym dźwiękiem. Miałam już zrobić to ponownie, gdy drzwi się otworzyły.

– Tempe. Wybacz, proszę, mój nieelegancki ubiór. – Morris miał na sobie zdecydowanie nieksiężowskie dżinsy, koszulę w kratę i zieloną wełnianą kamizelkę. – Zakończyłem już na dziś swoje obowiązki duszpasterskie.

– Wygląda ksiądz bardzo stylowo. – Jezu, czy to odpowiednia odzywka? Cholera. Jezus jako wykrzyknik? Podwójna wpadka. Chociaż minęło kilka dziesięcioleci od czasu, gdy po raz ostatni założyłam swój mundurek, księży i zakonnice wciąż budzą we mnie nerwowość.

Morris uśmiechnął się.

– Pójdziemy do gabinetu?

W przedpokoju na ścianie wisiał gobelin przedstawiający kobietę osłoniętą skromnie od stóp do głów, skąpaną w niebiańskim świetle. Na podłodze leżał czerwony perski dywan, w rogu stało rzeźbione drewniane krzesło, po prawej wznosiły się schody z misternie skreconą poręczą. Gabinet



znajdował się niedaleko, przy bardzo rozległym holu. Po obu jego bokach wisiały portrety posępnych duchownych, umieszczone w idealnych odstępach.

Gabinet wykładany był boazerią i od podłogi aż po sufit zabudowany półkami ciągnącymi się wzdłuż trzech ścian. Kolejny perski kobierzec, tym razem w odcieniach zieleni.

Pośrodku czwartej ściany tkwił kominek z cementowym obramowaniem. Umieszczono przed nim dwa fotele w stylu królowej Anny oraz mały stół. Ponad nim widniało rażąco kolorowe malowidło. Z boku dostrzegłam niewielki oszklony sekretarzyk.

Morris zaprowadził mnie do grupki mebli obok kominka. Usiadłam. On nie.

– Mogę ci zaproponować coś do picia? Może herbatę?

– Bardzo chętnie – odpowiedziałam.

Niemal spodziewałam się, że za chwilę poruszy maleńkim dzwoneczkiem, aby wezwać szurającą nogami garbatą siostrę zakonną o pomarszczonej jak mumia twarzy. Ksiądz tymczasem pospiesznie wyszedł z pokoju.

Przeprowadziłam w głowie typową dla mnie inwentaryzację.

Obraz przedstawiał pejzaż. Morze. Mnóstwo pomarańczowego i niebieskiego, i coś, co moim zdaniem wyglądało jak widnokrąg.

Biurko zajmowało drugi koniec pomieszczenia, było mahoniowe, o czystych, schludnych liniach. Naprzeciwko niego stały dwa drewniane krzesła, mało wygodne. Sztuczka, żeby jak najszybciej pozbyć się jęczących albo swarliwych interesantów?

Półki pełne były książek i czasopism, gdzieś umieszczono elementy dekoracyjne. Przez oszklone drzwiczki sekretarzyka zobaczyłam

oprawne fotografie, srebrną tacę z małą butelką żółtego płynu i pozostałościami czegoś, co wyglądało na zasuszony liść palmowy. Lornetka teatralna wykładana macicą perłową. Mosiężny świecznik.

Morris wrócił z puszką torebek herbaty, dwiema serwetkami, dwiema łyżeczkami oraz dwoma kubkami parującej wody.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci herbata w saszetkach.

– To moja normalna trucizna. – Jezu!

Wybrałam miętową. On wolał rumianek. Gdy rozdarliśmy opakowania i zanurzyliśmy torebki w wodzie, ksiądz zaczął mówić.

– Nikt nie chce rozmawiać o Grangerze Hoke’u.

Moje tętno podskoczyło wprawdzie odrobinę, lecz nie odbiło się to na rytmie zamaczania saszetki.

– Mam nadzieję, że potrafisz zachować dla siebie to, co mówię ci w zaufaniu. – Ksiądz postawił kubek na stole, a torebkę z herbatą położył na serwetce.

– Postaram się. Ale...

Morris uniósł rękę.

– Rozumiem, że to może okazać się niemożliwe, jeśli Hoke jest zamieszany w sprawy kryminalne. Tyle że Kościół miał w ostatnich latach bardzo złą prasę.

– Proszę księdza... – powiedziałam, jednak zamilkłam w tym miejscu, niepewna, co dalej. Jego oświadczenie nie wymagało wyjaśnień.

– Nie zrozum mnie źle, Tempe. To, co zrobiono tym dzieciom, jest nikczemne i ohydne. I grzeszne. Każdy ksiądz zdolny do takich czynów musi zostać ukarany z całą surowością.

– Ale księdza zdaniem cała sytuacja została niewłaściwie naświetlona przez media? – nie podobał mi się kierunek, w którym to wszystko

zmierzało.

– Większość relacji medialnych była fair, uzasadniona. Niektóre nie. Chcę jedynie powiedzieć, że kolejny skandal byłby dla Kościoła druzgocący.

Morris opuścił rękę i podniósł kubek. Nie pił.

– Kilku księży łajdaków nie może definiować tego, kim wszyscy jesteśmy. W głębi duszy wierzę, że duchowieństwo składa się z ludzi godziwych i czcigodnych. Ludzi, którzy kochają Boga i swoich bliźnich, którzy chcą na tym świecie pozostawić po sobie ślad.

Morris przez chwilę patrzył gdzieś ponad mną. Widziałam jego twarz odbijającą się w przeszklonym sekretarzyku. W oczach księdza czaił się ból, a może też strach.

Zaschło mi w ustach. Przygotowywałam się wewnętrznie, pewna, że Morris powie mi za chwilę, że Granger Hoke wykorzystywał seksualnie dzieci.

Nie mogłam się bardziej mylić.

## Rozdział 28

Morris odwrócił się do mnie, oblicze miał zmęczone i smutne.

– W dziewięćdziesiątym ósmym roku Granger Hoke został suspendowany za przeprowadzanie egzorcyzmów bez zezwolenia.

– Egzorcyzmów. – Sama nie wiedziałam, czy ogarniające mnie uczucie było ulgą czy szokiem.

– Tak.

– Chodzi o wypędzanie złych duchów?

– Przypuszczam, że ty byś tak to ujęła.

– A ksiądz jak by to ujął?

– Tak jak definiuje to *Katechizm Kościoła katolickiego*: egzorcyzm to publiczne i kategoryczne żądanie, w imię Jezusa Chrystusa, aby dana osoba, miejsce lub przedmiot zostały objęte ochroną przed mocami Zła Głównego i wyzwolone spod jego władzy.

– Szatana.

– On jest realny, w pewnej postaci.

– To nie piętnasty wiek, proszę księdza.

– Owszem. Nie. – Cierpliwy uśmiech. – Ale zło wciąż istnieje na tym świecie i nadal odprawia się egzorcyzmy. Co więcej, Watykan przeanalizował ów proces i w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku wprowadził zmiany do rytuału. Mimo to wciąż dopuszczalne jest korzystanie z jego tradycyjnej, łacińskiej wersji.

– Odprawiany jest w jakich okolicznościach? – Widziałam filmy *Egzorcysta* i *Rytuał*, ale to było Hollywood. Miałam trudności z ogarnięciem wizji, że w Ameryce epoki Doliny Krzemowej oraz Twittera obecny jest

Lucyfer.

Zanim Morris odpowiedział, upił łyk herbaty, być może sporządzając w głowie stosowną listę.

– Do oznak opętania przez demony zalicza się między innymi nadprzyrodzone zdolności i siłę u człowieka opętanego, mówienie w obcych językach, zwłaszcza starożytnych, których dana osoba nie może znać, posiadanie wiedzy o sprawach ukrytych i dziejących się daleko, w którą opętany nie miałby szans być wtajemniczony, awersję do przedmiotów świętych, potok bluźnierstw, świętokradztwo.

Mogłam się tylko na niego gapić.

– Zasadniczo przedmiot opętania zachowuje wolną wolę, natomiast diabeł przejmuje fizyczną kontrolę nad jego ciałem. Rytuał obejmuje modlitwy, wezwania oraz błogosławieństwa, które...

– Kto może przeprowadzać egzorcyzmy?

– Teoretycznie każdy.

– Teoretycznie?

– Tak. Ale Kościół dostrzega niebezpieczeństwo zawarte w egzorcyzmach odprawianych przez osoby nieprzeszkolone. Oraz potencjalne pole dla szarlatanerii. Dlatego rytuał powinien przeprowadzić tylko specjalnie wyświęcony kapłan. I tylko za wyraźnym pozwoleniem biskupa. Nie zrozum mnie źle, Tempe. Do egzorcyzmów dochodzi niezwykle rzadko, jedynie po drobiazgowych badaniach medycznych i psychiatrycznych.

– Granger Hoke jest takim specjalnie wyświęconym księdzem?

– Był.

– Świetnie. Więc w czym problem?

Morris uniósł kubek do ust, ale opuścił go, nie pijąc.

– Niegdyś egzorcyzmowanie stanowiło jedno z zadań kapłanów. Nie mogli go wykonywać diakoni, ale wyświęceni księża już tak. Obecnie egzorcystów szkoli niewiele seminariów, dlatego dziś każdy kapłan może odprawiać egzorcyzmy. Jednak tak naprawdę uprawnieni do tego są tylko ci wyznaczeni przez biskupa albo arcybiskupa, z błogosławieństwem Kościoła.

– Oficjalni egzorcyci.

– Tak.

– Ilu ich jest?

– Zwykle jeden na diecezję lub archidiecezję.

– A Hoke nie należał do tych upoważnionych. – Już rozumiałam, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Nie.

– Mimo to nadal zajmował się egzorcyzmowaniem.

– Mimo reprimend i nakazów zaniechania praktyk. Jednakże nie chodziło wyłącznie o egzorcyzmy, których nie miał prawa wykonywać. Hoke'a przeniesiono w końcu ze Środkowego Zachodu do Karoliny Północnej. W połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy był proboszczem małej parafii w okręgu Watauga, zaczął odchodzić od tradycyjnej nauki Kościoła, przesuwając się ku pozycjom fundamentalistycznym, doktrynie zielonoświątkowców.

Morris pokiwał głową i spojrzał w dół na swój kubek.

– Wiedziałaś, że egzorcyzmy odprawiają również charyzmatycy, zielonoświątkowcy i członkowie wielu innych wyznań chrześcijańskich? Czytałem niedawno, że – ostrożnie licząc – aktualnie działa co najmniej pięciuset, sześciuset duchownych ewangelickich, którzy je przeprowadzają. Prawdopodobnie jest ich jeszcze więcej.

– Hoke zaczął nauczać głównie o ogniu piekielnym.

– Owszem.

– I dlatego go wyrzucono.

– Suspendowano. Potem zniknął na jakiś czas, aby pojawić się w okręgu Avery, gdzie założył Kościół Uświęceniowy Jezusa Pana. Mimo zakazów wciąż posługuje się tytułem księdza, nosi sutannę i koloratkę, odprawia msze, udziela sakramentów i naucza swej własnej, zniekształconej wersji katolicyzmu.

– W której głównej rolę odgrywa szatan.

– Tak.

Gdzieś w oddali, poza ciszą gabinetu, zamknęły się jakieś drzwi.

– Czy egzorcyzmy są legalne?

– O ile poddana im osoba zgadza się na nie z własnej woli.

– Zatem Kościół nie ma sposobów, żeby powstrzymać takich łajdaków jak Hoke.

– Niestety nie.

– Coś jeszcze?

Minęła sekunda. Kiedy Morris odpowiedział, w jego głosie pobrzmiwał ten sam czujny ton, który słyszałam wcześniej przez telefon.

– Nie.

Dzięki owemu krótkiemu wahaniu wiedziałam, że kłamie. Albo przynajmniej zataja prawdę.

– Dziękuję księdzu. – Wstałam.

Morris odprowadził mnie do drzwi. Powiedział:

– Niech Bóg będzie z tobą. – Zamierzał mnie pobłogosławić, lecz się uchylłam.

– Pamiętaj, co mówiłem o księżach, którzy mają zasady moralne, Tempe. Wierzę, że tacy są. I wierzę w Kościół.

Nie odpowiedziałam, wiedząc, że zdradziłby mnie mój głos, zdradziłby podejrzenia co do jego szczerości. Ruszyłam po schodach w dół.

– Tempe.

Odwróciłam się.

– Bądź ostrożna.

Zostawiłam go skąpanego w świetle lampy, na tle wyhaftowanej, zasłoniętej szatą kobiety z aureolą.

Po powrocie do domu skoczyłam do lodówki, zrobiłam sobie kanapkę z szynką i salami, popiłam dietetyczną colą. Mój umysł buzował od przerażającego nowego rozwiązania zagadki. Mimo wszystko miało ono luki.

Lekko podenerwowana włączyłam swojego maca, żądna dokopać się do wszelkich możliwych informacji na temat Grangera Hoke'a. Wsunąć w odpowiednie miejsca brakujące elementy puzzli.

Nie znalazłam niczego.

Ale dowiedziałam się bardzo wielu rzeczy o egzorcyzmach.

Kilka godzin później opadłam plecami na fotel. Pokój wokół mnie pociemniał. Chleb i zimna wędlina zmieniły się w moim żołądku w twarde kamień.

Znałam tożsamość ofiar. Prawdopodobną przyczynę śmierci. Znaczenie materiału dowodowego.

Czułam niewytłumaczalną przemożną chęć porozmawiania z Ryanem. Więcej niż przemożną chęć. Wręcz potrzebę.

Zapaliłam lampę i przeniosłam się na kanapę. Wybrałam numer.

Ryan odebrał, ale brzmiał – no cóż – nijako. Odpowiednio zmotywowany, ten facet jest mistrzem w skrywaniu uczuć.

– Hej – powiedziałam ja.

– Hej – powiedział on.



- Dostałeś mojego mejla?
- No. – Powiedziane aż nazbyt obojętnie.
- Ale rozumiesz, że musiałam to odwołać?
- W takim paskudnym zawodzie pracujemy. – W jego przyciszonym głosie udało mi się wychwycić pewien niuans.
- Prowadzisz teraz jakąś sprawę? – Wolałam uniknąć wkraczania na grząski grunt.
- Zabójstwo. Niedaleko Saint-Amable znaleziono farmera, leżał we własnej stodole, twarzą w dół. Jean-Guy Lessard.
- Wszystko dobrze?
- Nie dla faceta, który leży w trumnie.
- Jak to było? – Raczej mnie to nie interesowało. Chciałam jak najszybciej opowiedzieć o swoich problemach.
- Lessardowi zrobiło się żal chłopaka sąsiadów, zatrudnił go do drobnych prac gospodarczych, co miało stanowić wymówkę dla przekazywania mu pieniędzy. – Usłyszałam płomień zapalki, miękki syk, wypuszczenie powietrza. – We wtorek Lessard pojechał do miasta, więc chłopak postanowił sprawdzić sejf. Lessard wrócił wcześniej i zaskoczył tamtego. Młody wpadł w panikę i włożył Lessardowi trzy kulki w klatkę piersiową.
- Każdy dobry uczynek będzie kiedyś ukarany.
- Właśnie.
- To już rozwiązane, Ryan. Wykonałeś swoją robotę.
- Otwierajmy szampana. – Teraz się już nie maskował. Brzmiał jak człowiek na krawędzi, do cna zmęczony. – Ten biedny głupek zostawił żonę, trójkę dzieci i pieprzone cztery hektary.
- Przykro mi.
- „Przykro” w niczym tu nie pomoże. Jesteś w domu?

- Tak. A ty?
- No. – Ryan znów głęboko zaciągnął się papierosem.
- Robiłam wszystko nie tak, jak trzeba – powiedziałam.

Minęła chwila. Potem zapytał:

- W sprawie Teague’ów?
- Tak.
- Sądysz, że ta mała żyje?
- Sądzę, że nie żyje. Nie żyje również Mason Gulley.
- Słucham.

Opowiedziałam mu o swoich rozmowach z Susan Grace Gulley i z Katalin Brice. O głowie Masona Gulleya w betonie. O raporcie dotyczącym materiału dowodowego od Denvera.

- Co to jest kwas bosweliowy, u diabła?
- Substancja pozyskiwana z żywicy drzew z rodziny osoczynowatych.

Większość pochodzi z Półwyspu Arabskiego, z Somalii i Indii.

- Po co?
- To składnik całej gamy produktów medycznych, stosowany również w aromaterapii. A także jako komponent kadzidła.

– Mędrcy niosący dary.

– Myślę, że to byli trzej królowie, ale tak. – Birdie wskoczył na kanapę. Przerwałam, pozwalając mu skulić się koło mnie. Może chodziło mi również o melodramatyczny efekt. – Kadzidło i oliwa z oliwek są powszechnie używane do przeprowadzania egzorcyzmów.

- Egzorcyzmów?
- Tak.
- Znaczą wymioty, lewitacja i głowy kręcące się wokół własnej osi?
- To filmowe bzdury.

– Do czego zmierzasz?

– Miliony ludzi ciągle wierzą w złe duchy.

Nieznaczna pauza.

– Mówisz o Hoke’u i jego wariackiej brygadzie świętości?

Przekazałam Ryanowi skondensowaną wersję tego, czego dowiedziałam się od Morrisa. Egzorcyzmy przeprowadzane bez upoważnienia. Przesunięcie w kierunku teologii piekła. Suspendowanie.

– Zaczekaj. Cofnij się trochę. O czym ty właściwie mówisz?

– Babcia Masona określiła go jako nienormalnego. Ojciec Cory nazywał dziewczynę dziwką. Oboje zaginęli. Ślady wskazują, że Mason był poddany egzorcyzmom.

– Pozwól, że ujmę to wprost. Sugerujesz, że ksiądz zabił Corę Teague, poćwiartował ją, a fragmenty zwłok zrzucił z punktów widokowych otaczających Brązową Górę?

– Były ksiądz. I nie twierdzę, że to był Hoke.

– A kto?

– Nie wiem.

– I ten nieznany sprawca zabił Masona Gulleya po wykonaniu albo w czasie egzorcyzmów, odciął mu głowę, upchnął ją w betonie, a potem zrzucił części ciała z tych samych punktów widokowych? – Sceptycyzm Ryana był gęsty jak grochówka.

– Mógłbyś być nieco bardziej łaskawy?

– Przekonaj mnie.

– Sam pomyśl. Jego własna babcia mówiła, że to zło, które stało się ciałem.

– Co zarzucała chłopakowi?

– Jej zdaniem nie wyglądał ani nie zachowywał się tak, jak przystało na

normalnego chłopca. Może nie chodziło tylko o zespół NJF. Może Mason był gejem.

– W takim razie dlaczego uciekł z Corą Teague? – Znów ten ton.

– Po prostu myślę na głos, Ryan.

– A Teague?

– Ramsey i ja rozmawialiśmy z lekarzem Cory, bufonem, który nie aktualizował swojej wiedzy od epoki brązu. Leczył Corę na epilepsję.

– Sugerujesz więc, że Gulleya zabito, ponieważ posiadał brzydkie paznokcie i paskudne zęby, a Teague zginęła, bo miała napady padaczkowe?

– O ile w ogóle je miała. Myślę, że problemy Cory były natury psychicznej.

– Mów dalej.

Opowiedziałam mu o Riverze Brisie, Elim Teague'u oraz o szczeniaku.

– No, no. Czyli twoim zdaniem ta mała wykazuje mordercze skłonności?

– Moim zdaniem wokół niej działo się mnóstwo fatalnych rzeczy.

Odczekałam kolejną chwilę na papierosa. Palenie oznaczało, że Ryan jest zestresowany. Ogromnie żałowałam impulsu, by się z nim podzielić tą sprawą.

– Widzę to tak. Nie udało ci się zidentyfikować na sto procent żadnych szczątków z okolic Brązowej Góry. Nie masz DNA. Domyślam się, że Larabee nie podpisze aktu zgonu Gulleya tylko na podstawie kawałka cementu i dziwacznych końców palców.

– Zgadza się.

– Nie masz także znanej z nazwiska ofiary, zasadniczego miejsca zbrodni, broni, motywu, świadków ani głównego podejrzanego. Nie wiesz na pewno, czy Cora Teague nie żyje. A nawet czy w ogóle zaginęła. Jej stan psychiczny to wyłącznie spekulacja.

Moja twarz paliła, jakby przykładano do niej rozgrzane żelazo. Ryan miał rację. Wszystko to były tylko przypuszczenia.

Milczałam.

Ryan znów zaciągnął się głęboko, a potem spytał:

– Jak do tego pasuje Hazel Strike?

– Sama nie wiem. Strike dzwoniła do mnie trzy razy w sobotę. Może coś odkryła i powiedziała o tym niewłaściwej osobie.

Ponieważ ją zignorowałam. Znów to poczucie winy.

– Hoke'owi? – rzucił Ryan.

– Nigdy nie mówiłam, że zabójcą jest Hoke! – warknęłam tak ostro, że Birdie zerwał się na równe nogi.

– *Tabernac*. Tylko nie urwij mi głowy.

– Przepraszam.

– Omawiałaś to ze Slidellem? Nic mi nie wspominał.

– Gadałeś z Chudym?

– Kilka razy.

– Dlaczego?

– Chciałem poznać jego zdanie w pewnej kwestii. Przeszkadza ci to?

Diabelnie mi przeszkadzało.

– Porozmawiajmy o czymś innym – zaproponowałam.

Usłyszałam, jak Ryan przekłada telefon do drugiego ucha.

– Jaka tam u was pogoda?

– Drzewa kwitną. Jest wiosna.

– Tutaj pada śnieg. – Wciągnął sporą porcję powietrza. – Rzeka ciągle zamarznięta.

– Trzymaj się ciepło.

– Rozpaliłem w kominku.

Melancholia w głosie Ryana sprawiła, że w mojej głowie rozbłysło milion obrazów. Jego twarz, którą znałam na pamięć, blizna na brwi od rowerowej butelki termicznej. Małe zielonkawe plamki w nazbyt błękitnych oczach.

Widziałam każdy szczegół mieszkania, w którym teraz siedział. W którym sama przebywałam tyle razy. Kamienny kominek. Ośnieżona rzeka, ciągnąca się za szeroką ścianą ze szkła. Skórzana sofa, podrapana pazurami Birdiego, który tarzał się na niej, wzbudzając moje zawstydzenie.

Poczucie winy i złość przekształciły się w nagły ból. Pustkę wzywającą, by ją wypełnić.

– Wpadnij do mnie z wizytą – powiedziałam miękko.

– Chętnie.

– Niedługo?

Minęła chwila. Ryan westchnął.

– Nie chciałem cię do niczego zmuszać.

– Bawisz się w adwokata diabła?

– Ciekawa gra słów.

– No właśnie.

Uśmiechnęłam się. Zastanawiając, czy Ryan również się uśmiecha, tysiąc pięćset kilometrów na północ ode mnie.

Chwila ta, jeśli w ogóle była realna, szybko przeminęła.

– Wyłóż swoje koncepcje Slidellowi. Przekonaj się, co myśli.

– To Chudy myśli?

– Dobry z niego glina.

Zasypiałam, rozmyślając o nowo narodzonym uznaniu Ryana dla „Chudego” Slidella.

## Rozdział 29

Obudziłam się podenerwowana i nie w sosie, jak gdyby skóra stała się niezbyt ciasna dla mego ciała. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę żółwie tempo śledztwa. Tudzież znakomity stan, w jakim znajdowało się moje życie osobiste.

Padało jak diabli, co wykluczało poranny jogging. A czułam się zbyt przybita, żeby się przebrać i jechać na siłownię.

Po bajglu i kawie, w workowatych spodniach od dresu i kapciach króliczkach, rozsiadłam się za stołem w jadalni, zdeterminowana nie ruszyć się z miejsca, dopóki nie przejrzę każdego przekłętego paragonu w pudełku. A przynajmniej nie pozbędę się naciskającego mnie Allana Finka.

O szesnastej byłam już bliska uznania, że chyba lepiej machnąć ręką i zaryzykować kontrolę skarbową, niż przebijać się przez to piekło papierkowej roboty, w którym utknęłam. Rozszyfrowywałam właśnie jakiś nieczytelny rachunek z restauracji, o której nigdy nie słyszałam, gdy ktoś gwałtownie zastukał w tylne drzwi. Uradowana z okazji do ucieczki, pospieszyłam w stronę kuchni.

I zamarłam, zanim zdążyłam minąć wahadłowe drzwi.

Przez okno ujrzałam jakąś postać stojącą na podeście za domem. Wysoką. Męską. Ubraną w spodnie i w sfatygowaną, brązową skórzaną kurtkę.

Żołądek związał mi się w supel. Wciąż czułam się niezbyt dobrze, a nawet gorzej niż wcześniej, ze względu na dodatkową atrakcję, jaką były przemęczone oczy. Ostatnie, czego teraz potrzebowałam, to uraza i konfrontacja.

Lecz oprócz złych przeczuć, które gwałtownie rosły mi w piersi, było coś jeszcze. Coś, co unosiło się we mnie łagodnie i miękko, niczym motyl na listku.

Poszłam otworzyć drzwi.

– Niespodzianka, niespodzianka! – Trochę nazbyt to było radosne.

Ryan wyciągnął zza pleców bukiet i podał mi go.

– Oferta specjalna z supermarketu. Najlepsze, co mógł załatwić mój taksówkarz.

– Dziękuję. – Przyjęłam kwiaty. – Są urocze.

– Ty jesteś urocza.

– Akurat.

Przez całą znajomość z Ryanem doświadczałam tej jego zadziwiającej umiejętności zjawiania się wówczas, gdy wyglądałam najgorzej. Świadoma swoich spodni od dresu, niechlujnych włosów oraz braku makijażu, cofnęłam się o krok.

Ryan wszedł do kuchni. Pocałowaliśmy się. Gestem wskazałam mu stół. Zdjął kurtkę i usiadł. Zauważyłam, że ma ze sobą tylko bardzo mały worek marynarski.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – powiedziałam.

– No. Przyleciałem samolotem o świtaniu. To lepsze niż przesiadki.

Wyglądał na zmęczonego. Zastanawiałam się, gdzie przebywał od lądowania późnym porankiem.

– Chcesz piwo? Coś innego?

Ryan potrząsnął głową.

– Bardzo tajna akcja – powiedziałam. – Nie zdradziłeś się słowem, kiedy rozmawialiśmy wczoraj wieczór.

– Wczoraj wieczór jeszcze nie wiedziałem. Mam nadzieję, że nie



przeszkadza ci mój impuls.

– Oczywiście, że nie. – W rzeczywistości do „oczywiście, że nie” było daleko. Choć jego starania mnie uszczęśliwiały, czułam się... Jak? W zasadzce? Pod naciskiem? Zdecydowanie pod naciskiem.

Poszłam do spiżarni z kwiatową kompozycją w ręku i przyniosłam wazon. Odkręciłam kran. Napełniłam wazon wodą.

– Pomyślałam, że może lepiej będzie pogadać twarzą w twarz. – Ryan odezwał się do moich pleców.

Zaczęłam konstruować w myślach nonszalancką ripostę. To u mnie normalna reakcja, gdy czuję niepokój. Ostatecznie jednak skupiłam się na odwijaniu kwiatów z opakowania.

Ryan z miejsca przeszedł do ataku.

– Napisałem do ciebie list, Tempe. Staroświecki w stylu, epistołę sporządzoną czarnym tuszem na białym papierze, która miała dotrzeć do ciebie opatrzona znaczkami pocztowymi drogą lotniczą, zroszona ludzkim potem.

Kontynuowałam rozplątywanie i układanie bukietu.

– Podarłem go. To były tylko słowa na papierze. Raczej mało dobitne.

– Nie umniejszaj własnej wartości, Ryan. Pisziesz znakomicie.

Usłyszałam, że bierze oddech, jak gdyby chciał mówić dalej. Po chwili wypuścił powietrze, krzesło zaskrzypiało miękko.

Odwrociłam się twarzą do niego.

Ryan spoglądał na mnie, te zdumiewające niebieskie oczy były wlepione we mnie.

– Przepraszam, Tempe. Przepraszam za wszystko. Za to, że próbowałem zrobić z ciebie taką, jaką ja chciałbym cię widzieć. Że nie dorastam do twojego wyobrażenia o mnie. Za to, że kocham rzeczy i miejsca, które nas

rozdzielają. Że za pierwszym razem cię zostawiłem. Że uciekłem, kiedy umarła Lily.

– Ryan... – Serce mnie bolało, biło trochę szybciej.

– Kocham cię, Tempe. Przyjechałem ci to powiedzieć. Tylko to. I obiecać, że nigdy więcej cię nie skrzywdzę.

Otworzyłam usta do odpowiedzi. Nie umiałam znaleźć żadnych słów. Na babcinym zegarze stojącym na kominku tykały sekundy.

– Nic nie powiesz? – W tonie Ryana nie było najmniejszego zniecierpliwienia.

– Czekam na tę część, która zaczyna się od „ale”.

– Nie ma żadnego „ale”. Kocham cię.

– Czy to znaczy, że zostaniesz na kolację? – Pożałowałam tego żartu natychmiast, gdy tylko go wypowiedziałam.

Głowa Ryana opadła i wisiała tak przez chwilę. Kiedy ją podniósł, obrzucił mnie spojrzeniem, w którym był uparty, niewzruszony spokój. I coś więcej. Współczucie. Łagodność. Wyrzuty sumienia?

– Wiem, że Pete cię zranił. Nie jestem Pete'em. I wiem, że ja też cię dotknąłem. Tego nie mogę zmienić. Ale *ja sam* się zmieniłem.

Zaczęłam formułować odpowiedź. Uniósł rękę, żeby mnie powstrzymać.

– Masz swoje zobowiązania. Katy. Twoja matka. Twoja praca. Obowiązki, które wiążą cię z tym miastem tam samo mocno, jak moje trzymają mnie w Quebecu. Ale możemy coś z tym zrobić.

Przełknęłam ślinę, nie ufając swojemu głosowi.

– Nigdy cię nie zdradzę, Tempe.

Poczułam się tak, jakby do mojego krwiobiegu wstrzyknięto ciekły azot. Już słyszałam takie obietnice. Dokładnie takie samo oświadczenie.

Ryan musiał odczytać to z wyrazu mojej twarzy. Wstał i złapał za swój

marynarski worek.

– Poczekaj – powiedziałam miękko.

Począł. Lecz w moim systemie nerwowym ścierały się ze sobą różne emocje. Mijały sekundy. Pełna minuta. Z mych ust nie wybiegł żaden dźwięk.

– W porządku, Tempe.

– Nie. Nie jest w porządku. Masz rację. Paraliżuje mnie niezdolność podjęcia decyzji. To dziecinne i samolubne, nie fair w stosunku do ciebie.

– Rozumiem.

– Naprawdę? Bo ja nie. – Nagle słowa zaczęły się ze mnie wylewać, opadając szaloną kaskadą jak woda żłobiąca górski wąwóz. – Wiem, że cię kocham. Że kiedy jesteś ze mną, czuję się najszczęśliwsza. Nie dlatego, że kupujesz mi kwiaty albo mnie rozśmieszasz. Ani że podzielasz moją miłość do Giacomettiego i do *Autostopem przez Galaktykę*. Nie tylko cię kocham, ale też lubię. Podziwiam cię i szanuję. I w większości sytuacji ty szanujesz mnie.

– Większości? – Zaskoczony.

– Przypominam sobie momenty, gdy znajdowałam się w tarapatach, a Ryan przybywał jak rycerz na białym koniu, żeby mnie uratować. Twój impuls, aby tu przyjechać bez mojej wiedzy, przeraził mnie jak wszyscy diabli, Ryan. Zaczynam się zastanawiać, czy ty naprawdę uważasz mnie za osobę sprawną i samodzielą.

– Miałaś na myśli moje interwencje, gdy jakiś łajdak już miał cię zastrzelić?

– To tylko przykład – odparłam defensywnie.

– Nie chcę cię ranić.

– Ja też nie chcę być raniona. Ale twoja nadopiekuńczość sugeruje, że

sama nie potrafię o siebie zadbać. Że nie radzę sobie w trudnych sytuacjach. Kocham cię, Ryan. Mimo to potrzebuję autonomii. Muszę wiedzieć, że mogę polegać na *sobie*.

– To wszystko? Żadnych więcej rycerzy przychodzących z ratunkiem?

– To tylko fragment wszystkiego. – Jezu! A co zostało jeszcze? Zastanawiałam się przez chwilę. Potem powiedziałam: – Gdyby Katy stało się coś złego, wiem, że zwróciłabym się do tych, których kocham. Do mamy, do Harry, może do ciebie. – Czułam, że policzki mi płoną, ale nie było już odwrotu. – Gdy zmarła Lily, odrzuciłeś mnie jak zeszlotygodniowy worek ze śmieciami.

Ryan zaczął mi przerywać. Nie dopuściłam do tego.

– Nie potrzebuję cię w moim życiu, Ryan. Już raz nauczyłam się żyć bez ciebie. Dwa razy. Nie podobało mi się to, ale przetrwałam. – Szybki, krótki oddech. – Nie potrzebuję opieki. Nie potrzebuję ochroniarza. Potrzebuję kogoś, kto będzie przy mnie zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym. Kiedy życie jest dobre i kiedy staje się trudne.

– A ty wątpisz w moją zdolność do spełnienia tej roli? – zapytał obojętnym tonem.

– Sama już nie wiem, co myślę, Ryan. – Cofnęłam się i wbiłam wzrok w futrzane króliczki na swoich stopach.

Zapadła między nami bardzo długa, bardzo ciężka cisza. Nikt się nie poruszył. Tykał zegar.

Po czasie, który wydawał się całym życiem, podniosłam oczy. Smutek na twarzy Ryana niemal złamał mi serce.

– Zostaniesz na noc? – spytałam głosem tylko trochę głośniejszym od szeptu.

Coś mignęło w chmurnych niebieskich źrenicach i zniknęło, zanim

zdołałam odgadnąć jego znaczenie. Dwa kolejne tyknięcia babcinego zegara. Trzy. Cztery. Potem usta Ryana wygięły się w niespodziewanym uśmiechu.

– Ja wygłosiłem swoją poruszającą i przekonującą mowę. Ty odpowiedziałaś z równą elokwencją. – Rzucił to z lekkością, która była w sposób oczywisty wymuszona. – Najlepiej chyba będzie, jak już sobie pójdę.

– Nie chciałam, żeby to tak wyglądało.

– Ja też nie. – Jego brwi wykonały kilka podskoków w stylu Groucho Marxa.

– W takim razie...

Ryan zbliżył się i pocałował mnie w policzek. Zatknął niesforny kosmyk włosów za moje ucho.

– Musisz pozostać samodzielna.

– Dokąd pojedziesz? – zapytałam.

– Do domu.

Kiwnęłam głową, czując napierające mocno łyzy.

*Chryste Panie i wszyscy święci! Tylko nie płacz! Nie waż się płakać!*

Biorąc moją brodę w dłonie, Ryan uniósł mi twarz tak, by nasze oczy się spotkały.

– Różnimy się pod wieloma względami, Tempe. Ale te różnice się uzupełniają. Razem byliśmy lepsi, silniejsi. To coś więcej niż tylko suma ciebie i mnie. Naprawdę w to wierzę.

Gorąco pragnęłam go objąć i przycisnąć policzek do jego piersi. Lecz w ramionach Ryana była teraz jakaś sztywność, a na wargach widoczne napięcie. Nie poruszyłam się.

Usłyszałam za sobą kroki przecinające pomieszczenie. W głowie tłukły mi się słowa symbole. *Samodzielna*. I czas przeszły, którym się posłużył.

*Byliśmy. Byliśmy.*

Drzwi się otworzyły i miękko zamknęły.

Stałam sparaliżowana, z wirującymi myślami, z ogniem płonącym w piersiach.

Pewna, że odrzuciłam właśnie prawdziwą szansę na szczęście.

Niepewna dlaczego.

## Rozdział 30

W sobotnią noc

Tańczyć będę rock and rolla tak, jak mi życie zagra<sup>10</sup>.

Po solidnym płaczu, a potem kolacji doszłam do wniosku, że spokój odzyskam tylko, rozwiązując sprawę Cory Teague. Uznałam również, że podobnie jak ja, Slidell nie prowadzi życia towarzyskiego. A nawet jeśli, chrzanić to.

Poszłam do gabinetu i zadzwoniłam do Chudego, zgodnie z sugestią Ryana. Slidell słuchał, przerywając mi minimalnie rzadko pozbawionymi dobrego smaku komentarzami.

Kiedy skończyłam, powiedział:

– No dobra, jest tylko jeden problem, doktorko. Egzorcyści chcą skopać dupę szatanowi. Nie chcą nikogo zabijać.

– Owszem, ich celem nie jest zabijanie. Ale sam rytuał bywa śmiertelnie niebezpieczny.

Przełączyłam Slidella na głośnik i skorzystałam z notatek zrobionych podczas poszukiwań w sieci. Czytając na głos, łączyłam je w całość.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku dwudziestopięcioletnia Koreanka z Emeryville w Kalifornii zwróciła się o pomoc do niejakiego Jeana Parka, twórcy Jesus-Amen Ministries. Kobieta nie mogła spać, leki nie działały, Park uznał więc, że jest opętana przez demony. Podczas trwających sześć godzin egzorcyzmów uderzono ją aż sto razy, powodując liczne złamania żeber i urazy wewnętrzne. Po śmierci ofiary członkowie tego zgromadzenia religijnego siedzieli obok ciała przez pięć dni, ponieważ Park powiedział im, że kobieta obudzi się wyleczona.

Gdzieś w tle usłyszałam damski głos.

– Zaczekaj – rzucił Slidell.

Dźwięki w telefonie stały się przytłumione. Slidell wrócił po paru chwilach.

– Słuchaj, muszę zaraz...

Kontynuowałam przekaz, streszczając się jeszcze bardziej.

– Rok dziewięćdziesiąty siódmy, Bronx. Pięcioletnia dziewczynka zostaje związana i zmuszona do wypicia koktajlu z amoniaku, octu, pieprzu i oliwy z oliwek, po czym jej usta zakleja się taśmą. Gdy dziecko umiera, babcia i matka owijają jego ciało w folię i wynoszą na śmietnik. Ich dowód na opętanie przez demony? Dziecko miało napady złości. Rok dziewięćdziesiąty ósmy, Sayville w stanie Nowy Jork. Siedemnastomiesięczna dziewczynka zostaje uduszona torbą foliową, ponieważ jej matka próbowała zniszczyć zamieszkującego w dziecku demona. Rok dwa tysiące ósmy, Henderson w Teksasie. Trzynastomiesięczna dziewczynka otrzymuje ponad dwadzieścia ciosów, ginie od uderzeń młotkiem. Matka i jej partner uważali, że niemowlę opętał szatan.

– To nie to samo. Te przypadki spowodowane są przez rąbniętych rodziców...

– Zwalczających demony w imię Boże. – Nie dałam sobie przerwać. – Rok dwa tysiące jedenasty, Floyd w stanie Wirginia. Pewien mężczyzna wraz ze współbraćmi ze wspólnoty kościelnej uznał, że jego dwuletnią córeczkę opętały złe duchy. Dziecko znaleziono martwe w łóżku obłożonym egzemplarzami Biblii. obrażenia to między innymi złamania kości żeber, otarcia, stłuczenie płuc i krwotok. Bezpośrednią przyczyną śmierci było zaduszenie rękoma. Rok dwa tysiące czternasty, Germantown w stanie Maryland. Matka działająca razem ze współniczką atakuje nożem czworo



własnych dzieci i zabija dwoje, przekonana, że przez ciała maluchów nieustannie przechodzą złe duchy. Kobiety przedstawiły się później jako członkinie grupy zwanej Zabójcami Demonów.

– Brzmi jak nazwa jakiejś kapeli deathmetalowej.

– To zaledwie kilka przykładów. – Byłam zaskoczona, że Slidell zna ten gatunek muzyki. – W mediach są jeszcze dziesiątki innych historii o niebezpiecznych egzorcyzmach. Całe strony internetowe poświęcone tej tematyce.

– Ale rozmawiamy tu o amatorach, tak? Przecież księża są szkoleni po to, żeby sprawy nie wymknęły się spod kontroli.

– Pozwól, że podzielę się z tobą kilkoma faktami, detektywie. W trakcie przeprowadzania egzorcyzmu „opętanego” – cudzysłów w powietrzu był bez sensu, skoro Slidell nie mógł mnie widzieć – często się wiąże. Unieruchamia. Opasuje. Zakłada mu się kaftan bezpieczeństwa. Wielu egzorcystów, księży, ale nie tylko, uważa ten rytuał nie za modlitwę, lecz konfrontację.

– Czyli że *padre* odczynia jakieś hokus-pokus i każe demonowi brać dupę w troki. Tylko że Kościół mówi mu, jak to się robi.

– Ksiądz *powinien* przestrzegać procedur postępowania zatwierdzonych przez Watykan. Ale wiesz co? Wielu improwizuje. Zastanów się teraz. Jeśli egzorcyzm raz się zacznie, musi zostać dokończony, choćby nie wiem jak długo miał trwać. Godziny, dni, tygodnie...

– Nie ma zabawy, nie ma zapłaty?

– ...ponieważ gdyby egzorcysta zrezygnował, demon ścigałby jego.

– No, to jest motywacja. Ale co to ma wspólnego ze Strike?

– Ma wiele wspólnego z Corą Teague. Teague była epileptyczką. Myślę, że zmarła w trakcie egzorcyzmu. Tak samo jak Mason Gulley, który cierpiał na zaburzenie genetyczne uwidaczniające się w wyglądzie.

Znów odezwał się kobiecy głos, tym razem bardziej natarczywy.

– Już idę! – warknął Slidell, jak zakładałam, do Verlene, nie trując się zakrywaniem słuchawki ręką.

– Pamiętasz ten dyktafon na łańcuszku? – naciskałam.

– Ten, którego nie udało ci się pozyskać?

– Trzy głosy. Dwóch mężczyzn i dziewczyna. Może Cora potajemnie nagrała swój własny egzorcyzm.

– Po co?

– Żeby szantażować tych, którzy byli za to odpowiedzialni? Dać nagranie do mediów? Ponieważ bała się jak wszyscy diabli, że te dupki ją zabiją? Jakie to ma teraz znaczenie?

– Pytam tylko po to, żeby usłyszeć pełną argumentację. Kto jest na tej taśmie oprócz niej?

Sama zadawałam sobie to pytanie.

– Być może Hoke i ojciec Cory albo jakiś inny członek zgromadzenia. Może specjalista, którego sprowadzili z zewnątrz.

– Mówisz o tych porąbańcach tak, jakby należeli do Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego.

– Bo naprawdę istnieją tego rodzaju organizacje zawodowe. Amerykańskie Stowarzyszenie Egzorcystów. Międzynarodowe Katolickie Stowarzyszenie Egzorcystów. Międzynarodowe Stowarzyszenie Egzorcystów. Nawiasem mówiąc, uznane przez Watykan w dwa tysiące cztertnastym roku.

– Tylko nie zrozum mnie opacznie, że się z tobą zgadzam. Jeśli nawet masz rację, ja nie zajmuję się ani Teague, ani Gulleyem.

Opacznie – wyrafinowane słownictwo jak na Chudego.

– Strike prowadziła dochodzenie w sprawie Teague. – Mówiłam

z przesadną cierpliwością. – Strike miała breloczek z dyktafonem. Strike pojechała do Avery. Strike została zamordowana. Jej śmierć musi mieć z nimi jakiś związek.

Slidell zastanawiał się nad tym. Albo przynajmniej powstrzymywał od komentarza. Przez chwilę. Potem powiedział:

– W żadnym z kartonów należących do Strike nie było wzmianki o Teague.

– A o Masonie Gulleyu? – zapytałam.

– *Nada.*

– Co jest w tych aktach?

– Różne gówna na temat działań Strike jako detektywa amatora. Kazałem moim ludziom dokładnie posprawdzać nazwiska.

– Jak długo...

– I kolejna ważna wiadomość. Wendell Clyde ma solidne alibi.

– Spędził z tym blogerem cały weekend.

– Z Aslanianem. No tak. Jestem pewny, że lada chwila ogłoszą swoje zaręczyny. Słuchaj, muszę teraz coś załatwić.

– Sprawdzisz przeszłość Grangera Hoke'a? Zobaczysz, co wyskoczy?

– Ta przyjemność powinna przypaść w udziale zastępcy szeryfa, Panu Detektywowi.

– Jestem pewna, że w przeszłości Hoke'a jest coś, co ksiądz Morris przede mną ukrył.

– Idź z tym do swojego zastępcy szeryfa.

– Dobra – rzekłam tonem zblazowanym jak wszyscy diabli. – Ale będzie ci trochę wstyd.

– O czym ty teraz mówisz, Chryste Panie?

– W sprawie Strike Ramsey wyprzedza cię o całą długość koloratki.

Usłyszałam piknięcie, gdy Slidell się rozłączył.

Obrzuciłam wzrokiem swoją komórkę, jakby to ona, a nie Chudy, stanowiła źródło mojej irytacji. Może faktycznie stanowiła. Bo odnosiło się wrażenie, że wszystko, co ostatnimi dniami robiłam, polegało jedynie na rozmowach przez telefon. Najczęściej z ludźmi kwestionującymi moją zdolność samodzielnego rozumowania.

No i był jeszcze Ryan. O nie. Żadnego myślenia o Ryaniu, dopóki nie rozwiążę tej sprawy. Dopóki. Nie. Daj sobie spokój. Skup się na śledztwie.

Potrzebowałam działania. Zaangażowania się. Nie było jednak nic, co mogłabym zrobić.

Sfrustrowana, zadzwoniłam do Ramseya i opowiedziałam mu o wszystkim, co wydarzyło się od czasu naszej ostatniej rozmowy. Jasno. Treściwie. Bez snucia domysłów. Bez spekulacji, gdzie co pasuje do tych puzzli. Jego odpowiedź mnie zszokowała.

– Przeprowadziłem własne poszukiwania. Hoke zabił dziecko.

– Wszyscy święci!

– No, w pewnym sensie. Śmierć nastąpiła podczas egzorcyzmów.

– Co się stało? – Byłam zbyt nakręcona, żeby docenić dowcip Ramseya.

– Wszystkich szczegółów nigdy nie ujawniono.

– Oczywiście.

– Incydent zdarzył się w Elkhart w stanie Indiana w dziewięćdziesiątym trzecim roku. Hoke pracował tam jako jedyny ksiądz w małej katolickiej parafii pod wezwaniem Świętego Pocieszyciela.

Powstrzymałam się od komentarza na temat ironii kryjącej się w tej nazwie.

– Pewnego wieczoru, podczas spotkania środowego kółka modlitewnego, jedna z matek oświadczyła, że chce poddać egzorcyzmom swoją

dziewięcioletnią córkę. Rytuał został przeprowadzony dwa dni później, w domu tej rodziny. Matka trzymała dziecko za rękę, a Hoke siedział mu na plecach.

– Naciskając na płuca, czym spowodował zaduszenie. – Mój gniew był tak gorzki, że czułam go w gardle.

– Tak.

– Aby wyrzucić mieszkającego w dziewczynce demona.

– Tak. – Usłyszałam, jak Ramsey przełyka ślinę. – Później okazało się, że dziewczynka miała autyzm.

– Jasna cholera. – Po mojej skórze przeszły lodowato-gorące ciarki. Oparłam się plecami w fotelu. Więc o tym nie chciał mi powiedzieć mój dobry księżulo. – Hoke'owi postawiono zarzuty?

– Nie. Przeprowadzono dochodzenie i uznano, że śmierć nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku.

Chrzanić fakty. Rozwinęłam przed Ramseyem swoją teorię dotyczącą Hoke'a i jego pokręconego Kościoła.

– Słuchaj, ten facet jest więcej niż dziwny, ale oskarżenie go o morderstwo byłoby teraz sporą przesadą.

– Hoke udusił dziewięcioletnią dziewczynkę – odparłam ostro.

Zapadła szumiąca cisza. Niemalże słyszałam, jak Ramsey analizuje w myślach te same błędy w moim rozumowaniu, które wcześniej wypunktował Ryan.

Kolejna rewelacja zastępcy szeryfa zdumiała mnie prawie tak samo jak ta pierwsza.

– Niewykluczone, że mamy laptopa Strike.

– Mówisz poważnie?

– Jakiś włóczęga znalazł starego gatewaya, gdy nurkował w kontenerze

na śmieci za delikatesami Dunn's w Banner Elk.

– Powiedziałeś o tym Slidellowi?

– Właśnie miałem zadzwonić do ciebie, a potem do niego.

– Gdzie ten komputer się znajdował przez ostatnie pięć dni?

– Ów wzorowy obywatel zatrzymał go sobie, sądząc, że zarobi parę dolców. Ale bateria zupełnie siadła, a on nie miał jak jej naładować. Ponieważ nie udało mu się znaleźć kupca, postanowił uzyskać za laptop nagrodę. Wezwał nas dwie godziny temu. Komputer właśnie wylądował na komendzie.

– Dlaczego sądzisz, że należał do Strike?

– Na obudowie są inicjały HLCS.

Hazel Lee Cunningham Strike. Przeszyło mnie znajome ukłucie sumienia.

– Możesz się zalogować?

– Szukamy ładowarki.

– Chudy ma teraz wolne, jest ze swoją partnerką. Zadzwon. Niech poczuje się ważny.

Oczywiście nie mogłam zasnąć. W mojej głowie bez przerwy otwierały się prezentacje slajdów jak z PowerPointa. Obrazy. Nagrane głosy, dwa napastliwe, jeden przerażony.

O drugiej poddałam się i zesłam na dół. To stawało się już nawykiem.

Zrobiwszy sobie herbaty, usiadłam przy stole w jadalni. Zapatrzyłam się w znieawidzone pudło, które odpowiedziało mi tym samym.

Ignorując oskarżycielski rozgardiasz nieposegregowanych rachunków, przysunęłam bliżej notatnik i długopis. Na podstawie uwag Ryana sporządziłam kolumny. „Ofiary”. „Przyczyna śmierci”. „Miejsce śmierci”. „Czas śmierci”. „Motywy”. „Podejrzani”. „Narzędzia zbrodni”.

Spojrzałam uważnie na tę pustą listę. Przyniosło to taki sam efekt jak

gapienie się na pudełko.

Podarłam i zmięłam kartkę. Zaczęłam rysować diagram. Punkty węzłowe z nazwiskami i notatkami. Linie łączące poszczególne wierzchołki.

Cora Teague – kończy liceum, idzie do pracy w rodzinie Brice'ów. Umiera River, Cora wraca do domu, znika.

Eli Teague – śmierć w wieku dwunastu lat, lekarz pogotowia ma podejrzenia.

John Teague – posiada stację paliw połączoną ze sklepem. Żarliwy religijnie, wojowniczy.

Fatima Teague – kura domowa, uległa.

Owen Lee Teague – niedoszły agent na rynku nieruchomości, treser psów.

Zdawszy sobie sprawę, że o Fatimie i Owenie Lee wiem bardzo mało, a o pozostałych dzieciach Teague'ów – tyle co nic, na osobnych kartkach zaczęłam sporządzać listę pytań.

Mason Gulley – NJF, znika w tym samym czasie co Cora Teague. Johnson City, stan Tennessee (?), posty jako OMG (?) dotyczące Cory Teague na stronie OPKK.net, znaleziony martwy przy punkcie widokowym na Brązową Górę.

Babcia Gulley – katoliczka, krytykantka. Duża kobieta.

Susan Grace Gulley – podsuwa mi informacje o Masonie, szpieguje Corę podczas pobytu Masona w Johnson City, Tennessee. Nienawidzi Cory. Gniewna, zbuntowana. Duża dziewczyna.

Pod zapiskami na temat Teague'ów umieściłam pytania. Gdzie Mason zatrzymał się w Johnson City? I po co? Dlaczego Susan Grace nie chciała ujawnić powodu wyjazdu Masona do Tennessee?

Hazel Strike – internetowa detektyw amator, przeczytała na

OPKK.net post dotyczący Cory Teague, potem trafiła na mój wpis na NamUs, znalazła dyktafon pod punktem widokowym w okręgu Burke, przedstawiła mi teorię, że niezidentyfikowane szczątki pod sygnaturą ME229-13 to Cora Teague. Zamordowana.

Kolejne pytania. Dlaczego Strike zrobiła sobie przerwę od internetowych poszukiwań? Gdzie została zamordowana? Przez kogo? W jaki sposób jej ciało znalazło się w stawie?

Granger Hoke – suspendowany ksiądz, Kościół Uświęceniowy Jezusa Pana, który oddzielił się od katolicyzmu, egzorcysta, przypadkowa śmierć dziecka podczas odprawiania rytuału.

Joel, Katalin, River i Saffron Brice'owie – rozczarowani byli członkowie Kościoła Uświęceniowego Jezusa Pana. Saffron: złamana ręka. River: śmierć łóżeczkowa.

Terrence O'Tool – internista, epilepsja, nieadekwatna terapia, złoty krzyż, niechętny do współpracy.

Fenton Ogilvie – koroner, alkoholik, zmarł w wyniku upadku do szybu windy.

Studiowałam gęszcz linii i punktów węzłowych. Czułam, że głowa zaczyna mi dymić.

Wydarłam z notatnika czystą kartkę i utworzyłam nową listę, zatytułowaną „Szczątki ludzkie”.

1. Fragmenty kości nogi i stopy znalezione przy punkcie widokowym na Urwisko Zagubionego Wąwozu. Przekazane Marlene Penny z WCU.

2. Część tułowia z okolic platformy widokowej w okręgu Burke. Przekazana mnie. ME229-13.

3. Fragmenty kości i końce palców bez linii papilarnych (Mason



Gulley/NJF?) znalezione podczas drugiego wyjazdu na punkt widokowy w okręgu Burke, razem ze Strike i Ramseyem. ME122-15.

4. Fragmenty kości i forma betonowa (Mason Gulley?) znalezione wspólnie z Ramseyem na szlaku Diabelskiego Ogona, niedaleko Punktu Wisemana. ME135-15.

Ponownie odczytałam wszystkie wpisy. Przygnębiona, rzuciłam długopis na stół. Liczba pytań bez odpowiedzi znacznie przekraczała liczbę faktów. Metoda okazała się równie użyteczna co klaps w tyłek.

Jeszcze jedna próba. „Daty”.

1993: rodzi się Cora Teague.

1996: rodzi się Eli Teague.

2008: umiera Eli Teague.

Wiosna 2011: Cora Teague kończy liceum i podejmuje pracę u rodziny Brice'ów. Umiera River. Cora zostaje odesłana do domu.

Lipiec 2011: Cora Teague i Mason Gulley znikają (Gulley wyjeżdża do Johnson City w stanie Tennessee?).

Sierpień 2011: OMG (Mason Gulley?) zamieszcza posty na stronie OPKK.net dotyczące Cory Teague.

Wrzesień 2011: koniec postów od OMG.

Moja ręka zamarła. Zamknęłam oczy i przywołałam pewien obraz. Rozmowa z odzianym w zielony ornat mężczyzną przeprowadzona w wietrzny dzień.

Przez mój mózg przeszedł impuls o wysokim napięciu.

Wiedziałam już, kiedy i gdzie zabito Masona Gulleya.

## Rozdział 31

Nie spałam do czwartej nad ranem. Na szczęście była niedziela, mogłam więc wyspać się później. Ale powiedzcie to mojemu nakręconemu chwilą przełomu mózgowi.

Zaczekałam do ósmej i zaczęłam dzwonić. Poczta głosowa Ramseya informowała, że do poniedziałku nie będzie z nim kontaktu. Zostawiłam wiadomość, a potem spróbowałam połączyć się z jego telefonem stacjonarnym w wydziale szeryfa. Powiedziano mi to samo. Pozostawiłam tę samą wiadomość.

Slidell. Wiadomość.

Wybiła godzina dziewiąta, a od żadnego z nich nie miałam telefonów zwrotnych. Dziesiąta.

Zajmowałam się właśnie swoim wstrętnym pudełkiem, czytając po raz kolejny te same rachunki, układając je w stosy, wybierając niektóre kwity i kładąc na inne kupki, gdy wreszcie moja komórka świergotliwie obwieściła przychodzące połączenie.

Chwyciłam ją.

– Widziano cię w grocie króla gór.

– Słucham? – Przełączyłam się na tryb analizowania niuansów, niepewna, czy moja matka mówi do mnie szyfrem, czy postradała już rozum.

– Ktoś cię zauważył w Heatherhill w czwartek wieczorem.

– Och.

– Czy spiskowałaś potajemnie z czarnoksiężnikami i szamanami, którzy sprawują pieczę nad moim zdrowiem?

– Mamo, przyjmujesz swoje lekarstwa?

– Oczywiście, że przyjmuję swoje lekarstwa. Dlaczego, ilekroć staję się nieco bardziej liryczna, ty zawsze pytasz o te pigułki?

– Przepraszam. – Obiecałam sobie zadzwonić później do doktor Luny albo do Goose.

– Czemu nie przyszedłaś się ze mną zobaczyć, skarbie?

– Nie było cię w twoim apartamencie. – To prawda. – Pomyślałam, że jesteś u doktor Luny albo na terapii. – Nie za bardzo prawda. – Nie chciałam przeszkadzać.

– Taka długa droga i nie chciałaś przeszkadzać?

– I tak byłam w okręgu Avery.

Przygotowywałam się w duchu na salwę pytań dotyczących szczątków z Brązowej Góry. Nie nastąpiła.

– Zniosłabyś jeszcze raz tę straszliwą podróż?

– Czego potrzebujesz?

– Trochę czasu z własnymi córkami.

– Dzwoniłaś do Harry? – Tętno podskoczyło mi gwałtownie z powodu użycia przez mamę liczby mnogiej. Oraz z powodu samej prośby, byśmy przyjechały do niej obie.

– Dzwoniłam.

– Czujesz się gorzej?

– Doprawdy, Tempe. Kocham cię. Ale jesteś tak okropnie przewidywalna.

Czekałam.

– Nie mogłabym czuć się lepiej – powiedziała z bardzo melodramatycznym westchnieniem.

– Harry przyjeżdża do Karoliny Północnej? – spytałam.

– Twoja siostra zawsze chętnie mnie wspiera.

Co to miało znaczyć, u diabła?

– Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi?

– Czy pragnienie zobaczenia swoich córeczek wymaga wyjaśnień, o co chodzi?

– Nie. – Tak.

– Naprawdę muszę już lecieć. Lunch jest w południe. A potem mam masaż. Zobaczymy się wkrótce?

– Oczywiście.

– To Grieg.

– Co? – Byłam totalnie zagubiona.

– „W grocie Króla Gór”. Dzieło norweskiego kompozytora Edvarda Griega.

To powiedziawszy, rozłączyła się.

Rzuciłam telefon na stół, co wywołało surowe spojrzenie Birdiego.

Czy wezwanie od mamy miało coś wspólnego z jej rakiem? Z chemioterapią? Nie mogłam jej o to spytać. Harry kazała mi dochować tajemnicy. A może chodziło o Clayтона Sinitcha? Mama często bywała brawurowo impulsywna. Czyżby zamierzała podjąć potencjalnie katastrofalną decyzję?

Chwyciwszy z powrotem komórkę, wcisnęłam guzik szybkiego wybierania. Odsłuchałam krótki i denerwujący komunikat Harry. Zostawiłam tych samych kilka słów, których dwukrotnie użyłam już wcześniej. Zadzwoń do mnie. To pilne.

Zerknęłam na pudełko. Na górskie pasmo z papierów rozciągające się przede mną.

Mój wzrok wylądował na notatniku, a następnie zlustrował listę pytań. Zastanawiałam się nad każdym po kolei. Nie doszłam do niczego.

Potem powtórzyłam sobie w duchu: Dlaczego Susan Grace nie chciała ujawnić powodu wyjazdu Masona do Tennessee?

Od wczorajszej nocy byłam pewna, że wiem, kiedy i gdzie umarł Mason.

Zobaczyłam teraz Susan Grace w półmroku salonu jej babci. Usłyszałam napomnienie starej kobiety. *Nie pozwól, byś stała się zakładnikiem szatana.*

Twarz Susan Grace w ciemnym wnętrzu mojego samochodu. Drżące wargi, wielkie jak talerze oczy, do połowy zakryte grzywką. Czy źle rozumiałam tę dziewczynę? Czyżby intensywność jej reakcji brała się nie z gniewu, lecz ze strachu?

Cora Teague. Mason Gulley.

Nagle powietrze w pokoju stało się zimne, ukąsiło mnie w skórę.

Na tym świecie istnieje zło. Zło, które musi ustąpić przed nieustępliwym dogmatem. Zło, które wierzy w siły ciemności.

I w tym momencie rozumiałam.

Susan Grace bała się, że jej opór zostanie zinterpretowany jako obecność demonów, z których należałoby ją oczyścić.

A oczyszczanie mogło oznaczać śmierć.

Niech to wszyscy diabli! pomyślałam. Niech to wszyscy cholerni diabli!

Decyzja. Pojadę odwiedzić mamę. Z Heatherhill będę mieć bliżej do Avery, gdy Ramsey w końcu oddzwoni. Albo Slidell.

Ani kroku dalej bez wsparcia. Tylko Heatherhill.

Przebijając się slalomem przez Charlotte, raz jeszcze zatelefonowałam do Harry. Wprawdzie mama już się z nią kontaktowała, ale siostrzyczka nie zarezerwowała sobie lotu na wschód. W jednym się zgadzałyśmy: nasza matka jest niedościgniona, jeśli chodzi o pełne elegancji manipulowanie ludźmi.

Już z trasy I-40 spróbowałam dodzwonić się do Slidella.

– Co jest aż tak pilne, do jasnej ciasnej, że musisz wchodzić mi na głowę w pierwszy wolny weekend od miesiąca?

– Hoke.

– Co? Czy ja teraz słucham jednej z tych wiadomości nadawanych w kółko przez kosmitów z kosmosu? Już to mówiłaś.

– Jestem przekonana, że Cora Teague i Mason Gulley zmarli podczas spartaczonych egzorcyzmów.

– Mówi Ziemia. Jest tam kto? Jest tam kto? Jest tam kto?

– Wysłuchasz mnie w końcu?

– Powiedz to Ramseyowi.

– Jest nieosiągalny.

– Ja też.

– Wszystko zbiega się wokół Hoke'a. Jego Kościoła.

– Ja pracuję nad Strike. Żadna z niej wielka szychy. Po prostu leży sobie sztywna w kostnicy z karteczką na palcu u nogi. A ta kostnica jest na moim terenie.

– Sprawa Strike ma z tym wszystkim związek.

– Może zadzwonię do NASA. Zapytam, jak sobie nagrać wiadomość na skrzynce głosowej, żeby w kółko powtarzała „odczep się”.

Walnęłam go granatem prosto w splot słoneczny.

– Mason Gulley zmarł w kościele Hoke'a. Poćwiartowano tam jego ciało.

– Skąd wiesz?

– Pojechaliśmy z Ramseyem do Kościoła Uświęceniowego Jezusa Pana, żeby porozmawiać z Johnem i Fatimą Teague'ami. Hoke był przy tym obecny.

– Bo to jego kościół.

– Pytaliśmy o Corę i Masona.

– A tatuś powiedział, że nigdy nie poprowadzi swojej córki dziwki do ślubu. W ten sposób dochodzimy do czegoś?

Moje palce zacisnęły się na kierownicy.

Spokojnie.

– Mason umarł, mając we włosach oliwę z oliwek i kadzidło. To materiały używane podczas odprawiania egzorcyzmów.

– To nie znaczy...

– Gulleyowie należą do Kościoła Uświęceniowego Jezusa Pana. Mason przestał tam przychodzić mniej więcej w czasie, gdy kończono renowację budynku. – Wyobraziłam sobie lśniące mosiężne pierścienie osadzone w nowiuteńkim podeście. – W trakcie prac remontowych wykonywano między innymi wylewki betonowe na nowe schody. Inwestycję ukończono we wrześniu dwa tysiące jedenastego roku.

Zaskakujące, ale Slidell nie przerywał.

– Mason i Cora zniknęli w lipcu dwa tysiące jedenastego. W sierpniu Mason zaczął wstawiać posty na stronie OPKK.net jako OMG. Posty zamarły we wrześniu.

– Czy wtedy nie przebywał przypadkiem w Johnson City?

– Sądzę, że Mason jednak wrócił z Tennessee i że w kościele stało się coś złego. Doszło do egzorcyzmu, zmarł. Wokół wały się worki z cementem, leżały piły spalinowe...

Pozwoliłam tej makabrycznej myśli zawisnąć w powietrzu.

– A Strike?

– Prawdopodobnie wykryła to i zdecydowała się na konfrontację z Hokiem. W sobotę, dzień przed znalezieniem jej ciała, Strike przebywała w Avery.

Z gardła Slidella wydobył się jakiś dźwięk.

– To z pewnością za mało, żeby zdobyć nakaz – powiedziałam.  
– Jak dotąd to są jedynie spekulacje. Sędzia zażąda czegoś więcej.  
– Na przykład czego? – zaszarżowałam.  
– Może jestem stuknięty, ale hm, dowodów?  
– A ludzkie szczątki? Maski pośmiertna aż krzycząca, że to Mason Gulley? Oliwa z oliwek i kadzidło? Końce palców bez linii papilarnych? Dwoje zaginionych młodych ludzi? Ksiądz, który zadusił dziewięciolatkę? – To było już o wiecele więcej niż szarża.

– Gdzie jest Ramsey?

– Nie wiem. Ale zastanów się. Susan Grace okłamała swoją babcię, żeby nawiązać ze mną kontakt. Wyjawiała rzeczy, których Hoke i jego banda pewnie nie życzyliby sobie ujawniać. Jeśli się o tym dowiedzą, dziewczynę może spotkać ten sam los co Corę i Masona.

– Jadę właśnie na siłownię.

– Siłownię? – Słowo, którego istnienia w słowniku Chudego nie umiałam sobie wyobrazić.

– Masz coś przeciwko ćwiczeniom? – Usłyszałam miękkie skrobanie, prawdopodobnie Slidell pocierał sobie ręką twarz. – Napisz to wszystko, co mi powiedziałaś. I cokolwiek jeszcze przyjdzie ci do głowy. Prześlij mi. A w międzyczasie nie zrób nic głupiego.

Zatrzymałam się na stacji benzynowej i napisałam szybko mejla do Chudego, zgodnie z jego prośbą. Kopię wysłałam Ramseyowi. Potem kliknęłam w ikonkę Google Earth i wklepałam adres, który moim zdaniem znajdował się w pobliżu żądanej przeze mnie lokalizacji. Otrzymałam koordynaty. Po ich zastosowaniu dostałam kolejne koordynaty, aż wreszcie znalazłam to, czego potrzebowałam.

Spędziłam kilka minut na powiększaniu i pomniejszaniu, a także badaniu



krajobrazu. Wpadłam na chwilę do toalety, kupiłam dietetyczną colę i napełniłam bak samochodu. Potem wróciłam na jezdnię.

Przemknęłam obok Heatherhill i skierowałam się prosto ku Avery.

Zatrzymałam wóz i zgasiłam silnik. Mój samochód był jedyny na całym parkingu.

Krajobraz widziany przez zapyloną przednią szybę przypominał landszaft zatytułowany *Pierwsze oznaki wiosny*. Niepewne dotąd młode pędy zieleniły się już na tle brązowawej trawy. Delikatna winorośl wysyłała cienkie jak nici czułki, obejmujące twarde pnie drzew. Wysoko w górze przy słabym wietrze sosny okazywały sobie wzajemne zainteresowanie.

Biel budynków kontrastowała z zielono-niebieskimi krzywiznami góry wznoszącej się dalej. Przed nimi nie zauważyłam nikogo. Żadnego ruchu w szczelinach między i pod wielkimi frontowymi drzwiami. Brak oznak obecności człowieka.

Zdałam sobie sprawę, że nie oddycham.

Wypuściłam powietrze z płuc i sprawdziłam, czy mam sygnał w iPhone. Może, ale tylko może. Jedna migająca kreseczka.

Napisałam esemesy do Slidella i Ramseya. Ten pierwszy będzie wściekły. Ten drugi, kto wie? Chrzanić to. Chudy był zbyt uparty, żeby mnie posłuchać, Ramsey zbyt zajęty. Tak czy owak, nie zamierzałam przecież zaatakować rodziny Mansona na ranczu Barker. Bądź co bądź był to tylko kościół, aczkolwiek przyprawiający o gęsią skórkę. W najgorszym razie ktoś wyjdzie, będzie wkurzony i każe mi zniknąć.

Wrzuciłam telefon do torebki i wtedy w odległym zakątku mojego umysłu zamigotała czerwona lampka. Sygnał od grupki neuronów. *Przecież ktoś porąbał chłopaka na kawałki i wsadził jego głowę do cementu. Właśnie tutaj!*

Ostatniej nocy spałam niecałe trzy godziny. Byłam wykończona. Ale musiałam się dowiedzieć.

Trzymając nerwy na wodzy, otworzyłam drzwi samochodu i nasłuchiwałam uważnie. Przerywane bzyczenie jakiegoś sfrustrowanego owada. Szmer wody gdzieś niedaleko. Poza tym panowała cisza. Brak ruchu na drodze, ludzkich głosów, śpiewu ptaków, wiatru.

Korciło mnie, żeby pozostać za kierownicą i odjechać. Wsiadłam jednak, otworzyłam bagażnik, a następnie zatrzaśki na moim zestawie do badania miejsca zbrodni. Wyjęłam z niego dwie fiołki, a z każdej z nich po jednej tabletkę. Obie umieściłam w pustym spryskiwaczu, dodałam resztki wody pitnej, jaka mi została, i potrząsnęłam. Miksturę schowałam do torebki razem z małą latarką ręczną oraz latareczką w kształcie długopisu, na promienie UV. Zamknęłam pokrywę bagażnika i obrzuciwszy wzrokiem otoczenie, zaczęłam iść w kierunku kościoła.

Im bliżej się znajdowałam, tym większe odnosiłam wrażenie, że temperatura spada. Nedorzeczne. Słońce, choć o jeden włos bliżej linii horyzontu, świeciło równie mocno i jasno jak wtedy, gdy tu przyjechałam.

Zatrzymałam się u stóp schodów. Potem, z galopującym szaleńczo sercem, wspięłam się na nie i przyłożyłam ucho do drzwi.

Nos zarejestrował wysuszone słońcem drewno, kurz, uszczelniacz z poliuretanu. A uszy – absolutną ciszę. Spróbowałam klamki. Oczywiście, że było zamknięte.

Przechodząc wcześniej przez trawnik, zauważyłam dwa okna budynku wychodzące na północ. Obeszłam narożnik. Oba znajdowały się zbyt wysoko, żebym mogła zobaczyć wnętrze kościoła. Oba były zasłonięte okiennicami. Przeszłam na tył budowli.

I stanęłam na wprost wylotu lufy samopowtarzalnej strzelby Browning.

## Rozdział 32

Zamarłam. To najlepsze, co można zrobić, kiedy zagłąda się w otwór broni gładkolufowej.

Hoke stał obok kępy jodeł, półtora metra od tylnej ściany kościoła. Miał na sobie czarną koszulę, czarne spodnie i białą koloratkę. Ostre cienie kładły się pasmami na jego twarz i ulizane włosy.

Nie widziałam wprawdzie jego miny, ale trudno było nie zgadnąć, w jakim jest nastroju. Był spięty, stał z odsuniętymi łokciami i strzelbą wycelowaną prosto w moją klatkę piersiową.

– Ksiądz Hoke – powiedziałam.

– Ksiądz G. Ręce do góry.

Uniosłam je.

– To jest wtargnięcie.

– Przecież w domu Pańskim każdy jest mile widziany, prawda?

– Nie ma tu pani nic do roboty.

– Za chwilę przyjedzie szeryf Ramsey. – Nie potrafiłam stwierdzić, jaki mój blef miał na niego wpływ. Jeśli w ogóle. – Chcielibyśmy z księdzem porozmawiać.

– Znów zamierzacie zakłócić nasz szabat?

– Bardzo mi przykro.

– Ta sprawa nie mogła poczekać choćby jeden dzień?

– Szeryf Ramsey i ja byliśmy zaniepokojeni. Jesteśmy zaniepokojeni. Nie odpuścimy.

Hoke mocniej zacisnął ręce na strzelbie.

– Nie ma potrzeby uciekać się aż do broni palnej. – Starłam się stłumić

szalejącą we mnie adrenalinę.

– Nie chcę pani skrzywdzić. Jestem duchownym.

– Nigdzie nie jest napisane, że Bóg gustuje w naładowanych browningach.

– To bluźnierstwo.

– Czyli broń nie jest naładowana?

Hoke zrobił krok do przodu, wychodząc z cienia. Lufa wciąż znajdowała się na wysokości mojego mostka.

– Czego pani chce?

– Wiemy o Corze Teague. – To było konfrontacyjne. Ale jedyne, co potrafił wymyślić mój pozbawiony snu i napompowany adrenaliną mózg.

– Nic nie wiecie.

– To proszę mnie poinformować.

– Dajcie temu spokój. Tylko przysporzycie bólu.

– Takiego, jakiego ksiądz przysporzył Corze?

Brak odpowiedzi.

– A Mason Gulley?

– Wszystko się wam pomieszało.

– Wiem także o dziewczynce z Elkhart.

– Odrobiła pani zadanie domowe.

– Owszem. Dowiedziałam się, że już pan nie jest księdzem. Że Kościół odrzuca ten wasz odłam katolicyzmu, ufundowany na ogniu piekielnym i siarce. Wasze demony i...

– Szatan istnieje.

– Lady Gaga też.

– Dla pani to zabawne?

– Zdecydowanie nie.

– Pani postawa dowodzi, że ze współczesnym społeczeństwem coś jest nie tak.

– A co jest nie tak ze współczesnym społeczeństwem?

– W tym kraju kręci się spirala totalnego kulturowego spustoszenia.

– To tekst jakiejś młodej rockmenki? – Wiedziałam, że prowokowanie go jest niebezpieczne, ale nie mogłam się powstrzymać. Niech wina za to spadnie na mój strach i moje zmęczenie.

– Pani się nabija. A szatan naprawdę działa w tym świecie.

– I kwaterę główną ma na Brązowej Górze?

– Znów robi sobie pani żarty.

– Większość ludzi postrzega diabła jako alegorię.

– Produkt uboczny wolnej woli, którą obdarzony jest rodzaj ludzki. – Hoke parsknął, nastąpiła mała, wielopunktowa eksplozja w powietrzu. – Szatan jest realny. I nie ustanie, dopóki nie zwiedzie całej ludzkości na zatracenie.

– Działając poprzez takich młodych ludzi jak Cora i Mason.

– Nigdy w dziejach nie było bardziej korzystnego klimatu dla szatana i jego misji.

– Dlaczego?

– Współczesna młodzież dorasta w świecie, w którym krytycyzm wyszedł z mody. Nie wolno być zbyt surowym dla ich kruchych małych ego. Moralność nie wchodzi już w zakres nauczania. Nie wolno mieć uprzedzeń, obowiązuje poprawność polityczna. Młodzi zmuszani są, by płynąć przez codzienne morze pornografii i chciwości, funkcjonować w atmosferze, w której rządzi zasada „a co ja będę z tego mieć”.

– To chyba odrobinę zbyt ostra krytyka. – Poczulałam wibracje w torebce. Ramsey? Slidell? Nie mogłam ryzykować opuszczenia rąk i szukania

telefonu.

– Byliśmy narodem zbudowanym na chrześcijańskim Bogu. Ludzie chodzili na msze. Słuchali duchowieństwa.

– Nie wszyscy chrześcijanie są katolikami. – Grałam na zwłokę. Czekałam na ten jeden moment.

– Metodyści. Baptysci. Katolicy. Wyznanie nie ma znaczenia. Oddawanie czci Bogu przestało się liczyć. Nikt już nie zawraca sobie głowy Biblią, sakramentami, dziesięciorgiem przykazań.

– Miliony Amerykanów nadal chodzą do kościoła.

Hoke nie słuchał. Gotował się do kazania, które niewątpliwie wygłaszał już wiele razy, do znudzenia.

– Nawet matka Kościoła rozwadnia swoją podstawową naukę. Dzisiejszym duchownym nie wolno wspominać o piekle i czyśćcu. Nie wolno zachęcać wiernych do spowiedzi. Przecież mówienie o grzechu przygnębia. Nie wolno nam wzbudzać poczucia winy. Anioły? Dajcie spokój. Zbyt mistyczne.

– Co to wszystko ma wspólnego z Corą i Masonem?

– Ludzie są skołowani. Bez kodeksu etycznego nie mogą się bronić. A słabi i podatni stają się żyzną glebą dla szatana.

– Celem demonicznego opętania.

– Właśnie. – Powiedział to z taką gwałtownością, że się wzdrygnęłam. – A dla raz opętanego nie ma lekarstwa.

– Wtedy wkracza pan.

– Ofiary szatana nie mają się do kogo zwrócić.

– Kościół wspiera egzorcyzmowanie. Watykan przeprowadził niedawno konferencję na ten temat. Uczestniczyło w niej około dwustu księży i zakonnic. Papież chwalił dokonania Międzynarodowego Stowarzyszenia

Egzorcystów. – Z internetowych poszukiwań udało mi się zapamiętać ledwie kilka ciekawostek.

– Ojciec Święty jest w Watykanie izolowany, otoczony przez kardynałów. Nie jest już skuteczny. – Oczy Hoke’a zerknęły na budynek kościoła, potem przeskoczyły z powrotem na mnie, błyszczące gniewem, a może strachem. – Ale w terenie większość biskupów i księży nie słucha. Myślą, że przez egzorcyzmy Kościół wygląda głupio i anachronicznie. Mylą się. Diabeł jest *realny*. Siły demoniczne są *prawdziwe*. Biblia przekonuje o tym w bardzo wielu ustępach. List do Efezjan, rozdział szósty, wers jedenasty: „Obleczcie pełną zbroję Bożą, byście mogli się ostać wobec podstępnych zakusów diabła”.

Moja komórka znowu zawibrowała. Odbierała sygnał, choć sporadycznie. To dobrze. Mogli mnie namierzyć.

Zacząłam mówić, aby zagłuszyć ten dźwięk.

– Kościół twierdzi, że egzorcyzmy wolno przeprowadzać tylko po szczegółowym zbadaniu danej osoby pod kątem medycznym i psychiatrycznym.

– Psychiatry. Z ich przemądrzałym żargonem, terapiami i butelkami pigułek. – Znow nastąpiła paskudna eksplozja w powietrzu. – Kobieta, która utopiła pięcioro własnych dzieci, często chodziła do psychiatry. Albo nastolatek, który zastrzelił mnóstwo młodzieży ze swojej szkoły. A także mężczyzna, który mordował chłopców i grzebał ich pod domem.

– Jakie ma pan kwalifikacje, żeby odróżnić psychozę od opętania?

– Duch Święty udziela mi mocy odróżnienia.

– A jeśli pan i pański DŚ się mylicie? A jeśli pacjentka jest tak naprawdę epilepticzką? Poleje ją pan wodą i pomacha nad jej twarzą krucyfiksem? – Wiedziałam, że powinnam się zamknąć. Ale byłam potwornie zmęczona,

więc podejmowałam złe decyzje. – Zastanawiał się pan, jakie szkody może pan wyrządzić?

– Potrafię wyczuć, gdy ktoś jest dręczony przez demona.

– Jeśli nawet, to przecież Kościół wymaga, żeby egzorcysty przeprowadzali odpowiednio przeszkoleni księża.

– W głębi ducha moi współpracownicy w kapłaństwie są bardzo sceptyczni.

– Wszyscy?

– Diabeł jest najstarszym nieprzyjacielem Boga, nie jest głupi. Gdy egzorcysta nie wierzy w to, co robi, zwycięża Zły.

– A pan wierzy.

– Całym sobą.

– A zatem przywdziewa pan zbroję i na własną rękę atakuje szatana.

– Moje upoważnienie pochodzi od Boga, nie od Rzymu. Ewangelia według Łukasza, rozdział dziesiąty, wersy siedemnaście–dziewiętnaście. „Wróciło siedemdziesięciu dwóch z radością mówiąc: «Panie, przez wzgląd na Twoje imię, nawet złe duchy nam się poddają». Wtedy rzekł do nich: «Widziałem szatana, spadającego z nieba jak błyskawica. Oto dałem wam władzę stąpania po węzłach i skorpionach, i po całej potędze przeciwnika, a nic wam nie zaszkodzi»”.

Oczy Hoke’a błyszczały czymś, czego nie mogłam zidentyfikować. Nabożnością? Szaleństwem? Musiałam uciekać.

Uniosłam lekko głowę, udając, że usłyszałam gdzieś samochód, lecz staram się to zamaskować.

Hoke dał się nabrać. Jego wzrok ześliznął się ze mnie i powędrował ponad moim ramieniem w kierunku drogi.

Rzucić się na niego? Złapać broń? Kopnąć go w krocze?

Wahanie trwało nanosekundę. Potem odpowiednia chwila minęła.



Kiedy Hoke znów skierował na mnie swoje oczy, ujrzałam w nich błysk, który przejął mnie chłodem.

– Po co pani tu przyjechała? – wysyczał.

– Egzorcyzmował pan Corę. Coś poszło nie tak, za ostro. Może miała wtedy atak.

– Nie jestem tym, za kogo mnie pani bierze.

– Wiem, że nie jest pan zabójcą. Śmierć Cory nastąpiła przypadkiem. Tak jak tej dziewczynki w Indianie.

Z miejsca, w którym stałam, zdołałam dostrzec, że Hoke oddycha teraz szybciej.

– Czy Mason się dowiedział? Przeciwstawił się panu?

Mój głos się wznosił. Zmusiłam się, żeby mówić spokojnie.

– A może Mason też był ofiarą jednej z waszych imprezek?

Nawet kości Hoke'a zdawały się sztywnieć. Nadal milczał.

– Wie pan, znaleźliśmy go. Niedaleko punktów widokowych. Właściwie to, co pozostawiły zwierzęta. Jego kości. I głowę w wiadrze z betonem.

Hoke oblizwał wargi. Zamigotało w nich różem.

– Co zrobił pan z Corą? Ją też pan poćwiartował?

– Kochałem Corę. To nie powinno się było wydarzyć.

Nie spodziewałam się tych słów.

– Co nie powinno się było wydarzyć?

– To było takie piękne dziecko, dopóki nie dostało się w szpony diabła.

– Diabła. – Nawet nie starałam się ukryć odrazy.

– Nie widziała jej pani. Wybałuszone oczy, nikczemne uśmieški, wykręcone kończyny...

– Do słodkiej kurwy nędzy, diabeł nie miał z tym nic wspólnego. Cora Teague była epileptyczką. Gdzie się pan pozbył jej ciała?

Jabłko Adama u Hoke'a kursowało teraz jak winda, w górę i w dół. Milczał.

– Cora też skończyła jako okup dla Diabła z Brązowej Góry?

– Nie, nie. My nie czcimy szatana. Walczymy z nim. Oddajemy siebie jako zakładników za tych, których on dręczy.

– My? Kto panu pomagał?

– Już dość.

– To się nie uda. Szeryf Ramsey wie, że tu jestem. Za chwilę przyjedzie, będzie mieć nakaz. Wie pan, jak wygląda przetrząsanie miejsca zbrodni?

Hoke tylko się gapił. W bladym popołudniowym świetle jego trądzikowa cera pełna blizn wyglądała jak ziarniste zbliżenie powierzchni Księżyca.

– Przedstawię panu taką sytuację. W wielkiej czarnej ciężarówce przyjedzie zespół techników policyjnych. Będą chodzić wszędzie, z taśmami, pęsetami, prozkami i sprayem. – Mój głos znów się wznosił. – Przekopią panu cały trawnik, porobią zdjęcia, nakręcą filmy, skonfiskują wszystkie dokumenty. Odkryją najmniejszy brudny sekrecik, który schował pan pod pulpitem albo upchnął w szufladzie z bielizną.

Wzięłam głęboki wdech. Staralam się odzyskać kontrolę nad sobą.

Między nami zapadła kilkusekundowa absolutna cisza.

Hoke spojrzał w dół na strzelbę w swoich rękach, zamrugał, jakby zaskoczony jej widokiem. Potem znów popatrzył na mnie.

– Szkoda, że nie zostawiła nas pani w spokoju.

Po chwili lufa wskazała mi tylne drzwi kościoła.

– Do środka – polecił Hoke głosem ostrym jak brzytwa.

Wiedziałam, że zapędzona do rogu będę miała jeszcze mniej możliwości. Że mogło to oznaczać śmierć.

– Nie – powiedziałam.

– Już!

Stałam bez ruchu.

Palec Hoke'a ześliznął się w przód, w stronę spustu.

## Rozdział 33

Szłam tak powoli, jak tylko mogłam bez prowokowania Hoke'a. Wspiął się za mną po schodach, trzymając się bardzo blisko.

– Otwórz drzwi.

Mój umysł gorączkowo szukał słów, które odmieniłyby sytuację. Ponieważ żadnych nie znalazł, wykonałam polecenie.

Zawiasy miękko skrzypnęły.

Lufa browninga szturchnęła mnie w lewą łopatkę.

Przekroczyłam próg. Wciągnęłam w płuca koktajl zapachów, które przeniosły mnie w czasie i miejscu. Wosk świec. Politura do drewna. Kadzidło. Dym.

Jedyne oświetlenie kościoła pochodziło z pęknięć i szczelin w zarysach okiennic, teraz zamkniętych, po dwie z każdej strony. Jedno okno znajdowało się z tyłu, na prawo od drzwi, przez które weszliśmy. Sączące się światło słoneczne tworzyło pasma bieli, prostokątne u podstawy, łukowato zwieńczone.

Gdy moje oczy starały się przystosować do półmroku, coś za mną kliknęło. Jeden z żyrandoli ożył, ukazując wyraźnie całe pomieszczenie.

Nawa, niezbyt duża, zajmowała całe wnętrze budynku. Wzdłuż każdego z jej boków biegł rząd drewnianych ławek, ustawionych pod kątem tak, żeby powstało przejście pośrodku. W sumie było ich może ze dwadzieścia.

Na wprost, dwa metry przed nami, stała mównica, ustawiona centralnie, przodem do ławek. Za nią widniał ołtarz, prosty drewniany stół z lnianym obrusem. Teraz pusty.

Odległy narożnik pomieszczenia po naszej prawej zajmowało pianino.

Ponad nim, na ścianie, tkwiła tablica z wyborem hymnów. Ostatnio śpiewano numery 304, 27, 41 i 7.

Wszystkie powierzchnie wykonano z drewna, żadnego gipsu. Ściany pomalowane były na kremowo. Sufit i podłoga odznaczały się tą samą ciemnoorzechową barwą co ławki.

– Rozejrzyj się.

Odwróciłam się, wciąż trzymając ręce w górze. Hoke stał na rozstawionych nogach, z browningiem wycelowanym we mnie.

– Nie rozumiem.

– Oskarżasz mnie o morderstwo. Rozejrzyj się. Nasyć się.

– Ani razu nie użyłam słowa „morderstwo”.

– To jest Dom Boży. Nigdy bym go nie splamił.

– Wolałabym pozostawić przeszukanie komuś...

– Rozejrzyj się. – Rzucił ostro. – Nie mam niczego do ukrycia.

Oczy Hoke’a spoczywały na mnie z intensywnością, która sprawiła, że włoski na karku uniosły mi się wysoko. Wytrzymałam jego spojrzenie i nie drgnęłam. Lufą broni wykonał w powietrzu ciasny okrąg, wskazując, jak zakładałam, miejsce, w którym staliśmy.

– Mogę opuścić ręce?

– Będę cię mieć na oku.

Obeszłam całe pomieszczenie, czując, że Hoke mierzy mi w plecy. Nie było zbyt wiele do przeszukania. Brak garderoby, toalet, podziemi i holu. Żadnych szuflad ani szafek. Nic nie kryło się pod ołtarzem, na pulpicie, wewnątrz pianina. Na ławeczce leżały tylko arkusze śpiewnika. Miejsce było czyściutkie.

Lecz przecież minęły już prawie cztery lata. Mnóstwo czasu, żeby zatrzeć ślady, wszystko dokładnie wyszorować. A jednak, znając stanowisko Hoke’a

i jego wiarę w Boga, wątpiałam, by wybrał na mokrą robotę kościół.

Spojrzałam na swojego porywacza.

– Mam w torebce luminol. Mogę go użyć?

– Po co?

– Wykrywa obecność krwi.

Hoke kiwnął głową, raz, niechętnie, i zacisnął ręce na broni.

Powolnym ruchem sięgnęłam do torebki i wyjęłam z niej plastikową butelkę. Spryskałam ołtarz, okolice pianina, kilka ławek. Nic się nie rozżarzyło. Żadna niespodzianka. Byłam pewna, że tutaj nic się nie stało. Bardziej chodziło mi o to, żeby zobaczyć reakcję Hoke'a, niż o sam test.

Włożyłam butelkę z powrotem do torebki, próbując jednocześnie rzucić okiem na swój telefon komórkowy. Leżał wyświetlaczem w dół. Nie miałam szans przekonać się nawet, czy jest w zasięgu sieci. Nie miałam szans wklepać swojego kodu zabezpieczającego i wcisnąć szybkiego wybierania bez zwrócenia uwagi agresora.

Odwróciłam się i spojrzałam na Hoke'a pytająco. Wyzywająco?

– Teraz przejdziemy do ośrodka rodzinnego. – Powtórzył strzelbą gest dźgania.

– Skąd mam wiedzieć, że pan mnie nie zastrzeli.

– Znikąd.

Hoke zgasił światło i zamknął za sobą drzwi. Wyszliśmy kolejno. Nasze kroki rozbrzmiewały w ciszy, jedne odbijały się echem po drugich.

Wyczuwałam niebezpieczeństwo, gorące i metaliczne jak świeża krew. Ale browning nie pozostawiał mi żadnego wyboru.

Słońce zaczynało już zachodzić, złociło się na zielononiebieskich koniuszkach młodej trawy. Drzewa rzucały długie cienie z zachodniego krańca polany.

Z bliska mogłam się przekonać, że ośrodek rodzinny, chociaż większy, ma podobny układ przestrzenny jak kościół. Wejścia frontowe i tylne, oba na poziomie gruntu, bez podestów i schodów. Łukowate okna umieszczone wysoko po bokach i z tyłu budynku.

Jedyną różnicę stanowiło skrzydło wystrzelające ku wschodowi, na tyłach. Miało dwa okna, małe i kwadratowe, bez łuków, bez okiennic, oraz osobne wejście.

Nie widziałam śladów podpiwniczenia ani korytarza prowadzącego do urządzeń sanitarnych. Żadnego okienka na poziomie gruntu, żadnych drzwi do piwnicy. Ani wysokich fundamentów. Domyślałam się, że budynek stoi na betonowej płycie.

Podobnie jak w kościele, na drzwiach frontowych wisiał ciężki żelazny krzyż. Sterowałam w tamtym kierunku, lecz lufa browninga znów ucałowała mnie w kręgosłup.

– Wchodzimy od tyłu.

Skręciłam na żużlową dróżkę. Za mną zachrzęściły ciężkie buty. Krótka trasa wiodła koło czarnego chevroleta tahoe, doprowadzając nas do drzwi na tyłach budowli.

Mój umysł doznał krótkiego spięcia. Szłam całkiem sama z mężczyzną cierpiącym na poważny kompleks Boga, z naładowaną strzelbą. Przyjazd tutaj był niedorzecznością, chorą głupotą na wielu poziomach. Co robić?

– Jest otwarte – usłyszałam tuż przy uchu.

Nacisnęłam klamkę i drzwi przesunęły się do środka. Weszliśmy. Tak jak poprzednio, Hoke zapalił światło sufitowe. Tutaj były to fluorescencyjne jarzeniówki.

Znaleźliśmy się od razu w dużej kuchni. Lodówka o podwójnych drzwiach, kuchenka z ośmioma palnikami, głęboki farmerski zlew.

Przestronny kontuar z szafkami powyżej i poniżej. Wszystko standardowo białe, pewnie kupione w miejscowym sklepie Best Buy albo Sears.

Żadnego wazonu ze sztucznymi kwiatami ani misy plastikowych owoców. Najmniejszej nawet fanaberii, która rozpogadzałaby to pomieszczenie.

Po lewej znajdowała się para drzwi, oboje zamkniętych. Hoke skierował się do nich, robiąc łuk i wpatrując się we mnie twardo – strzelba nie opadła nawet o centymetr. Szybko nacisnął klamki i otworzył.

– No dalej. Pryskaj swoimi chemikaliami.

Jedne drzwi prowadziły do spiżarki. Mnóstwo mąki, płatków owsianych i naleśników w proszku. Żadnych pił ani siekier. Nic nie rzucało poświaty.

Drugie wiodły do czegoś, co – jak zakładałam – było mieszkaniem księdza. Małeńki salon, sypialnia i łazienka ulokowane w ciągu, jedno ustępujące drugiemu.

Mijając Hoke’a, słyszałam jego oddech. Szybki i gorący. U niego także mocno wydzielala się adrenalina.

Salonik zastawiony był biurkiem, regałami na książki, małym stolikiem i pojedynczym krzesłem. Podłogę okrywał owalny pleciony dywan. W jednym rogu wyściełany klęcznik stał przodem do oprawnego portretu Jezusa, bardzo skandynawskiego z wyglądu.

Na widok fotografii leżącej na poręczy klęcznika poczułam, że pocą mi się dłonie. Szkolne zdjęcie. Dziewczyna wpatrzona w obiektyw, bez uśmiechu, z oczyma schowanymi za bezczelnie grubą czarną grzywką.

Spokojnie. Zaczekaj na swoją szansę.

W sypialni znajdowały się podwójne łóżko, komoda i szafa. Jak się można było spodziewać, w tej ostatniej mieściły się spodnie, koszule i kurtki, wszystkie czarne, a także cały tęczyowy asortyment brokatowych szat



liturgicznych.

Na prawo od drzwi wisiał kalendarz. Świętą miesiąca była jakaś kobieta głęboko zaangażowana w opiekę nad zwierzętami gospodarskimi. Tylko dwie nabazgrane ręcznie notki. Przeczytałam je dyskretnie. W ostatnią środę napisano *Rtg*. Pod dzisiejszą datą widniały litery *SG*.

Susan Grace Gulley.

Poczułam, jak coś gorącego szczypie mnie w skórę głowy.

Oddychać. Spokojnie.

Łazienka mierzyła zaledwie dwa na dwa metry, z trudnością mieściły się w niej prysznic, umywalka i sedes. Wyjęłam luminol i spryskałam wnętrze. Nic nie zaświeciło się na niebiesko. Nie marnowałam czasu na dwa pozostałe pomieszczenia.

Wróciwszy do kuchni, podeszłam do zlewu i wpompowałam w niego sporo luminolu. Bez reakcji. Przesuwałam się dalej, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, pryskając gdzie popadnie. Zero fluorescencji.

Hoke mnie obserwował, z twarzą sztywną jak oblicza na Mount Rushmore.

Za kuchnią, po drugiej stronie wąskiego korytarza, znajdowały się toalety męskie i damskie. W każdej umieszczono po dwa boksy z sedesami oraz umywalkę z szafką poniżej. Na jej półkach leżało mydło, środek do dezynfekcji o nazwie Clorox, rolki papieru Charmin, a także opakowania papierowych ręczników.

Luminol nie zamigotał.

Pozostała część budynku składała się z czegoś, co wyglądało na salę wielofunkcyjną. Długie chybotliwe stoły o bardzo cienkich nogach, ustawione pod jedną ze ścian, czekały na kolejną porcję smażonej ryby lub kiermasz. Na dwóch wózkach z kółkami leżały pasujące do stołów krzesła.

W drugim końcu sali widniał nieforemny okrąg zbudowany z kilkunastu składanych krzeseł. Za nimi, w rogu, stał staromodny kojec dla dziecka, taki, jaki miała kiedyś Katy, a których nie widuje się już od lat. Jego wnętrze zarzucone było różnymi zabawkami i lalkami. Obok kojca na półkach leżały przybory plastyczne dla dzieci – farby, pędzelki, kolorowy papier, klej, małe nożyczki w ceramicznym kubku.

Przy ścianie naprzeciwko kojca tkwiły trzy wieszaki na kółkach, każdy z kolekcją wolnych haczyków. Poza tym pomieszczenie było puste.

Pryskając luminolem i badając teren, zastanawiałam się nad sytuacją. Czyżby Hoke miał tę złudną pewność, że uda mu się skutecznie posprzątać, czy też był po prostu żałośnie nieświadomy, jak czułym środkiem jest luminol?

Za oknami już pociemniało, gdy wreszcie przyznałam sama przed sobą, że istnieje trzecia, najbardziej prawdopodobna możliwość. Że to ja się pomyliłam. Ani tutaj, ani w kościele nie poćwiartowano żadnych zwłok. A moje poszukiwania na Google Earth nie wykazały obecności innych budowli na tej posesji.

A jednak. Gdzieś w trzewiach byłam pewna, że Hoke jest zamieszany w śmierć Cory i Masona.

Co teraz?

Musiałam wynegocjować sobie drogę wyjścia. Albo ją wywalczyć.

– Przepraszam – powiedziałam cicho. – Myliłam się.

Minęło kilka uderzeń serca.

– Wychodzę – oświadczyłam.

– Najpierw przywozisz tu zastępcę szeryfa, żeby mnie skompromitować w oczach parafian. – Mówił głosem niskim i niebezpiecznym. – A teraz wracasz i oskarżasz mnie o mordowanie dzieci.

– Odsuń się.

Hoke się nie poruszył.

– Dlaczego modlicie się za Susan Grace Gulley? – zapytałam ostro w nadziei, że nagły atak wytrąci go z równowagi.

Całe ciało Hoke’a napięło się, ale nie odpowiedział.

– Bo stawiała się babci? *Diabeł* ją do tego zmusił? – Zatrzepotałam dłońmi, udając, że drżą. – Ją też zabijecie?

Hoke zacisnął szczęki, jego ciemne oczy wpiły się w moje. Chwyty dłoni na strzelbie stał się jeszcze silniejszy. W tym momencie już wiedziałam. Nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić mi stąd wyjść.

Panika przetoczyła się przez moją krew jak uderzenie amfetaminy. Oblicze Hoke’a rozmyło się, gdy poczułam jej szybki, potężny napływ.

Błyskawicznym ruchem rzuciłam się do przodu, okręciłam i z całej siły kopnęłam. Mój but połączył się z niebieskoczarną stalą lufy.

Uśpiony moim dotychczasowym posłuszeństwem Hoke padł ofiarą zaskoczenia. Browning wyleciał mu z rąk w kierunku kojca dla dzieci. Pchnięcie otwartymi dłońmi w klatkę piersiową odrzuciło go do tyłu. Gdy biegłam ku drzwiom, usłyszałam ostry trzask kości uderzającej o drewno.

Pędziłam żuźlową alejką, z przerażeniem myśląc, czy Hoke mnie nie ściga. Pełna strachu, że dostanę w plecy z broni gładkolufowej.

Pracując z całych sił rękoma i nogami, pokonałam trawnik. Martwe liście i trawa wylatywały mi spod butów. Świat był teraz bursztynowy. Czas zwolnił, moje ruchy stały się ociężałe, jakbym biegła przez jakiś syrop.

Widziałam jednak, że mój samochód rośnie w oczach.

Dziesięć metrów. Pięć. I już go dopadłam.

Ciężko dysząc, z tłukącym się sercem, szarpnęłam za drzwi, otworzyłam je i wskoczyłam do środka. Przekręciłam kluczyk. Silnik ożył z rykiem.

Włączyłam bieg, złapałam za kierownicę i skręciłam ją o sto osiemdziesiąt stopni. Przyciskając pedał gazu do deski, wypadłam na drogę. Choć miotano mną straszliwie, nie zwolniłam ani odrobiny. Kiedy znalazłam się na asfalcie, przyspieszyłam do stu trzydziestu.

Zatrzymałam się przy pierwszym czynnym barze po drodze, jakiejś spelunce z niebieskim neonem na dachu, o nazwie U Connie & Phila.

*Jasny gwint! Jasny gwint! Jasny, cholerny, pieprzony gwint!*

Gapiałam się na bar, pozwalając, żeby serce się uspokoiło. Afisz w oknie zapraszał na świeżego pstrąga i domowe przysmaki. Obiecywał obfite porcje. Zachęcał przejeżdżających, żeby „pophilili” się dobrym, dawnym, góralskim jadłem.

Wyciągnęłam telefon. Jedno połączenie od Ramseya. Nie zostawił wiadomości. Drugie od Ryana. To samo.

Wcisnęłam „oddzwoń”. Ramsey odebrał natychmiast. W tle słyszałam hałas, ludzkie głosy i trzaskające drzwi, co wskazywało, że jest gdzieś pod dachem.

Opisałam mu swoje spotkanie z Hokiem, przedstawiałam teorię na temat betonu, która wskazywała na Kościół Uświęceniowy. Luminol. Browning. I mój wniosek, że myliłam się, iż to właśnie tam poćwiartowano ciało Masona.

- To stało się gdzie indziej – powiedziałam.
- Hoke pozwolił ci odejść?
- Przekonał go mój but na jego jajach. – Niekoniecznie była to prawda.
- Niezbyt mądrze postąpiłaś, jadąc tam sama.
- Owszem.
- Przyślę kogoś po ciebie.
- Ja *faktycznie* dokonałam wtargnięcia.

– To jeszcze nie daje mu prawa do grożenia ci bronią.

– Myślałam, że tak.

Ramsey zignorował tę uwagę.

– Nadal uważasz Hoke'a za zamieszanego w śmierć Cory i Masona. –

Było to stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak. To szaleniec. A teraz szykuje się zapewne na Susan Grace Gulley. – Opowiedziałam Ramseyowi o zdjęciu na klęczniku i notce w kalendarzu. – To znaczy, że w grę wchodzi dzisiejszy wieczór. Musisz namierzyć dziewczynę.

– Zrobi się.

– A tak w ogóle, gdzieś ty się podziewał, do diabła?

Nastąpiła pełna wyrzutu pauza.

– Robiliśmy nalot na laboratorium metamfetaminy. Zamknąłem podejrzanych w areszcie, a ponieważ okazali się rodzicami, musiałem odwiedzić ich siedmioletnią córkę do ośrodka rodzinnego w Crossnore. Zdaniem tamtejszego personelu po odpowiednio długiej terapii dziecko wyjmie kciuk z ust i być może zacznie mówić.

– Przepraszam. – Czułam się jak ostatnia łachudra.

Kolejne słowa Ramseya całkowicie mnie zaskoczyły.

– Namierzyłem ten numer telefonu w Johnson City, który ci dała Susan Grace. Mason mieszkał w motelu, gdzie pokoje wynajmuje się na tygodnie, niedaleko toru wyścigowego Bristol Motor Speedway. Pokój z kuchenką mikrofalową, minilodówką, telewizorem z pilotem – wszystkie wygody. Zameldował się w połowie lipca, wymeldował w połowie sierpnia.

– Nadal mają rejestr?

– Nie. Znalazłem pokojówkę, która go pamięta. Najwyraźniej Masona trudno było zapomnieć. Powiedziała, że piękny to on nie był, ale bardzo miły

i rzadko wychodził z pokoju.

– Czy ona wie, dlaczego chłopak tam przyjechał? I dokąd się potem udał?

– Pamięta dwie rzeczy. Zobaczyła na telewizorze aktywowany głosem dyktafon i spytała Masona, gdzie taki można kupić. A dzień przed wyjazdem powiedział jej, że wraca do domu.

– I naprawdę wrócił do Avery. – Staralam się znaleźć w tym wszystkim sens. – Przekazał Corze dyktafon. Hoke się o tym dowiedział, dostał szau i oboje skończyli pod Brązową Górą.

– Nie przechodźmy tak szybko do formułowania wniosków.

– A masz lepszą teorię?

Ramsey nie znalazł na to odpowiedzi.

– Masona nie poćwiartowano w kościele, prawdopodobnie nie tam umarł. – Rozmyślałam nad tym podczas całej mojej szalonej ucieczki, o ile pozwalały mi na to stargane nerwy. – Kiedy doszło do fatalnego wypadku w Indianie, Hoke nie przebywał w swoim kościele, lecz w domu tamtej dziewczynki. Musisz zdobyć nakaz przeszukania posesji Gulleyów i Teague'ów.

– No chyba tak.

– Chyba? – Co za entuzjazm. – Gdzie teraz jesteś?

– Za swoim biurkiem. Mamy już ładowarkę do laptopa Strike, ale nie możemy złamać hasła. Sugestie?

Zagapiłam się na neon Connie i Phila. Nie uzyskałam od niego natchnienia. Powiedziałam:

– Spróbuj „luckyloo”.

– Jak to się pisze?

– Razem, przez dwa o.

Zastukały klawisze. Potem usłyszałam:

– A niech mnie. Wszedłem.

– Sprawdź jej mejle.

Znów klawisze.

– Nie ma żadnych mejli.

– Poważnie? A dokumenty?

– Nic.

– Na pulpicie cokolwiek jest?

– Nie. Dziwne.

– Strike była paranoiczką, raczej nie należała do pokolenia Z. Pewnie wszystkie materiały ze śledztw przechowywała na papierze, w kartonach, a z komputera korzystała tylko do badania Internetu. Sprawdź jej historię wyszukiwania.

– Jak?

Wyjaśniłam. Odczekałam całe mnóstwo kliknięć. Wreszcie Ramsey powiedział:

– Niewiele tego. Tylko z paru ostatnich dni.

– Prawdopodobnie często czyściła historię, sądząc, że jest wtedy bezpieczniejsza. Albo chciała ograniczyć liczbę reklam.

– To możliwe?

– Tylko gdy ma się na głowie kapelusik z folii aluminiowej.

– Co?

– Nieważne. Czego szukała?

Ramsey odczytał głośno niektóre nazwy.

Okazało się, że znów się pomyliłam w przewidywaniach.

## Rozdział 34

– Medscape.com. EverydayHealth.com. HealthyPlace.com. Psychiatry.org. „Czasopismo Psychiatrii Klinicznej”. „Czasopismo...”

– Jaka tematyka konkretnie?

Podobnie jak zapachy w tamtym kościele, niektóre terminy wywołały teraz we mnie wspomnienia z dzieciństwa. Schizofrenia. Zaburzenia schizoafektywne. Choroba afektywna dwubiegunowa. Pozostałe nazewnictwo było nowe. Zaburzenie depersonalizacyjne. Dysocjacyjne zaburzenie tożsamości. Zaburzenie osobowości typu borderline.

– Jezu, Ramsey. Masz tu sprawcę i motyw. Strike domyśliła się, że Hoke jest stuknięty, stanęła z nim do konfrontacji i ją załatwił.

– W kościele?

– Gdzieś indziej. Luminol niczego nie wykazał. Zero krwi. Bardziej prawdopodobne, że Strike zginęła w Charlotte.

– Jak ją tam znalazł?

– Pytasz poważnie? Każdy głupi, kto ma smartfona, potrafi to zrobić.

– Skąd wiedział o stawie?

– Hełoł? A Google Earth?

– Hoke ma komputer? Czy w ogóle ma telefon?

Musiałam to przyznać. Na „plebanii” nie zauważyłam ani jednego, ani drugiego.

– Może zjawił się u niej w domu – rzuciłam. – Może zadzwonił, żeby się umówić na spotkanie. Nie wiem. Wiem tylko, że musisz koniecznie załatwić te nakazy. Hoke to wariat. Zabił Corę i Masona, a teraz być może zasadził się na Susan Grace.



Ramsey szybko wypuścił powietrze z płuc.

– Dobra. Ale ty nie ruszaj się z miejsca. Wejdź do tego baru. Zjedz rybę.

– Jasne – odpowiedziałam. – A ty zadzwoń do Slidella.

Rozłączyłam się i siedziałam w samochodzie, obserwując, jak niebo staje się grafitowe za jaskrawoniebieskim neonem Connie i Phila. Konfrontacja z Hokiem w połączeniu z wcześniejszym zmęczeniem i frustracją sprawiły, że w piersiach paliła mnie zgaga. Przełknęłam ślinę. Oparłam głowę o fotel.

To się nie wydarzyło w kościele. W takim razie gdzie? Jakie inne miejsca wchodziły w grę?

Czego dowiedziała się Strike? W jaki sposób wiedza ta zagrażała Hoke'owi?

Moje powieki stały się ołowiane, myśli kręciły się wolno, na jałowym biegu, zamulone. Pięć minut. Odpoczne pięć minut. Jeśli odpłynę w sen, obudzi mnie telefon od Ramseya.

*Strike.*

*Pstrąg.*

*Strike pstrąg. Strike stąd.*

*Lucky Strike.*

*Stąd.*

*Stąd zobaczyć się z Hokiem.*

*Hoke.*

*Uświęceniowy.*

*Święty.*

*Święty Hoke.*

*Hokus-pokus. Włożyłeś tam głooooowę.*

*Głowę do wiadra.*

*Mason Gulley.*

*Cora Teague.*

*Przysmaki Cory.*

*Przysmaki Connie.*

*Wspaniałe porcje.*

*Wspaniałomyślność Johna.*

*„Pophil” się przysmakami Connie.*

*Posilisz się.*

*Zatankujesz.*

*Zreperujesz.*

*Connie. Przysmaki.*

*Beton.*

Moje oczy otworzyły się gwałtownie. Ręce uniosły tak szybko, że uderzyłam kłykciami o kierownicę. Widnokrąg stał się różowy, ostatnie światło zmierzchu krwawiło z nieba. Nie wiedziałam, jak długo spałam, byłam jednak śmiertelnie pewna znaczenia podprogowych sygnałów.

Odpaliłam silnik i wyskoczyłam z parkingu.

Po kilku minutach zatrzymałam się na poboczu dwupasmowej drogi, dziesięć metrów od zakładu o nazwie „J.T. Tu zatankujesz i zreperujesz”, mniej więcej w tym samym miejscu, w którym Ramsey mi go pokazywał. Stacja benzynowa – sklep spożywczy – magazyn budowlany Johna Teague’a. „Zreperujesz” oznaczało obecność wiader i pił, może także betonu. Wszystkiego, co potrzebne do idealnego poćwiartowania ciała.

Niedzielnny wieczór. Interes kwitł. Z przodu budynku stały dwa harleye. Stary pick-up z pękniętą szybą. Volkswagen z miliardem przejechanych mil.

Tak jak wcześniej, napisałam szybkiego esemesa. Potem wysiadłam, pobiegłam poboczem i skręciłam za dystrybutorami paliw w kierunku frontowych drzwi. Przez ulotki zatknięte za okno sączyło się światło.

W szparach między nimi widziałam od czasu do czasu jakiś ruch.

Wstrzymałam oddech. Słysząc było głosy, wszystkie męskie. Wyrwałam z torebki czapkę, schowałam pod nią włosy i weszłam do środka.

Wnętrze miało kształt litery L, sklep spożywczy znajdował się zaraz za drzwiami, a na prawo odchodziło drugie pomieszczenie. Na wprost, za ladą kasową, siedział chłopak, który wyglądał najwyżej na piętnaście lat. Wysoki i chudy, plamista cera, płatanina czarnych włosów domagających się nożyczek.

Główne pomieszczenie przecinały trzy rzędy regałów, oddzielonych od siebie dwiema centralnymi alejkami oraz wąskim przejściem po obwodzie. Na półkach leżało to co zwykle, czyli słodczyce, gummy do żucia i śmieciowe jedzenie o zerowej wartości odżywczej. Pod ścianami ustawiono lodówki. Przez ich szyby widziałam mleko, soki, napoje gazowane i piwo.

Motocykliści, z których jeden wyglądał jak księgowy udający weekendowego twardziela, a drugi jak niedoszły Billy Gibbons<sup>11</sup>, płacili Splątany Włosom za piwo i fajki. Twardziel powiedział coś, czego nie wyłapałam. Splątane Włosy odpiął jeden z dwóch kluczy zwisających ze ściany za ladą i nie okazując najmniejszego zainteresowania, podał przedmiot tamtemu. Gdy Twardziel ruszył w moim kierunku, czmychnęłam do pomieszczenia po prawej.

Taki sam układ regałów i przejść między nimi. Tutaj jednak nie było już chipsów Doritos. Asortyment od obcęgow i młotków po kołki i kielnie. Pojemniki roiły się od niewyobrażalnej różnorodności zawiasów, klamer, śrub i gwoździ.

Mając wszystkie zmysły w stanie najwyższego pogotowia, przesuwałam się na tył sali. Na wyższych regałach znajdowały się większe artykuły – skrzynki pocztowe, karmniki dla ptaków, węże ogrodowe, piły łańcuchowe.

Motyki i szpadle opierały się o tylną ścianę, obok drabin ustawionych według długości.

Gdy je zobaczyłam, puls mi podskoczył. Worki Quikrete ułożone w stosy, sięgające do pasa.

Moje id podsunęło mi kolejny bajt danych.

Ramsey powiedział, że interes ze szkoleniem psów został przeniesiony do tego sklepu cztery lata temu. Wtedy też zbudowano psiarnię. Psiarnia ma betonowe wybiegi. Jeśli dobrze zrozumiałam słowa Ramseya, chodziło o lato roku 2011. Kiedy zniknęli Cora i Mason.

Słodki Jezu. Więc to wydarzyło się tutaj. Susan Grace też może tu być.

Zgaga sprawiła, że poczułam czołgający się ku gardłu ognisty płomień. Przełknęłam ślinę.

Gdzieś za mną otworzyły się drzwi zewnętrzne. Usłyszałam szuranie butów w sąsiednim pomieszczeniu, stukanie kluczem o szkło.

– Ruszajmy – rzekł Twardziel do swojego kolesia.

Podwójne szuranie, trzaśnięcie drzwi, wielkie maszyny ożyły z rykiem silników. Gdy ich odgłos ucichł, drzwi znów się otworzyły i zamknęły. Kolejne kroki, tym razem stanowcze, lecz przyciszone.

Zakradłam się w miejsce, w którym śmieciowe żarcie spotykało się z artykułami budowlanymi, i zerknęłam za róg. Splątane Włosy zawieszał klucz do męskiej toalety na haczyk.

Przestrzeń niedawno zwolnioną przez dwóch motocyklistów zajmował jakiś mężczyzna. Tylko tyle mogłam stwierdzić. Stał zwrócony do mnie plecami, rysy twarzy były niewidoczne. Miał na sobie džinsy, szarą bluzę z kapturem, buty do pieszych wędrówek na grubej, gumowej podeszwie.

Coś w wyglądzie tego faceta sprawiło, że w głębi mej czaszki odezwał się brzęczyk, niczym rozgniewana osa po drugiej stronie okna.

Granger Hoke? John Teague?

Mężczyzna wysunął krzepką rękę do tyłu, otwartą dłonią w dół, w stronę kieszeni na pośladku. Jego łokieć wygiął się, a masywne ramiona obróciły tak, że zobaczyłam fragment jego profilu.

Osy eksplodowały w zderzeniu ze zmagazynowanymi w mózgu obrazami. Zrozumiałam. Patrzyłam na syna Johna, Owena Lee Teague'a. Człowieka, którego widziałam przy kościele. Piechura, którego widziałam na Punkcie Wisemana.

– Jutro z samego rana wymyj wybiegi dla psów, węzem. – Owen Lee rzucił brelok z kluczami na ladę. Metalowy, może srebrny, w kształcie orła. – Do środka nie wchodzić.

– Nigdy nie wchodzić – odrzekł tamten pochmurnie.

– Mądrze. – Dłoń ułożona w kształcie pistoletu. – Te psy urwałyby ci łeb. Daj mi to, co masz w szufladzie.

Splątane Włosy otworzył kasę i oddał dzienny utarg.

– Czas kończyć. Zamknij wszystko na klucz i idź. W razie potrzeby będę w domu. – Owen Lee zabębnił kłykciami o ladę, dwoma szybkimi, twardymi uderzeniami. – Życzę błogosławionego wieczoru. – Chwyciwszy opakowanie orzeszków ziemnych ze stojaka, pewnym krokiem wyszedł ze sklepu.

Czas było zniknąć. A jednak tego nie zrobiłam. Chciałam czegoś więcej niż wiader, pił i worków z Quikrete. Pragnęłam dowodu, który przygwoździłby Hoke'a i jego świrniętych kolesi. I chciałam być pewna, że Susan Grace jest bezpieczna. Nie dysponowałam jednak żadnym planem. Ani pomysłem, co robić dalej.

Wtedy okazja sama się znalazła.

Przez drzwi przepchnął się jakiś mężczyzna, ze wzrokiem mętym od nadmiaru alkoholu.

– Wasz cholerny dystrybutor nie działa.

Splątane Włosy podniósł oczy i spojrzał bez wyrazu. Albo umiał po mistrzowsku nadać twarzy pokerowy wyraz, albo nie był najbystrzejszym młodzieńcem w szkole.

– Hej! Naprawisz to pierdolone ustrojstwo?

– A przeciągnął pan kartę w czytniku?

– No pewnie, idioto, że przeciągnąłem kartę.

– Niech pan spróbuje jeszcze raz.

– To nie moja karta stanowi problem.

– Czego pan ode mnie chce?

– Żebyś zatankował mój bak, do cholery.

Splątane Włosy wyglądał na tak zirytowanego, jak to możliwe bez zmiany wyrazu twarzy. Zszedł ze swojego stanowiska i udał się za pijanym na zewnątrz.

Nie miałam planu. Po prostu działałam.

Serce biło mi wolno i mocno. Wystrzeliłam do kontuaru, schowałam orli brelok na klucze do torebki. Potem ruszyłam do drzwi i wyjrzałam.

Splątane Włosy pompował paliwo do porsche panamery, ze wzrokiem utkwionym w dystrybutor. Właściciel porsche próbował manewrować swoją kartą AmEx tak, żeby wsadzić ją do portfela, jednocześnie utrzymując postawę pionową.

Wymknęłam się ze sklepu, okrążyłam róg i zniknęłam w cieniu.

Oślaniając ekran komórki obiema rękami, sprawdziłam i'Phone'a. Żadnych połączeń przychodzących. Kliknęłam w małe zielone pudełko z białym dymkiem rozmowy. Mój esemes nie został dostarczony.

Wcisnęłam przycisk ponownego wysyłania. Krótkie piknięcie zabrzmiało jak krzyk w oceanie głębokiej ciszy.

Było już zupełnie ciemno. Psiarnia wyglądała jak grobowiec wyрубany w stojącym za nim lesie. Poruszając się ostrożnie, zatoczyłam szeroki okrąg do miejsca, skąd mogłabym widzieć zarówno front, jak i tył.

Uklęknęłam za jakimś drzewem i przyglądałam się obiektowi. Zobaczyłam tylko jedne drzwi, na tyłach, niewidoczne od strony sklepu i drogi.

Komórkę miałam w torebce. Mogłabym raz jeszcze spróbować się połączyć. Nie zrobiłam tego. Widziałam teraz tylko smutną, samotną twarz Masona Gulleya. Zdjęcie Susan Grace na klęczniku Hoke'a. Słyszałam jedynie własną krew tłukącą się w uszach.

Ruszyłam szybko. Do krwiobiegu dostało się tyle adrenaliny, że mógłby się na niej unieść okręt wielki jak niszczyciel. Byłam już w połowie drogi do psiarni, gdy usłyszałam pierwsze warczenie przyprawiające o panikę.

*Uciekaj!* – krzyczały moje ośrodki mózgowo odpowiedzialne za walkę i ucieczkę.

Padłam na czworaka i zamarłam.

Pies zaszczekał jeszcze kilkakrotnie, głośno i agresywnie. Pozostałe dołączyły. A potem nagle ucichły wszystkie.

*Są zamknięte! Ruszaj!*

Pół kucając, pół biegnąc, pokonałam ostatnie parę metrów i zatrzymałam się na tyłach psiarni. Nasłuchiwałam. Albo byłam odpowiednio cicho, albo Biały Kieł i jego kumple dali sobie spokój. Na razie.

Rozważałam swój kolejny ruch, kiedy nagle coś świsnęło w powietrzu. Obejrzałam się. Każdy nerw w moim ciele znajdował się pod napięciem elektrycznym. Kilka metrów ode mnie na prądzie wstępującym unosił się jastrząb z rozpostartymi skrzydłami, czarny podwójny przecinek na tle nocnego nieba.

Przełknęłam ślinę, pozwalając sercu powrócić do piersi. Opuściłam niżej

głowę.

I zmarszczyłam brwi. Moje buty były dziwnie łatwe do zauważenia, pomimo zmierzchu.

Obrzuciłam wzrokiem podstawę budynku. Po mojej lewej, nisko, na grunt padał przyćmiony, wzorzysty blask świateł. Podkrađłam się bliżej, pomagając sobie dotykiem, macając ogrodzenie z blachy falistej.

Światło dochodziło z górnej połowy okna, dolna niknęła w podłozu. Po stronie zewnętrznej szybę pokrywał brud, od środka wisiały grube kotary. Obserwowałam je przez chwilę. W cienkiej jak włos linii, w której się stykały, nie dostrzegłam żadnego ruchu.

Po co psiarni piwnica? Po co tak szczelnie zasłaniać okno? Dlaczego ciągle pali się tam światło?

Dobre pytania. W rodzaju tych, które powinny mnie były zaalarmować. Zmusić do szukania wsparcia. Ja tymczasem kontynuowałam swój marsz ku drzwiom.

Rzucając wzrokiem we wszystkie strony naraz, zaczęłam przekopywać torebkę w poszukiwaniu srebrnego orła. Drżącymi palcami namacałam w ciemności zamek i włożyłam weń klucz. Nic z tego. Kolejna próba. Taki sam wynik.

Ostatni klucz wśliznął się gładko i przekręcił z kliknięciem. Nacisnęłam klamkę. Drzwi się otworzyły. Wkroczyłam w absolutną czerń.

Powietrze było chłodne i wilgotne, unosił się w nim zapach ziemi zmieszany z wonią produktów, które pochodziły od człowieka. Pleśń. Zimny beton. Odchody i siki. Przetworzone mięso i zboże.

Psy usłyszały mnie, a może pobudziły je feromony wydzielane przez mój strach. Szalone szczekanie i warczenie wybuchło na prawo ode mnie. Szarpanie pazurów. Ciała uderzające w drucianą siatkę.



Znów pogrzebałam w torebce i znalazłam swoją minilatkę Maglite. Ze zgiętą ręką i światłem przy uchu ruszyłam w lewo, w stronę miejsca, które – jak oceniałam – powinno znajdować się ponad oknem piwnicy.

Przekradłam się obok jakichś stert, zapewne zapasów magazynowych dla sklepu. Wiadra, motyki, łopaty, narzędzia elektryczne w skrzyniach. Potem promień latarki wylądował na surowych drewnianych schodach. Psy wyły za moimi plecami. Zaczęłam schodzić.

Po ośmiu krokach dotarłam do niewielkiej otwartej przestrzeni z betonową podłogą. Małeńki niebieskobiały owal światła przesunął się po grzejniku na wodę, skrzynce z bezpiecznikami, po czym wylądował na drzwiach.

Głęboki wdech. Ruszyłam do przodu i nacisnęłam klamkę. Zamknięte. Skierowałam Maglite na bezpieczniki i zaczęłam od kluczy. Bingo. *Numero uno.*

Czując, jak w uszach bębni mi krew, niczym deszcz tłukący się o blaszany dach, otworzyłam i pchnęłam drzwi.

Pokój był na tyle duży, żeby pomieścić pojedyncze łóżko, stolik nocny, komodę i ciężki dębowy fotel. Przez pusty otwór drzwiowy dokładnie naprzeciwko mnie zobaczyłam małeńką łazienkę. Na jednej ze ścian wisiał krucyfiks. Na podłodze, w rogu, lśnił czerwienią grzejnik elektryczny.

Nocny stolik wyposażony był w lampkę ze słabą żarówką, z trudem próbującą spełnić swoje zadanie. Fotel miał skórzane pasy na poręczach oraz na przednich nogach.

Na łóżku siedziała młoda kobieta ze skrzyżowanymi nogami, rękoma przyciskała uda do piersi. Głowę miała nisko spuszczoną, czoło wsparte mocno o kolana. Pośrodku jej czaszki biegła biała linia, nierówno rozdzielając włosy na dwa jasne warkocze.

Kobieta odezwała się, nie podnosząc wzroku. Być może do mnie.

– Co się stało? – Głos miała przytłumiony. I skądś mi znany.

Byłam zdezorientowana. Wtedy kobieta uniosła na mnie ogromne zielone oczy.

Świat skurczył się w jeden punkt czasoprzestrzeni. Nie istniało nic poza tą twarzą i fotelem z jego ohydnyimi pasami.

To niemożliwe.

Nie wiedziałam, czy oddycham, czy nie. Czy moje serce jeszcze bije. Czy moja ręka, wciąż spoczywająca płasko na drzwiach, należy do mojego ciała.

– Przyszłaś mu pomagać?

To bojaźliwe pytanie uderzyło w moje uszy niczym pociąg pędzący z rykiem przez tunel. Objawiła mi się paskudna prawda. Strach minął, pozostawiając po sobie jedynie zimną kulę gniewu w żołądku.

Kiedy odpowiedziałam, mój głos dobiegał jakby z oddali. Z bardzo daleka. Należał chyba do kogoś innego.

– Nie, Coro. Przyszłam pomóc tobie.

## Rozdział 35

Mój umysł potrzebował jeszcze kilku sekund, żeby się w pełni przystosować. Ułożyć elementy puzzli inaczej, choć wcześniej tak starannie je doбираłam.

Cora Teague żyła. Uwięziona. Ofiara religijnych fanatyków.

– Idź sobie.

– Przyszłam ci pomóc, Coro – powtórzyłam.

– To źle.

– Nie.

– Ja jestem zła.

– Nieprawda.

– Przez ciebie zaraz tu przyjdą. – Miękki głosik przebił moje trzewia niczym ostrze. To była ta sama przerażona dziewczyna, co na nagraniu z dyktafonu.

– Zabiorę cię stąd – powiedziałam.

Nic.

– Czy Susan Grace jest tutaj?

– Kto?

– Susan Grace Gulley, siostra Masona.

– Och, nie. Och, nie. – Prawie jęknęła.

– Jesteś sama?

– Zawsze jestem sama. Muszę być sama.

– Wychodzimy stąd.

– Dokąd? – Niemal wpadła w panikę. – Do domu?

– Nie, jeśli nie chcesz tam iść.

– Co to za hałas? – Cora jeszcze mocniej przycisnęła nogi do piersi.

Nasłuchiwałam. Z góry doszedł nas odgłos nowej psiej furii. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że wcześniej psy siedziały jakiś czas cicho.

– Wszystko jest w porządku.

– Nie powinnaś tu być. – Zamrugała powiekami, a po policzku spłynęła jej łza. – Boję się ciebie.

Zdałam sobie sprawę, że jestem cała napięta, że stoję ze zgiętymi kolanami, unosząc ciężar ciała na przedniej części stóp. Przyznawszy sama przed sobą, że tego rodzaju postawa może wzbudzać lęk, wyprostowałam się i weszłam do pokoju.

– Coro. Posłuchaj mnie.

– Boję się.

– Gdzie są twoje buty? – spytałam spokojnie, maskując kotłujący się w moim wnętrzu chaos.

Cora nie odpowiedziała.

– Masz kurtkę? Sweter?

Jej oczy przeskoczyły na komodę, potem znowu na mnie, rozszerzone trwogą. I czymś jeszcze. Jakimiś emocjami tak intensywnymi, że poczułam, iż robi mi się zimno do głębi.

– Wezmę je – powiedziałam.

– Nie! Nie!

Podeszłam do łóżka i położyłam jej dłoń na ramieniu. Cofnęła się, jakbym sparzyła ją pogrzebaczem.

– Ksiądz G. już nigdy więcej cię nie skrzywdzi – rzekłam łagodnie.

– O Boże. – Znow jej czoło opadło na kolana. – Oni tu przyjdą.

– Nikt nie przyjdzie. – Wiedziałam, że nie mówię prawdy. Hoke będzie się niepokoił. Splątane Włosy musiał usłyszeć psy. Albo odkryć zaginięcie

kluczy Owena Lee.

– Nie mogę stąd odejść – odezwała się prawie niedosłyszalnie.

– Przestań się bać.

– Oni przychodzą, kiedy się boję. Kiedy się boję, oni przychodzą. –

Przemawiała melodyjnie i rytmicznie, jakby śpiewała lub się modliła.

Podeszłam do komody. Zatknęłam latarkę za pasek i otworzyłam szufladę. Skarpetki i bielizna. Schyliłam się, żeby otworzyć kolejną.

– Stój!

Serce katapultowało mi się do gardła.

Odwróciłam się, spodziewając się ujrzeć browninga wycelowanego w moją pierś.

Ale w drzwiach nikogo nie było. W pokoju znajdowałyśmy się tylko Cora i ja.

– Coro?

W odpowiedzi dał się słyszeć tylko przyspieszony oddech. Cora schowała się w rogu pokoju tak głęboko, że nie widziałam już jej stóp.

– Idź sobie! – Głos był tak donośny, że zdawał się przychodzić zewsząd i znikąd.

*Dobry Boże! Nie sprawdziłam łazienki!*

Odruchowo przycisnęłam plecy do ściany i prześliznęłam się do drzwi. Krew waliła mi w uszach. Wyszarpnęłam latarkę i wycelowałam jej promień w małą, ciemną przestrzeń. Nie zobaczyłam niczego oprócz toalety, umywalki i prowizorycznego prysznicza.

– Zniknij! – rozległo się za moimi plecami.

Odwróciłam głowę, ramiona nadal przyciskając płasko do ściany.

Liche oświetlenie zmieniło ciało Cory w groteskowy wizerunek, składający się z kątów i cieni. Miała uniesiony podbródek, przekreślony

w bok tak mocno, że więzadła jej szyi napięły się niczym postronki. Jej palce, zaciśnięte na kołdrze, wyglądały jak same kości pozbawione mięśni i skóry.

Słodki Jezu! Czyżby miała atak? Lustrowałam pokój w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu, który mogłabym umieścić jej między zębami, dla zabezpieczenia. Nie zobaczyłam niczego odpowiedniego. Ruszałam właśnie w stronę łazienki, gdy kolejna wrzaskliwa komenda kazała mi zatrzymać się w miejscu.

– Odejdź!

To niemożliwe! Adrenalina wywołuje u mnie halucynacje słuchowe. A jednak nie było mowy o pomyłce. To trzeci głos z nagrania. Dochodził z rogu pokoju.

Próbując znaleźć w tym wszystkim jakiś sens, przesunęłam się wolno w kierunku łóżka.

– *Takarodj el!* – Wypluła te słowa z taką mocą, że niemal zdmuchnęła mi czapkę z głowy.

Nie chcąc patrzeć, a jednocześnie niezdolna odwrócić wzroku, wycelowałam Maglite w Corę. Promień rozświetlił jej bladą owalną twarz, wargi rozciągnięte w drżącym, szyderyczym uśmiechu i oczy, w których lśniło coś mrocznego i groźnego. Szarpnęło mną w środku, zachwiało i wstrząsnęło.

Spokojnie!

Oceniałam sytuację. Ciało Cory było napięte, ale nie miała spazmów.

Kolejne bajty danych w głowie. Moja ostatnia rozmowa z Ramseyem. Zaburzenie depersonalizacyjne. Dysocjacyjne zaburzenie tożsamości. Paniczne pytania zadawane przez Saffron Brice. Która to będzie, mamusiu? Która?

Susan nie pytała, o której to będzie godzinie. Pytała, która to będzie Cora.

W tej chwili zrozumiałam ogrom swojego błędu.

– Idziemy. – Zsunęłam kurtkę z ramion. – Już.

– Zginiesz – zawyła głębokim basem dziewczyna. Męski głos dochodzący z tych delikatnych ust robił upiorne wrażenie.

– Nie wyjdę stąd bez ciebie, Coro.

– Nie jestem Corą.

Nie miałam pojęcia, jak radzić sobie z depersonalizacją ani dysocjacją. Czy jak się to kurewstwo nazywa. Stanąc do konfrontacji? Przymilać się? Komenderować?

– A kim? – spytałam.

– Elżbietą.

– Odejdź, Elżbieto. Chcę rozmawiać z Corą.

– Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić.

– Odejdź i pozwól mi zobaczyć Corę.

– Robię, co chcę.

– I zabijasz, kiedy chcesz? – Wiedziałam, że księża postrzegają egzorcyzmy jako walkę, dlatego mój napompowany adrenaliną mózg wybrał konfrontację.

Jej usta uniosły się z jednej strony w chytrym uśmiešku.

– To ty zabiłaś Masona.

– Mała strata. Wścibski Mason.

– Czemu?

– Przekonał tę gówniarę, żeby wszystkim opowiedziała.

– Żeby nagrywała to, co się z nią dzieje.

– Ona jest żałosna. Ja ją chronię.

– Poćwiartowałaś zwłoki Masona i rozrzuciłaś je w górach.

- Inni robią to, co im każe. Mam władzę.
- Masz tylko to, na co pozwala ci Cora.
- Demoniczną władzę.
- Jedynie tchórz zabija dzieci.

Na te słowa głowa Cory zaczęła się dziko wykręcać. Jej warkocze latały we wszystkie strony, ślina tryskała na policzki srebrzystymi strumieniami.

- Brat Cory, Eli. River Brice.

Wygibasy stawały się coraz gwałtowniejsze. Bojąc się, że dziewczyna coś sobie zrobi, wsunęłam jej pod głowę poduszkę i szybko odskoczyłam.

Kilka sekund szaleńczych ruchów, a potem broda Cory opadła, a szmaragdowe oczy wpiły się we mnie. Zobaczyłam w nich czystą złośliwość. Wywołaną nie przez jakąś mroczną osobę w jej duszy. Wywołaną przez katastrofę w jej mózgu.

A jednak Cora wierzyła, że siedzący w niej demon jest realny. Musiałam wyrwać ją z tego miejsca. Z dala od destruktywnej psychopatologii Hoke'a.

- Nie wierzę w demony – nie ustępowałam.

Cora zebrała w ustach ślinę i splunęła nią we mnie. Chybiła.

- Słaba imitacja.

Źrenice jej oczu przekręciły się, ukazując białe, błyszczące półksiężycy w każdym z oczodołów.

– Jesteś karykaturalna. – Pociły mi się dłonie, w ustach miałam sucho. Przełknęłam ślinę. – Słabe przedstawienie jak na oczekiwania księdza G.

Palce Cory wyprostowały się aż do przesady, a potem szponiasto zacisnęły na kołdrze.

- Pozwól mi porozmawiać z Corą.
- *Eriggy el!*
- Coro.



– Cora jest słaba.  
– Ty nie istniejesz. To Cora cię stworzyła.  
– Ta krowa jest za głupia, żeby cokolwiek stworzyć.  
– Chodź ze mną. – Konfrontacja nic nie dawała. Spróbowałam polubownie. – Będziesz mogła wyjaśnić, kim jesteś.  
– Elżbietą Batory.  
– Nie musisz krzyczeć, Elżbieto Batory. – Znałam to nazwisko. Skąd? Komórki mojej pamięci były teraz zbyt rozgrzane, żeby mi pomóc. – Pójdziemy tam, gdzie jest cieplej.

– *Hagyjàl békén!*

Gdy odwróciłam się, żeby podnieść z podłogi swoją kurtkę, zauważyłam poruszenie kołdry. Jak zwykle o jedno uderzenie serca za późno. Cora wstała z łóżka i skoczyła na mnie, zanim zdołałam zareagować.

Wykręciła mi prawą rękę wysoko za plecami, po czym pchnęła mnie do przodu, na podłogę. Czapka spadła mi z głowy, uderzyłam czołem o beton. Czaszka eksplodowała bólem.

Zobaczyłam czerń. A potem milion maleńkich światełek.

Miałam zmiażdżone nos i usta. Zęby cięły wewnętrzną stronę warg. Czułam ogień w płucach, ale zaatakowałam ją obiema stopami i jednym wolnym łokciem. Jestem silna, nie mogłam się jednak równać z Corą.

– *Halj meg!*

Napięłam mięśnie karku w szaleńczej próbie podniesienia głowy. Uzyskania dostępu do powietrza w moich drogach oddechowych. Bezskutecznie. Cora przyszpiliła mnie do podłoża.

Zdawało się, że to trwało całe godziny. W rzeczywistości minęła zapewne niecała minuta. W końcu udało mi się przesunąć jedno ramię tak, żeby obrócić brodę. Wylądowałam policzkiem w kałuży krwi na betonie. Mojej

krwi. Bałam się, że zaraz zwymiotuję.

– Cora – wydyszałam.

Jej ciało się napięło. Potem złapała palcami za moje włosy i szarpnęła. Uniosła mi głowę i uderzyła nią mocno o podłogę.

– Elżbieto.

Poczułam, jak dziewczyna przemieszcza ciężar ciała, a potem oddech Cory na moim uchu, gorący i wilgotny.

– Dziwka.

– To boli.

– Brudna dziwka!

– Dość. Już dość.

– Kurwa!

Zadarła moją głowę wysoko. Kręgi szyjne zatrzeszczały. Pchnęła mnie otwartą dłonią i uderzyłam lewą skronią o beton. Cora naciskała na prawą skroń z większą siłą, niż mogłabym podejrzewać u kogoś jej postury. Coś chrupnęło mi w szczękę.

Zamrugały małe białe światełka.

A potem zwyciężyła czerń. Obudziłam się w scenerii, która nie miała sensu.

Cora siedziała w wielkim dębowym fotelu, jeden jej nadgarstek i jedna noga były przywiązane pasami do drewna. Hoke leżał na podłodze, zwinięty w kłębek, z zamkniętymi oczyma, a spod jego rzymskiej koloratki pod śmiertelnym kątem sterczał krucyfiks.

Dalej moje wspomnienia to niespójne obrazy, z ziejącymi przerwami. Niekompletne puzzle, jak piekielny, angażujący wszystkie zmysły koszmar.

Pamiętam szczekające furiacko psy. Krew Hoke'a, spływającą wężykiem po betonie, żeby połączyć się z moją. Corę o dzikich oczach, szarpiącą za

skórzane pasy.

Przypominam sobie wzburzony męski głos dochodzący jakby z góry. Fragmenty jednostronnej konwersacji. „...znów to zrobiła”. „Nie!” „Schowam ją. Zastąpię, kiedy stanie się zakładniczką węża. Ale...” „Nie...” „Pan Bóg przykazał, żeby nie zabijać”.

Zachowałam obraz stojącego nade mną mężczyzny, kościstego, muskularnego, z niebezpiecznym grymasem twarzy. Zapach jego butów do pieszych wędrowek na grubej gumowej podeszwie.

Wiem, że pytałam o Susan Grace.

Wiem, że próbowałam wstać, ale nie mogłam.

Gdzieś w głowie słyszę łaskot drzwi uderzających o blachę. Odgłos kroków na schodach. Podniesione męskie głosy.

Widzę Ramseya trzymającego w obu rękach pistolet wymierzony w Owena Lee Teague'a. Twarz Slidella blisko mojej.

Czuję palce sondujące mi włosy. Miękką tkaninę owijającą moją twarz. Ręce podnoszące moje ciało.

Pozostałą część tamtej nocy spowija wielka ciemna kurtyna, z której wyłania się bardzo niewiele fragmentów. Puszysty wełniany koc łaskoczący mnie w brodę. Chybotliwa jazda samochodem z gwiazdami nad głową i pasami, które opinały moją klatkę piersiową oraz uda. Błyskające czerwone światła. Tył ambulansu. Wycie syren.

Myślenie.

Myślenie o czym?

Myślenie absolutnie o niczym.

## Rozdział 36

Już nigdy więcej nie zobaczyłam tamtych osób z okręgu Avery. Babci ani Susan Grace Gulley. Grangera Hoke'a. Cory ani jej szkaradnej rodziny.

Z wyjątkiem Strike wszyscy wyszliśmy z tego żywi. Nawet Hoke, aczkolwiek nigdy nie będzie miał już szans zaśpiewać w watykańskim chórze. Stracił dużo krwi, jego struny głosowe zostały przecięte, lecz wymierzony przez Corę cios krucyfiksem nie trafił w główne naczynia krwionośne. Po wypisaniu ze szpitala ksiądz G. zamieni piżamę na więzienny dres.

Susan Grace nigdy nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Tamtej nocy znów okłamała swoją babcię, ażeby wykraść dla siebie choć chwilę normalności. Zastępca szeryfa znalazł ją w lesie, jak piła napoje niskoalkoholowe na bazie wina w towarzystwie koleżanek z liceum. Hoke twierdził, że notka w jego kalendarzu miała przypomnieć mu o szklanym włóknie na gonty dachowe.

Nie przestaje zdumiewać mnie dramatyczne pojawienie się na miejscu Slidella i Ramseya, w choreografii ich samych. A także fakt, że Slidell odkrył prawdę dokładnie na czas.

Chudy spędził wcześniej wiele godzin, przeglądając nagrania z kamer bezpieczeństwa, obejmujące weekend, w którym zginęła Hazel Strike. Filmy wykonane w okolicach siedzib firm i innych placówek niedaleko domu Strike oraz Parku Przyrodniczego Ribbon Walk, gdzie znaleziono jej ciało.

O szesnastej, kiedy ja dawałam nogę spod lufy browninga Hoke'a, pracowitość Slidella przyniosła wreszcie owoce. Czerwona corolla należąca do Strike ukazała się w obiektywie kamery na pewnej stacji benzynowej, pół

kilometra od rezerwatu. Na przednim siedzeniu dla pasażera jechała Cora Teague.

Na podstawie esemesów ode mnie Slidell wiedział, że udałam się do budynku Kościoła Uświęceniowego Jezusa Pana, a potem do sklepu Teague'a. Wyczuwając niebezpieczeństwo, skontaktował się z Ramseyem, a potem – paląc opony – popędził do Avery.

Miałam wstrząs mózgu oraz pękniętą prawą kość jarzmową, na linii włosów. Nic strasznego, musiałam jednak zostać dwa dni w szpitalu Cannon Memorial, żeby pracujące na nocną zmianę pielęgniarki mogły świecić mi lampkami w oczy. Gdy wreszcie odzyskałam szansę ubrania się we własne ciuchy, wykupiłam recepty i pojechałam do domu, do Charlotte.

Zeb Ramsey zatelefonował, kiedy wciąż jeszcze byłam na lekach, zbyt zakręcona, aby rozmawiać. Oddzwoniłam do niego po paru dniach. Podziękowałam za ocalenie mi tyłka. Tyle że elegantszym językiem.

Dziwne, ale ten telefon zdawał się wykraczać poza kwestie zawodowe. Tuż przed odłożeniem słuchawki dowiedziałam się dlaczego. Ramsey zaskoczył mnie, zapraszając na randkę. Może kiedyś zjemy kolację, wiesz, jak to jest. Kłopotliwa sytuacja. A może wcale nie? Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

Okazało się, że pełne imię Ramseya to Zebulon. Zapytałam o to, będąc najwyraźniej pod wpływem bólu. Lub środków przeciwbólowych.

Slidell przestał się pojawiać, odkąd ustalił, że odniosłam tylko uraz głowy, że mam niewidoczne dla oka otarcie skóry i jeden złamany policzek. Po części dlatego, że zajęty był papierkową robotą i przesłuchaniami. Ale również z tego powodu, że czuł się wściekły na mnie za to, iż zachowałam się jak kowboj. Tak się wyraził. Trudno mu się zresztą dziwić. Działanie na własną rękę było totalnie idiotycznym posunięciem z mojej strony.

Trwało to dwa tygodnie, lecz – działając z dwóch kierunków – Slidell i Ramsey zrekonstruowali całą tę historię. Większość zeznań pochodziła od Owena Lee oraz Fatimy Teague, część od mieszkających w innych stanach sióstr Cory, Veroniki i Marie. Inne od personelu medycznego, który zajął się Corą.

Według Fatimy Cora miała swój pierwszy „atak” w wieku czternastu lat, na kilka miesięcy przed śmiercią Eliego. Kobieta pamiętała, że po śmierci syna jej córka zaczęła stawać się coraz bardziej wybuchowa, „wywyższała się”. Gdy starsze siostry wyprowadziły się z domu, humorzastość Cory jeszcze przybrała na sile. Przez pewien okres John pozwalał jej chodzić do lekarza, ale – jako oświecony tatuś – uznał, że leki tylko pogarszają sprawę.

Veronica twierdziła, że Cora często odczuwała niepokój i bała się rzeczy zupełnie nieszkodliwych. Żab. Wieszaków na ubrania. Drzewa za domem. Z kolei Marie zeznała, że Cora nierzadko bywała przygnębiona, miała trudności z zasypianiem i słabą pamięć.

Profesjonalna diagnoza, oparta na dogłębnym i ciągle trwających badaniach psychiatrycznych, wyгнаła z powrotem do piekieł wszystkie diabły i demony. Nie miałam wątpliwości, że zostanie utrzymana.

Taszczyłam właśnie szóste pudło na ulicę, gdy na moim podjeździe zatrzymał się znajomy taurus. Wyprostowałam się i czekałam, aż Slidell opuści szybę w oknie.

– Pasjonujący widok – powiedział, obrzucając wzrokiem szalik na mojej głowie i poplamione džinsy. – Tylko że rola Rosie<sup>12</sup> jest już obsadzona.

– Sprzątam poddasze.

– Zmieniasz je w pokój dla dziecka?

– W biuro.

– Twarz wygląda już całkiem dobrze.

Slidell wskazał brodą moje manele, ułożone przypadkowo jedno na drugim.

– Wiesz, że te dupki od śmieciarek nie chcą zabierać większych rzeczy?

– Przekupię ich.

– Jestem gliniarzem. Nawet mi tego nie mów – rzucił opryskliwie, lecz coś w tonie jego głosu powiedziało mi, że nie jest już na mnie zły. – Kiedy wyjeżdżasz?

– Lecę dziś wieczorem, o ósmej dwadzieścia. Remont poddasza zaczyna się w poniedziałek.

– Masz minutkę?

– Pewnie. Wejdz.

Usiedliśmy za stołem w kuchni. Slidell odmówił piwa na korzyść niesłodzonej mrożonej herbaty. Podając mu napój, przeprowadziłam dyskretny ogląd. Chudemu daleko było jeszcze do przystojniaka, jednak zdecydowanie stracił sporo kilogramów. Ćwiczenia? Stres? Uroczą Verlene?

– Muszę się przyznać, że kompletnie nie mogę zrozumieć tej dupiastej jajogłowej nowomowy.

– Jajogłowej nowomowy? – Jak zwykle odczuwałam potrzebę obecności tłumacza przy tego typu konwersacji.

– Ta dziewczyna zabiła trzy, może cztery osoby, a jednak siedzi w jakimś cholernym przytulnym szpitalu i skarży się na swoje problemy.

– Cora została uznana za zaburzoną psychicznie.

Uwaga ta wywołała tylko kręcenie głową i parsknięcie zmieszanie z gwizdem.

– Nie jest zdolna pojąć zarzutów przeciwko sobie ani wspierać własnego obrońcy.

– Jest wariatką, to rozumiem, ale...

- Cierpi na dysocjacyjne zaburzenie tożsamości. W skrócie DID.
- Właśnie o to mi chodziło – powiedział tonem w rodzaju „a nie mówiłem?”. – Przemawiasz tak samo jak ci jajogłowi od psychiatrii. Czyli co? Ich zdaniem ona jest schizofreniczką?
- Nie. Schizofrenia to choroba psychiczna, która polega na chronicznej lub nawracającej psychozie. Ludzie słyszą i widzą rzeczy nieistniejące, wierzą w coś, co nie ma podstaw w rzeczywistości.
- No, no. Ta mała nie ma halucynacji ani zwidów. To już ustalili. Jak wytłumaczysz, co jej *naprawdę* dolega?
- Ma tożsamość wieloraką.
- Myślałem, że coś takiego ogląda się tylko w tandetnych hollywoodzkich filmach.
- To jest fakt. Dysocjacyjne zaburzenie tożsamości nazywano kiedyś zaburzeniem osobowości wielorakiej. Dochodzi do niego wówczas, gdy osobowość danej osoby rozpada się na dwie lub więcej kolejnych tożsamości. Każda istnieje niezależnie od pozostałych, każda różni się od tamtych. Tonem głosu, słownictwem, manierami, postawą, skłonnością do używania jednej ręki lub drugiej – wszystkim tym, co uważamy za składniki danej osobowości.
- O ilu tożsamościach mówimy?
- Osoba z DID może mieć ich zaledwie dwie albo trzy, zdarza się również, że ponad sto. Statystyczna średnia wynosi piętnaście. – Spędziłam wcześniej wiele godzin na badaniu tego zagadnienia. – Przeciętny wiek ujawnienia się zmian chorobowych to wczesne dzieciństwo, dlatego nowe osobowości mogą się akumulować przez całe życie.
- Ktoś zarządza tym całym cyrkiem?
- Psychiatrzy określają główną osobowość mianem hosta, czyli



gospodarza. Funkcjonuje on jako ktoś w rodzaju portiera. Pozostałe noszą nazwę „alterów”, a przejście od jednej tożsamości do drugiej to „przełączenie”. Może ono trwać od kilku sekund do paru minut, a nawet kilku dni. Alterami bywają ludzie całkowicie wymyśleni, zwierzęta, postacie historyczne lub fikcyjne, które różnią się wiekiem, rasą i płcią.

– Czyli że facet może mieć w sobie laskę, a laska faceta?

– Tak.

– Dlatego w tej piwnicy głos dziewczyny brzmiał, jakby należał do jakiegoś cholernego sierżanta na poligonie?

– Właśnie. A także na nagraniu z dyktafonu. Głos, który braliśmy za innego mężczyznę, to była Cora mówiąca jako Elżbieta.

– Jezu kurna Chryste. To wszystko jest za bardzo popierdolone.

– Dysocjacja to mechanizm przystosowawczy – dotknięta nią osoba po prostu odłącza się od sytuacji, które są dla niej zbyt traumatyczne, bolesne i pełne agresji, żeby mogła znieść je w swoim świadomym ja. Uważa się, że przyczyny tego zaburzenia tkwią w zadawnionych urazach psychicznych z dzieciństwa.

– Czyli co? Ci dranie bili dziewczynę? Gwałcili?

– Maltretowanie wcale nie musi być fizyczne. Albo na tle seksualnym. Może być psychiczne. W przypadku Cory chodziło o jej całkowite odizolowanie od środowiska, związane z padaczką, w połączeniu ze skrajnym fanatyzmem religijnym.

Slidell obserwował kropelkę, która uwolniła się i spływała po jego szklance. Starł ją wzdłuż pozostawionego śladu i oblizał kciuk.

– Ten psychiatra, z którym rozmawiałem, myśli, że Cora raczej nie zabiła Eliego albo że nie zabiła go celowo. Tak czy owak, on sądzi, że śmierć chłopca zapoczątkowała utratę przez dziewczynę kontroli nad sobą,

fragmentowanie tożsamości czy jak to diabelstwo nazwać.

– A potem obie starsze siostry wyprowadziły się z domu. – Podjęłam narrację. – W końcu Cora dostała pracę u Brice’ów. Nigdy dotąd nie robiła niczego samodzielnie, nie spotykała nikogo poza członkami swojej rodziny i wiernymi jej Kościoła, nigdy nawet nie oglądała telewizji. Nie umiała poradzić sobie z wolnością, z odpowiedzialnością. Cała ta sytuacja całkowicie ją przerosła. Ona albo któryś z alterów zabił Rivera Brice’a.

– Gadałem z Owenem Lee. Trochę z Hokiem. Ich zeznania się pokrywają.

– A John?

– Ten arogancki fiut masturbuje się starym pomysłem, że szatan przejął władzę nad dziewczyną.

– Co mówili Hoke i Owen Lee?

– Cora załatwiła niemowlę, ponieważ opętał ją demon.

– Dlatego ich terapia polegała na tym, żeby dziewczynę zamknąć we wspaniałej nowej psiarni i potrząsać nad nią krucyfiksem. – Chciałam, żeby ton mojego głosu pozostał neutralny, ale zakradła się do niego nutka gorzkości. Na myśl o Corze siedzącej w tamtym miejscu wciąż robiło mi się niedobrze. – Mason ją kochał. Domyślił się, że tamci przetrzymują dziewczynę, nie wiedział jednak gdzie. Potwornie się bał, że następny na liście jest on, więc zwiął do Johnson City. Kiedy Susan Grace wspomniała, że widziała Corę, Mason wpadł na pomysł, kupił dyktafon, wrócił do Avery i przekazał go dziewczynie.

– Myślisz, że Cora nagrała tę taśmę celowo? – zapytał Slidell.

– Chyba nigdy się tego nie dowiemy. Urządzenie było aktywowane głosowo. – Łyknęłam herbaty. – Dowiedziałeś się, w jaki sposób Mason do niej dotarł?

– Według Owena Lee chłopak miał klucz. – Widząc moje zdziwione spojrzenie, Chudy dodał: – Podczas remontu kościoła kazano mu jeździć po dostawy dla sklepu i psiarni.

Birdie ruszył się z miejsca, zatrzymał na chwilę, coś rozważając, po czym postanowił do nas dołączyć. Patrzyliśmy, jak manewruje wokół kostki Slidella. Oboje wyobraziliśmy sobie scenę powrotu Masona do małej celi zamieszkaanej przez Corę. Slidell wyrzucił to z siebie.

– Więc chłopak wraca, żeby odebrać dyktafon. Cora atakuje go, zabija i ćwiartuje. Kiedy zjawia się Owen Lee, ona jest cała we krwi, a głowa Masona tkwi w wiadrze. Owen wzywa tatusia. Tatuś mówi, żeby sam to załatwił. I się modlił.

– Potem Owen Lee zrzuca kawałki zwłok z punktów widokowych. Czy wybierał ich lokalizacje ze względu na Brązową Górę?

Slidell pokręcił głową.

– Tylko bez voodoo. Znał te miejsca, bo po nich wędrował.

– Wczoraj przyszły wyniki badań DNA – powiedziałam. – Włosy w betonie należały do Masona. Oliwa z oliwek i kadzidło musiały zostać przeniesione z ciała Cory.

– A końce palców w żywicy sosnowej?

– Także Masona.

Minęła chwila, podczas której zastanawialiśmy się nad tym wszystkim.

– W przypadku Hazel Strike scenariusz był taki sam. – Lucky. Przełknęłam ślinę. – Strike odwozi Corę do Charlotte. Osobowość Cory się rozpada, dziewczyna zabija Strike. Zjawia się Owen Lee, wrzuca zwłoki Strike do stawu, a potem odwozi siostrzyczkę z powrotem do Avery.

– Taka jest wersja Owena Lee, tyle że on zaprzecza, aby Cora kogokolwiek zabiła.

– A kto?

– Zły.

– Jasne. – Nie zadałam sobie trudu, żeby ukryć odrazę.

– Czy był to Lucyfer, czy nie, Owen Lee przyznaje, że dla bezpieczeństwa rozwalił telefon Strike i wyrzucił go za balustradę, a potem pozbył się jej komputera w kontenerze na śmieci w Banner Elk.

– A co z dyktafonem?

– Twierdzi, że nigdy go nie widział. Domyślam się, że Strike gdzieś ten przedmiot schowała, żeby go chronić przed tobą.

– Nie było go w jej domu?

Slidell potrząsnął głową.

– Mała szansa, żebyśmy go kiedykolwiek znaleźli.

– Gdzie twoim zdaniem doszło do morderstwa?

– Postawiłbym pieniądze na to, że w parku. Owen Lee mówi, że tam właśnie znalazł Corę. Technicy wyciągnęli ze stawu metalowy kijek do pieszych wędrówek. Podczas przeszukania domu Strike znaleźliśmy dwa takie same, w garażu. Myślę, że jeden miała w samochodzie. Pracuje tam teraz jeszcze jeden zespół.

– Wiesz, w jaki sposób Cora zetknęła się ze Strike?

– Na ten temat wygadała się Fatima. Mówi, że w tamtą sobotę Strike pojawiła się w ich domu. John ją wyrzucił, a potem nagle okazało się, że Cory nie ma. Wygląda na to, że mieli kilka wygłuszonych i zamykanych na klucz pokoiów, w których trzymali dziewczynę, kiedy Hoke akurat nie prowadził swojej świętej wojny przeciwko demonom.

– Jakimś cudem Cora uciekła i przekonała Strike, żeby ta ją ze sobą zabrała – powiedziałam.

– Kiedy John odkrył zniknięcie córki, wezwał Owena Lee. Owen Lee

popędził do Charlotte.

– Skąd wiedział, dokąd jechać?

– Strike pozostawiła im swoje dane kontaktowe na wypadek, gdyby ktoś przeżył przemianę serca i chciał z nią porozmawiać.

– W tym adres domowy?

– To, czego tej damie brakowało, jeśli chodzi o środki ostrożności, nadrabiała zaangażowaniem.

– Więc to Owen Lee zrzucił kamień z krawędzi Szlaku Diabelskiego Ogonu.

– No tak. Podszuchał twoją rozmowę z Ramseyem na Punkcie Wisemana, spanikował i poszedł za wami. Mówi, że chciał was tylko nastraszyć. Owen Lee nie jest najbystrzejszym z bystrzaków.

– Nie – zgodziłam się. – Nie jest.

– Ale czegoś tu nie rozumiem. Jak taka nieśmiała, szara myszka jak Cora może nagle oszaleć i stać się zimnokrwistą morderczynią?

– Niektórzy ludzie z zaburzeniem dysocjacyjnym wykazują skłonność do sabotowania samych siebie. Inni wyrzucają agresję na zewnątrz. Ale pamiętaj, że w pewnym sensie Owen Lee ma rację. To nie Cora zabijała, lecz jej alter. I sądzę, że słusznie powiedziałeś. Nie jestem psychiatrą, ale podejrzewam, że Elżbieta Batory pojawiła się dlatego, że Cora miała poczucie całkowitej bezsilności.

– I to ta laska kazała jej zabijać?

– Nie całkiem. Będąc pod wpływem silnego stresu, Cora stawiała się Elżbietą. To Elżbieta mordowała.

– A kim ona jest, u diabła?

– Krwawą hrabiną.

– To wszystko wyjaśnia.

– Elżbieta Batory zyskała sobie przydomek najsztywniejszej seryjnej morderczyni w historii. Postawiono ją przed sądem za torturowanie i zabicie setek dziewcząt.

– Kiedy to było?

– W szesnastym wieku. Na Węgrzech.

– Świetny sposób na ubaw po pachy, jasna cholera.

– Legenda głosi, że lubiła się kąpać we krwi dziewic, żeby zachować młodość.

– Wspaniały wzór do naśladowania.

– Podświadomość Cory widziała w Elżbiecie kogoś potężnego.

– Tej dziewczynie nie wolno było oglądać telewizji ani korzystać z Internetu. Kontrolowano książki, które czytała, nie mogła też nigdzie wychodzić z domu, tylko do szkoły i do kościoła. Skąd niby dowiedziała się o tej hrabinie?

– Katalin Brice jest Węgierką. Prawdopodobnie Cora znalazła książki historyczne w ich domu.

– Więc żadnego mówienia martwymi językami nie było.

Potrząsnęłam głową.

– Nie. Mówiła po węgiersku.

– No cóż, z pewnością umiała przemawiać językiem krwi.

Nie skomentowałam tego.

Po kilku sekundach Slidell rzekł:

– Wygląda na to, że hrabina nie mieszka tam sama.

– Słucham?

– Lekarz zastosował hipnozę. Myśli, że poznał kolejną osobę.

– Często dzieje się tak, że podczas terapii ukazują się następne osobowości. Kim jest ta nowa?

– Facet nie chciał wchodzić w szczegóły.

I Slidell, i ja zajęliśmy się chwilowo herbatą. Potem zadał mi pytanie głosem, w którym wyczuwałam coś, czego nie umiałam zdefiniować.

– Jak często występuje to dysocjacyjne gówniane zaburzenie?

– Osoby cierpiące na DID miewają często także inne problemy: depresję, stany lękowe, zaburzenie typu borderline, nadużywają substancji psychoaktywnych, dlatego trudno je zdiagnozować. Ale to rzadka przypadłość. Czytałam statystyki, według których występuje ona w jednej setnej procenta, do maksymalnie jednego procenta całości populacji.

Slidell wciągnął głęboko powietrze przez nos.

– No nie wiem. Dla mnie to brzmi jak bełkotliwa mowa jakiegoś adwokata obrońcy.

– Pamiętasz Herschela Walkera? – Wiedziałam, że Slidell jest fanem futbolu amerykańskiego.

– Oczywiście. W osiemdziesiątym drugim zdobył nagrodę Heismana.

– Zaczekaj. – Poszłam do gabinetu, wróciłam i przesunęłam po stole książkę. – Umiesz czytać, prawda?

– Zabawne. Co to jest?

– *Breaking Free*.

– Tytuł widzę.

– Autorem jest Walker. W książce opowiada o swoim życiu z DID.

– Robisz sobie ze mnie jaja?

Tylko popatrzyłam na niego. Potem zmieniłam temat.

– Co się stanie z Hokiem i Teague'ami?

– Poplecznictwo, utrudnianie śledztwa, niedopuszczalne potraktowanie ludzkich zwłok. – Wargi Slidella ściągnęły się z niesmakiem. – Te dupki niespecjalnie liczą na to, że Pan Jezus ich wyswobodzi. Już załatwili sobie

prawników.

– A jeżeli Cora zostanie kiedyś uznana za poczytalną, czy prokurator mógłby wnieść przeciwko niej zarzuty? Poza Owenem Lee nie ma żadnych świadków, żadnych dowodów psychologicznych ani medyczo-sądowych.

– Dysponujemy nagraniem wideo tej dziewczyny, jak siedzi w samochodzie Strike. Może także jej odciskami palców. Jeśli ona sama się nie przyzna albo jeśli Hoke lub któryś z członków rodziny nie zgodzi się zeznawać, orzeczenie o zdolności do stawania przed sądem nie musi oznaczać, że Cora była poczytalna w chwili popełniania morderstw. I którą z jej osobowości byś oskarżyła? Jajogłowi powiedzą, że dziewczyna nie potrafiła odróżnić dobra od zła. Bla, bla, bla.

Oboje wiedzieliśmy, że szanse na oskarżenie Cory są bliskie zeru. I wtedy Slidell wprowadził mnie w zdumienie. Komplementem.

– Wiesz co, doktorco, jeśli chodzi o mowę kości, to jesteś całkiem dobra. Może jeszcze wpadniesz na jakiś pomysł.

Z tymi słowy Slidell wstał. Odprowadziłam go do drzwi. Zniknął.



## Rozdział 37

Dwudziesty siódmy kwietnia. Godzina dziesiąta czterdzieści dwie.

Słońce wpadało przez okno sięgające od podłogi do sufitu, ogrzewając jasnożółte ściany i dębowe posadzki w kolorze blond. Płomienie ognia tańczyły w prostokątnym wgłębieniu, ciągnącym się nisko na całej długości sporego marmurowego kominka. Za naszymi plecami kuchenne blaty i szafki lśniły doskonałą bielą, a w nieskazitelnie czystej nierdzewnej stali odbijały się nasze postacie.

Bardzo mi się to miejsce podobało. I przerażało mnie jednocześnie.

Przeszłam przez całą jadalnię, żeby spojrzeć na miasto znajdujące się dwanaście pięter niżej. Za mną agentka nieruchomości kontynuowała trudny proces sprzedaży.

W Centreville panowała normalna poniedziałkowa krzątanina: ludzie udawali się na poranne zakupy, biegli do swoich miejsc pracy. Wyprawdzacze spacerowali z psami, nianie i mamy pchały wózki z dziećmi. Wychyliłam się nieco, żeby zerknąć poza taras.

W kierunku wschodnim w obie strony spieszyli studenci przechodzący przez bramy Uniwersytetu McGill. Na zachodzie, przy ulicach zmierzających ku dzielnicom Westmount, Notre-Dame-de-Grâce i jeszcze dalej, do West Island, stały sobie Musée des beaux-arts, butiki, galerie, sklepy oraz budynki mieszkalne.

Ostatnie z niebotycznych zimowych zasp roztopiły się, pozostawiając ulice i chodniki opalizujące ropą naftową i benzyną. Tu i ówdzie z kominów buchały grube kolumny pary, blade i zwiewne na tle spektakularnie błękitnego nieba.

Jeszcze nie teraz, lecz już niedługo, zaczną się rytuały wiosny. Kurtki i ciężkie buty zastąpią odkryte kończyny i sandały. Przed restauracjami i pubami pojawią się stoliki. Studenci będą rzucać frisbee, urządzać sobie pikniki, wylegiwać się na świeżo zazielenionych trawnikach campusu.

– Marmur kararyjski to jeden z najpiękniejszych gatunków tego kamienia. Delikatny i ciepły. Oraz uniwersalny. Zgodzi się pani ze mną, doktor Brennan?

Odwróciłam się, znów włączając się do rozmowy. Agentka nieruchomości, Claire albo Cher, uśmiechała się do mnie promiennie zza maleńkich okularów w złotych oprawkach, tkwiących na jej nosie. Starannie ufryzowany, sztywny paż u tej kobiety przywodził mi na myśl Szekspira. Dziwne, ale tak było.

– A ta wolno stojąca wanna? *Mon Dieu!* Mieszkanie jest autentycznym klejnotem.

– Drogim – powiedziałam.

– Ale lokalizacja jest *très magnifique!* – Claire/Cher miała irytujący zwyczaj ssania własnych zębów pomiędzy kolejnymi wybuchami nadmiernego entuzjazmu. Teraz właśnie zrobiła to samo.

– Niestety, przekracza nasze możliwości finansowe.

Zza Claire/Cher doszło mnie spojrzenie przymrużonego oka. Utrzymałam nic niewyrażającą minę.

– *Oui*, lecz przecież jesteście państwo parą o takiej *élégance*. Musiałam je wam pokazać.

– On jest policjantem. Ja naukowcem.

– Moglibyśmy znaleźć coś tańszego w niższym segmencie rynku. – Powiedziała to tak, jakby chodziło o jedzenie ze śmietnika. – Ale muszę państwa ostrzec. Ta nieruchomość nie będzie dostępna zbyt długo.

– *Merci*. – Zebrałam kurtkę i torebkę ze wspaniałego kamienia. – Bardzo nam pani pomogła. Przedyskutujemy ofertę z detektywem Ryanem.

Jej szpilki stukały głośno, z irytacją, gdy szła za nami korytarzem, a potem do windy. Po wyjściu z budynku udaliśmy się własnymi drogami: ona do swojej beemki, Ryan i ja na rue Crescent, do irlandzkiego pubu u Hurleya, trzy przecznice na południe.

Było jeszcze wcześniej, mogliśmy wybierać wśród stolików. Zdecydowaliśmy się na mały, dwuosobowy, w oddzielnej loży, ponieważ zależało nam na ciszy. Kelnerka przyszła, gdy zdejmowaliśmy kurtki. Miała na imię Siobhan.

Siobhan spytała, na co mamy ochotę. Ryan zamówił piwo Moosehead i gulasz wołowy z dodatkiem guinnessa. Ja wolałam rybę z frytkami oraz dietetyczną colę. Znaliliśmy tutejszy jadłospis, nie potrzebowaliśmy menu.

– A więc – powiedziałam ja.

– A więc – powiedział Ryan.

– To znacznie przekracza nasz budżet – stwierdziłam. – Nie zapominaj, że ciągle mam wydatki związane z mieszkaniem w Charlotte. I będziemy wydawać kupę forsy na bilety lotnicze.

– Oraz na damską bieliznę.

Ta wypowiedź nie zasługiwała na komentarz.

– Świetna lokalizacja – powiedział Ryan.

– Dzięki, Cher.

– Chantal.

– Co?

– Ona ma na imię Chantal.

– A powinna mieć Shylock.

– Shylock był lichwiarzem, nie agentem nieruchomości.

– Chantal pewnie prowadzi uboczną działalność.

– Jest pani okrutna, *madame*.

Zjawiała się Siobhan z naszymi napojami, dając mi tym samym czas na sformułowanie kontrproponycji.

– Może lepiej coś wynajść – powiedziałam. – Przynajmniej dopóty, dopóki się nie zorientujemy, czy ten nowy układ działa, czy nie.

Wciąż nie mogłam dojść do siebie po usłyszeniu od Ryana nowin. Zarówno on, jak i Slidell przeszli na emeryturę i założyli spółkę o nazwie PIs (Prywatni Detektywi), przy czym każdy z nich pracował po swojej stronie granicy. Dlatego tak często rozmawiali ze sobą przez telefon. Był to również ukryty powód tamtej podstępnej wizyty Ryana w Charlotte.

– Jak się powiedziało a, to trzeba powiedzieć be. – Ryan uśmiechnął się, gwiaździste zmarszczki wokół jego oczu się pogłębiły.

– Powiedzieć be? To mieszkanie sprawi, że pod względem debetu będziemy konkurować z długiem publicznym.

– Którego państwa?

– Obu – odparłam.

– Nasze tutejsze mieszkania też wymagają sporych nakładów.

To była prawda. Na myśl, że musiałabym sprzedać swoje, zawiązał mi się supeł w żołądku. Milczałam.

Siobhan pojawiła się z naszym jedzeniem. Przez kilka chwil skupialiśmy się na serwetkach, sztuccach i przyprawach. Potem Ryan podjął wątek.

– Poza tym co to za pieniądze? Niedługo będziesz krezuską. Sułanką Krochmalu i Pary.

Przewróciłam oczyma, słysząc wzmiankę o zbliżających się zaślubinach mamy. Okazało się, że Clayton Sinitch posiada nie jeden zakład, lecz całą sieć pralni, w tym chemicznych. Co więcej, sam opracował proces

chemiczny, który rocznie przynosi mu grube kwoty pieniędzy – ustaliła Harry. Wszyscy, którzy znali tego faceta, mówili, że jest człowiekiem solidnym i miłym, szczodrym wdowcem, któremu brakuje żony.

Szczodrym, to fakt. Kamień na palcu mamy był wielkości bajgla.

Wskutek nalegań Daisy para szczęśliwców czekała z weselem do chwili, aż Katy wróci do Stanów. A tymczasem razem z Goose planowały imprezę, przy której – według słów Harry – zaślubiny księżnej Kate i księcia Williama okażą się skromną potańcówką.

Musiałam przyznać sama przed sobą, że to mama zainspirowała mnie do zaryzykowania związku z Ryanem. Jej entuzjazm. Jej ufność. I wiara, że w życiu nigdy nie jest za późno na miłość. Do diabła, no i ta jej arystotelesowska mądrość o jednej duszy zamieszkującej dwa ciała.

– Może powinniśmy pójść śladem Daisy – odezwał się Ryan z ustami pełnymi gulaszu.

– Jakim śladem? – Pamiętając wzrok Birdiego, powstrzymałam się od uwagi na temat właściwego zachowania przy stole.

– Biorę sobie ciebie za męża. Biorę sobie ciebie za żonę.

– Weź gulaszu.

– Zabawne.

– To ja spróbuję.

– Mówię poważnie.

– Ryan, uzgodniliśmy, że wspólne mieszkanie to najlepszy pierwszy krok. Nawiasem mówiąc, dziś rano zaczął się remont twojego gabinetu w mojej przybudówce.

– Mogę zawiesić nad biurkiem plakat z drużyną hokejową Habs?

– A są na nim autografy?

– Yvana Cournoyera.

– To musi być co nieco warte.

– Dla mnie jest. A ty powieś sobie zdjęcie Dale’a Earnhardta<sup>13</sup>. Tutaj, w naszej sypialni.

– Niewykluczone, że tak zrobię – powiedziałam. – Możemy już przestać się zachowywać jak bohaterowie serialu *House Hunters*?

– *Mais, oui, ma chère*. – Ostatnio Ryan zgadzał się na wszystko, czego chciałam. – Twoja twarz wygląda o wiele korzystniej.

– Niech Bóg błogosławi korektor kosmetyczny.

Ryan zwinął frytkę z mojego talerza.

– Czujesz się już lepiej w sprawie Cory i Strike? I całego tego bałaganu z okolic Brązowej Góry?

– Nie wiem. Dochodzenie było tak zagmatwane. Najpierw wydawało się, że Cora jest ofiarą. Potem, że bezwzględną zabójczynią. W końcu wyszło na to, że była jednym i drugim.

– Tyle że ofiarą stała się czegoś zupełnie innego. Ignorancji i fanatyzmu religijnego.

– Wszystko to jest jednak bardzo smutne. Cora powinna była spędzać wakacje, grając w tenisa i smarując się emulsją do opalania, a w weekendy popijać tanie wino z najlepszymi koleżankami. Naigrywać się z fatalnej fryzury swojej nauczycielki, płakać z powodu chłopaków, szeptać w ciemnościach o swoich pierwszych pocałunkach. A tymczasem, z powodu chorych urojeń Hoke’a, spędzała całe dni pod czujnym okiem tatusia i Pana Jezusa. Nocami przeżywała koszmarne lęki, że jej ciało jest mieszkaniem szatana.

Ryan wyciągnął rękę i przejechał kciukiem po moim policzku.

– Prawdziwi wyznawcy bywają najbardziej niebezpieczni – rzekł miękko.

Nasze oczy się spotkały, jedno niebieskie, drugie orzechowe. Z jakiegoś

niewytłumaczalnego powodu poczułam dawną iskierkę niepokoju, jej szybkie i ostre ukłucie jak szpilką, ale on zaraz minął. Oddaliłam od siebie niepewność i wzięłam Ryana za rękę.

– Tak – zgodziłam się. – Bywają.

– Hoke i Teague’owie pójdą do mamra – powiedział. – Brice’owie dochodzą do siebie. Cora jest pod opieką. To najlepszy ze wszystkich możliwych światów.

– Dziękuję ci, Kandydzie.

– Powinnaś być zadowolona.

– Jestem. – Naprawdę byłam. Więc skąd to zagubienie?

Pociągnęłam łyk coli. Jakbym chciała rozmyć kotłowaną kłębiących się we mnie emocji.

– W pewnym sensie najbardziej jest mi żal babci Gulley. Stara kobieta straciła męża, syna i wnuka. Hoke, jej zaufany doradca we wszystkim, co boskie, znajdzie się w ciupie. Mam nadzieję, że babcia pójdzie po rozum do głowy i naprawi swoją relację z Susan Grace.

– Ta mała jest rezolutna.

– Rezolutna?

– Nic jej nie będzie.

Przez jakiś czas jedliśmy, nie rozmawiając, każde zatopione głęboko we własnych myślach. Przerwałam ciszę pytaniem, które od dawna mnie dręczyło.

– Więc kto wykazał się najbardziej irracjonalnym oglądem rzeczywistości? Cora z jej alter ego? Czy Hoke i Teague’owie ze swoją wiarą w demoniczne moce?

– Nie zapominaj o Sarah Winchester z jej walką z poczuciem winy, której nie mogła wygrać.

– Zbawienie poprzez budowanie. – Zapomniałam opowiedzieć Ryanowi o dziwnym dworku w San Jose.

– Dysocjacja. Egzorcyzmy. Urojenia związane z architekturą. To wszystko mechanizmy radzenia sobie ze światem, który przygniata.

– Nieźle, Ryan.

– Ale skoro pytasz, oddaję swój głos na rodziców Ramseya.

Uniosłam brew.

– No bo kto nadaje dziecku imię Zebulon?

Zmiałam serwetkę i rzuciłam w niego. Ryan odbił pocisk jedną ręką.

– Mnie też coś nie daje spokoju – powiedział. – Skąd się biorą te światła na Brązowej Górze?

Uniosłam obie brwi i otwarte dłonie w geście oznaczającym „któż to może wiedzieć?”.

– Kolejna nierozwiązana zagadka – rzekł.

– Owszem – zgodziłam się.

Wtedy oblicze Ryana przybrało uroczysty wyraz. Sięgnawszy na drugi koniec stolika, wziął moją dłoń w swoją.

– Tak mi przykro, że nie było mnie wtedy przy tobie, Tempe. Musiałas czuć się strasznie w tej psiarni. Cora. Hoke. Owen Lee. Psy.

– Slidell i Ramsey świetnie się spisali.

– To ja powinienem tam być.

– Nie, Ryan. Znacznie lepiej się stało, że to nie ty popędziłeś mi z pomocą.

– Lubię pędzić ci z pomocą.

– Mówię poważnie. Myślę... – zatrzymałam się. Co ja właściwie myślałam? – Możliwy brak równowagi między nami był jednym z powodów mojego wahania, jeśli chodzi o nasz... – szukałam idealnego słowa.



Znalazłam. – ...związek.

– Nasze zdrowie.

– Tak. Nasze zdrowie. Wydaje mi się, że wtedy, kiedy przyjechałeś do Charlotte, zupełnie sknociłam swoje tłumaczenia.

– Twój przekaz był jasny.

– Muszę pozostać sobą, Ryan. Toczyć własne bitwy, wygrywać je lub przegrywać. Nie mogę udawać dziewicy w opałach czekającej na ciebie, Galahada.

– Wiadomość przyjęta. I wtedy, i teraz. Tylko pamiętaj, że następnym razem możesz się naciąć.

Przewróciłam oczami w iście epickim stylu.

– No więc jak? – spytał Ryan, który słyszał z gładkich zmian tematu. – Stać nas na to mieszkanie od Shylocka?

Spojrzałam w niewiarygodnie niebieskie oczy. Na tę twarz, którą kochałam od wielu lat.

– A co mi tam. – Uśmiechnęłam się. – Niedługo dostanę solidny zwrot podatku.

Uniosłam otwartą dłoń. Ryan przybił piątkę, rozpromieniony.

Gdy czasem wracam myślami do Hazel „Lucky” Strike – podczas bezsennych nocy, a także za dnia, kiedy błysnie mi gdzieś wściekle marchewkowa fryzura – przypomina mi się tylko jeden jasny punkt związany z tą historią. Jak dotąd nie podzieliłam się tym z Ryanem.

– W domu Strike Slidell znalazł folder, w którym był plan pogrzebu.

– Jej pogrzebu?

– Lata leciały, a ona nie miała żadnej rodziny. – I była boleśnie świadoma losu tych, po których nikt nie płacze. Tego ostatniego nie musiałam głośno mówić.

Ryan czekał.

– Chudy powiedział, że był na pogrzebie.

– Bez ciebie?

– Uznał, że jestem jeszcze zajęta lizaniem ran.

– Bardzo miły gest z jego strony.

– Sądził, że frekwencja będzie niska. – Mówiąc to, poczułam nową falę melancholii. – Ale się mylił. Według rachuby Chudego przyszło około pięćdziesięciu osób.

– Inni detektywi amatorzy?

Kiwnęłam głową.

– Wendell Clyde sfinansował nagrobek.

– Poważnie?

– Pod imieniem i nazwiskiem Hazel Strike wygrawerowane są słowa: „Miałem szczęście, że Cię znałem”.

## Podziękowania

Większość osób postrzega pisarstwo jako działalność jednoosobową. Tak nie jest. Otrzymuję całe mnóstwo pomocy od wielu ludzi. Dlatego jak zwykle mam ogromny dług wdzięczności u tych, którzy przyczynili się do powstania książki *Kości mówią*.

Chcę podziękować szeryfowi okręgu Avery Kelvinowi Frye'owi za to, że wyrozumiale przyjmował pytania dotyczące pracy jego wydziału. Doktor Bruce Goldberg udzielał mi informacji na temat analizy pierwiastków śladowych. Doktor William Rodriguez odpowiadał na pytania dotyczące badań kości, które wykraczają poza moją wiedzę. Judy Jasper dostarczyła mi danych o kulturze i języku węgierskim.

Cenię sobie stałe wsparcie udzielane mi przez kanclerza Philipa L. Dubois z Uniwersytetu Karoliny Północnej w Charlotte.

Składam wielkie dzięki swojej agentce Jennifer Rudolph-Walsh, a także moim obdarzonym nieskończoną cierpliwością, utalentowanym redaktorkom: Jennifer Hershey i Susan Sandon.

Pragnę również wyrazić wdzięczność wszystkim tym, którzy tak ciężko pracują na moje konto. W Stanach Zjednoczonych są to: Gina Centrello, Libby McGuire, Kim Hovey, Scott Shannon, Susan Corcoran, Cindy Murray, Kristin Fassler, Cynthia Lasky i Anne Speyer. Po drugiej stronie wielkiej wody: Aslan Byrne, Glenn O'Neill, Georgina Hawtrey Woore i Jen Doyle. W Kanadzie i na Alasce: Kelvin Hanson oraz Amy Cormier. W firmie William Morris Endeavor Entertainment: Caitlin Moore, Maggie Shapiro, Tracy Fisher, Cathryn Summerhayes i Rafaella De Angelis.

Doceniam też bezinteresowny wkład Paula Reichsa w redakcję tej

książki. Oraz niezmordowaną uwagę, z jaką Melisa Fish badała każdy problem, który jej podzucałam.

Jak zawsze przesyłam gorące uściski wszystkim moim czytelnikom. Ciepło mi się robi na sercu, kiedy wiem, że jesteście tak lojalni wobec Tempe. Dziękuję za Waszą obecność podczas podpisywania książek i na wieczorkach autorskich, a także za to, że odwiedzacie moją stronę internetową ([KathyReichs.com](http://KathyReichs.com)), że dajecie mi lajki na Facebooku i śledzicie mnie na Twitterze (@kathyreichs). To wszystko powstaje dla Was!

Jeśli zapomniałam komuś podziękować, przepraszam. Jestem mu winna piwo. Jeżeli książka ta zawiera błędy, powstały one z mojej winy.

Książka ta nie jest oparta na faktach. Wszystkie zawarte w niej nazwiska, postacie, miejsca oraz wydarzenia są albo wytworem wyobraźni autorki, albo po prostu fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwa do prawdziwych osób, żywych bądź martwych, do przedsiębiorstw, wydarzeń oraz miejsc są czysto przypadkowe.

---

1 *Lucky* (ang.) – szczęściarz/szczęściara, farciarz (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

2 *Oh my God* (ang.) – O mój Boże.

3 Wszystkie cytaty z *Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych*. Wydawnictwo Pallottinum, Poznań – Warszawa 1980.

4 Nawiązanie do filmu *Borys i Natasza* w reżyserii Charlesa Martina Smitha z 1992 roku.

5 *Judge Judy* (Sędzia Judy) – telewizyjne sądowe reality show, podobne do *Sędzi Anny Marii Wesołowskiej*.

6 *Cujo* – imię psa z filmu pod tym samym tytułem z 1983 roku, nakręconego na podstawie powieści Stephen Kinga. Łagodny bernardyn po ukąszeniu zapada na wściekliznę i staje się bezlitosnym zabójcą.

7 Garrison Keillor – amerykański satyryk, pisarz, autor słuchowisk radiowych i aktor.

8 Quikrete – największy producent betonu w Stanach Zjednoczonych.

9 *Dueling Banjos* – instrumentalna kompozycja Arthura „Guitar Boogie” Smitha z 1955 roku.

10 Fragment tekstu piosenki *Saturday Night* zespołu Bay City Rollers.

11 Billy Gibbons – gitarzysta zespołu rockowego ZZ Top, noszący charakterystyczną długą brodę.

12 Nawiązanie do postaci z filmu *Na końcu tęczy* z 2014 roku.

13 *Dale Earnhardt* – amerykański kierowca wyścigowy.

# Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Podziękowania

Przypisy